



**CIOS ZA CIOS**

**AGNIESZKA PESZEK**

[www.peszek.pl](http://www.peszek.pl)

# Cios za cios

AGNIESZKA  
PESZEK

Copyright by Agnieszka Peszek 2023

Copyright by 110 procent 2023

Wydanie 1

Redakcja: Dominika Kamyszek – [OpiekunkaSlova.pl](https://OpiekunkaSlova.pl)

Projekt graficzny okładki: Andrzej Peszek

Skład: Agnieszka Peszek

Wersja elektroniczna: Mateusz Cichosz | [@magik.od.skladu.ksiazek](https://magik.od.skladu.ksiazek)

ISBN: 978-83-969384-1-1

Wydawnictwo 110 procent

Cymuty 4, 05-825 Czarny Las

[www.peszek.pl](https://www.peszek.pl)

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Cytat

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4 ON

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9 ON

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14 ON

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19 ON

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26 ON

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31 ON

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

[Rozdział 36](#)  
[Rozdział 37 ON](#)  
[Rozdział 38](#)  
[Rozdział 39](#)  
[Rozdział 40](#)  
[Rozdział 41](#)  
[Rozdział 42 ON](#)  
[Rozdział 43](#)  
[Rozdział 44](#)  
[Rozdział 45](#)  
[Rozdział 46](#)  
[Rozdział 47 ON](#)  
[Rozdział 48](#)  
[Rozdział 49](#)  
[Rozdział 50](#)  
[Rozdział 51](#)  
[Rozdział 52 ON](#)  
[Rozdział 53](#)  
[Rozdział 54](#)  
[Rozdział 55 ON](#)  
[Rozdział 56](#)  
[Rozdział 57](#)  
[Rozdział 58 ON](#)  
[Rozdział 59](#)  
[Rozdział 60](#)  
[Rozdział 61](#)  
[Rozdział 62 ON](#)  
[Rozdział 63](#)  
[Rozdział 64](#)  
[Rozdział 65](#)  
[Rozdział 66 ON](#)  
[Rozdział 67](#)  
[Rozdział 68](#)  
[Rozdział 69](#)  
[Rozdział 70 ON](#)  
[Rozdział 71](#)  
[Rozdział 72](#)  
[Rozdział 73 ON](#)  
[Rozdział 74](#)  
[Rozdział 75](#)  
[Rozdział 76 ON](#)  
[Rozdział 77](#)  
[Rozdział 78](#)  
[Rozdział 79](#)  
[Rozdział 80](#)

Rozdział 81

Pamiętnik

Kilka słów na koniec

*Ci, którzy oddają się zemście i biorą sprawiedliwość we własne ręce, rzadko wiedzą, gdzie jest granica.*

Richelle Mead

## **Spis treści**

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4 – qqONqq

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9 – qqONqq

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14 – qqONqq

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19 – qqONqq

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26 – qqONqq

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31 – qqONqq

Rozdział 32

Rozdział 33



Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37 – qqONqq

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42 – qqONqq

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47 – qqONqq

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52 – qqONqq

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55 – qqONqq

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58 – qqONqq

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62 – qqONqq

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66 – qqONqq

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70 – qqONqq

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73 – qqONqq

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76 – qqONqq

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Rozdział 81

Pamiętnik

Kilka słów na koniec

# Rozdział 1

– Michaś, ty idź z tatą w stronę placu z samochodzikami, a ja pójdę z Antosiem do toalety – powiedziała dwudziestoosmioletnia Paulina Wierucka i odeszła w kierunku wskazywanym przez zawieszony na jednej z latarni drewniany znak z napisem „toalety”. – Idźcie powoli, a my was dogonimy! – krzyknęła już do ich pleców.

– Tato, a dlaczego ptaki nie spadają, gdy lecą? – rzucił sześciolatek chłopiec, nic sobie robiąc z faktu, że jego mama oddała się, zabierając młodszego brata. Dalej szedł za rękę z mężczyzną, który tego dnia zabrał swoją czteroosobową rodzinę do wesołego miasteczka. Mieszkali zaledwie kilometr od niego, ale dopiero dzisiaj, po dwóch tygodniach oglądania go z okien samochodu podczas drogi do przedszkola czy pracy, udało im się tu dotrzeć.

Jako maluch Marcel Wierucki uwielbiał tego typu miejsca. Dla dzieciaka z małej dziury pod Wrocławiem wycieczka do parku rozrywki stanowiła niesamowite przeżycie, jeszcze fajniejsze niż wyjścia do kina, które rodzice organizowali mu dość rzadko, maksymalnie dwa razy w roku.

Teraz na szczęście to się zmieniło i mógł dużo częściej korzystać z takich atrakcji wraz z dwójką swoich dzieci, ale jak to stwierdził podczas wieczornej rozmowy z żoną dzień wcześniej, to nie brak funduszy stanowił problem, lecz brak czasu. Dlatego gdy w końcu dostał dwa dni wolnego w pracy, postanowił najpierw się dobrze wyspać, a następnie zabrać dzieci do wesołego miasteczka i pójść nad staw, nad którym od niedawna wynajmowano kajaki i rowerki wodne. Planował w końcu spędzić czas jak prawdziwa kochająca się rodzina, o której zawsze tak marzył.

– To nie jest taka prosta sprawa – odpowiedział Michasiowi po dłuższej chwili. Kroczący obok niego chłopiec od jakiegoś czasu zasypywał jego i żonę mnóstwem pytań. Część z nich wcale nie należała do najłatwiejszych, a mimo to starał się na każde odpowiedzieć. Nie chciał być jak jego rodzice, którzy za każdym razem zbywali go tekstami w stylu „Nie mam teraz czasu”, „Nie wiem” lub „Przyjdź później”. – Z tego, co kiedyś przeczytałem, to kości ptaków są bardzo lekkie, a to za sprawą dziur, które się w nich znajdują. Poza tym mają własne silniczki w postaci skrzydeł. No i pomagają im jeszcze pióra...

– A dlaczego domy buduje się do góry, a nie w dół? – młody zadał kolejne pytanie.

– Dobre pytanie, skąd je bierzesz, chłopaku? – skomentował z uśmiechem na twarzy i zmierzwił blond włosy syna. W odległości dwustu metrów od nich dostrzegł mieniący się wieloma barwami plac do jazdy samochodzikami, który stanowił główny cel ich wycieczki.

Obaj synowie pomimo młodego wieku już wykazywali zamiłowanie do motoryzacji i często spędzali z tatą długie godziny w garażu, grzebiąc w starym trabancie odziedziczonym po ojcu Marcela. Choć próby jego naprawienia zawsze kończyły się tak samo, chłopcy wspierali tatę, jak mogli. A może wiedzieli, że zawsze spotka ich nagroda i na pocieszenie wyjadą na podwórkę, siedząc za kierownicą ich działającego samochodu? Do pedałów jeszcze nie dosięgali,

dlatego wygodnie umoszczeni na kolanach ojca, skupieni jak nigdy, z prędkością pięciu kilometrów na godzinę robili pętelkę wokół domu.

Marcel Wierucki skreślił w prawo w małą szutrową alejkę, świadomy, że wizyta w toalecie z młodszym synem zajmie żonie dłuższą chwilę. Mężczyzna dobrze wiedział, że gdy kroczący koło niego Michaś zobaczy atrakcję, o której mówił od kilku dni, nie da mu spokoju, aż nie usiądą razem w samochodziku, a jemu niezmiernie zależało na tym, aby chłopcy mieli tyle samo przejazdów.

Niestety fobia młodszego syna dotycząca korzystania z toalety poza domem powodowała, że czynność, która trwała zazwyczaj pięć minut, w takich sytuacjach rozciągała się jak stara guma w majtkach. Kiedyś podczas spotkania towarzyskiego, na które wpadło do nich do domu kilkoro znajomych jeszcze z czasów licealnych, ktoś powiedział, że tego typu strach ma nawet swoją nazwę. Z tego, co pamiętał, nazywa się to detrimenofobia i jest jedną z ogromu fobii, o których istnieniu nie miał zielonego pojęcia.

- Powtórzysz pytanie? Zamyśliłem się.

- Czemu domy rosną do góry, a nie do środka ziemi?

- Hmm... - zamruczał i ostantacyjnie podrapał się po głowie. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Wydaje mi się, że łatwiej budować do góry, niż robić olbrzymie doły, aby zmieścić cały dom pod ziemią. Poza tym ludzie potrzebują słońca. Bez niego nie czulibyśmy się dobrze. Na przykład jest witamina D, która...

- No, ale z takich domów pod ziemią mogłoby wychodzić na powierzchnię i wtedy siedzieć na słońcu. U nas w domu nie widać słońca, bo zasłaniasz z mamą wszystkie okna.

- Masz rację, ale dzięki temu, że jesteśmy nad ziemią, do naszego mieszkania wpada chociaż trochę światła.

- Ale pod ziemią można mieć lampy. Tak jak w nocy.

- Tak, można, jednak to naturalne światło jest nam potrzebne. Poza tym w takich domach mógłby być problem z powietrzem. Człowiek, żeby żyć, potrzebuje tlenu, a tam pod ziemią mogłoby go zabraknąć - odpowiedział pewnym głosem, ale czuł, że pytania syna zaczynają go przerastać.

Chłopiec ledwo skończył sześć lat, a już parokrotnie udało mu się zrobić lub powiedzieć coś, czym niezmiernie zadziwił ojca. Marcel Wierucki nigdy nie czuł się wybitnym intelektualistą. Skończył liceum, na studia nie poszedł, bo musiał iść do pracy. Czytał książki, ale odnosił wrażenie, że rozmowy z tym małym człowiekiem kroczącym obok niego czasami są ponad jego iloraz inteligencji.

- To dlaczego u dziadków w piwnicy da radę oddychać? Taki dom byłby jak piwnica.

W tym momencie Marcel chciał powiedzieć: „Szach-mat!”, ale wtedy musiałyby zacząć tłumaczyć, co to takiego. Już chciał rzucić jakąś zaskakującą ripostę, gdy poczuł delikatne szarpnięcie i dłoń syna wyslizgnęła się z jego.

- Tato, zawsze mówisz, że nie można kłaść się na ziemi... - Chłopiec zmienił temat, biegnąc już w stronę krzaków rosnących wzdłuż alejki.

- Tak, nie można. Nawet jak ktoś jest bardzo zmęczony, nie powinien tego robić.

- To dlaczego ta pani tam leży? - spytał Michaś i wskazał palcem ledwie widoczną blond głowę spoczywającą na trawie.

## Rozdział 2

Dagmara Zatorska usiadła na pięcioosobowej kanapie, która niczym we wnętrzarzarskim magazynie przyozdobiona została zdecydowanie za dużą liczbą poduszek. Każdą z nich ułożono w przemyślany sposób, tak by wszystkie razem tworzyły różnobarwne ombre. Po prawej stronie leżały trzy poduszki intensywnie zielone, obok dwie już bardziej stonowane, następnie dwie kanarkowe, a po lewej krzykliwe żółte.

Gaga, jak nazywali ją najbliżsi, najchętniej wzięłaby je wszystkie i pomieszała, poprzestawiała, a jeszcze chętniej rzuciła jedną z nich w siedzącą przy barowym stole kobietę. Jednak ani jedna, ani druga opcja nie wchodziła w grę, gdyż jej wdrożenie w życie wiązałoby się z awanturą. I tak przewidywała, że w ten sposób skończy się jej wizyta. W końcu podjęła decyzję, aby poinformować matkę o swoich planach na najbliższą przyszłość.

– Ona zrozumie – powiedział dzień wcześniej ojciec, gdy jak co czwartek jedli we dwoje lunch w ich ulubionej tajskiej restauracji. Zwyczaj ten pielęgnowali od czasu, gdy pięć lat wcześniej zaczęła studia. Czasami zmieniała się godzina ich spotkania i zamiast o trzynastej umawiali się wcześniej lub później, jednak niezmiennie było miejsce oraz dzień. Każde z nich tak układało swoje plany, aby móc się stawić. Jedynie wyjazdy lub poważne problemy zdrowotne mogły zakłócić ich rytuał.

– Ty się z choinki urwałeś? Nie zrozumie. Ona wszystkim dookoła mówi, że wkrótce to ja przejmę szkołę. Opowiada, że ma godną zastępczynię, chociaż nie sądzę, aby naprawdę tak o mnie myślała.

– Oj, chyba przesadzasz... – powiedział mężczyzna i wziął po ust kolejną porcję pad thaia pokrytego grubą warstwą ostrego sosu.

Córka patrzyła na niego z niedowierzaniem, mimo że sytuacja ta powtarzała się co tydzień, a nawet i częściej. Siedzący naprzeciwko niej ojciec cokolwiek jadł, przyozdabiał to warstwą pieprzu, papryczek chili lub piekielnie ostrego sosu i nigdy nawet się nie skrzywił, przełykając kolejne kęsy.

– Tato, nie przesadzam. Wczoraj, gdy wpadłam na chwilę do szkoły, jakaś pani, którą widziałam pierwszy raz na oczy, spytała, kiedy ruszają zapisy na moje zajęcia z tańca towarzyskiego.

– Aha... – westchnął i sprawnie nałożył pałeczkami kolejną porcję. – Porozmawiaj z nią. Opowiedz o swoich planach. Masz już dwadzieścia cztery lata. Obroniłaś się właśnie, i to nie z tańca. Twoja matka na pewno musi brać pod uwagę, że nie studiowałaś tej masy przedmiotów na marne. Chyba to pięć lat dało jej do myślenia. Wiem, że nigdy z nią o tym nie rozmawiałaś, ale ona nie jest oderwana od rzeczywistości, przynajmniej nie aż tak bardzo, jak ci się wydaje. Uważam, że musisz ją potraktować jak osobę dorosłą, szczególnie że sama chcesz być tak traktowana. Zrozumie, wierzę w to.

– Oby – mruknęła bez przekonania i zmienili temat.

Teraz, siedząc wśród tej masy kolorowych poduszek, marzyła, aby jakimś cudownym wehikułem przetransportować się w odludne miejsce, gdzie nie musiałyby stawić czoła matce. Kochała rodzicielkę ponad wszystko, ale zawsze stresowała ją rozmowa z nią o poważnych sprawach. Nawet w szkole podstawowej wszystko załatwiała z ojcem. Wszyscy uważali ją za wygadaną i ciekawą świata. Osobę, która zawsze wychodzi przed szereg i niczego się nie boi. Gdy miała dwanaście lat, ktoś włamał się do ich domu, a ona wraz z koleżanką próbowały wysledzić złodzieja. Innym razem zorganizowała nocne podchody, czym zezłościła kilkoro rodziców koleżanek i kolegów, których wyciągnęła nocą do lasu. Niczego i nikogo się nie bała. Oprócz matki.

Choć od czasów dzieciństwa upłynęło sporo wody w Wiśle, to strach na myśl o konfrontacji z matką nadal paraliżował ją praktycznie z taką samą siłą. Na początku chciała napisać jej wszystko w SMS-ie lub mailu, jednak po chwili namysłu stwierdziła, że to głupi pomysł. Taki dziecinny.

Wzięła trzy głębokie wdechy i niezgrabnie wygramoliła się spośród poduszek, jak dziecko z basenu z kulkami. Nieśpiesznie podeszła do matki, która jak co rano czytała prasę. Marianna Zatorska należała do systematycznie malejącej grupy osób, które pielęgnują stary zwyczaj czytania papierowych wydań dzienników. Dopiero gdy Dagmara usiadła obok przy barowym stole, matka odłożyła „Wyborczą” na blat i w końcu spojrzała na córkę.

– To o czym chciałaś porozmawiać? – spytała, nawiązując do krótkiego SMS-a, którego dostała wieczór wcześniej: „Musimy pogadać”.

– Wiesz co, to chyba nie jest takie pilne... – rzuciła dziewczyna i sięgnęła po jedno z jabłek leżących na zielonej porcelanowej platerze.

– Wiem, że coś cię gryzie – zaczęła. – Krążysz wokół mnie od jakiegoś czasu i chcesz mi coś powiedzieć. Chora jesteś? – spytała i momentalnie posmutniała jej oczy.

Dagmara zupełnie się nie spodziewała, że matka w taki sposób może zinterpretować jej zachowanie. Patrzyła w jej błękitne oczy, które po niej odziedziczyła, na podobnie upstrzony piegami nos, zastanawiając się, od czego zacząć. „Najlepiej od najważniejszego” – usłyszała w głowie słowa ojca.

– Nie jestem chora. Ja... – Nie mogła wydusić słowa, mimo że zazwyczaj się nie stresowała, a umiejętność zagadywania oponenta opanowała do perfekcji.

– Chodzi o szkołę? – rzuciła matka. – Nie chcesz jej?

– To nie tak, że jej nie chcę... – powiedziała i wypuściła powietrze, które mimowolnie wstrzymała. Czowała, że jej ciało się rozluźnia, jakby ktoś wyswobodził je z żelaznego uścisku. – Ja marzę o czymś zupełnie innym.

– Chcesz śledzić ludzi? – spytała Marianna ze słyszalną nutą żalu w głosie.

– Rozmawialiśmy o tym tyle razy... Ja nie chcę nikogo śledzić. Nie będę jak w filmach szpiegowskich chodzić za ludźmi, spać w samochodzie i czekać na schadzki czy inną wpadkę. W Polsce co roku firmy tracą pieniądze na współpracy z nieuczciwymi podwykonawcami. Są oszukiwani na tysiące różnych sposobów i nie potrafią lub nie są w stanie sobie z tym poradzić. Chcę ich wspierać. Nie ma w tym nic niebezpiecznego. Często opiera się to na wychwytywaniu błędów w fakturach, rozliczeniach. Czasami, jednak niezwykle rzadko, trzeba zamontować jakiś sprzęt szpiegowski, ale tym zajmie się Carlos.

- No tak, ten twój ni to chłopak, ni to funfel.

- To jest przyjaciel - odpowiedziała Dagmara i ugryzła kolejny kęs soczystego jabłka.

Nigdy nie wiedziała, jak to się działo, ale matka zawsze umiała kupić najlepsze owoce, a w kupowaniu jabłek, w szczególności ligoli, osiągnęła perfekcję. Kiedyś nawet tłumaczyła córce, że to kwestia zapachu, ale jej nigdy się to nie udawało. Niby kupione przez nią jabłko pachniało pięknie, ale gdy się w nie wgryzała, nie tryskało sokiem, a skórka nie trzeszczała pod zębami - nie tak jak w tym jabłku, którym się właśnie rozkoszowała.

- Z przyjacielem się nie sypia - fuknęła Marianna podniesionym głosem i poprawiła przyłizane włosy, które swoim zwyczajem spięta w niski kucyk. - Wy, młodzi, nie macie za grosz szacunku do relacji. Nie można ze sobą spać, później przestać i żyć jak gdyby nigdy nic, udając, że to się nie stało, to nienormalne.

- Mamo, czasy się zmieniły.

- Na gorsze - prychnęła kobieta.

- Może i na gorsze, ale z wielu dobrodziejstw korzystasz i jakoś nie masz z tym problemu. A poza tym Carlos jest niezwykle inteligentnym człowiekiem. Mamy jasno określone kompetencje, ustaliliśmy, kto czym będzie się zajmował. A dodatkowo...

Nie zdążyła skończyć, bo matka jej przerwała:

- Czyli co ja mam zrobić ze szkołą? - powiedziała płaczącym głosem, który uruchamiała, gdy chciała na kimś coś wymusić.

Dagmara już jako małe dziecko znała te sztuczki matki, która nie raz i nie dwa wykorzystywała swoje aktorskie umiejętności w domu, szczególnie w relacjach z ojcem, ale i czasami z nią i bratem.

- Nie zmienię zdania - powiedziała pewnym głosem Gaga, jednocześnie mocno zaciskając pięść. - Mamo, musisz zrozumieć, że taniec to twoje życie. Nie moje. Oczywiście kocham to, uwielbiam uczyć dzieciaki, ale traktuję to jako swoją dodatkową pracę, a nie sens istnienia. Nigdy nie będę taka jak ty, musisz to w końcu zaakceptować.

- Tylko powiedz, co ja mam zrobić?

- Zatrudnij kogoś, kto będzie tym zarządzał. Sprzedaj. Znajdź współnika. Ja niestety ci nie pomogę - powiedziała.

Po tych słowach sięgnęła po swoją workowatą torbę, która dzięki szelkom doskonale sprawdzała się jako plecak na rower. Po minie matki wiedziała, że musi się szybko ewakuować. Nadchodziło załamanie humoru, i to ostre, czego wyrazem były słowa, które usłyszała, zamykając za sobą drzwi:

- Nie możesz mnie zostawiać. Jesteś mi to winna!

Dagmara Zatorska sięgnęła po opartą o zewnętrzną ścianę domu biało-różową szosówkę, którą kupiła za pierwsze zarobione pieniądze, i westchnęła zasmucona. Liczyła, że matka tak nie myśli. Nie mogła. Przynajmniej tak powtarzał jej ojciec.



## Rozdział 3

Komisarz Grzegorz Wiśniewski, od kiedy starsza córka Dorota pokazała mu w aplikacji „Notatki” opcję tworzenia list, codziennie dopisywał nowe rzeczy, które zrobi, jak przejdzie na upragnioną emeryturę. Z końcem lipca planował zdać służbową broń i blachę, która zaczęła mu już mocno ciążyć. Tak naprawdę zostały mu niecałe dwa miesiące i czuł, że jest na to zupełnie nieprzygotowany, chociaż jednocześnie cieszył się jak dziecko na pierwszy dzień wakacji.

Zawsze kochał to, co robił przez praktycznie całe swoje dorosłe życie, jednak wszystko zmieniło się po drugim zawale. Doszedł do wniosku, że jego ciało odmawia posłuszeństwa, więc czas ustąpić miejsca młodszym. Co prawda, obiecał szefowi, że w wyjątkowych sytuacjach będzie wspomagał kolegów, ale traktował to jako niezwykle abstrakcyjny pomysł. Na początku chciał skupić się na najważniejszym – odpoczynku.

Dopisał właśnie do listy: „Zabrać Danusię na masaż tajski”, gdy na wyświetlaczu pojawił się numer kolegi z pracy.

– Co jest? – rzucił trochę zniecierpliwiony.

Musiał jeszcze dopisać dwie rzeczy i bał się, że zaraz o nich zapomni, co niestety zdarzało mu się coraz częściej pomimo garści tabletek, które łykał co rano.

– Mamy ciało – odpowiedział rozmówca bez słowa wprowadzenia.

Aspirant Mikołaj Chmielewski pracował w policji raptem pięć lat, ale Grzegorz wiedział, że będzie z niego świetny glina. Miał w sobie to coś, czego niestety wielu jego kolegom brakowało, szczególnie tym młodszym – chęć do działania, błysk w oku i poczucie humoru, którym potrafił rozładować nawet najbardziej napiętą atmosferę, co przy częstym obcowaniu ze śmiercią i przemocą było niezwykle istotne.

– Prześlij adres, już jadę.

Rozłączył się i wstał z wysłużonej kanapy, która z biegiem lat delikatnie zapadła się pod jego ciężarem. Jej naprawę, a dokładniej wymianę obicia i zmianę gąbek w środku, też umieścił na liście. Zamierzał zrobić to z jednym z zięciów, który świetnie radził sobie z młotkiem, wiertarką i innymi tego typu narzędziami. Dobrze wiedział, że mógłby w ogóle tego nie ruszać, gdyby tylko poprosił mężczyznę. Ten bez wahania by się zgodził i ogarnął wszystko sam. Ale policjant miał wewnętrzną potrzebę zrobienia czegoś dla swojej rodziny.

Przez ostatnie trzydzieści lat wszystkie domowe sprawy zrzucił na barki żony, która zносиła to z godnością. Nigdy nie narzekała na jego nagłe zniknięcia, bo rozumiała, że przecież trup nie poczeka. Nigdy nie narzekała, że nie angażuje się w prace takie jak pranie, sprzątanie czy wynoszenie śmieci. Nie narzekała, że mąż nie ma czasu lub najzwyczajniej w świecie siły na przybicie kilku gwoździ czy wymianę rury pod zlewem.

Często sama wykonywała tego typu prace, czasami kogoś zatrudniała. Gdy parę lat temu u boku ich dwóch córek pojawili się mężczyźni, to właśnie ich prosiła o wsparcie.

Jednak perspektywa zbliżającej się emerytury, a tym samym nieograniczonego niczym czasu wolnego spowodowała, że Grzegorz Wiśniewski postanowił jak nigdy dotąd zająć się swoim domem, tak jak jego ojciec, który zawsze powtarzał, że żadna praca nie hańbi.

Dopisał szybko do listy dwie kolejne rzeczy, zarzucił na siebie koszulę i wyszedł z domu. Panujący od kilku dni upał nie odpuszczał, a z przedstawionej w telewizji śniadaniowej prognozy pogody wynikało, że ma być tylko gorzej.

Dojazd do wesołego miasteczka znajdującego się na obrzeżach Wilanowa zajął mu dwadzieścia minut. Zaparkował swoją wysłużoną mazdę 323, która wydawała bliżej nieokreślone dźwięki, domagając się jak najszybszej wizyty u mechanika, na dużym placu. Zdążyła się tam już zgromadzić spora grupka gapiów, którzy jak hieny czekali na jakieś ochłapy sensacji.

Nigdy nie mógł zrozumieć ich motywacji. Po co czasami godzinami, na deszczu lub mrozie, stali i obserwowali ich poczynania, często przy tym gadając niesamowite głupoty? Nie raz, nie dwa wysyłał jednego z funkcjonariuszy po cywilu, aby posłuchał, czy obserwujący ich działania ludzie wiedzą coś ciekawego i wnoszącego do sprawy. Niestety, dziewięćdziesiąt pięć procent tej gadaniny stanowiły wyssane z palca plotki.

Wiśniewski przeszedł obok młodego policjanta, który pilnował terenu, i skierował swoje kroki ku leżącemu na ziemi ciału. Już z daleka zauważył swoją ulubioną prokurator – Mirosławę Korzemiacką. Była to konkretna, wymagająca i – pomimo swoich niecałych stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu – bardzo charakterna kobieta. Niejeden facet nie miał takich jaj jak ona, a historie o jej przesłuchaniach czy uprzykrzaniu życia niektórym leniwym policjantom krążyły po warszawskich (i nie tylko) komisariatach niczym legendy.

Z daleka widział, jak chodzi po miejscu zbrodni, stawiając bardzo uważnie stopę za stopą, i jak wyrafinowany obserwator rejestruje obraz, co mocno kontrastowało z pracą większości jej kolegów i koleżanek po fachu. Ci często zjawiali się na miejscu zbrodni dopiero wtedy, gdy większość prac została już wykonana, podpisywali się pod protokołem, którego szczegółów nie znali, i unikali sekcji zwłok, jakby mieli silną alergię na trupa.

– Co mamy? – rzucił komisarz Grzegorz Wiśniewski, gdy stanął obok aspiranta Mikołaja Chmielewskiego, od którego dostał wezwanie.

Za każdym razem, gdy się widzieli, czuł, że już bardziej się od siebie różnić nie mogli. On – pan z brzuszkiem, średniego, a wręcz niskiego wzrostu, z upstrzoną delikatnym owłosieniem łysiną jak u noworodka i pulchną twarzą, która kształtem przypominała księżyc. A obok niego Chmielewski, który wzrostem mógł konkurować z graczami NBA, a jego długich do łopatek gęstych włosów zazdrościło mu wiele koleżanek z komisariatu.

– Mały chłopiec, idąc z tatą na samochodziki, zauważył wystającą z krzaków głowę kobiety. Na szczęście mężczyzna zachował się zapobiegawczo i zostawił na chwilę chłopca kawałek dalej, a sam podszedł i sprawdził, co się stało. Niestety dziewczyna już nie żyła. Od razu zadzwonił po nas. Twierdzi, że niczego poza jej szyją nie dotykał. Oczywiście wzięliśmy już jego odciski palców, a także butów.

– To zaliczył ciekawe wyjście z dzieckiem – powiedział komisarz sam do siebie.

– Dziećmi. Okazało się, że facet wybrał się z dwoma synami i żoną na rodzinną wycieczkę do wesołego miasteczka. Małżonka poszła z drugim maluchem do toalety.

– Okej. Coś wiadomo o ofercie? – dopytywał.

- Nie - wtrącił wiszący nad ofiarą z wielkim aparatem w rękach technik kryminalistyki Ignacy Bobrowski. - Zabezpieczam wszystko. Chłopaki przeczesują krzaki, może znajdą coś ciekawego - odpowiedział, nie odrywając wzroku od leżącej dziewczyny.

Komisarz Grzegorz Wiśniewski już dawno zakwalifikował go do grona najdziwniejszych osób, jakie kiedykolwiek spotkał. Bobrowski zazwyczaj odzywał się zdaniami pojedynczymi, najlepiej jednowyrazowymi. Czasami nawet ucinał słowa w połowie, jakby kończąc je, mógł się zanadto zmęczyć. Wszystko się jednak zmieniało, gdy sprawa dotyczyła piłki nożnej. Wtedy przerwanie mu graniczyło z cudem. Był w stanie zagadać w tej kwestii każdego. Wszyscy się śmiali, że gdyby spotkał Lewandowskiego, też wiedziałby więcej o tej dyscyplinie niż on i dał mu jakąś złotą radę. Jednak na tym nie kończyła się jego inność. Wyglądał niczym pająk. Matka natura obdarzyła go nieproporcjonalnie długimi rękoma i nogami, które powodowały, że doskonale odnalazłby się we wspinaczce. On jednak gardził każdą dyscypliną sportu, oczywiście poza piłką, ale i tę uprawiał jedynie w wersji niezwykle bezpieczniejszej i nienarazającej go na wysiłek fizyczny, czyli kanapowej.

W tym momencie podeszła do nich pani prokurator, która mimo letniej pogody jak zwykle wyglądała bardzo elegancko i nieadekwatnie do miejsca, w którym się znajdowali. Tego dnia, pomimo prawie trzydziestu paru stopni, jakie zapowiadali w radiu, włożyła czarne długie spodnie, białą koszulę i marynarkę, która wyglądała tak, jakby była pożyczona od starszego i dużo potężniejszego brata. Po szybkim przywitaniu uściskiem dłoni rzuciła:

- Przesłuchajcie obsługę, odwiedzających raczej nie ma sensu, bo dziewczyna nie żyje od kilku godzin, a dopiero co otworzyli, więc mało kto tędy dzisiaj przechodził.

- Dobrze. - Komisarz zapisał to sobie w notatkach, jak robił od niedawna. Zawsze wierzył w swoją pamięć, ale gdy po raz trzeci przekonał się, że robi się coraz bardziej zawodna, przeszedł na ten sprawdzony sposób.

- Później obejdźcie okoliczne domy i rozpytujcie o nią. Może mieszkała w pobliżu.

- Okej, tylko muszę mieć jakieś znośne zdjęcia. Nie rozdram funkcjonariuszom fotografii tego, jak teraz wygląda. Ludzie będą im mdleli, wpadali w histerię, a wieść o tym rozniesie się po okolicy szybciej niż plotka o wizycie Pudziana na okolicznej siłowni.

Wszyscy mimowolnie spojrzeli na kobietę na ziemi. Leżała na brzuchu, z rękoma ułożonymi wzdłuż boków i twarzą wciśniętą w błotnistą kałużę. Morderca ustawił ją tak po śmierci lub trzymał, gdy jeszcze żyła, ograniczając tym samym dopływ powietrza do płuc.

Już na pierwszy rzut oka wiedzieli, że prawdopodobnie została zgwałcona. Ściągnięte majtki, zakrwawione od wewnętrznej strony uda i leżąca nieopodal ubrudzona czerwoną mazią szklana butelka nie napawały optymizmem. Niemal nagie ciało ofiary wręcz raziło bielą skóry, z którą kontrastowała poszarpana i ubłocona koszulka na ramiączkach - jedyna część odzieży, którą nadal miała na sobie. Z perspektywy kilku metrów nie widzieli żadnych obrażeń, które mogły stanowić przyczynę śmierci, ale konkretną informację mógł dać tylko patolog po dogłębnych badaniach, a wiedzieli, że na to będą musieli chwilę poczekać.

Grzegorz Wiśniewski patrzył na ciało kobiety, tak zbezczeszczone i pozostawione niczym zużyty, niepotrzebny przedmiot, i chciało mu się płakać. Nie widział jeszcze twarzy ofiary, ale po jej ubraniu, które morderca porzucił nieopodal, sądził, że mogła być w wieku jego córek.

Komisarz cofnął się o kilka metrów i nie odrywając wzroku od ciała, rzucił do Mirosławy Korzemiackiej:

– Widziała pani?

– Co? – spytała i podeszła bliżej.

Obydwoje stali tak, że widzieli kobietę od strony nóg.

– Została ułożona symetrycznie, a majtki są jakoś nienaturalnie równo ułożone. Tak jakby od linijki.

– Faktycznie. – Pokiwała głową potwierdzająco. – Skupiłam się na jej twarzy zanurzonej w wodzie. Zastanawiam się, czy ten skurwiel ją utopił, czy to już inscenizacja pośmiertna.

– Oby to drugie... – skomentował i przykucnął.

Zawsze starał się patrzeć na miejsce zbrodni z różnych perspektyw. Kiedyś odnalazł narzędzie zbrodni na drzewie, a to tylko dlatego, że położył się w tym samym miejscu, gdzie często widywany był mężczyzna, który na trzy miesiące został zatrzymany. Nie mieli na niego zbyt wiele. Cały czas szukali miejsca ukrycia narzędzia zbrodni – noża, który wykorzystywał podczas napadów na młode kobiety. Czał się na nie w ciemnych uliczkach, a potem siedł za nimi. Gdy pozwalała na to sytuacja, atakował. Groził nożem i wykorzystywał seksualnie. Pięc z siedmiu ofiar pociął po rękach i nogach. Nie były to głębokie rany, jednak według zeznań napawał się wypływającą z ran krwią, jakby podniecało go to bardziej niż chwilę wcześniej wymuszony stosunek.

Podczas tamtego śledztwa, nie mając już nadziei na *happy end*, położył się pod rozłożystym dębem niedaleko domu podejrzanego. Leżał tam dobre pół godziny i już chciał wrócić do domu, gdy zza chmur wyszło słońce i nad jego głową coś zabłyszczało. Początkowo zupełnie nie wiedział, co to może być. Podniósł się i nadal nie mogąc zidentyfikować źródła światła, poszedł po drabinę do sąsiada. Gdy wdrapał się na drzewo, oniemiał. Na jednej z gałęzi leżała drewniana skrzynka z metalowym zapięciem i to od niej odbijały się promienie słońca. Tam znalazł poszukiwane narzędzie zbrodni, a także kilka rzeczy należących do ofiar. Od tego czasu starał się patrzeć na wszystko z różnych perspektyw i jak najmocniej wchodzić w buty przestępcy. Kładł się, wspinał, oglądał miejsca zbrodni przez okno.

– Odwracamy! – krzyknął chudy technik, który dotychczas zbierał ślady z precyzją chirurga podczas operacji.

Trzech przyglądających się działaniom technika mężczyzn jak na komendę podeszło do ciała kobiety i w sposób niezwykle delikatny, a zarazem pewny w ruchach obrócili ją na plecy.

Komisarz Grzegorz Wiśniewski wraz z prokuratorem podeszli bliżej. Twarz dziewczyny wyglądała przerażająco i niestety wszystko wskazywało na to, że ustawienie głowy nie tylko stanowiło element jakiejś chorej sceny, którą chciał stworzyć morderca. Ofiara została utopiona w niewielkiej kałuży, która prawdopodobnie powstała po środowowej ulewie. Jej oczy wytrzeszczyły się, jakby chciały wyskoczyć z oczodołów, a całość nabrzmiała.

Jednak mimo ubrudzenia i zniekształcenia wynikającego z długiego zanurzenia w wodzie widać było, że dziewczyna miała sympatyczną twarz, jak to mawiał Grzegorz. Niewyróżniającą się, taką zwykłą, ale zarazem ciepłą i nienachalną. Stanowiła zdecydowane przeciwieństwo tych napompowanych blondynek, które nawet w napadach złości nie potrafiły wyrazić emocji

mimiką i jedyne, co im pozostało, to wydymanie ust lub robienie dzióbek świadczących o niezadowoleniu.

Policjant patrzył na nią, a jego myśli momentalnie popłynęły w kierunku dwóch ukochanych córek – Hani i Doroty. Gdyby coś takiego przytrafiło się którejś z nich, nie dałby rady. Serce pękłoby mu na tysiące kawałków.

– To ona?! – usłyszeli nagle podniesiony kobiecy głos gdzieś z oddali.

Wszyscy odwrócili się, szukając źródła tych wrzasków. Przy taśmie odgradzającej miejsce zdarzenia od gapiów stała dziewczyna w wieku podobnym do denatki. Jej krótkie blond włosy i czarne ubranie, pomimo prażącego słońca, powodowały, że sprawiała wrażenie agresywnej. Próbowła precyzyjnie się i podejść bliżej, jednak młody funkcjonariusz wydelegowany do zabezpieczenia terenu nie ustępował. Stał z wyciągniętymi do przodu rękoma, na wypadek gdyby siłą musiał ją odepchnąć z miejsca zdarzenia.

– Przepuść ją! – krzyknęła pani prokurator, momentalnie wywołując rozluźnienie napiętych mięśni policjanta.

– Czy to jest Lucyna?! – wrzeszczała dziewczyna, raz po raz wychylając się na prawą i lewą stronę, próbując zobaczyć, czy leżąca na ziemi osoba to rzeczywiście poszukiwana przez nią kobieta.

– Proszę pani. Proszę się uspokoić. Kogo pani szuka? – wtrącił Grzegorz Wiśniewski i od razu pożałował. To Mirosława Korzemiacka była na miejscu zbrodni głównodowodzącą i nie powinien zabierać jej tej funkcji.

– Mojej przyjaciółki. Od kilku dni nie mam z nią kontaktu, a wcześniej gadałyśmy praktycznie codziennie. Tylko wyjątkowe sytuacje to zaburzały, ale to trwało maks jeden dzień, a teraz już od środy rana nie mam z nią kontaktu. Najgorsze, że jej rodzice mają to gdzieś. A ja wiem, że coś się z nią stało. Lucy nigdy czegoś takiego by mi nie zrobiła. Wie, że jestem przewrażliwiona na punkcie bezpieczeństwa. Zawsze muszę wiedzieć, gdzie kto jest z moich bliskich, inaczej wariuję. Podobno to jakaś nerwica...

– Proszę pójść z kolegą – przerwała jej prokurator i kiwnęła głową na stojącego obok Grzegorza Wiśniewskiego.

Ten posłusznie wykonał polecenie. Podeszedł do kobiety, odszedł z nią kilka metrów dalej i ustawił się tak, aby blondynka nie patrzyła na ciało.

– Proszę opowiedzieć, co dokładnie się stało – powiedział najspokojniej, jak potrafił.

– Mówiłam już, nie wiem, gdzie jest moja przyjaciółka. Nie mam kontaktu z Lucy od kilku dni. Mamy taki swój zwyczaj, że codziennie od ponad roku piszemy do siebie na Messengerze. Ostatni raz napisała do mnie w środę. I później nic. Cisza.

– Dzwoniła pani do niej?

– Za kogo mnie pan uważa, za tępą blondynkę? – pisnęła dziewczyna. – Oczywiście, że dzwoniłam, ale włącza się poczta. Poszłam nawet do jej domu. Pomyślałam, że może rozwalił jej się telefon lub jest chora. Ale nie zastałam jej, a jej rodzice tak jakby w ogóle nie zarejestrowali, że ich córka zniknęła i od kilku dni nie ma jej w domu. Zresztą się nie dziwię... – Dziewczyna westchnęła smutno.

– Dlaczego?

- Niechętnie o nich opowiadała. To, co wiem, to to, że nigdy nie czuła się kochana przez rodziców. Od zawsze woleli towarzystwo flaszki niż jej. Generalnie mieli ją gdzieś. Dlatego planowała jak najszybciej wyprowadzić się z domu.

- To może dlatego jej pani nie zastała?

- Nie, nie zrobiłaby mi tego. Zresztą to ona tam leży. Poznałam ją po butach... - Wskazała palcem na porzucony przez mordercę stos ubrań, na szczycie którego rzeczywiście leżały trampki, po czym zaczęła płakać.

- Butach?

- Tak, ma takie same jak ja. - W tym momencie uniosła prawą stopę znad ziemi, eksponując swoje obuwie. - Kto jej to zrobił? - wydukała, pociągając nosem.

- Ma pani zdjęcie przyjaciółki? - rzucił, ignorując zadane przez nią pytanie.

Dziewczyna wyciągnęła telefon z kieszeni krótkich spodenek, postukała na nim i podała policjantowi. Przez chwilę patrzył na uśmiechającą się do niego sympatyczną brunetkę.

- Mogę na sekundę telefon?

- Tak, oczywiście - odpowiedziała, a on czym prędzej podszedł do rozmawiającej z technikiem pani prokurator. Nieoficjalną identyfikację ofiary mieli już za sobą.

## Rozdział 4

ON

Od zawsze mnie do nich ciągnęło. Cycki, dupy, śniły mi się wielokrotnie, a ja budziłem się ze stojącym fredem, stresując się, że matka lub ojciec zobaczą. Raz stara powiedziała, że to normalne i nie mam co się stresować. Może i tak, ale gdyby wiedziała, co mi po głowie łązi, nie byłaby już taka pewna swoich rad.

A ja ich dotykałem, macałem. W sumie zanim pani na biologii, czerwieniąc się i jękając, opowiedziała nam o różnicy między kobietą a mężczyzną, ja już wiedziałem, że mają w sobie coś podniecającego. A gdy zobaczyłem, jak dokładnie są zbudowane, śniłem bardziej. Intensywniej.

Wtedy wpadłem na prosty, lecz genialny pomysł. Zacząłem podglądać dziewczyny. Chodziłem do kolegów, a przy każdej nadarzającej się okazji patrzyłem na ich siostry i matki, chociaż zdecydowanie wolałem te młodsze.

Dzień, gdy odkryłem małe okienko w szatni damskiej przy hali do WF-u, był chyba lepszy niż Boże Narodzenie, moje urodziny i Dzień Dziecka razem wzięte. Ustawiłem obok wielki kubeł na śmieci, który później stał tam latami, jakby nikt nie pomyślał, dlaczego ktoś go umieścił w tym właśnie miejscu. Gdy dzwonił dzwonek, a wszyscy rozchodzili się do sal, ja zamiast iść na lekcję, chowałem się w toalecie i czekałem. Gdy w końcu nie dochodził do mnie żaden dźwięk z korytarza, wychodziłem. Szedłem najciszej, jak potrafiłem, chociaż mama zawsze powtarzała, że jestem najgłośniejszą osobą, jaką zna. Ale miałem motywację. Tak bardzo chciałem wejść na ten kubeł i patrzeć na ich rozneglizowane ciała, że byłem w stanie się kontrolować.

Niestety te wstydlive pindy nigdy nie rozbierały się do rosołu. Zostawały w stanikach, które z reguły jeszcze zakrywały przed koleżankami koszulkami, jakby różniły się między sobą budową ciała.

Poza jedną.

Agatą.

Dziewczyną o rok starszą, na którą chyba żaden z chłopaków nie patrzył. Zawsze miała posklejane włosy, jakby po umyciu stawały się od razu brudne, jej twarz pokrywały czerwone pryszczki i nosiła dziwne sweterki, jakby dostała je po starej cioci.

Ale nie liczyło się to dla mnie, gdy ściągała koszulkę, a następnie stanik. Jej jędrne piersi falowały przy każdym ruchu, a ja za każdym razem czułem, jak ciasno robi mi się w spodniach, mimo że prosiłem mamę, żeby kupowała mi te z luzem w kroku. Ta śmiała się pogardliwie, twierdząc, że tylko debile w takich chodzą i że jak bardzo chcę ściągnąć na siebie kłopoty, to może mi jeszcze skręta kupić i droga wolna.

Ciekaw jestem, co by powiedziała, gdyby dowiedziała się, po co mi ten luz w kroku.

Po dziesięciu minutach wszystkie wychodziły, ale Agata zawsze na końcu. Ociągała się z ubieraniem, jakby wiedziała, że tam jestem i się na nią gapię. Może traktowała to jako jedyne w swoim życiu chwile triumfu, kiedy ktoś się nią zainteresował. Raz wydawało mi się nawet, że podniosła głowę i się do mnie uśmiechnęła. Ale niemożliwe. Przecież powinna kogoś wezwać, że jakiś zboczeniec ją podgląda.

Kiedyś mama nazwała tak faceta, który stał w krzakach i macał się po jajach. Miałem wtedy z sześć lat i wbiło mi się to do głowy. Może dlatego, że wiedziałem podskórnie, że sam nim jestem.

Zboczeńcem.



## Rozdział 5

Trasę z Mokotowa, gdzie od lat mieszkali jej rodzice, na Żoliborz Dagmara pokonała w godzinę. Może przejechałaby ją szybciej, ale dwa razy musiała stanąć – raz, by pogadać z ojcem, do którego zdążyła zadzwonić rozhisteryzowana matka, a potem znowu, aby kupić zapasową dętkę w swoim ulubionym sklepie rowerowym przy Wisłostradzie.

Przez ostatnie piętnaście minut podróży starała się uspokoić głowę. Bliscy od małego powtarzali, że jest w gorącej wodzie kapana. Wszystko musiało być tu i teraz, a jak nie było, to wstępowały w nią demony i każdy wiedział, że lepiej się wtedy do niej nie zbliżać. Jej rodzina przeżyła to nie raz, nie dwa. Kiedyś obrażona schowała się w piwnicy, bo prąd siadł, a ona chciała oglądać bajkę. Żaden racjonalny argument do niej nie docierał, a fakt, że siedzi sama w ciemnej piwnicy, nie robił wrażenia. Zresztą brak strachu również często stanowił problem.

– Nie baw się ogniem – powtarzała matka, widząc ją chodzącą z zapalniczką.

– Noże służą do krojenia – mówił ojciec i zabierał z jej małych rączek ostre narzędzia, których używała do ostrzenia kredek.

Jako kilkuletnia dziewczynka często jeździła na działkę do rodziców taty, przywożąc kolejne siniaki i blizny, które dla matki tancerki były nie do zaakceptowania. Wracała również z bagażem niestworzonych historyjek, które z biegiem czasu urosły do rangi legend.

Jako czterolatka dostała swoją pierwszą brykę, jak nazywała czterokołowy czerwony rowerek z wstążeczkami poprzypinanymi do białej kierownicy. Jeździła nim praktycznie wszędzie. Nie interesowało jej, czy ktoś za nią jedzie, czy nie, a tym, że pędzi asfaltową drogą bez ścieżki rowerowej, a nawet pobocza, nie przejmowała się. Niestety nie każdy miał tyle luzu i ze dwa razy zdarzyło się, że do domu przyprowadziła ją policja, ponieważ jadąc środkiem ulicy, zrobiła korek na pół wsi.

Za każdym razem robiła się z tego afera, ponieważ matka nie widziała w tym nic fajnego i uważała to za objaw braku odpowiedzialności dziadków, którzy pozwalali wnuczce na wszystko i doprowadzali do niebezpiecznych sytuacji.

Dlatego z czasem Dagmara przestała opowiadać w domu o swoich wyczynach. Chodziła po drzewach, wdrapywała się na dach na działce u dziadków ze strony ojca, nie bacząc na to, że może wpaść do środka, bo zrobiono go z dykty. Jako dziesięcioletka jeździła sama autobusami, tramwajami, a jako dwunastolatka po raz pierwszy wsiadła bez asysty dorosłego do pociągu. Chciała czerpać z życia jak najwięcej. Dlatego tak trudno dogadywała się z matką, która nigdy nie zrobiła nic niebezpiecznego, a jedynym szaleństwem, na jakie sobie pozwalała ostatnimi czasy, było pomalowanie paznokci na ciemny fiolet.

Z przewietrzoną głową podjechała pod starą kamienicę na Żoliborzu, gdzie kiedyś mieszkali ci sami dziadkowie, którzy na wakacje przeprowadzali się na niewielką leśną działkę, i zdębiała. Przed drzwiami prowadzącymi do jej klatki schodowej stała kobieta. Widziała ją kil-

kakrotnie w szkole u mamy, uczyła dzieci podstaw tańca towarzyskiego. Rozmawiała z nią może dwa razy przy okazji jakichś spotkań wszystkich nauczycieli tańca.

Kobieta przypominała jej katechetkę z liceum, która nosiła plisowane spódnice do połowy łydki, a do tego niezależnie od pogody zakładała swetry z golfem. Nie to jednak przyciągało uwagę. Zawsze chodziła ze spuszczoną głową, jakby przeproszała, że żyje. Stojąca przed Dagmarą kobieta robiła dokładnie to samo. Głowę pochylała nienaturalnie do przodu, a skulone barki powodowały, że wyglądała, jakby na jej plecach wyrósł całkiem sporych rozmiarów garb. Na pierwszy rzut oka Dagmara oceniła, że kobieta mogła być równolatką jej matki, jednak wywoływała zupełnie inną gamę uczuć. Marianna Zatorska zawsze nosiła brodę wysoko, przez co wielu uznawało, że zadziera nosa, ale ona, od kiedy tylko pokochała taniec, chciała zostać baletnicą, a one się nie garbią, powtarzała swoim podopiecznym, delikatnie trącając je laską, którą zawsze miała pod ręką.

- Dzień dobry - odezwała się, gdy tylko Dagmara zeszła z roweru. Jej głos doskonale pasował do postawy osoby wycofanej. Cichy, spokojny, jakby z trudem wydobywała go z siebie.

- Dzień dobry, ja panią znam - powiedziała i nadal ze zdziwieniem przyglądała się kobiecie.

- Tak. Nazywam się Milena Górska, pracuję u pani matki, w szkole tańca.

- Wejdzie pani? - rzuciła Dagmara i od razu tego pożałowała. Marzyła o tym, żeby zrzucić z siebie przepecone ciuchy, wziąć kąpiel, a następnie z piwem w rękę zasiąść na kanapie i obejrzeć kolejny odcinek *Gry o tron*.

- Tak, bardzo chętnie.

Otworzyła kluczem drzwi na klatkę schodową i ruszyła przodem, trzymając pod pachą rower. Czasy zostawiania sprzętu, nawet przypiętego do słupa czy ogrodzenia, pożegnała już dawno temu, po tym jak ktoś piłą przeciął kabel i odziedziczony po ojcu, pamiętający zamierzenie czasy sprzęt rozpułnął się w powietrzu.

Stanęła przed mieszkaniem numer 3 na ostatnim, czyli pierwszym piętrze i wpuściła kobietę do swojego królestwa, jak w myślach zawsze określała to miejsce. Zestaw związanych z nim wspomnień mógłby wystarczyć na kilka scenariuszy filmowych. To tutaj uciekała po kłótniach z matką. To tutaj płakała, gdy zerwała z chłopakiem lub wisiła nad nią groźba kiblowania w trzeciej klasie liceum. Co najśmieszniejsze, nie dlatego, że się nie uczyła, ale dlatego, że nie zgadzała się z programem szkolnym i czytała książki inne niż te, które wpisano do kanonu lektur. Potrafiła przesiedzieć w damskiej toalecie połowę lekcji pochłonięta powieścią, o której nauczycielka języka polskiego nawet nie słyszała.

Gdy zmarli dziadkowie, nikt ani przez sekundę nie myślał o sprzedaży mieszkania. Każdy wiedział, że gdy Dagmara skończy osiemnaście lat, wprowadzi się tutaj, jednak nikt nie brał pod uwagę, że stworzy w tym miejscu tak nietypowy wystrój. Dwupoziomowe mieszkanie przerobiła nie do poznania. W salonie powstała antresola, której całą powierzchnię zajmowało łóżko mogące pomieścić nawet i cztery osoby, a żeby się na nie dostać, trzeba było użyć drabiny lub wspiąć się po linie jak Tarzan.

Wprowadziła gości do środka, szybkim ruchem zrzuciła buty rowerowe, licząc, że jej stopy nie śmierdzą za mocno, postawiła rower pod ścianą i zaprosiła kobietę do salonu, który mieścił się pod antresolą.

– Napije się pani czegoś? – rzuciła, licząc, że Górską odmówi. Nie chciała przeciągać rozmowy, której tematu nawet nie znała. Poza tym doskwierał jej bardzo przyziemny problem. Sama piła tylko czarną herbatę, i to w typie *English breakfast*, bez cukru, dlatego w jej kuchni próżno było szukać kawy, słodzika czy herbaty smakowej.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała kobieta. – Nie chcę ci zabierać czasu.

Dagmara zauważyła, że już nie jest „panią”, ale ze względu na różnicę wieku nie zamierzała zwracać na to uwagi.

– Nie ma problemu – skłamała i ruchem ręki wskazała na kanapę.

– Twoja mama wspominała, że będziesz detektywem... Chciałabym prosić cię o pomoc – powiedziała kobieta i wyciągnęła z dużej płóciennej torby zwykłą szarą teczkę zamykaną na gumkę.

– Moja mama? – spytała zdziwiona.

– Tak, mówiła, że zakładasz firmę i będziesz detektywem. I to najlepszym w kraju. Jest z ciebie bardzo dumna. Chwali się tobą na prawo i lewo.

– Hmm...

Dagmara, zupełnie jak nie ona, poczuła, że zabrakło jej języka w gębie. Po rozmowie z matką sprzed godziny i po cyrku, jaki uskutečniła po jej wyjściu, była przekonana, że jej plany uważa za najgorszą rzecz na świecie i nikomu o tym nie powie. Najwyraźniej jednak jak zwykle się pomyliła. Jej matka zawsze stanowiła zagadkę, a jej reakcje były nieprzewidywalne.

Patrząc na siedzącą naprzeciwko kobietę, szybko połączyła kropki. Matka robiła grunt pod to, co wiedziała, że nieuchronnie nastąpi. Czuła już od dawna, że córka nie zajmie się szkołą, i musiała wszystkim dookoła pokazać, że popiera tę decyzję, a może że wręcz sama popchnęła córkę w jej kierunku, więc sukces Dagmary będzie też po części jej.

– To nieprawda? – spytała Górską, widząc zafrapowane oblicze gospodyni.

– Nie... To znaczy tak.

– Nie rozumiem – skomentowała kobieta, marszcząc przy tym czoło, na którym momentalnie pojawiły się głębokie zmarszczki, dodając jej co najmniej dziesięć lat.

– Zgadza się to, że będę detektywem.

– Ufff... – westchnęła z ulgą Milena Górską. – Moją córkę zamordowano. Policja nic w tej sprawie...

– Proszę pani, ale ja nie pomogę – wtrąciła szybko.

– Nie rozumiem, przecież powiedziałaś, że...

– Ale ja nie takimi sprawami będę się zajmowała.

– Błagam! – krzyknęła kobieta, zaskakując ją. – Moja Gabrysia umarła pięć lat temu. Nikt nie wie, co się z nią stało. Policja odpuściła sobie, jakby moja córka była nic nieznaczącym przedmiotem. Była, nie ma, bez różnicy.

Kobieta cały czas mówiła, mimo że Dagmara kręciła głową, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie pomoże.

– Proszę pani... Zakładam właśnie z przyjacielem firmę, ale naszymi klientami będą różnego rodzaju podmioty gospodarcze, które podejrzewają swoich kontrahentów o nieuczciwe działania. Jest to zdecydowanie inny zakres działań niż pani sprawa. Bardzo mi przykro z po-

wodu pani córki, ale nie jestem w stanie pomóc. Mogę popytać wśród znajomych, ale nic nie obiecuję.

- Proszę, zerknij chociaż na jej zdjęcie.

Kobieta wyciągnęła z teczki pierwszą lepszą fotografię i wierzchnią stroną podsunęła jej prawie pod twarz. Uwieczniona na niej dziewczyna mogła mieć około osiemnastu, maksymalnie dwudziestu lat. Sympatyczny wyraz twarzy podkreślał jakąś niewinność w jej oczach. Przez ułamek sekundy Dagmara chciała wyciągnąć rękę po zdjęcie, ale wiedziała, że dałaby tym kobiecie nadzieję, że coś z tym zrobi. A przecież obiecała ojcu kilka lat wcześniej, że nie będzie zajmowała się tego typu sprawami. Ich rodzina przeżyła dość tragedii i zamierzała to uszanować, a tym samym nie narażać bliskich na kolejne cierpienia.

- Przepraszam, ale mam coś do zrobienia - powiedziała, czując wyrzuty sumienia, i wstała z kanapy, dając tym samym znak, że to koniec ich spotkania.

## Rozdział 6

Uwielbiała stawiać sobie wyzwania. Kupowała na przykład pudełko ptasiego mleczka, wrzucała je do zamrażalki i nie sięgała po nie przez tydzień, a nawet i dwa. To był wymyślony przez nią autorski sposób na hartowanie się. Stworzyła kilka wersji tej metody. Tym razem taką „nietykalaną” rzeczą stała się teczka, którą zostawiła dzień wcześniej Milena Górską. Położyła ją przy drzwiach wyjściowych, nic nie mówiąc. Dagmara dobrze wiedziała, że kobieta zrobiła to z pełną premedytacją, licząc, że dziewczyna się złamie i zajmie sprawą morderstwa jej córki.

Zatorska wrzuciła teczkę do pojemnika na pościel pod rozkładaną kanapą w salonie i ruszyła do swojej pseudogarderoby. Z pokoju, w którym kiedyś znajdowała się biblioteka dziadka, zrobiła wielką szafę z ubraniami. Co zaskakujące, nie było tam ani jednej półki, za to rzędami ustawiła najprostsze, kupione w szwedzkiej sieci stojaki, na których wisiły wszystkie jej ubrania. Tylko majtki, skarpetki i staniki przechowywała w dużych wiklinowych koszach.

Uwielbiała to swoje królestwo. Ten system przechowywania odzieży nie był przypadkowy – wynikał z nienawiści do prasowania. Z dumą wszystkim opowiadała, że żelazko w jej domu jest jak książki w coraz większej części polskich domostw. To przedmiot nieużywany.

Teraz jednak, pierwszy raz od niepamiętnych czasów, czuła, że musi złamać swoją żelazną zasadę. Wyciągnęła nieotwierane dotąd pudełko z żelazkiem, które w ramach prezentu urodzinowego kupiła jej mama trzy lata temu, i poczekała, aż urządzenie się nagrzej. Nigdy się nad tym nie zastanawiała, ale ten kawałek metalu połączonego z plastikiem kojarzył jej się z ograniczaniem, zmuszaniem i traceniem czasu, który mogła wykorzystać na leżenie na kanapie lub okładanie kogoś lub worka na treningu.

Sięgnęła po jedną z trzech koszul, jakie posiadała, i pomaszzerowała do salonu, w którym na kanapie rozłożyła sporych rozmiarów ręcznik, mający robić za deskę do prasowania. Szybkiemi sprawnymi ruchami doprowadziła koszulę do jako takiego wyglądu i uśmiechnęła się.

Po piętnastu minutach jak grzeczna uczennica wyszła z mieszkania. Najchętniej pojechałaby na spotkanie rowerem, lecz wiedziała, że nie może. Chciała sprawiać wrażenie profesjonalistki, a nie zroszonej potem sympatycznej dziewczyny. Zamówiła ubera i poprosiła o zawiezenie do firmy znajomego ojca, który potrzebował wsparcia. Nie do końca znała szczegóły, ale tata zapewniał, że to zlecenie dla niej. Dla nich, poprawił się natychmiast, widząc jej karcący wzrok. Chciał jakoś wspomóc córkę w rozkręcaniu jej pierwszej działalności. Pomocy finansowej odmówiła. Nie chciała być od nikogo zależna, by z czasem móc z podniesioną głową powiedzieć: „Do wszystkiego doszłam sama”, tak jak ojciec, który od zawsze był jej wzorem, szczególnie w kwestiach biznesowych. Sam od lat prowadził firmę produkującą regały.

Samochód zatrzymał się przed ciągiem budynków w samym centrum Warszawy. Dagmara niespiesznie wysiadła, nic sobie nie robiąc z tego, że kierowca stanął nieprzepisowo. Spojrzała w witrynę sklepową, w której jak w lustrze widziała całą siebie. Nie czuła się komfortowo w tym stroju – była jak nie ona, tylko okłamująca świat osoba. Poprawiła spódnicę, która

w czasie drogi przekręciła się w prawo, powodując, że boczny zamek układał się teraz centralnie z przodu, po czym ruszyła w stronę drewnianych drzwi, które nie rzucały się w oczy, sąsiadując z pstrokatą witryną sklepu obuwniczego. Podeszła bliżej i odszukała na tablicy logo firmy, do której szła.

Wybrała na domofonie cyfrę 5 i czekała. Po kilku sekundach usłyszała odblokowanie zamka i weszła do środka. Powoli wdrapała się po drewnianych schodach na drugie piętro i stanęła przed przeszkolonymi drzwiami, za którymi siedziała młoda, maksymalnie dwudziestoletnia kobieta i wpatrzona w ekran sprawnymi ruchami pisała coś na klawiaturze.

- Dzień dobry. Proszę usiąść - powiedziała, gdy tylko Dagmara weszła. - Tata zaraz do pani przyjdzie.

Nie zdążyła opasać na jeden z trzech białych foteli, gdy drzwi do kolejnego pomieszczenia otworzyły się i stanął w nich mężczyzna, który wyglądał jak przeciwieństwo jej ojca. Mierzył ze dwa metry wzrostu i wyglądał jak starszy brat Hulka.

- Kacper Uznański - przedstawił się i ruchem ręki pokazał na swój gabinet, z którego chwilę wcześniej wyszedł. - Moniczko, zrobiłabyś pani... - Zawiesił głos i spojrzał na Dagmarę pytająco.

- Czarnej herbaty, poproszę - odpowiedziała zaskakująco cicho.

Z reguły się nie stresowała, ale nigdy dotąd nie otwierała firmy i nie spotykała się z potencjalnym pierwszym klientem. Podchodziła do tego trochę na zasadzie „być albo nie być”. Wraz z Carlosem stworzyli w swoich głowach superpomysł na biznes, który w warunkach laboratoryjnych prezentował się zabójczo. Zawierał wszystko, aby osiągnąć sukces. Nieliczną konkurencją, wielu potencjalnych klientów, którzy nawet nie znają swoich potrzeb, i doskonale uzupełniających się wspólników, którzy niczym Sherlock Holmes i doktor Watson stanowili duet idealny.

Usiedli przy małym kawowym zestawie, który mile zaskoczył Dagmarę. Bała się, że mężczyzna zasiądzie za wielkim dębowym biurkiem, na pasującym do sytuacji wielkim krześle, a jej da do dyspozycji trzy razy mniejsze, od razu pokazując jej miejsce w hierarchii. Jednak nie, każde z nich spoczęło na takich samych, niezwykle wygodnych, designerskich krzesłach z ażurowymi obiciami przy szklanym stoliku kawowym, na którym leżała teczka i kilka magazynów o nic niemówiących jej tytułach.

- Twój tata zareklamował cię jako wschodzącą gwiazdę w śledztwach gospodarczych - zaczął mężczyzna.

- Nie wiem, czy gwiazdę, ale wydaje mi się, że mamy potencjał. W naszej firmie zajmujemy się przeróżnymi przestępstwami gospodarczymi, zaczynając od oszustw, przez wyłudzenia, a kończąc na kradzieżach.

- To super - odpowiedział mężczyzna i sięgnął po leżący na szafce obok plik papierów. - Dziesięć lat temu stworzyłem wraz z przyjacielem firmę programistyczną. Niestety trzy lata temu Waldek zmarł. Zdiagnozowano u niego raka płuc, co raczej nikogo nie zdziwiło, bo palił jak smok. Jednak jego śmierć wszystkich mocno zasmuciła, bo był z niego świetny facet. Ale nieważne. On zajmował się sprawami organizacyjnymi, ja meritum naszej działalności. Po jego śmierci odkupiłem od wdowy udziały, płacąc jej z dużą nawiązką, i stałem się stuprocentowym właścicielem. Tylko jak to czasami bywa w takich przypadkach, nie da się wszystkiego

ogarniać samemu. Mam swój zespół trzydziestu programistów, księgową, no i moją córkę, która rządzi biurem, a resztę zlecam na zewnątrz. Niestety zgodnie z zasadą: „Dasz komuś palca, weźmie całą rękę”, mam wrażenie, że co niektórzy wykorzystują moje dość lekkie podejście do kontroli podwykonawców. Z założenia jak robią, to ich nie sprawdzam. Tylko że ostatnio biznes trochę siadł. Z tego powodu sprawy kosztowe zaczęły mi bardziej ciążyć. Mam jedną firmę, której bardzo dużo zlecam. Eventy, konferencje, targi. To są rzeczy, do których się nie nadajemy. Tutaj pracują sami jajogłowi, którzy jak ognia unikają kontaktu z ludźmi, więc takie wystawianie ich na pożarcie grozi katastrofą. Oczywiście zawsze ktoś z naszych się tam pojawia, ale wybieram tych najbardziej reprezentatywnych, wygadanych i bez lęków. Nasz zleceniobiorca zajmuje się wszystkim, ograniczając nasze zaangażowanie do minimum.

Na chwilę zamilkł i przesunął po blacie w jej stronę teczkę. Dagmara zwróciła uwagę na pięknie wypielęgnowane dłonie. Należał do rosnącego powoli grona mężczyzn, którzy nie mieli problemu z dbaniem o siebie. Już parokrotnie próbowała namówić ojca na pójsie na męski manicure, ale ten zbywał ją śmiechem, twierdząc, że to zbyt babskie i sam jest w stanie zadbać o swoje dłonie.

- Coś ostatnio się zdarzyło, jeżeli chodzi o rozliczenia? - wtrąciła, wykorzystując przerwę w monologu Uznańskiego.

- Tego właśnie nie wiem. Moja córka Moniczka studiuje rachunkowość zarządczą i uczy się na przykładzie mojej firmy. Wiele wniosła do jej działania. Ja jestem człowiekiem starej daty i wszystkiego nauczyłem się sam. Nie ma w tym nic złego, ale czasami spojrzenie osoby z zewnątrz, która poznała tajniki zarządzania od tej trochę bardziej teoretycznej strony, jest bardzo pomocne. Gdy przeglądała dokumenty, coś zaczęło jej nie pasować. Cały czas sporo im zlecam, ale jest tego generalnie mniej, niż było w latach ubiegłych, a wartość faktur w ujęciu rocznym praktycznie nie spadła.

- Może pan...

- Kacper - wtrącił mężczyzna. - Rocznikowo może i nie jestem najmłodszy, ale nie czuję się na tyle staro, abym mi „panowała”.

- Dagmara - rzuciła, delikatnie się czerwieniąc. - Czy mógłbyś opowiedzieć mi coś więcej o tej firmie?

- Współpracujemy z nimi chyba od siedmiu, ośmiu lat. To mój świętej pamięci wspólnik ich znalazł. Na początku zatrudniali raptem dwie osoby. Dzisiaj, z tego, co wiem, jest to już spora firma eventowa. Obsługują duże firmy i korporacje. Ogólnie wyglądają dobrze, tylko mam wrażenie, że od roku, może nawet i dwóch, zaczęli nas traktować trochę po macoszemu. Ja rozumiem, że już nie jesteśmy dla nich kluczowym klientem, bo mają większych, ale zawsze w biznesie wychodziłem z założenia, że każdy klient jest ważny, niezależnie od tego, czy zamawia oprogramowanie dla pięciu, czy pięćdziesięciu, czy tysiąca stanowisk. Zdarzało nam się, że ktoś zamawiał kilka sztuk naszych produktów, a już po dwóch czy trzech latach były tego tysiące.

- Rozumiem. Mogłabym poprosić o dane tej firmy?

- Oczywiście - odpowiedział mężczyzna i podniósł dłoń z teczek. - Tutaj znajdziesz wszystkie nasze rozliczenia oraz niezbędne dane.

- Dziękuję. To przejdźmy do sedna. Czego od nas oczekujesz?

- Prawdy. - Uśmiechnął się. - Prawda nas wyzwoli. A tak serio to chcę wiedzieć, czy mnie nie kantują. Za rękę ich nie złapałem, ale czuję, że robią mnie w konia, a bardzo tego nie lubię. Nikt tutaj nie ma czasu siedzieć w papierach i sprawdzać każdej faktury, czy wystawione rozliczenie zgadza się z liczbą godzin i takie tam. My znamy się na naszej robocie, a reszta jest magią. Teraz Monika odkrywa przed nami nieznane obszary, ale ja wolę, żeby skupiła się na prowadzeniu firmy, a nie bawiła się w detektywa. Więc podsumowując, jeżeli mnie oszukują, chcę o tym wiedzieć.

- Chyba jak każdy.

- Tak, tylko większość ludzi nic z tym nie robi.

- A co do... - zaczęła, ale jakoś nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

- Naszego rozliczenia? - skończyła za nią i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Dopiero teraz zauważyła rząderek śnieżnobiałych zębów. Wyglądał trochę jak gwiazdy amerykańskich filmów czy reality show. - Myślę, że uczciwa będzie konkretna kwota za zlecenie, niezależnie od wyników śledztwa. Ale jeżeli coś znajdziecie, dostaniecie success fee w wysokości piętnastu procent od zeszłorocznych wydatków w tej firmie. Szczegóły wraz z umową dostaniesz na maila. Moniczka kończy ją właśnie pisać. Chyba że macie własny wzór? - rzucił i ponownie zaszczyił ją swoim uśmiechem.

- Jeszcze nie - odpowiedziała, w duchu dziękując za taki obrót zdarzeń. Niestety nadal pewne kwestie mieli jeszcze niedograne. Cieszyła się, że ścieżki przecierać będzie w towarzystwie znajomego taty, który sprawiał wrażenie nad wyraz pomocnego. - Oczywiście jeżeli dysponujecie jeszcze jakimiś danymi, chętnie się zapoznamy.

- Super. - Mężczyzna wstał i podszedł do swojego masywnego biurka. - Tutaj masz moją wizytówkę. Jakby coś się działo, dzwoń o każdej porze.

Pogadali jeszcze chwilę o jej ojcu i pożegnali się. Z uśmiechem na twarzy zbiegła po schodach, zastanawiając się, w jaki sposób poinformować Carlosa o pierwszym zleceniu. Przyjaciel nie wiedział o jej spotkaniu. Obiecali sobie, że przygotowują się w każdym aspekcie i dopiero wtedy otworzą się na klientów, ona jednak, jak zwykle w gorącej wodzie kąpana, rzuciła się na okazję jak szczerbaty na suchary. Liczyła, że gdy przyjaciel pozna szczegóły, wybaczy jej.

Poprawiła spódnicę, popchnęła drzwi i od razu poczuła uderzenie gorącego powietrza. Luźna taka aure, ale w koszuli z długimi rękawami i w obcisłej spódnicy czuła dyskomfort.

Już chciała skrócić w prawo w stronę stacji metra, gdy wyłapała coś kątem oka. Na jednym z miejsc parkingowych wzdłuż Marszałkowskiej stał motocykl, dokładnie taki sam, jakim jeździł jej brat. Suzuki Hayabusa. Pewnie większość osób przeszłaby obok, nie zwracając na niego uwagi, ale nie ona. Momentalnie dotknęła ramienia, zamknęła oczy i zrobiła kilka wdechów i wydechów, ignorując fakt, że wokół krąży mnóstwo ludzi. Tak radziła sobie z napadami lęków, które towarzyszyły jej ze zmienną intensywnością od trzech lat.



## Rozdział 7

Komisarz Grzegorz Wiśniewski klepał do nawigacji w swoim telefonie adres domowy podany przez, jak się okazało, przyjaciółkę znalezionej dziewczyny. Zamordowana nazywała się Lucyna Kaczorowska, miała dziewiętnaście lat i niedawno zdała maturę. Z opisu przedstawionego przez jej przyjaciółkę wynikało, że była niezwykle miłą i sympatyczną osobą, która nigdy nie stanęła nikomu na odcisk, a w obliczu konfliktu schodziła z drogi, starając się nie wchodzić w interakcję.

Grzeczenie czekał, aż załaduje się trasa przejazdu, i gdy w końcu pojawił się komunikat, że ma do przebycia dwanaście kilometrów w czasie czterdziestu siedmiu minut, ruszył.

Od dawna wiedział, że piątki rządzą się niestety swoimi prawami. Niezależnie od godziny w ten ostatni dzień roboczej części tygodnia korki goszczą na ulicach non stop, a od czternaście miasto praktycznie stoi w miejscu. Jakby nagle wszyscy chcieli uciec z pułapki, jaką sami sobie zbudowali. Betonowej klatki, z której zniknęły ostatnie zielone poletka, zamieniane w kolejne wielopoziomowe parkingi, supermarkety lub jednakowe blokowiska.

Grzegorz Wiśniewski nigdy nie mógł zrozumieć tej miłości ludzi do miasta, dlatego jednym z najważniejszych punktów na jego liście było znalezienie domku nad jeziorem. Takiego wakacyjnego, żeby mogli wraz z żoną spędzać tam wiosnę i lato, a może i wczesną jesień. Córki nie mieszkały z nimi od jakiegoś czasu, więc nikt ich nie trzymał w mieście. W końcu mogliby skupić się tylko na sobie i pełnymi garściami czerpać z zasłużonej emerytury, z dala od zgiełku, otoczeni zielenią, której tak bardzo brakowało im na co dzień.

Zająchał pod osiedle bloków z wielkiej płyty i wysiadł z auta. Od zawsze nienawidził tego momentu swojej pracy. Zresztą podczas swojej trzydziestoletniej służby spotkał na swojej drodze tylko jedną osobę, która nie przeżywała informowania o śmierci bliskich. Wiktor Borowski był jednym z najdokładniejszych policjantów śledczych, z jakimi Wiśniewski pracował. Potrafił zamęczać pytaniami zarówno przesłuchiwanym, jak i kolegów z pracy. Odpowiedzi „może”, „nie wiem”, „prawdopodobnie” nie akceptował. Dzięki temu uporowi do jego statystyk wykrywalności przestępstw wzdychali zazdrośnie koledzy. Dla niego wizyty, których celem było poinformowanie o śmierci córki, męża czy siostry, nie stanowiły problemu. Jak to kiedyś powiedział, „ja tylko informuję o fakcie”. Nikt oczywiście z tym nie dyskutował, ale też nikt nie mógł wtedy zrozumieć, dlaczego przychodzi mu to tak łatwo. Zginął w wyniku wybuchu gazu w bloku, w którym mieszkał, a kilka lat później ktoś przy rocznicowym piwie rzucił, że Borowski pewnie miał autyzm lub Aspergera, stąd mało emocjonalne podejście do takich czynności.

Teraz, stojąc przed domofonem i wybierając numer mieszkania rodziców zmarłej, Grzegorz nie pogardziłby taką umiejętnością.

– Słucham – rzuciła jakaś kobieta po drugiej stronie.

– Dzień dobry, z tej strony komisarz Grzegorz Wiśniewski. Muszę z państwem porozmawiać.

Nie usłyszał odpowiedzi, tylko syknięcie świadczące o odblokowaniu drzwi. Niespiesznie wszedł na trzecie piętro, gdzie w drzwiach czekała na niego już Marzena Kaczorowska. Kobieta wyglądała jak typowa fanka napojów wysokokowych – chuda, z rozbieganymi oczkami i zaróżowioną cerą z widocznymi przebarwieniami, wyglądającą, jakby całkiem niedawno przeszła mocną ospę.

– A czym sobie zasłużyliśmy na odwiedziny pana władzy? – rzuciła z uśmiechem wywołanym zapewne którymś z kolei drineczkiem lub szocikiem tego dnia.

– Pani Kaczorowska? – spytał dla pewności.

Kiedys jeden z kolegów opowiadał, jak przez przypadek poinformował o śmierci dziecka niewłaściwą kobietę. Matka prawie zeszła na zawał, a gdy w drzwiach stanęła jej córka, zemdlła. Od tej pory pilnował się i sprawdzał personalia, szczególnie w tak delikatnych sprawach jak informowanie o zgonie bliskiej osoby.

– Tak, Marzena Kaczorowska.

– Możemy wejść? – Ruchem głowy wskazał na otwarte drzwi do mieszkania.

– Wizyta domowa? Hmm, czemu nie – odpowiedziała kokieteryjnie.

„Boże, co za wstrętne babsko”, pomyślał policjant i z odrazą na twarzy pomaszzerował za kobietą. Od razu pożałował, że nie zaprosił jej na komisariat lub nie porozmawiał na klatce schodowej. Mieszkanie wyglądało tak, jakby zatrzymał się w nim czas. Marzena Kaczorowska miała około czterdziestki, jednak jej mieszkanie mogło spokojnie należeć do starszej osoby, która z sentymentu nie zmieniła nic od lat osiemdziesiątych, a nawet siedemdziesiątych.

Na wejściu przywitała go boazeria z jasnej sosny i dywanik tak brudny, że brzydziłby się postawić na nim stopę bez buta. Bezpośrednio z korytarza weszli do pokoju, który był traktowany jako salon, jadalnia i trochę składzik. Pod ścianą miejsce zajmowała zrobiona z ciemnego drewna meblościanka, na której poukładano najróżniejsze rzeczy, zaczynając od książek, przez kosmetyki i chemię do domowego użytku, a kończąc na ubraniach i jedzeniu. Wyglądało to trochę tak, jakby każda rzecz, której nie udało się odłożyć na właściwe miejsce, lądowała na jednej z półek. Wszystko tworzyło iluzję porządku, ale na fotelu obok leżała sterta ubrań, a po prawej pod ścianą wznosiła się kolekcja kartonów, skrzynek i innych rzeczy, które ludzie trzymali raczej w garażu lub piwnicy. Wszystko to powodowało, że Grzegorz Wiśniewski czuł lekki wstręt do kobiety stojącej przed nim.

– Proszę klapnąć – rzuciła z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

Niechętnie to zrobił, pomimo obawy, że się czymś pobrudzi lub że fotel pod wpływem jego ciężaru się zapadnie.

– Kiedy ostatni raz widziała pani swoją córkę?

– Nie wiem – prychnęła obruszona, jakby tym pytaniem ją uraził.

– A może pani spróbować sobie przypomnieć?

– Wiesiek! – wrzasnęła. – Chodź tu. Młoda coś nawijała i glina przyszedł.

Komisarz Grzegorz Wiśniewski w tym momencie powinien wyjaśnić, że to nie ona coś nawijała, tylko ktoś ją brutalnie zgwałcił, a później zamordował. Jednak wolał poczekać na mężczyznę, który, sądząc po odgłosach dochodzących z pokoju obok, niespiesznie wstawał z łóżka. Po chwili w drzwiach pojawił się łysiejący facet w poroziąganej koszulce bez rękaw

wów, jaką żona Grzegorza nazwałaby żonobijką. Materiał, kiedyś może biały, teraz bardziej szary, ze starymi plamami, był zdecydowanie za krótki i nie zasłaniał w całości sporych rozmiarów brzucha. Kaczorowski do kompletu włożył szare znoszone spodnie, które w kilku miejscach były podarte. One również były upstrzone – widniały na nich świeże plamy od sosu pomidorowego lub zupy w kolorze czerwonym.

– Co ona narobiła? – powiedział bez słowa wstępu i stanął obok żony.

– Nic – odpowiedział Wiśniewski, wiedząc, że nie tego się spodziewają.

– To czego pan chce? – dopytywała kobieta.

– Dzisiaj o dziesiątej trzydziści w rozstawionym w Wilanowie wesołym miasteczku znaleziono zwłoki młodej dziewczyny. Na miejscu wstępnej identyfikacji dokonała Jagoda Niemczyk. Niestety wszystko wskazuje, że jest to Lucyna Kaczorowska, muszę jednak poprosić kogoś z państwa o pojechanie ze mną i zidentyfikowanie zwłok.

– Ja pierdolę... – skomentował mężczyzna i z impetem usiadł na kanapie, która wydała z siebie głośny dźwięk niezadowolenia.

– Mówiłam, że ona w końcu coś wywinie lub wpieprzy się w kłopoty – powiedziała do męża Marzena Kaczorowska. Zachowywała się tak, jakby nie dotarł do niej sens usłyszanych przed chwilą słów.

– Proszę państwa, proszę się skupić. To jest niezwykle istotne dla prowadzonego śledztwa. Kiedy ostatni raz widzieli państwo córkę? – spytał, przenosząc wzrok z jednego na drugie z rodziców, licząc, że któreś z nich cokolwiek sobie przypomni.

– A jaki dzisiaj dzień tygodnia? – przemówił w końcu mężczyzna.

– Wydaje mi się, że piątek – odparła niepewnym głosem kobieta.

– Marzenka, chyba to było w poniedziałek, jak się z młodą pokłóciłaś.

– Nie, to było we wtorek. Leciał wtedy mój serial, jak mnie wkurwiła. Przez nią nie mogłam oglądać – skomentowała, widocznie zirytowana na samo wspomnienie o tym.

– A o co się pokłóciłyście?

– Proszę pana, może nie wyglądamy na bogatych, ale co nieco uzbieraliśmy. Chwilowo nie pracujemy, bo mąż jest na rencie, a ja mam dłuższe wakacje, i ta niewdzięcznica jak zwykle przyszła po kasę. Ja w jej wieku, jak potrzebowałam pieniędzy, szłam do pracy. Teraz to te bachory ciągną tylko od rodziców, jakby wstydem było pójście do roboty. Przecież mogłaby zbierać truskawki, pracować w jakimś sklepie. Cokolwiek. Ale królowna nie chciała, bo ona na studia szła. Wielka dama.

– Czy Lucyna mogła planować ucieczkę z domu?

– Ucieczkę?! – krzyknęła kobieta, aż podskoczył. – Nie. My się bardzo kochaliśmy, tylko jak każda rodzina czasami spieraliśmy o jakieś pierdoły.

– Rozumiem – powiedział z rezygnacją. – A czy wiedzą państwo, z kim ostatnio się widywała?

– Hmm, szłała się z tą... No, jak ona ma na imię...

– Jagodą Niemczyk? – podpowiedział jej policjant.

– No tak, wypadło mi z głowy. No i jeszcze była Kasia. Mieszka dwie klatki obok. Na nazwisko ma... Maciejewska? Tak, Kasia Maciejewska.

Policjant spisał sobie te dane i zapytał:

– A jakiś chłopak?

– Nigdy nikogo nie przyprowadziła, ale pewnie jakiś był. Brzydka nie jest. – Kobieta zrobiła smutną minę i zaczęła płakać, jakby teraz dopiero zrozumiała, co się stało. – To znaczy nie była...

Funkcjonariusz posłuchał jeszcze przez chwilę nic niewnoszących do sprawy wywodów na temat zmarłej i zabrał do kostnicy matkę dziewczyny, która koniecznie chciała po raz ostatni zobaczyć córkę.

## Rozdział 8

– Cześć – usłyszała głos Carlosa i sięgnęła po szklaną butelkę truskawkowego piwa.

Wiedziała, że zaraz usłyszy tekst typu: „To nie jest piwo” lub „Czemu ty to pijesz?”, ale swoim zwyczajem zamierzała to zignorować. Na co dzień dbała o siebie jak mało kto, a mimo to dość regularnie pozwalała sobie na dietetyczną dyspensę w postaci gazowanych napojów, najlepiej z domieszką alkoholu, słodczy, zwłaszcza twixów, i egzotycznego jedzenia, najchętniej azjatyckiego. Gdy co jakiś czas ktoś twierdził, że to dziwne, tłumaczyła, że po to o siebie dba, żeby móc grzeszyć.

– Siema, przystojniaku – rzuciła, gdy w końcu stanął przed nią, po drodze zostawiając na stole kupione jedzenie.

Dziś jemu przypadała możliwość wyboru, więc teoretycznie nie wiedziała, co zjedzą, ale jako że nie znali się od wczoraj, przeczuwała, że będzie to coś z kuchni polskiej. Carlos uwielbiał pierogi, kopytka, kotlety schabowe czy rosół. Mógł jeść te dania na śniadanie, obiad i kolację przez cały rok. Przetestował już niemal wszystkie restauracje, knajpy w okolicy, ale najbardziej lubił bary mleczne, do których zazwyczaj nie przychodzili turyści, takie z ceratami na stołach, specyficznym zapachem przepalonego tłuszczu i stojącymi za ladą paniami w fartuchach w kwiaty. Jednak temu przystojnemu Brazylijczykowi to zupełnie nie przeszkadzało, a wręcz stanowiło dla niego dodatkową atrakcję.

– No nie, ty znowu to truskawkowe coś pijesz? – skomentował piękną polszczyzną, widząc, co Dagmara w siebie wlewa.

Jego matka wyjechała do Ameryki Południowej rok przed jego narodzinami. Zakochała się w przystojnym, wysokim i śniadym Brazylijczykowi, jednak ich intensywny związek nie przetrwał długo. Gdy po trzech tygodniach od zerwania kobieta zorientowała się, że jest w ciąży, spakowała się i wróciła do ojczyzny pierwszym samolotem. Byłaby to kolejna z wielu nieszczęśliwych historii, kiedy kobieta zostaje sama ze śniadym bobasem, ale ta dla Carlosa nie skończyła się najgorzej. Gdy ojciec od jednej z koleżanek matki swojego nienarodzonego syna dowiedział się, co było powodem jej nagłego wyjazdu, kupił bilet do Polski, zupełnie ignorując głosy rodziny. Nigdy do siebie nie wrócili, ale on do Brazylii również. Odwiedzał rodzinę regularnie, ale zamieszkał na stałe nad Wisłą, dla syna, mimo że nie znając języka polskiego ani niko go na miejscu, miał pod górkę jak mało kto.

– Siadaj i nie gadaj. Mam też jedno dla ciebie – powiedziała i podała mu drugą butelkę.

– O nie, ja tego nie wypiję. Mogę się otruć. – Delikatnie odepchnął jej dłoń.

– No rejczel, że wypijesz – odpowiedziała i uśmiechnęła się zawiadiacko. Dobrze wiedziała, że lubił te jej minki. Zresztą nie tylko je. – Mamy co oblewać, więc jak to mawiają moi krajanie, „no to siup w ten głupi dziób”! – zakrzyknęła i wypila spory łyk, po czym uniosła butelkę jak do toastu. – Mój drogi, mamy pierwszy deal! – rzuciła.

Wcześniej, zastanawiając się, co powie, planowała jakiś wstęp, chciała opowiedzieć o spotkaniu z ojcem, wtrącić jakiś rozbudowany monolog o jego przyjacielu, ale jak przyszło co do czego, emocje wzięły górę.

- Co? Przecież ustaliliśmy, że ruszamy po wakacjach albo gdy wszystko będzie dopracowane.

- Czyli mam powiedzieć, że tego nie bierzemy? Czekaj, już dzwonię, żeby odwołać... - zażartowała..

- Nie! - krzyknął, wiedząc, że jest zdolna coś takiego zrobić. - Tylko czy my jesteśmy gotowi? Wiesz, zacząć i się spalić nie jest wcale trudno.

- Carlos, nigdy nie będziemy gotowi. - Pociągnęła kolejny łyk, delektując się smakiem piwa. - Mamy potencjał i musimy to wykorzystać. Przyjaciel mojego taty ma zlecenie idealne dla nas, daje na to niezłą kasę. Jak to dobrze ogarniemy, myślę, że będziemy mieli kolejkę klientów. Z tego, co mi ojciec mówił, to facet jest dość obrotny i ma mnóstwo znajomych w zarządach lub właścicieli prywatnych firm. Warto się przyłożyć, a będziemy mieli roboty na długie miesiące, a może i lata.

- Marzycielka - rzucił i położył dłoń na jej udzie.

- O nie!

Strąciła ją. Od kilku dni miała wielką ochotę na seks, jednak postanowiła nie zaspokajać swoich potrzeb kosztem Carlosa. Dobrze wiedziała, że każde ich zbliżenie daje mu nadzieję, że będą razem, a ona tego nie chciała. Uwielbiała go jako przyjaciela. Wiedziała, że stworzą firmę idealną, jednak na partnera życiowego się nie nadawał. Zresztą Dagmara dawno temu doszła do wniosku, że taki dla niej się chyba jeszcze nie urodził, dlatego trzymała się zasady „nie szkodzić”. Od jakiegoś czasu sypiała tylko z tymi, którzy nie angażowali się emocjonalnie, a Carlos tego nie był w stanie jej obiecać.

## Rozdział 9

ON

Małe jak cytryny, średnie jak pomarańcze i duże jak melony. Nie ma to dla mnie znaczenia.

Mógłbym dotykać każdego i czułbym się jak w raju.

Przy każdej nadarzającej się okazji gapię się na nie, jak to matka mówi, jak ciele na malowane wrota.

Ostatnio dała mi w łeb torebką, bo zapatrzyłem się na cyci pani, która stała w kolejce do komunii. Próbowałem się tłumaczyć, że modliłem się i dopadła mnie zaduma, ale nie uwierzyła.

Coraz częściej mi się to zdarza. Ojciec już dwa razy zrobił mi karczemną awanturę, a gdy wyszła afera z kręceniem filmów, przywalił mi. Bolało, ale stałem wyprostowany, mierząc go wzrokiem. Nie chciałem odpuścić. Nie chciałem dać się poniżyć, poza tym nic złego nie zrobiłem. Nawet ta bogobojna pani od biologii powiedziała, że pociąg seksualny to norma.

Ale jego to nie interesuje. Jak zwykle robi wszystko pod publiczność i gównu go obchodzi.

– Co powiedzą sąsiedzi, gdy się dowiedzą, że mają za ścianą podglądacza?! Już nikt nie poda mi ręki, nie zleci roboty. Będą na nas patrzeć jak na zboczeńców! – darł się, zupełnie nie biorąc pod uwagę, że ktoś może go usłyszeć. – My cię tak z matką nie wychowaliśmy. Chodzimy co niedzielę do kościoła, przekazujemy szacunek do innych, a ty kręcisz filmy porno? I to z nastolatkami?

– Ale...

– Gównu mnie obchodzi twoje tłumaczenie. Pani dyrektor nie wyrzuciła cię na zbity pysk z liceum tylko dlatego, że ją uprosiłem. Znamy się nie od dziś, ale przy następnym twoim wyskoku nie będzie miało to żadnego znaczenia. I co wtedy? Pójdiesz do pośredniaka? Kim zostaniesz?

– Budowlanecm, jak ty – odpowiedziałem z dumą w głosie. Zawsze chciałem robić na budowie. Stawiać domy.

– Chcesz być tępym robolem? Czy zarządzać takimi ludźmi? To zasadnicza różnica. Ci pierwsi zapierdzielają całe życie i pieniądze mają z tego średnie. A gdy im trzaśnie w plecach, bo praca jest ciężka, gównu mogą później robić. Bo jak chcesz tak jak ja, to musisz trochę się pouczyć, powkuwać do tego pustego łba, a nie kręcić pornosy.

– A podobno z tego też niezła forsa jest – rzuciłem, chcąc rozładować atmosferę, ale mina ojca wskazywała, że to średni pomysł. Zmarszczył jeszcze bardziej brwi, a żyła na jego czole wyglądała, jakby zaraz miała eksplodować.

Oczywiście obiecałem poprawę i takie tam, ale moje myśli leciały w inną stronę. W mojej głowie zrodził się pomysł, z którego starzy nie byliby zadowoleni.

Przez miesiąc się przygotowywałem. W końcu czułem, że jestem gotowy.

Ukryłem kamery w szkolnych łazienkach, gdzie dziewczyny bez skrępowania zdejmowały majtki. Zwykle nic nie było widać, ale sporadycznie udawało mi się nakręcić jakąś perełkę.

Montowałem materiał i robiłem zdjęcia. Groziłem dziewczynom, że pokażę innym, co udało mi się uwiecznić. Tym sposobem zbierałem kilka groszy, za które poszedłem zrealizować moje marzenie.

Zaliczyłem taką łaskę, że każdy kolega obsikałby się z zazdrości.



## Rozdział 10

– Jedziesz, mięczaku? – rzuciła do Bartka, włożyła na głowę swój ukochany czarny kask z liową różą z tyłu i ruszyła.

Po chwili w lusterku zobaczyła, że ją dogania. Mieli pojechać nad Zalew Zegrzyński na rybę. Warunki tego dnia były wręcz idealne. Piętnaście stopni, słońce za chmurami. Po zimowej przerwie każde z nich czuło wewnętrzny motorowy głód. Minęli Legionowo, do celu zostało zaledwie niewiele ponad dziesięć kilometrów. Przejechała małe skrzyżowanie, za którym nawigacja kazała jej skręcić w prawo, gdy nagle usłyszała huk i w lusterku zobaczyła lecące ciało brata. Wyjeżdżający z bocznej uliczki samochód nie zauważył go i z impetem uderzył w jego suzuki. Gdy ona hamowała, aby zawrócić, stało się najgorsze. Siła uderzenia spowodowała, że Bartek wylądował na przeciwnym pasie, którym jechał dwunastokołowy tir.

– Nieeee!!!

Dagmara usiadła na łóżku zlaną potem. Od trzech tygodni nie śnił jej się wypadek i przez chwilę liczyła, że już nigdy nie stanie jej przed oczami. Przynajmniej nie we śnie. Oczami wyobraźni widziała te sceny praktycznie za każdym razem, gdy motocykl podobny do Bartkowego mijał ją na drodze lub natykała się na taki zaparkowany gdzieś w mieście.

To na pamiątkę jego śmierci wytatuowała sobie na ramieniu różę. Pamiątkę, którą ukrywała przed matką, nienawidzącą tego typu zdobień na ludzkim ciele. Symbol ten niósł dla niej emocjonalny ładunek. Wszyscy doszukiwali się w tym jakichś wydumanych historii, a powód był prosty i dość szczeniacki. Gdy byli mali, ich matka uprawiała róże. Czasami odnosili wrażenie, że traktowała te kwiaty z większym uczuciem niż ich, dlatego po złości, gdy nie patrzyła, zakopywali w wielkich donicach, w których je sadziła, różne rzeczy. Resztki jedzenia, małe zabawki. Tym sposobem róża stała się znakiem ich paktu. Jedności. Bratersko-siostrzanej miłości, której nie można porównać do niczego i która wydawała się niezniszczalna. Aż po grób.

Za każdym razem po koszmarze nie mogła zasnąć. Na początku próbowała z tym walczyć, ale po dwóch latach odpuściła. Wstawała wtedy z łóżka i robiła coś lub oglądała.

Powoli zeszała po drabince ze swojej łóżkowej antresoli i zapaliła światło w salonie. Usiadła na kanapie i już chciała chwycić za pilot od telewizora i puścić kolejny odcinek *Chirurgów* lub *Gry o tron*, gdy przypomniała sobie o schowanej teczce od Mileny Górskiej. Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale podniosła część siedzeniową kanapy i wyciągnęła ją. Zdjęła gumkę i wyjęła znajdujące się w środku dokumenty.

Pierwszą rzeczą, na którą trafiła, była notatka sporządzona przez matkę dziewczyny.

*Moja córka miała na imię Gabriela. Zaginęła 13 lipca 2012 roku, w piątek. Miała dwadzieścia jeden lat, skończyła drugi rok studiów. Studiowała swoją ukochaną medycynę, o której mówiła od zawsze. Chciała leczyć ludzi, pomagać.*

W dniu zaginięcia zachowywała się normalnie. Nic szczególnego się nie wydarzyło. Przynajmniej nikt o tym nie wie.

Ja z mężem byliśmy wtedy w pracy, więc nikt nie wiedział, o której wyszła z domu. Z tego, co wiadomo, nie spotkała się z żadnym ze swoich znajomych. Od tego dnia nie wykonała żadnej płatności kartą. Nie wrzuciła żadnego zdjęcia na Facebooku. Nie wysłała żadnego SMS-a czy wiadomości na Messengerze. Zapadła się pod ziemię.

Nie spotykała się z żadnym chłopakiem, przynajmniej nic o tym nie wiedzieliśmy – ani my, ani jej znajomi. Uchodziła za spokojną dziewczynę, raczej niczym się niewyróżniającą.

Odnalazł ją grzybiarz. Ktoś ją zgwałcił i zabił.

Dagmara wygrzebała jedno z dołączonych zdjęć i stwierdziła, że patrzy na twarz, której by nie zapamiętała. Brązowe małe oczy, dość szeroko rozstawione, ciemna oprawa twarzy. Z informacji zawartych w opisie wynikało, że na jej ciele znajdowało się kilka charakterystycznych znaków: blizna na brzuchu po wycięciu wyrostka, pod prawą pachą spora brodawka, na której usunięcie była zapisana na sierpień, czego nie doczekała, i dość długa blizna na brodzie od upadku z rowerku, gdy miała pięć lat.

Milena Górską załączyła opis ostatnich siedmiu dni jej córki.

#### **17.07.2012 – sobota**

Do 12:00 pomagała w domu przy cotygodniowych porządkach, później robiła coś na komputerze, po 18:00 wyszła z koleżanką. Wróciła późno, około 23:00.

#### **8.07.2012 – niedziela**

Pojechaliśmy do mojej mamy, która obchodziła siedemdziesiąte urodziny. Zajęło to nam cały dzień. Córka zachowywała się zupełnie normalnie. Przygotowała dla babci ciasto, czym miło ją zaskoczyła.

#### **9.07.2012 – poniedziałek**

Odwiedziła ją koleżanka, Kamila Magiera, cały dzień kręcili się razem po mieście.

#### **10.07.2012 – wtorek**

Wyszła z koleżanką do kina, później poszły do Kamili. Wróciła późno.

#### **11.07.2012 – środa**

Wyszła wieczorem z koleżanką.

#### **12.07.2012 – czwartek**

Siedziała cały dzień w domu.

#### **13.07.2012 – piątek**

Rano wyszliśmy do pracy, a później córka zniknęła, jej telefon był wylączony.

O 22:00 mąż zaczął dzwonić po jej koleżankach, ale żadna nic nie wiedziała. O 23:00 pojechał na komisariat, złożył zawiadomienie o zaginięciu, ale nikt nie potraktował go poważnie. Myśleli, że to kolejna dziewczyna, która uciekła z domu lub poszła w miasto, zapominając o zawiadomieniu rodziny.

#### **14.07.2012 – sobota**

Mąż spędził pół dnia na komisariacie, błagając o pomoc. W końcu zrezygnowany wrócił do domu. Powiedziano mu, że jak Gabrysia nie wróci do poniedziałku, to rozpoczną poszu-

*kiwania. Sami poprosiliśmy jej znajomych o pomoc. Chodziliśmy po okolicy i szukaliśmy córki.*

**15.07.2012 – niedziela**

*Nad ranem w pobliskim lasku mężczyzna spacerujący z psem znalazł Gabrysię. Martwą.*

Poniżej znajdowała się lista znajomych dziewczyny z krótkimi informacjami dotyczącymi tego, skąd oraz jak długo się znali. Leżące przed Dagmarą kartki nie robiły na niej wrażenia. Były zbiorem suchych faktów, nieniosących ze sobą ładunku emocjonalnego. Cały czas biła się z myślami, czy powinna ponownie sięgać do teczki. Kątem oka widziała wystające z niej rogi zdjęć. Odłożyła przygotowane przez Milenę Górską kartki i wyciągnęła rękę po jedno z nich.

Młoda dziewczyna leżała nago na metalowej leżance. Już sam ten widok wywołał u Dagmary dreszcz, który przeszedł jej po plecach. Widok krwi, tak samo jak ran czy ludzkiego ciała podczas operacji, nigdy nie stanowił dla niej problemu, ale patrząc na to zdjęcie, wiedziała, że dziewczyna przed śmiercią cierpiała. Jej klatka piersiowa ozdobiona była masą głębokich ran klutych.

Drżącą ręką odłożyła zdjęcie do teczki i nie sięgnęła po kolejne. Musiała ochłonać.

Spojrzała na zegarek, który pokazywał trzecią trzydzieści siedem. To był idealny moment, aby ponownie powalczyć o jeszcze odrobinę snu.

## Rozdział 11

– Kurwa, nie odpuszczaj! Nie zachowuj się jak jakaś pipa. Walcz do końca! Jeszcze dwanaście sekund! – wrzeszczał do Dagmary wielki napakowany gość z zarysowaną na brzuchu kratą, która wyglądała wręcz nienaturalnie. Każde wcięcie mięśnia prostego brzucha było tak głębokie, jakby ktoś wydłubał je dłutem.

Gaga, jak nazywali ją wszyscy w klubie, patrzyła błagalnie na wolno przesuwające się wskazówki zegara, cisnąc ostatnie burpeesy, chyba najbardziej znienawidzone ćwiczenie wszystkich trenujących. Były utrapieniem, zwłaszcza gdy robiło się je po wymagającym WOD-zie, na który tego dnia składało się po sto pompek, podciągnięć, przysiadów i brzusków.

– Koniec. Nie było źle! – powiedział, klepiąc ją po plecach, Sławek Orzechowski, znany wszystkim raczej jako Wiewiór, a to za sprawą swojej rudej kitki, której nie ścinał od lat.

– Nie było źle? – rzuciła. – Pobiłam swój rekord, a ty mi mówisz, że nie jest źle. Wal się! – wycedziła przez zęby, pokazała mu środkowy palec i sięgnęła po leżący obok jej ręcznika bidon z węglowodanami.

– A co mam ci powiedzieć? – Ściszył głos. – Że jesteś lepsza od większości typków, co tu przychodzą? Że nie mają z tobą szans i pewnie nigdy nie będą mieli?

– Tak – powiedziała już z uśmiechem na twarzy i kokieteryjnie zarzuciła zaplecionymi w dwa bokerskie warkocze włosami.

– Nie mogę. Przecież ci kolesie pierwszy raz w życiu czują się mężczyznami, bo mogą poprzrzucić trochę żelastwa i powyżywać się, napieprzając się po ryjach. I tak co niektórzy mają z tobą problem. Wchodzi laseczka w różowych trykotach... – W tym momencie oboje spojrzeli na jej spodenki, które tego dnia wyjątkowo nie były w tym kolorze, lecz jaskrawo żółte. – Z przydługimi paznokciami i twarzą jak z obrazka i ich rozpierdała. Musisz się ukrywać ze swoimi supermocami, bo mają niszczycielską siłę.

Dobrze o tym wiedziała, chociaż od jakiegoś czasu czuła, że większość gości, którzy przychodzili do garażowego klubu crossfitowego „Blaszak”, w końcu zaakceptowała jej obecność w tym miejscu. Zdecydowanie była rodzynkiem. Raz na jakiś czas wpadała jakaś kobieta, jednak zazwyczaj szybko rezygnowała. Ona przychodziła tu już piąty rok i wiedziała, że tylko zamknięcie klubu na cztery spusty spowodowałoby, że zaczęłaby się rozglądać za innym miejscem.

Starła z czoła pot wymieszany z kurzem i pociągnęła większy łyk napoju.

– Gaga! – usłyszała za sobą męski głos i od razu się uśmiechnęła.

Pepe, czyli zgodnie z danymi z dowodu osobistego Piotr Kowalski. Jej ulubiony paker, człowiek skrywający tyle tajemnic, że mógłby obdarować nimi kilka osób. Kiedyś zupełnie przypadkiem spotkała go w barze. Umówiła się tam z jakimś gościem przez aplikację randkową. Okazało się, że koles nieźle naściemniał, więc szybko się z nim pożegnała. Już wychodziła, gdy

wpadła na Pepe. Siedział sam przy barze i pił jakiegoś drinka. Wcześniej widywali się na sali, nieraz gadali, więc podeszła. Wyglądał na zasmuconego.

- Siema! - rzuciła radosnym głosem, czując się trochę skrępowana, prezentując się w seksownej sukience ledwo zasłaniającej pośladki.

- Cześć, co tu robisz?

- Randka niewypał - powiedziała, wykrzywiając usta w podkówkę.

- Taka laska jak ty zalicza wpadkę?

- No rejczel, nawet najlepszym się zdarza - odpowiedziała, puszczając zalotnie oczko i siadając obok na wolnym stołku barowym obsztytym bordowym pikowanym materiałem.

- Napijesz się czegoś? - rzucił Pepe.

- Pewnie, a co ty sączysz?

- Whisky zabarwianą colą.

- Brzmi zachęcająco. - Podniosła rękę do barmana, który już czekał, aby odebrać od niej zamówienie. - To samo. - Spojrzała na prawie puste szkło kolegi i dorzuciła: - Od razu dwa razy.

- Dzięki.

- A ty co tutaj tak siedzisz jak kupa nieszczęścia?

- Niestety nie tylko ciebie sercowe sprawy dopadły - powiedział i pociągnął spory łyk drinka, opróżniając szkło.

Siedząc obok kolegi, Dagmara po raz pierwszy mogła przyrzeć mu się dokładniej. Gdy patrzyła na niego zazwyczaj z odległości kilku metrów, wyglądał na dużo młodszego. Dopiero teraz dostrzegła mnóstwo zmarszczek, które otaczały oczy od zewnętrznej strony, i bruzdy na czole. Włosy, które nosił krótko przystrzyżone, utraciły swój kolor na korzyść siwizny.

- A kto powiedział, że szukam miłości?

- No tak, zapomniałem, że ty z tych wyzwolonych... - westchnął.

- Nie wyzwolonych, ale świadomych swoich potrzeb. Nie każda kobieta od razu szuka drugiej połówki, księcia z bajki czy innych takich pierdoletów. Zresztą wy, faceci, oglądając się za kobietą, nie myślicie od razu o dzieciach i wspólnej przyszłości, tylko o jej cyckach i dupie.

- Niby tak, ale nie zawsze o to chodzi.

- O, widzę, że ktoś ma zranione serce - powiedziała i napiła się trunku, który właśnie postawił przed nią barman.

To, co działo się później, zaskoczyło ją niezmiernie. Pepe, uważany przez wszystkich za ucieśnienie testosteronu, na którego ciele studenci medycyny mogliby uczyć się anatomii bez krojenia go, niewiele wcześniej rozstał się z żoną po dwunastu latach wspólnego życia. Mieli dwójkę dzieci w wieku przedszkolnym, których od trzech miesięcy nie widział. Żona odkryła, że ją zdradza. Niestety nie była w stanie tego zaakceptować i wyjechała, zabierając pociechy i nie informując, dokąd się wybiera. Nie odbierała telefonów, nie odpowiadała na SMS-y, doprowadzając mężczyznę na krawędź rozpacz.

Jednak nie jego zdrada zaskoczyła Gagę najbardziej, chociaż nie wiedziała, że kolega, z którym parę razy odbyła sparingi kickbokserskie, ma w ogóle rodzinę. Po pierwszej części opowieści sądziła, że Pepe poznał jakąś kobietę, dla której stracił głowę i zrezygnował z dotychczas-

sowego swojego życia. Prawda była jednak o wiele bardziej zaskakująca. Mężczyzna poznał w pracy innego faceta i to w nim się zakochał, z wzajemnością.

Dagmara dopijała czwartego drinka i zupełnie nie wiedziała, co ma powiedzieć. Nigdy nie czuła się dobrze w roli konsultantki do spraw związków. Nie wmawiała mu, że wszystko będzie dobrze i jak w filmach rodem z Hollywood wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie. Wyraziła swój smutek z powodu jego sytuacji i obiecała pomóc znaleźć jego dzieci. Tyle mogła zrobić.

Teraz, stojąc przed nim, patrzyła na niego zupełnie inaczej. Zdawała sobie sprawę, że przez ostatnie miesiące życie rzucało mu kłody pod nogi, szczególnie że romans skończył się zaskakująco szybko. Mężczyzna, który wyrzucił całe jego życie do góry nogami, po kilkunastu spotkaniach doszedł do wniosku, że jednak nie chce się wiązać i woli nadal prowadzić życie singlem.

Dagmara spędziła z Pepe kilka wieczorów, siedząc we dwoje u niej na kanapie i użalając się nad ideą związków. Po części to ona przekonała go do korzystania z życia. Żona nie dawała im szans na szczęśliwe zakończenie, dlatego jego głównym celem było utrzymywanie kontaktu z dziećmi, które na szczęście udało się znaleźć.

- Siema, Pepe! - Wyciągnęła do niego ściśniętą w pięść dłoń, a on stuknął w nią swoim wielkim kulakiem. Tak się witali, gdy po twarzy spływał im pot. - Siema, Boruc! - rzuciła do drugiego mężczyzny.

Marcin Zabraniecki spokojnie mógłby robić za sobowtóra znanego piłkarza, stąd jego ksywa. Niestety poza wyglądem nie reprezentował żadnych wartości. Rozmowa z nim nie mogła zawierać zdań złożonych, a używane słowa nie mogły być wyszukane. W innym przypadku mrużył oczy, tak jakby w jego głowie trwała jakaś walka, która niestety zazwyczaj kończyła się klęską mózgu i brakiem zrozumienia. Jednak to nie niski iloraz inteligencji stanowił największy problem, ale jego agresja. Do wybuchu potrafiło go doprowadzić wszystko. Raz, gdy nie udało mu się wycisnąć stu pięćdziesięciu kilo na klatę, zaczął rzucać hantlami, za co dostał miesięczny zakaz wstępu do klubu. Od tego czasu się pilnował podczas treningów, ale poza salą podobno bywało już różnie.

- Cześć, Gaga - przywitał ją ten drugi. - Słyszałem, że spuściłaś ostry wpierdol Wąskiemu - rzucił i zaśmiał się sam do siebie.

- Można to tak nazwać. - Uśmiechnęła się do mężczyzn i zaczęła zbierać swoje rzeczy do torby. - Jak chcesz, następnym razem mogę obić i ciebie - obiecała radośnie i ruszyła w stronę wyjścia.

Musiła jak najszybciej wrócić do domu i przygotować się na pierwsze służbowe wyzwanie, jakie ją czekało następnego dnia.

## Rozdział 12

- Ma pani bardzo ciekawe i bogate CV jak na tak młodą osobę - powiedział po dłuższej chwili siedzący po drugiej stronie dużego szklanego stołu mężczyzna.

Już od pierwszej sekundy ich spotkania Dagmara wiedziała, że należy do znieawidzonej przez nią grupy ludzi, których nazywała, zresztą jak wiele innych osób, „bananami”. Wszystko, co na siebie założyła, krzyczało „Mam kasę!”. Designerską marynarkę, zdecydowanie niepasującą do codziennej pracy biurowej, zarzucił na pudroworóżową koszulę, której mankiety ozdobił przesadnie dużymi spinkami w kształcie lwów. Do tego włożył spodnie, których widok przyprawiał ją o odruch wymiotny: sięgające ponad kostkę rurki dopełnił eleganckimi, brązowymi butami o spiczastych czubkach.

- Dziękuję - odpowiedziała Dagmara Zatorska, udając niezwykle zawstydzoną i skromną.

Siedzieli z Carlosem dwa dni nad trzymanym teraz przez mężczyznę dokumentem i dopieszczali go tak, aby zagwarantował jej pracę. Chyba poskutkowało, bo zadzwonili po kilku godzinach, umawiając się na kolejny dzień. Nie liczyło się to, że większość tego, co zawierało CV, nie było zgodne z rzeczywistością. Na szczęście dobrze wiedzieli, że w dzisiejszych czasach, szczególnie w małych prywatnych firmach, nikt tego nie sprawdza. Można było napisać każdą bajkę, a przyszły pracodawca łykał to jak pelikan. Bardziej od skończonego kierunku studiów liczyły się umiejętności i doświadczenie. Na szczęście dzięki swojemu ojcu Gaga już od piętnastego roku życia dorabiała sobie w wakacje, pomagając w magazynie, na linii produkcyjnej, a później podczas eventów promocyjnych i targów, więc czuła, że ma szansę zdobyć tę pracę i realnie wypełniać powierzone obowiązki. Bez tego musieliby wdrożyć plan B, który zająłby im więcej czasu i nie był aż tak ekscytujący jak praca w terenie.

- Proszę jeszcze powiedzieć tak, żebym wiedział, kogo chcę zatrudnić, jakie są pani wady - rzucił Gabriel Kamiński i uśmiechnął się zdecydowanie zbyt seksownie, unosząc jeden kącik ust.

Dagmara musiała sama przed sobą przyznać, że był cholernie przystojny. Ciemne niczym węgiel oczy, otoczone zdecydowanie za długimi jak na mężczyznę rzęsami, uśmiechały się do niej, od kiedy przekroczyła próg szklanego biura. Do tego odczuła od niego to nieopisywalne coś, co powodowało, że w normalnych okolicznościach nogi delikatnie ugięłyby się pod nią, a w mózgu pojawiła się myśl, że gdyby zdjął tę obrzydliwą marynarkę i nieakceptowalne spodnie, ich znajomość mogłaby się skończyć w nieprzewidywalnych pozycjach.

- Nie wiem, czy powinnam o tym mówić, ale jestem perfekcjonistką, co czasami powoduje, że siedzę po nocach, żeby dopiąć jakiś projekt. Poza tym mam lekką nerwicę natręctw, jeżeli chodzi o punktualność i... - recytowała wyuczoną formułkę, którą napisała sobie dzień wcześniej.

Jak zwykle internet stanął na wysokości zadania i znalazła mnóstwo wskazówek, jak idealnie przygotować się do rozmowy o pracę, w tym dziesięć standardowych pytań, które poja-

wiają się na tego typu spotkaniach. To dotyczące rzekomych wad kandydata znajdowało się w czołówce.

- Myślę, że wiem już wszystko. Nie będę ukrywać, że zrobiła pani na mnie spore wrażenie.

- Uśmiechnął się i Dagmara zauważyła, że zawiesił na dłużej wzrok na jej nogach. Specjalnie na potrzeby spotkania wbiła się w buty na obcasie, które wybierała tylko w wyjątkowych wypadkach, mimo że wiedziała, że jej nogi wyglądają w nich jak milion monet. Siedzący naprzeciwko mężczyzna chyba też tak uważał. - Odezwiemy się do pani najpóźniej w ciągu tygodnia. Aktualnie mamy bardzo dużo imprez, więc zależy nam na czasie. Mam nadzieję, że jest pani dyspozycyjna z dnia na dzień?

- Tak, oczywiście. Mogę zacząć nawet i dzisiaj - odpowiedziała mu skromnym uśmiechem, przekonana, że już ma tę robotę.



## Rozdział 13

Komisarz Grzegorz Wiśniewski w swojej karierze widział różne reakcje na informację o śmierci bliskiej osoby. Zaraz po histerii plasowało się niedowierzanie. Poinformowana osoba z uporem maniaka powtarzała, że to na pewno nie jego córka, żona, mąż czy syn, ale ktoś niezwykle podobny. Niektórzy siedzieli i nie odzywali się, mimo że rozmowa mogła wnieść coś do sprawy. Zdarzały się też omdlenia, a raz w karierze musiał wezwać karetkę, bo pewien mężczyzna, gdy dowiedział się o śmierci żony, dostał zawału.

Reakcja rodziców Lucyny Kaczorowskiej zdecydowanie odbiegała od standardów. Zachowywali się tak, jakby śmierć ich córki nie zrobiła na nich większego wrażenia. Tak jakby nie czuli z nią więzi, a jej nagłe zniknięcie z ich życia nic nie znaczyło. Jakby była niepotrzebną rzeczą, którą zabrała śmieciarka. I tyle w temacie.

Oczywiście od razu dokładnie sprawdzono ich alibi. W nocy z czwartku na piątek, a dokładniej bliżej północy, siedzieli ze znajomymi i pili, zresztą prawdopodobnie jak co wieczór.

Gdyby mieli opierać się tylko na ich zeznaniach, pewnie by nie uwierzył, ale nagrali filmiki, na których widać dokładną datę i godzinę pokazywane przez wiszący za ich plecami zegar. Nie trzeba było być wielkim znawcą, aby już po pierwszych ujęciach stwierdzić, że nie stronili od alkoholu.

– Czy to pani córka? – spytał komisarz Grzegorz Wiśniewski, gdy stanęli przy metalowej leżance.

W niewielkim pomieszczeniu obok siebie stały trzy metalowe, przypominające łóżka wózki, na których spoczywały ciała. Zazwyczaj policjant prosił o zasłonięcie lub wyniesienie innych ciał, jednak tym razem się powstrzymał. Buzująca w nim złość wynikająca z braku przejęcia Kaczorowskich spowodowała, że nie poprosił o to i wchodząc do tego zimnego i przerażającego prosektorium, najpierw zobaczyli zwłoki przywiezionego chwilę wcześniej chłopca potrąconego przez samochód: jego zmasakrowaną twarz, nienaturalnie powykręcane nogi i ręce.

Powoli podeszli do ciała Lucyny Kaczorowskiej, której tylko głowa wystawała spod białego prześcieradła. Nikt nie chciał, aby bliscy widzieli wszystkie obrażenia. Ale mimo to wyglądała upiornie. Zdecydowanie nie przypominała dziewczyny ze zdjęć, które policjant widział na telefonie jej przyjaciółki. Na twarzy, z której zeszła woda, skóra wisiała niczym u stuletniej babci, a jej kolor przerażał bladofioletowym odcieniem.

„Ciesz się, że nie widziałaś reszty jej ciała”, pomyślał policjant i z dezaprobatą spojrzął na kobietę, wyczekując jej jakiegokolwiek reakcji. Czuł, że spływające po jej twarzy łzy stanowią jedynie element jakiejs gry.

– Tak, to ona – powiedziała w końcu. – Jak ona mogła nas tak zostawić? – spytała, czym wprowadziła funkcjonariusza w konsternację graniczącą ze złością. – Obiecała, że się nami zajmie.

- Nie rozumiem - skomentował zdziwiony.

- Obiecała, że się nami zaopiekuje, a wołała się szlajać, no i tak skończyła. - Skinęła głową w stronę ciała córki, która przykryta cienkim materiałem leżała naga na stalowym stole.

- Czy ostatnio zachowywała się jakoś inaczej?

- Nie. - Pokręciła głową przecząco i położyła swoją dłoń na dłoni córki, jednak szybko ją zabrała, czując bijący od ciała chłód.

- Nie wspominała o tym, że planuje gdzieś wyjechać? Z kimś się spotkać? - dopytywał.

- Ona się nam nie zwierzała. Zawsze była skryta. Nie opowiadała o tym, co robi, gdzie chodzi, mimo że zawsze pytaliśmy - powiedziała, raz po raz pociągając nosem. - Tak bardzo staraliśmy się wychować ją na dobrą osobę, ale chyba nam się nie udało.

Nie uzyskawszy żadnej przydatnej informacji, Grzegorz Wiśniewski szybko pożegnał się z kobietą i pojechał do Katarzyny Maciejewskiej - drugiej obok Jagody Niemczyk przyjaciółki ofiary.

Dziewczynę zastał w domu. Siedziała na swoim łóżku z nogami przyciągniętymi do klatki piersiowej i płakała. Jej zachowanie, w przeciwieństwie do reakcji rodziców zamordowanej, było szczere i stanowiło potwierdzenie łączącej ich relacji.

- Proszę usiąść przy biurku - zaproponowała jej matka, która wprowadziła komisarza do pokoju Kasi. - Przyniosę córce melisy i coś jeszcze na uspokojenie. One z Lucyną znały się od przedszkola - powiedziała kobieta i wyszła, zostawiając funkcjonariusza na środku pokoju.

Niespiesznie podszedł we wskazane miejsce i usiadł na biurowym krześle przy stoliku, na którym stało tylko kilka zdjęć w ramkach.

- Dzień dobry, komisarz Grzegorz Wiśniewski. Chciałbym z tobą porozmawiać o twojej przyjaciółce Lucynie...

Dziewczyna podniosła na niego wzrok. Jej twarz była tak napuchnięta, jakby właśnie stoczyła walkę bokserską. Siedział dwa metry od niej, a nie był w stanie stwierdzić, czy jest ładna. Zaczerwienione oczy i nos oraz spływający katar powodowały, że wyglądała jak siedem nie-szczęść.

- Dlaczego ktoś to zrobił? - spytała ledwo słyszalnym głosem i znowu utkwiała wzrok w leżącej przed nią czarnej poduszce.

- Nie wiemy jeszcze, ale robimy wszystko, aby się dowiedzieć. - Chwycił jedno ze stojących przed nim zdjęć, na którym dziewczyna wraz zamordowaną uśmiechały się do aparatu, robiąc przy tym głupie miny. - Kiedy ostatni raz widziałas się z przyjaciółką?

- W poniedziałek rano. - Głośno wydmuchała nos i spuściła nogi na ziemię. - Poszliśmy do kina, a później połążyliśmy po parku. Chciałam skoczyć jeszcze na ciastka, ale Lucy nie miała pieniędzy. Jej rodzice nie śmierdzą groszem, zresztą oni... - Zawiesiła głos i spuściła wzrok.

- Tak? Proszę mówić.

- Ona nie miała dobrych relacji z rodzicami. Wiadomo, ja też się kłócę z moimi, ale Kaczorowscy są dziwni. Wszystkiego się czepiali. Na nic nie pozwalali, i to nie dlatego, że chcieli ją obronić przed złem tego świata, jak to mawia mój tata, tylko wydawało mi się, że ją za coś karzą.

- Karzą? Wiesz za co?

- Nie bardzo, ale mówiła coś o jakimś spadku. Niestety nie wiem nic więcej.

- Rozumiem – skomentował i zapisał sobie w notatniku, aby dowiedzieć się więcej w późniejszym czasie. – Czy przyjaciółka wspominała o czymś nietypowym? Ktoś jej groził? Poznała kogoś nowego?

- Lucyna przez dwa lata spotykała się z Krótkim. Chłopak ma ponad metr dziewięćdziesiąt i ktoś dla żartów dawno temu zaczął go tak nazywać i zostało. Lucy mocno przeżyła rozstanie.

- A kiedy to było? – wtrącił z zainteresowaniem. Niestety wiedział z doświadczenia, że byli partnerzy często są sprawcami takich zbrodni.

- Jakoś na początku roku.

- A co było powodem rozstania?

- Niech pan zgadnie – rzuciła i wreszcie delikatnie się uśmiechnęła.

Dopiero teraz doszedł do wniosku, że bez opuchlizny na twarzy musiała uchodzić za ładną.

- Zdradził ją?

- I to nie raz. Poza tym czasami po alkoholu stawał się agresywny. Lucy zaczęła się go bać.

- Zrobił jej coś?

- Nic poważnego. Raz popchnął i upadła, nadwyrężając sobie nadgarstek. Później przez trzy tygodnie chodziła z usztywnieniem, ale to było trochę na pokaz. Żeby go utemperować.

- A jak zareagował na zerwanie? – spytał komisarz Grzegorz Wiśniewski, cały czas bacznie się jej przyglądając.

- Wkurzył się, bo odebrał to jako potwarz. Tacy to chcą grać twardziela na każdym kroku, więc nie skakał z radości, że dziewczyna go rzuciła. Ale z tego, co wiem, szybko znalazł ukojenie w ramionach innej, a właściwie innych.

- A przyjaciółka? Jak ona to przeżyła?

- Źle. Lucy sobie wymyśliła, że jak z nim zerwie, to on zmadrzeje i wróci do niej na kolana odmieniony, ale tak się nie stało. Zresztą ja nigdy nie rozumiałam, co Lucy w nim widziała. Okej, nie powiem, jest przystojny, fajnie zbudowany, ale nic poza tym. Mógł być chłopakiem na chwilę, do polansowania się, ale nie na dwa lata. I jeszcze ona jakiegoś wizje przyszłości z nim roztaczała. Zupełnie bez sensu. To typek, co lubi się łączyć z kibicami przeciwnej drużyny, co weekend się nawalić i mieć tyle dziewczyn, ile jego interes da radę obsłużyć.

- Będę potrzebował jego danych.

- Oczywiście. – Dziewczyna sięgnęła po telefon i zaczęła czegoś szukać. – To on, nazywa się Karol Mioduszewski. – Pokazała mu facebookowy profil przypakowanego faceta, którego raczej nie chciałby spotkać na ciemnej ulicy.

- A czy wiesz, czy teraz z kimś się spotykała?

- Hmm... Tak, ale nic mi nie chciała powiedzieć. Twierdziła, że musi się upewnić. Po Krótkim powtarzała, że potrzebuje czasu. Dla siebie. Dwa razy chciałam nawet ją umówić na randkę, raz z moim kuzynem, a raz z kolegą z pracy, ale odmówiła.

- Czyli nie wiesz, kto to był?

- Niestety nie, ale raz jak byłam u niej, gdy wyszła do łazienki, chciałam sprawdzić na jej telefonie, o której mam autobus do szkoły, i zauważyłam jakieś zdjęcie. Z facetem. Niestety nie

widać było jego twarzy, tylko rękę.

– Rozumiem. A czy opowiadała o jakichś planach? Wyjazdach?

– Chciała gdzieś pojechać, ale jak mówiłam wcześniej, nie miała za co. Od sierpnia planowała zacząć pracę w kiosku i potem przebąkiwała, że może gdzieś ruszymy, ale wszystko zależało od tego, ile uda jej się zarobić i odłożyć.

Chwilę jeszcze pogadali, ale czując, że już niczego więcej nie wyciągnie od dziewczyny, zostawił swój numer telefonu i pożegnał się.

## Rozdział 14

ON

Znowu podpadłem. Groziła mi pała z matny, a wychowawczyni doniosła, że zrywam się z lekcji. Ojciec był na skraju załamania, a ja czerpałem z tego energię. Lubię go wkurzać. Wiedziałem, że może się to dla mnie bardzo źle skończyć, ale byłem pewien, że jak zwykle sobie poradzę. Nie miałem innego wyjścia.

I wtedy ojciec pierwszy raz w życiu poprosił mnie o coś. Powiedzieć, że byłem w szoku, to jakby nic nie powiedzieć. Chciał, żebym się kimś zaopiekował, pomógł jednemu chłopakowi, bo on kogoś stracił. Stary opowiedział jakąś kłiwą historię, ale mnie to gównie obchodziło. Co ja, niania jestem jakaś? Ale ojciec się uparł. Dobrze mnie zna i wie, że ja średnio wrywny jestem w takich sprawach. Wyjaśniał mi wszystko, ale ja tylko cmokałem, bo wiem, że tego nie znosi, ale nawet tego nie skomentował swoim zwyczajem, że to nieładnie tak odpowiadać i po to mam język w gębie, żeby go używać. To on chciał czegoś ode mnie, więc nie chciałem go wkurzać.

I wtedy sięgnął po coś, o czym marzyłem. Pozwolił mi pracować na budowie. Tylko w weekendy, dni wolne lub wakacje. Mogę sobie dorabiać, oczywiście pod warunkiem, że spełnię jego prośbę, no i jeszcze poprawię ocenę, co dorzucił, widząc, że oczy mi się zaświeciły niczym latarnie morskie.

Ochoczo się zgodziłem. Po trzech dniach przyjechał. Wyglądał jak te dzieci z obozów, które pani od historii pokazywała nam na lekcjach o wojnie. Wyjątkowo wtedy słuchałem, więc pamiętam to.

Siedzieliśmy u mnie w pokoju, bo ojciec chyba miał dość rozmawiania z nim, jakby mógł się czymś od niego zarazić, więc zrobił najprostszą rzecz z możliwych – wepchnął go do mojego pokoju. Próbowałem mu pokazać nową grę, ale jej nie znał. Więc w końcu zrezygnowany, jak jakaś pieprzona ciocia klocia, wypytywałem o jego życie, a jego odpowiedzi przelatywały przez głowę, nie zostawiając śladu.

## Rozdział 15

Informację, że dostała pracę, przekazała Dagmarze jakaś dziewczyna, która zadzwoniła raptem dzień po jej spotkaniu z właścicielem firmy eventowej. Przeczowała to, ale gdy zostało to powiedziane na głos, aż podskoczyła z radości.

Ubrała się w białe rurki i bladuróżowy sweterek, po czym jak na skrzydłach ruszyła do siedziby firmy. Zgodnie z ogłoszeniem miała pracować jako event manager, czyli zajmować się przygotowywaniem imprez dla klientów, od A do Z. Co zadziwiające, cieszyła się na samą pracę. Zawsze dobrze czuła się w planowaniu, a później w realizacji wszelkich działań, za co przy każdej nadarzającej się okazji chwalił ją ojciec, twierdząc, że to nie jest wcale taki codzienny zestaw umiejętności.

Gdy dotarła do całkiem sporego domu, który został przystosowany na potrzeby firmy, poczuła lekkie ukłucie zdenerwowania. Postawiła swój rower na jednym ze stojaków i licząc, że nikt go nie pożyczycy na wieczne nieoddanie, ruszyła do budynku.

- Cześć - rzuciła długowłosa blondynka, która szła w tym samym kierunku. Jej minispódniczka zdecydowanie nie nadawała się do pracy, ale dziewczyna raczej się tym nie przejmowała. Jej celem było przyciąganie uwagi swoimi niewyobrażalnie długimi nogami, co się udało, bo nawet Gaga przyłapała się na zbyt długim gapieniu na nie. - Ty jesteś Dominika?

- Dagmara - poprawiła ją i uśmiechnęła się. - Dagmara Zatorska.

- Basia Marecka, miło poznać. Fajnie, że już zaczniesz. Ostatnio roboty jest mnóstwo, a rąk do pracy brakuje.

- Czyli będę miała co robić? - spytała, poprawiając fryzurę, która pod kaskiem trochę przyklapła.

- Oj tak. Tutaj nikt się nie leni, bo nie ma na to czasu. Zresztą chodź, przedstawię cię wszystkim.

Ruszyły wąską klatką schodową, która prowadziła na pierwsze piętro, gdzie za szklanymi drzwiami z logiem firmy rozpościerał się open space z kilkunastoma stanowiskami pracy, przy których mimo wczesnej pory już krążyli ludzie.

## Rozdział 16

Instagram. Facebook. Twitter. Mógłby wymieniać aplikacje, które podbiły świat, a z których nigdy nie korzystał na własny użytek. Jego telefon był czysty od tych wszystkich zaśmiecających relacji, jak je nazywał. Kiedyś ludzie rozmawiali ze sobą, a teraz gapili się w telefony, szukając tam rozrywki, bliskości, emocji. Kiedyś szło się do parku, siadało na ławeczce i godzinami rozmawiało. Ludzie grali w karty, kopali w piłkę, byli razem. Teraz grają online, siedząc w knajpie, gapią się w swoje telefony, podśmiewając z przeglądanych treści i zupełnie nie zwracając uwagi na osobę siedzącą przy tym samym stole.

Najgorszy jednak aspekt tych nowoczesnych sposobów komunikacji stanowi kłamstwo. Ludzie karmią się nieprawdziwymi informacjami, co niestety czasami doprowadza do tragedii.

- Rzuciła się z mostu – usłyszał komisarz Grzegorz Wiśniewski miesiąc wcześniej od swojego kolegi, gdy w końcu udało im się odnaleźć zaginioną czternastoletnią dziewczynkę.

Każdy liczył na inny finał. W toku poszukiwań wyszło na jaw, że przez kilka miesięcy korespondowała z jakimś chłopakiem. Rozkochał ją w sobie, ale gdy w końcu się spotkali, okazało się, że wszystko, co jej opowiadał, było jednym wielkim kłamstwem. Może gdyby nie depresja, która ją nękała, wszystko skończyłoby się inaczej, jednak dziewczyna poczuła się kolejno raz oszukana. Za każdym razem, gdy komuś zaufała, ten tak czy inaczej pokazywał jej środkowy palec. W końcu nie wytrzymała i zrobiła rzecz ostateczną. Skoczyła z mostu, wprost w objęcia beztroskiej Wisły. Nie umiała pływać, nigdy nikt jej nie pomógł opanować tej umiejętności. W spotkaniu z rzeką jej szanse były zerowe. Woda szybko wypełniła jej płuca i przyjęła w swoje odmetę.

Wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Gdyby nie Instagram, nie poznałaby czterdziestoletniego psychologa, który wykorzystując zdjęcie młodego chłopaka znalezione w sieci, wzbudził w dziewczynie zainteresowanie. Gdyby nie media społecznościowe, nie dałaby się nabrać. A gdyby nie zaburzone relacje z matką i koleżankami, które zamiast patrzeć podczas rozmowy na nią, gapiły się bezmyślnie w rozświetlony ekran, może ktoś by zauważył na czas, że ma nawrót depresji, która zaczęła się po śmierci ojca.

Komisarz Grzegorz Wiśniewski sam używał komputera i telefonu do podstawowych rzeczy, ale wiedział, że dla innych to często cały świat, więc zawsze zaczynał od sprawdzenia wszystkich urządzeń należących do ofiary, a jeżeli miał taką możliwość, to i sprawcy.

Dostęp do treści na komputerze Lucyny Kaczorowskiej okazał się jednak nie lada wyzwaniem. Pierwszy raz w karierze musiał przyjść do rodziców zamordowanej z nakazem prokuratora. Zazwyczaj bez żadnego problemu bliscy ofiar przekazywali policji wszystkie rzeczy, sprzęty, które mogły być przydatne w toku dochodzenia. Tym razem rodzice dziewczyny, a w szczególności matka, powtarzali w kółko, że boją się, że komputer córki do nich nie wróci, ignorując fakt, że może on zawierać ważne dowody.

W końcu po długich przepychankach dumnie wszedł na komisariat ze zdobyczą pod pachą. Od razu ruszył na drugie piętro, gdzie swoją norę mieli informatycy. Jak lisy siedzieli w ciemnym pomieszczeniu, twierdząc, że promienie słoneczne ich rozpraszają. Pięciu gości, każdy ze słuchawkami na uszach, w skupieniu wykonywało swoją pracę.

Komisarz Grzegorz Wiśniewski cicho wślizgnął się do pokoju i od razu skierował do siedzącego w rogu Mikołaja Wronkowskiego. Trzydziestoparoletni mężczyzna, miłośnik wypieków, a w szczególności bez, był mistrzem w dostawaniu się do komputerów. Dotychczas tylko raz w karierze zdarzyło mu się poddać.

Policjant wyciągnął w jego stronę torbę z laptopem i serdecznie się uśmiechnął. Tak jak siedzący przed nim mężczyzna słyszał z niezwyklej ręki do każdego sprzętu, tak w przypadku Wiśniewskiego brak porozumienia z komputerami też znany był wszystkim na komisariacie.

- Co to? - szepnął Wronkowski, zdejmując słuchawki.

- Komputer.

- No serio? Nie zgadłbym - odpowiedział z uśmiechem na twarzy. - Rozumiem, że skoro tak stoisz, to potrzebne na wczoraj.

- Nawet na przedwczoraj. Jakiś skurwiel zgwałcił i zabił młodą dziewczynę. Prawdopodobnie spotykała się z jakimś chłopakiem. Musimy go znaleźć, a w komputerze podobno są jego zdjęcia, więc liczę...

- Na ciebie, o najlepszy z najlepszych - skończył za niego wypowiedź i zabrał trzymany przez komisarza pakunek.

Policjant obserwował, jak informatyk otwiera czarną torbę, którą zabrał wraz ze sprzętem. Wronkowski delikatnie wyjął laptop i położył na biurku, jakby nie było to zwykle urządzenie, lecz coś ekstremalnie kruchego. Z nabożnością, jakiej mógłby się spodziewać po chirurgu otwierającym skalpelem klatkę piersiową pacjenta, uniósł klapę i przysunął sprzęt w swoją stronę. Wykonał kilka ruchów nad klawiaturą, po czym przekręcił komputer w stronę Grzegorza Wiśniewskiego.

- *Voilà!* - prychnął i uśmiechnął się.

- Ale jak? Tak szybko?

- Mogłeś być bohaterem, ale wolałeś oddać mi ten tytuł. - Mężczyzna zamknął komputer, włożył do torby i oddał zdziwionemu komisarzowi. - Gdybyś chociaż trochę uważał na naszym ostatnim wykładzie, a nie wyszedł z założenia, że to nie dla ciebie, wiedziałbyś, jakie są najpopularniejsze hasła. A tak to musisz się pomęczyć.

- Żartujesz? - Wziął komputer pod pachę i widząc, jak kolega z powrotem zakłada słuchawki na uszy i wraca do pracy, nic nie robiąc sobie z faktu, że on tam jeszcze stoi, wyszedł z pomieszczenia.

Na szczęście hasło faktycznie nawet dla niego nie stanowiło problemu. 123456, najczęściej używane zabezpieczenie, również Lucyna Kaczorowska wybrała jako zaporę przed intruzami.

Czekał, aż komputer się włączy, zastanawiając się, czy znajdzie w nim coś ciekawego. Cały czas nie znali odpowiedzi na kilka ważnych pytań. Nikt nie widział dziewczyny od środy. Według patologa Lucyna Kaczorowska zmarła w nocy z czwartku na piątek około godziny pierwszej, maksymalnie drugiej w nocy. Co się działo z nią w międzyczasie, nikt nie wiedział.



To, co wiedzieli na pewno, to to, że miejsce znalezienia ciała było tożsame z miejscem morderstwa. Plamy opadowe jednoznacznie potwierdziły, że zwłoki nie były przenoszone. Dokładnie w tym miejscu dziewczyna została pozbawiona życia, jedynie trochę przesunięto ją po zatrzymaniu czynności życiowych.

Poza tym ten, kto się tego dopuścił, musiał znać godziny pracy wesołego miasteczka, ale również wiedzieć, w jaki sposób funkcjonowało. Atrakcje dla gości działały do dwudziestej, jednak pracownicy przemieszczali się po nim – sprząтали, zamykali poszczególne karuzele, czasami wykonywali drobne prace – do dwudziestej drugiej. Później na tym terenie zostawał tylko ochroniarz. Ten niestety tego wieczora, około dwudziestej trzeciej, zasnął i niczego nie widział i nie słyszał. Obudził się około drugiej i zrobił obchód. Uliczką, przy której znaleziono dziewczynę, nie szedł, ponieważ nie stała przy niej bezpośrednio żadna atrakcja i właściciel nie wymagał jej nadzorowania. Wypytywany o dni poprzednie, jakieś nietypowe zachowania zeznał, że niczego nie zauważył. Ochroniarze ze zmiany dziennej, a pracowało ich w cyklu zmiennym aż czterech, również nie wyłapali niczego szczególnego. Jeden tylko wspominał o jakimś wyklócającym się chłopcu, który dostał ataku hysterii, ponieważ nie został wypuszczony na jedną z atrakcji. Niestety wymagano na niej półtora metra wzrostu, a on ze względu na karłowatość mierzył mniej. Szybko jednak wykluczyli to zdarzenie z listy godnych uwagi.

Sprawdzenie kamer, przesłuchanie kelnerów z okolicznych knajpek, którzy późnym wieczorem kończyli pracę, niczego nie dało, dlatego tak wielką nadzieję komisarz Grzegorz Wiśniewski pokładał w kupie metalu i podzespołów, której sposobu działania zupełnie nie rozumiał.

Po dwóch minutach, które minęły, od kiedy wcisnął przycisk z symbolem „power”, a które w jego ocenie trwały wieczność, na ekranie pojawiło się zdjęcie psa. Ani razu nie widział go w mieszkaniu Kaczorowskich. Z tego, co usłyszał podczas drugiej wizyty, czworonóg wabił się Włodzimierz, co brzmiało dość intrygująco, i należał do dziewczyny. Wiśniewski dopisał do listy do sprawdzenia, by dowiedzieć się, co stało się ze zwierzątkiem.

Po kolejnej minucie na ekranie zaczęły pojawiać się foldery. Dziewczyna wszystko porządnie skatalogowała. Wybrał pierwszy z góry – „Szkoła”. Znalazł tam kolejne: „Matura” i „Studia”. Szybko przejrzał ich zawartość, ale nie widząc niczego szczególnego, wszedł do kolejnego. Foldery „Priv” i „Różne” również nie zawierały niczego, co mogłoby im pomóc. Przejrzał kolejny i nic. Siedział przed urządzeniem i jak zwykle w starciu z techniką czuł się przegrany. Bez większych nadziei kliknął w końcu ikonę kosza.

Na widok znaleźnika aż podskoczył. Jak wprawny użytkownik zmienił ustawienia widoku i wyświetlił wszystko jako listę, z ustawionymi najwyżej tymi najświeższymi plikami. To, co mu się od razu rzuciło w oczy, to fakt, że w folderze znajdowały się tylko pliki formatu .jpg, co według jego wiedzy oznaczało zdjęcia lub obrazki.

Wyświetlił to na górze z datą trzeciego czerwca – sprzed kilku dni. Lucyna Kaczorowska przytulała się na nim do jakiegoś faceta, ale widoczne było tylko jego ramię i kawałek klatki piersiowej. Grzegorz wyświetlił kolejne i kolejne, nadal nic. Przejrzał w sumie osiemnaście zdjęć z ostatniego miesiąca i ze smutkiem stwierdził, że na żadnym z nich nie uwieczniono twarzy faceta. Mimo to Wiśniewski uśmiechnął się. Na nadgarstku mężczyzny dostrzegł coś, co, jak liczył, mogło pozwolić mu na identyfikację.

Kolejne zdjęcia były dużo starsze. Według daty w metadanych plików zrobiono je w grudniu zeszłego roku. Tym razem jednak dziewczyna prezentowała się z chłopakiem, który bez problemów pokazywał twarz. Poznał go od razu – był to Krótki, o którym mówiła mu Kasia Maciejewska. Podobnie jak na widzianych wcześniej fotografiach nie sprawiał wrażenia sympatycznego mężczyzny. Mocno zarysowana żuchwa, cienkie i ciągle zaciśnięte usta. Wizualnie zupełnie nie pasował do dziewczyny, która wyglądała na niewinną i niezmiernie sympatyczną. Wiśniewski musiał jednak przyznać, że w swojej pracy spotkał wiele kobiet, które szukały miłości nie tam, gdzie powinny. W ramionach mężczyzn, którzy nie byli w stanie jej dać, sami nigdy jej nie zaznawszy. Czasami też w ramach samospełniającej się przepowiedni kobiety z rodzin, gdzie przemoc domowa była na porządku dziennym, mimo zapewnień, że będą od niej stronić i nigdy nie zwiążą się z osobą przemocową, w końcu i tak łądają u boku kogoś takiego, bo tylko takie życie znają.

Przejrzał kolejne zdjęcia i nie znalazłszy niczego szczególnego, włączył przeglądarkę. Gdy pojawiły się zakładki, poczuł się tak, jakby wygrał na loterii. Miał przed sobą dostęp do wszystkich mediów społecznościowych i maila, bo profile były zalogowane. Tak jakby dziewczyna sądziła, że swoim skomplikowanym hasłem uchroni komputer przed intruzami.

Sprawdził pierwszą zakładkę.

Instagram. Z tego, co był w stanie wyłapać, to Lucyna nie należała do gwiazd internetu. Jej konto obserwowano zaledwie sto dwadzieścia siedem osób, ona za to lubiła śledzić innych. Obserwowała aż dwa tysiące trzysta dwanaście osób. Pobieźnie przejrzał listę i stwierdził, że nie ma zielonego pojęcia, kim oni są. Celebryci? A może zwykli szarzy ludzie?

Zajrzał na jej profil. Każde zdjęcie zrobione z ręki prezentowało roześmianą twarz dziewczyny, tak inną od tej, którą widział w wesołym miasteczku. Podczas spaceru po lesie z psem. Na ławce w parku. Znalazł raptem dwa ujęcia, na których nie była sama. Jedno zrobiła z Jagodą w kawiarni, a drugie z Kasią, w mieszkaniu, ale na pewno nie tym, które dzieliła z rodzicami. W tle było zdecydowanie za czysto.

Ostatnie zdjęcie wykonała w wesołym miasteczku, trzy dni przed swoją śmiercią. Swoim zwyczajem uśmiechała się do aparatu trzymanego w dłoni. W tle widoczny był diabelski młyn, najczęściej fotografowana atrakcja wesołego miasteczka, w którym została zamordowana.

W kolejnej zakładce znalazł internetowy sklep jednej z polskich sieciówek. Prawdopodobnie chciała kupić jakieś krótkie spodenki, ponieważ w kolejnych pięciu otwartych kartach znalazł kilka różnych propozycji.

Przeglądał kolejne zakładki, irytując się coraz bardziej. W końcu odnalazł jej konto na Gmail. Wchodził po kolei w każdą wiadomość. Niestety poczta elektroniczna nie zawierała niczego podejrzanego. W ostatniej karcie znalazł stronę główną Facebooka. Jakiś czas temu jego starsza córka Dorota zrobiła mu szkolenie ze wszystkich platform, żeby mógł wiedzieć, jak się na nich poruszać. Ćwiczył pod czujnym okiem swojej pierworodnej przez cały weekend, ale teraz, patrząc na ekran, nie wiedział, co ma zrobić.

Powoli zaczął zjeżdżać w dół strony. Dopiero po chwili zorientował się, że są to treści, których nie opublikowała Lucyna Kaczorowska, ale jej znajomi. Kliknął w zdjęcie profilowe w lewym górnym rogu.

– Udało się! – krzyknął sam do siebie.

Jego oczom ukazała się ściana, jak określiła to jego córka, z wszystkimi opublikowanymi postami dziewczyny, w chronologicznym ustawieniu.

Pierwszy wyświetlał się wpis dotyczący wesołego miasteczka. „Trochę szaleństwa w tym smutnym świecie” – napisała pod zdjęciem z diabelskim młynem w tle, które przed chwilą widział na jej profilu na Instagramie. Pod zdjęciem kilka koleżanek zostawiło reakcje „like”.

Przejrzał wpisy, cofając się aż do 2015, i nie znalazłszy nic ciekawego, już chciał wyłączyć komputer dziewczyny, gdy przypomniał sobie o jednym miejscu, którego jeszcze nie zdążył sprawdzić. Wrócił do pierwszej zakładki od lewej z Instagramem i kliknął ikonkę przypominającą papierowy samolot.

Wszedł w wiadomości i otworzył pierwszą od góry rozmowę. Gdy zobaczył jej treść, aż podskoczył z ekscytacji, a włoski na przedramionach stanęły mu dęba.

## Rozdział 17

Położyła się na plecach na kanapie i wyciągnęła ręce. Czowała napięcie w całym ciele. Od dawna obiecywała sobie codzienną dawkę rozciągania i rolowania, ale zazwyczaj znajdowała coś fajniejszego i atrakcyjniejszego niż tortury, jak postrzegала obie czynności. Teraz jednak czuła konsekwencje tego zaniedbania. Powoli rozchodzący się od potylicy ból nasilał się i zaczynał dochodzić do czoła. Dagmara dobrze znała ten typ napięciowego dyskomfortu i wiedziała, że w następnej fazie zaatakuje całą twarz. Gdy pierwszy raz ją to dopadło, myślała, że zwariuje. Jak napięcie w dole głowy mogło wywoływać ból oczu lub uszu? Ale gdy trafiła do swojego ukochanego pana Michała, fizjoterapeuty, którego posądzała o konszachty z siłami nieczystymi, okazało się, że to wszystko jest wytłumaczalne.

Uciskając przyczepione do potylicy zakończenia mięśni, czuła, jak jej twarz się rozluźnia, a rozsądający jej głowę ból znika. Niestety, jak wiele rzeczy, praca nad sprawnością i napięciami wymagała systematyczności, na co nie miała czasu lub najzwyczajniej nie mogła go znaleźć, bo na przeszkodzie stawały dużo atrakcyjniejsze zajęcia.

Powoli wstała z kanapy i rozejrzała się. Nosiło ją. Najchętniej zadzwoniłaby do Carlosa lub innego znajomego i wyszła na miasto, jednak wiedziała, że nie może. Rano musiała być w biurze już o ósmej rano, a jej wyjścia często kończyły się niewiele wcześniej. Wbrew rozsądkowi i swoim własnym postanowieniom podniosła kanapę i wyjęła teczkę przyniesioną przez Milenę Górską.

Przesunęła na stoliku zimne już danie tikka masala, napiła się piwa, wyjęła z teczki zdjęcia i zaczęła je układać jedno obok drugiego. Pierwsze, które wyciągnęła, prezentowało bajkową leśną scenerię. Zwykły sosnowy las, spowity poranną mgłą, zapraszał na swoje łono, aby w spokoju i ciszy oderwać się od zgiełku miasta. Tylko jeden szczegół zakłócał ten obraz i powodował ucisk żołądka. Na leśnej polanie ktoś leżał. Akurat pierwsze zdjęcie, które Dagmara wybrała, było zrobione z odległości kilkunastu metrów i ciało dziewczyny nie znajdowało się na pierwszym planie. Sięgnęła po kolejne i poczuła, że zjedzona przed chwilą indyjska potrawa chce uciec z jej żołądka.

Dziewczyna leżała na brzuchu z głową wciśniętą w ziemię, tak że nie widać było jej twarzy. Ręce ktoś ułożył jej wzdłuż ciała. Ale to, co chyba wstrząsnęło Dagmarą najmocniej, to widok bladych, nagich pośladków, które świeciły niczym księżyc w pełni na bezchmurnym niebie.

Z przeczytanego raportu z sekcji zwłok wiedziała już, że przyczyną śmierci były rany klute zadane jakimś ostrym przedmiotem w typie szpikulca do lodu, jednak nigdy go nie odnalaziono. Dodatkowo dziewczyna została kilkakrotnie zgwałcona w bardzo brutalny sposób, z wykorzystaniem dużej wielkości przedmiotu, którego również nigdy nie namierzono. Choć nigdy nie zostało to potwierdzone ponad wszelką wątpliwość, morderca gwałcił ją również po śmierci, o czym mogły świadczyć rany pochwy i odbytu.

To, co było pewne, to fakt, że dziewczyna cierpiała przed śmiercią. Nikt nie był w stanie ustalić, jak długo ten psychopata, bo inaczej Dagmara nie mogła o nim myśleć, pastwił się nad swoją ofiarą. Od momentu jej zniknięcia do chwili odnalezienia w lesie upłynęło ponad czterdzieści osiem godzin i nikt nie wiedział, przez jaką część tego czasu obcowała z tym dewiantem.

Dagmara wyciągnęła wszystkie zdjęcia i oglądała je jedno po drugim, mając nadzieję, że coś znajdzie. Coś, czego wcześniej nikt nie wyłapał. Nic takiego się jednak nie stało.

Wyjęła z teczki listę znajomych dziewczyny i zaczęła wyszukiwać ich na Facebooku. Spośród siedmiu osób wymienionych przez matkę na szybko znalazła cztery. Wysłała tłumacząc-zaczepną wiadomość i poszła po kolejne piwo do lodówki.

Gdy wróciła na kanapę, czekała na nią już pierwsza odpowiedź.

„Tak, znałem Gabrysię. Cieszę się, że ktoś w końcu chce się tym zająć. Mogę być w centrum za pół godziny” – napisał Hubert Wójcik. Dagmara patrzyła na wiadomość i zastanawiała się, co zrobić. Z jednej strony dawno temu obiecała matce, a później i ojcu, że nie będzie zajmowała się sprawami kryminalnymi. Zresztą sama w duchu czuła, że nie zasługują na dodatkowe stresy po tym, co przeszli. Z drugiej jednak strony... ciekawość robiła swoje.

Czując, że popełnia błąd, podała mu adres jednej z fastfoodowych sieciówek, dokładną godzinę spotkania i swój numer telefonu. Zamknęła klapę różowego macbooka air, duszkiem dopiła do końca piwo i wrzuciła na siebie T-shirt i krótkie spodenki, bo po domu lubiła chodzić ubrana tylko w bieliznę.

Dwadzieścia minut później siedziała w maku i rozglądała się w poszukiwaniu chłopaka. Gdy wszedł, od razu wiedziała, że to on. Przejrzała jego zdjęcia na Facebooku – burza blond loków, niebieskie oczy i sympatyczny uśmiech. Typ surfera, zdecydowanie mógł się podobać dziewczynom.

– Dagmara? – spytał, stając jakieś dwa metry przed nią.

– Zgadza się.

– Hubert. – Wyciągnął do niej rękę. – Ale możesz do mnie mówić Bert.

– Miło mi. – Uściśnęła jego dłoń i uśmiechnęła się. – Zjesz może coś?

– Nie. Urwałem się na chwilę z roboty, więc nie mam za dużo czasu.

– Rozumiem – odpowiedziała. – To nie przeciągając, opowiedz mi jak najwięcej o Gabrysi Górskiej.

– Hmm...

Chłopak podwinął rękaw, pokazując niedokończony tatuaż. „Fajny”, pomyślała i szybko wróciła wzrokiem na twarz rozmówcy.

– Gabi, jak na nią wołała część znajomych, nigdy nie wyróżniała się niczym szczególnym i chyba dlatego ją lubiłem. Była szczerą i naturalną, a teraz tacy mają wbrew pozorom najtrudniej. Nigdy nie robiła niczego na pokaz. Zналиśmy się od podstawówki, chociaż wtedy chodziliśmy do różnych klas. W liceum już do jednej. Myślę, że mogę śmiało powiedzieć, że się przyjaźniliśmy, a dwa miesiące przed jej śmiercią... – Chłopak zawiesił głos i westchnął. – Zaczęliśmy się spotykać.

– Jako para? – rzuciła, momentalnie karcąc się w myślach.

- Tak, jako para. Nikt o tym nie wiedział. Obiecaliśmy dać sobie więcej czasu. Nie żebyśmy się wstydzieli, ale gdy przyjaciele zaczynają się spotykać, to zawsze budzi to wiele emocji.

- Jak najbardziej rozumiem. I jak wam się układało?

- Dobrze. Zaczęliśmy nawet planować wspólny wyjazd nad morze. Chcieliśmy z plecakami przejechać wybrzeże, od Władka po Międzyzdroje.

- Świetny pomysł.

- Wiem - powiedział smutno. - Nigdy tego nie zrobiliśmy. Sam też nie pojechałem. Gdybym wybrał się z kimś innym, czułbym, że ją zdradziłem. A samemu to jakoś smutno.

- Czy Gabrysia miała jakichś wrogów? Ktoś mógł chcieć zrobić jej krzywdę?

- O nie! - krzyknął zdecydowanie za głośno, przez co kilka siedzących w okolicy osób spojrzęło na nich karcącym wzrokiem. - Ona nigdy nikomu nie zrobiła niczego złego. Pomagała w schronisku. Zresztą to dzięki niej sam zostałem wolontariuszem.

- Fajna sprawa.

- Wiem. Czuję, że tak mogę ją uczcić.

- A czy przed jej śmiercią stało się coś nadzwyczajnego?

- Nie. Nasze życie nigdy nie było wypełnione jakimiś niesamowitymi rzeczami. Takie nudne, spokojne, bez szaleństw, ale lubiliśmy to. - Uśmiechnął się smutno. - Jedną z niewielu odskoczni były koncerty.

- Koncerty?

- No wiesz, takie miejsce, gdzie ludzie na scenie grają na instrumentach i śpiewają, a inni słuchają i tańczą - wyjaśnił z lekkim uśmiechem.

- No tak - westchnęła i pokiwała głową.

- Niestety z nimi zawsze był mały problem, ponieważ pani Milena nie lubiła takich zbiorowych imprez. Wymyślała jakieś historie, że ktoś nas zgniecie albo się zgubimy. Więc Gabi nigdy jej o tym nie mówiła. Zawsze wymyślała inny powód swojego późnego powrotu do domu.

- A kiedy był ostatni koncert?

- Trzy dni przed jej zniknięciem.

- Hmm... - Dagmara Zatorska sięgnęła po teczkę. - W dokumentach nie znalazłam na ten temat żadnej adnotacji, a powinna być.

- Wiem, to przeze mnie, przyznaję - powiedział smutno. - Początkowo myślałem, że to zaginięcie. Więc gdy policja mnie przesłuchiwała, nic nie powiedziałem. Bałem się, że jak w końcu wróci cała i zdrowa, wpadnie w kłopoty. A gdy już ją odnaleziono martwą, to zapomniałem. Nigdy nikomu o tym nie wspominałem.

- A jak i kto znalazł ciało?

- Szukaliśmy Gabrysi dwa dni. Nie ukrywam, do samego końca wierzyłem, że zaraz wróci do domu cała i zdrowa, tłumacząc, że chciała na chwilę się wyrwać i pojechała stopem nad morze, a telefon zostawiła w przydrożnej toalecie. Jednak tak się nie stało. Znalazł ją fan jagód czy grzybów. Chyba nie tego się spodziewał. - Mężczyzna westchnął. - Od razu wieść się rozeszła. Zauważył ją w lesie niedaleko naszej podstawówki. Tam jest taki fajny laszek, ale ma złą sławę, dlatego niektórzy się go boją. Przybiegłem na miejsce chyba z dziesięć minut po tym, jak poszła plotka na ten temat. Nawet policja nie zdążyła jeszcze ogrodzić terenu i odgonić ga-

piów, którzy tłumnie się zebrali. Widziałem ją. Leżała na brzuchu. Z rękoma tak dziwnie ułożonymi – ułożył swoje wzdłuż ciała – tak jakby ktoś ją zostawił celowo w tej nienaturalnej pozycji. Chciałem ją przykryć, ponieważ miała całe widoczne pośladki, no i nie tylko, ale odgonił mnie jeden z policjantów. Nie wierzyłem w to, co widzę. Takie rzeczy oglądałem dotychczas tylko w filmach. A tu nagle moja przyjaciółka, najfantastyczniejsza osoba, jaką poznałem, leżała martwa, z twarzą wbity w ziemię, no i jeszcze... – Zawiesił głos i zapatrzył się za okno.

– Co?

– Te majtki. Nie wiem, dlaczego je tak ułożył. W sumie to nie wiem, po co w ogóle była ta chora inscenizacja.

– A co było z majtkami? – Nie przypominała sobie, by coś o nich czytała, a przed wyjściem obejrzała jeszcze raz wszystkie zdjęcia.

– Leżały ułożone równo, jak od linijki, jakieś pół metra od jej stóp.

– Hmm, faktycznie dziwne. A co zaskakujące, nigdzie nie widziałam tego w dokumentach, które otrzymałam od pani Górskiej.

– Nigdy nie widziałem dokumentów. – Chłopak westchnął smutno i pokręcił głową. – Ja cały czas nie mogę się z tym pogodzić. Teraz już tylko zostaje cień nadziei, że znajdą tego popełźniacza, co ją zabił. Początkowo wszystkim bardzo zależało na rozwiązaniu sprawy. Przepytawali wielokrotnie każdego, kto ją znał lub widział w ostatnich tygodniach przed morderstwem, ale po dwóch miesiącach odpuścili. Tak jakby ta sprawa przestała mieć znaczenie. Jakby wpadła im lepsza, ciekawsza. A tutaj musieli za dużo pracować, myśleć, szukać, kombinować. Za trudne dla nich, więc łatwiej odpuścić. Parokrotnie próbowałem się czegoś dowiedzieć. Odwiedzałem komisariat, ale nie chcieli mi nic powiedzieć. Raz poszedłem nawet do mamy Gabi, ale widząc, w jakim jest stanie, nie chciałem jej gnębić moimi pytaniami o postępy w sprawie. Liczyłem, że kiedyś znajdą tego bydlaka, który jej to zrobił, jednak nigdy to nie nastąpiło, dlatego gdy napisałaś do mnie, aż podskoczyłem z radości. Wiem, że szanse na to są znikome, ale to zawsze coś.

– Tak, tylko ja...

Dagmara nie wiedziała, jak przekazać chłopakowi, że nie zamierza bardziej angażować się w sprawę. Patrząc w jego oczy, nie miała serca mu tego wyjawić. Przynajmniej nie teraz, gdy pierwszy raz od pięciu lat pojawiła się iskierka nadziei.

– Tak?

– Nic. Jeżeli uda mi się pomóc, będę niezmiernie szczęśliwa, ale nic nie obiecuję – powiedziała.

– To byłoby super. Wiem, że jej to nie wskrzesi, ale ten skurwiel nie może chodzić po ulicach. Trzeba go złapać. Poza tym wszyscy bliscy Gabrysi potrzebują spokoju. Dopiero niedawno przestałem budzić się w nocy z krzykiem, a był czas, kiedy robiłem to co chwilę.

– Znam to – wtrąciła i odruchowo pogładziła się po ramieniu, po wytatuowanej róży.

## Rozdział 18

Wiatr we włosach, wolność – z tym kiedyś kojarzył mu się motocykl. Teraz jednak, gdy widział te maszyny, targały nim inne uczucia. Przede wszystkim zazdrość, a z czasem poczucie utraty czegoś ważnego. Utraty kawałka siebie.

Od kiedy został ojcem, czyli od ponad dwudziestu pięciu lat, nie usiadł na dwukołowcu. To był poniekąd warunek jego małżeństwa. Stając na ślubnym kobiercu, Grzegorz Wiśniewski zrzekł się tej części siebie na rzecz czegoś innego. Nigdy się nie skarżył, że żona to na nim wymusiła. Rozumiał ją. Chciała, aby ich dzieci wychowywało oboje rodziców. Sam nie raz i nie dwa widział, jak kończyły się niewinne wycieczki motorowe. Często nawet najbardziej wytrawni motocykliści ulegali wypadkom, i to tym z najgorszym zakończeniem. Już wykonywany przez niego zawód niósł za sobą wiele zagrożeń, więc chciał chociaż tego oszczędzić żonie.

Komisarz Grzegorz Wiśniewski podjechał pod warsztat Wojtka Borowieckiego, z którym znał się od lat. Jeszcze w innym życiu dwa razy w roku wybierali się na rajd. Wsiadali na motocykle z przyczepionymi wielkimi sakwami i ruszali, mając tylko obrany cel. Cały przebieg trasy był wielką niewiadomą. Zresztą wtedy, gdy internet traktowano jak technologię kosmiczną, nie mieli możliwości zaplanowania noclegów, więc jechali na żywioł. Z reguły pod koniec dnia udawało im się znaleźć jakiś motelik czy wolny pokój u chłopca, ale kilka razy spali na polu lub w lesie i nigdy się tym nie przejmowali.

Ktoś pewnie, słuchając tych opowieści, chwyciłby się za głowę z przerażenia. Ale im to pasowało. Traktowali to jako przygodę, której przebiegu zupełnie nie mogli przewidzieć. Raz, gdy jechali na Litwę, rozwalili się motocykl Borowieckiego. Mieli takiego pecha, że stało się to w środku lasu. Czekali dobrą godzinę, a gdy nie nadjechał żaden pojazd, wstawili zepsuty jednoślad do lasu i na drugim, ledwo się mieszcząc razem, ruszyli na poszukiwanie pomocy. W najbliższej wsi nie znaleźli nikogo, kto byłby w stanie im pomóc, na szczęście kilka kilometrów dalej już tak.

Zadowoleni ruszyli przodem, a za nimi rozklekotanym trabantem jechał mężczyzna w wieku ich ojców, który twierdził, że lata pracował jako mechanik. Wszystko byłoby super, gdyby nie fakt, że nie oznaczyli miejsca, w którym zostawili pojazd. Szukali go dobre dwie godziny i gdy już zdenerwowany facet chciał wrócić do domu, zobaczyli wystające spod krzaków koło.

Przygód mieli wiele, ale ponad dwadzieścia lat temu ich drogi się rozeszły. Starali się chociaż raz w roku spotykać na piwo, ale nie zawsze się udawało. Teraz Grzegorz stał przed drzwiami do klubu motocyklowego „Strzała” połączonego ze sklepem dla fanów dwukołowców i zastanawiał się, jak zacząć. Czuł wyrzuty sumienia, że się nie odzywał od tak dawna i dopiero sprawy służbowe skierowały go do przyjaciela. Wiedział jednak, że telefon działa w dwie strony, jak powtarzała jego żona.



- No kogo widzą moje stare oczy! - usłyszał za sobą znajomy głos i odwrócił się. - Wiedziałem, że ten dzień będzie wyjątkowy, ale spodziewałem się raczej, że to będzie zasługa nowego motocykla, który niebawem dotrze, a nie odwiedzin komisarza Wiśniewskiego.

- Cześć. - Wyciągnął do kumpla dłoń, licząc na łagodne traktowanie. - Przepraszam, wiem, że miałem się odzywać częściej i dałem plamę. Obiecuję się poprawić.

Wojtek Borowiecki poklepał go po plecach i ruszył do środka salonu. Delikatnie kuśtykał na lewą nogę, ale mimo to szedł dziarsko. Kiedyś opowiedział mu podczas przejażdżki, że gdy był małym chłopcem, staranował go koń, tak nieszczęśliwie, że pogruchotał mu stopę. Od tego czasu kulał, jednak nie przeszkadzało mu to w niczym. Od kiedy policjant pamiętał, przyjaciel był aktywny. Biegał, jeździł na rowerze, dzięki czemu dawał radę dłużej wytrzymywać podczas wymagających zmotoryzowanych wypraw.

- Co cię sprowadza w moje skromne progi? - spytał Wojtek, gdy w końcu weszli do jego biura. Pomieszczenie mocno różniło się od tego, w którym zasiadał w komisariacie Grzegorz Wiśniewski. Miało przeszklone ściany, przez które można było obserwować sklep, a także mały warsztat. Na środku stał okrągły stolik, a wokół niego skórzane fotele. Na jedynej betonowej ścianie wisiały zdjęcia przeróżnych modeli motocykli z danymi technicznymi. Komisarz zawsze doceniał fakt, że kumpel nie wieszał zdjęć gołych kobiet, tak charakterystycznych dla tego typu miejsc.

- Szukam kogoś - wydusił w końcu i usiadł na jednym z foteli.

Dopiero teraz miał możliwość przyjrzeć się koledze sprzed lat. Niestety czas mocno odcisnął na nim swoje piętno. Kiedyś bujna fryzura, którą wywoływał ukłucie zazdrości nawet u niektórych kobiet, teraz mocno się przerzedziła, a brodę przyozdobiła siwizna. Pod oczami wisiały mu napuchnięte worki, a na czole miał niezliczoną ilość zmarszczek.

- O, to ciekawe - powiedział i kliknął coś na stojącej na szafce kawiarni. - Czarna bez mleka? - spytał.

- Nie powinienem, lekarz kazał mi ograniczyć, ale wiem, że masz taką, jak lubię, więc skorzystam.

- Co to się dzieje, że człowiek musi się stresować, gdy pije kawę... To powinna być przyjemność. Kiedyś ludzie czerpali z życia ile wlezie, a teraz wszystkim nas stresują. Nie jedz ciastek, bo cukrzyca się nabawisz. Uważaj na linki, które wysyłają ci znajomymi, bo zainfekują ci telefon i stracisz wszystkie oszczędności. Wszystkiego trzeba się bać, wszędzie dostrzegać zagrożenia. Nic tylko zamknąć się w domu i nigdzie nie wychodzić.

- Niestety, starość nie radość.

- To nie to, zresztą chyba trochę przesadzasz. Wyglądasz nieźle, cały czas pracujesz...

Nie zdążył dokończyć, bo kolega mu przerwał:

- Za chwilę przechodzę na emeryturę. Nie mam już siły, jestem po dwóch zawałach, plus głowa już nie zawsze kontaktuje prawidłowo. Pracuję do końca wakacji i odchodzę.

- Oj, przykro mi. - Wojtek Borowiecki podał przyjacielowi kawę i usiadł na drugim fotelu. - Mów, co cię do mnie sprowadza, bo nie ukrywam, że mnie zaintrygowałeś. Nigdy jeszcze nie pomagałem policji. - Uśmiechnął się. - Ale za to ostatnio przy produkcji filmu się udzielałem jako konsultant.

- No co ty? Musiało być super.

- Nie będę narzekać, ale to nic w porównaniu z twoją pracą. Dawaj.

Grzegorz Wiśniewski niespiesznie wyciągnął jedno z wydrukowanych z komputera Lucyny Kaczorowskiej zdjęć, na którym widoczna była ręka potencjalnego chłopaka dziewczyny. Większość osób nie zwróciłaby uwagi na bransoletkę, którą nosił na nadgarstku, jednak policjant od razu wiedział, co ona oznacza. Dostawali ją wszyscy członkowie klubu, którego nieformalny przywódca właśnie przed nim siedział. Podsunął mężczyźnie zdjęcie.

- Kto to?

Wojtek Borowiecki przez sekundę przyglądał się fotografii, aż w końcu bacznie przyglądając się przyjacielowi, rzucił:

- Damian Makowski.

- Jesteś pewien?

- Na sto procent.

- Mógłbyś coś o nim powiedzieć?

- Tak, ale muszę wiedzieć, czy zrobił coś złego. Wiesz, my tutaj mamy zasady. Zero tolerancji dla przemocy i takie tam - odpowiedział motocyklista.

- Na razie nic nie wiem. Może okazać się postacią złą, ale i dobrą. To, co wiem na pewno, to to, że muszę z nim porozmawiać, i to jak najszybciej.

- Ma około trzydziestki. Mieszka chyba na Woli. Jeździ od zawsze, już za dzieciaka jego tata woził go motocyklem. Wydaje mi się, że ma coś wspólnego z medycyną, ale nie powiem ci co. Jest w wieku mojego syna, więc poza sporadycznymi rozmowami na wyjazdach nie mam z nim za dużo kontaktu.

- Od kiedy z wami jeździ?

- Niedługo. Od roku. Raczej krótkie trasy. Tłumaczył, że ze względów rodzinnych nie może się nigdzie dalej wypuszczać.

- A wiesz, czy ma żonę?

- Chyba nie, bo nie nosi obrączki, ale to przecież nic nie znaczy. - Pokazał swoje dłonie, na których nie znajdowała się żadna biżuteria. - Jestem z moją starą od prawie trzydziestu lat i już po wyjściu z kościoła wrzuciłem ten pierścionek do kieszeni. Żle się z tym czułem. Chwilę się dąsała, ale po kilku latach sama przestała nosić, gdy w ciąży mocno przytyła, i teraz już tego nie komentuje.

- Masz jego adres?

- Hmm... - Przyjaciel uniósł kubek i upił łyk kawy. - Nie wiem, czy powinienem. My tutaj jesteśmy jak jedna wielka rodzina. Mamy siebie chronić, dbać każdy o każdego.

- Wiem, pamiętam, ale to wyjątkowa sytuacja. Została zamordowana młoda kobieta i możliwe, że twój kumpel widział ją jako ostatni.

- O Boże... - szepnął mężczyzna i wstał z fotela. Otworzył szafkę, na której stała kawiarka, i zaczął czegoś szukać. W końcu wyciągnął teczkę i podał ją przyjacielowi. - Zrób sobie zdjęcia i jeżeli dowiesz się czegokolwiek, co stawia go w złym świetle, mam się o tym dowiedzieć jako pierwszy.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się i wyciągnął telefon.

Pogadali jeszcze chwilę, dopił kawę i obiecał, że odezwie się, jak tylko przejdzie na emeryturę. Aby tak się stało, policjant dopisał spotkanie z przyjacielem na liście w notatkach i ruszył pod poznany chwilę wcześniej adres.

Na swoje szczęście zastał mężczyznę w domu i już po dwudziestu minutach ponownie siedział na wygodnym fotelu, tym razem w mieszkaniu Damiana Makowskiego. Okazało się, że na co dzień pracuje on jako pielęgniarz i ma właśnie krótki urlop. Ku zaskoczeniu Grzegorza Wiśniewskiego sprawiał wrażenie niezwykle sympatycznego człowieka.

Z Lucyną Kaczorowską spotykał się od niedawna. Tak naprawdę widzieli się raptem sześć razy, ale liczył, że na tym się nie skończy. O dziewczynie wypowiadał się niezwykle ciepło, aż w końcu z jego ust padło pytanie, którego komisarz Grzegorz Wiśniewski się spodziewał:

- A tak właściwie to dlaczego wypytuje pan o Lucy?

- Ona nie żyje - odpowiedział wprost, choć drżącym głosem.

- Jak to nie żyje? - wyszeptał Makowski i złapał się za głowę. W jego oczach pojawiło się niedowierzanie.

- Niestety wczoraj znaleziono jej zwłoki na terenie wesołego miasteczka przy...

- Tego na Wilanowie? - przerwał mu mężczyzna.

- Tak - odpowiedział zdziwiony. - Był pan tam?

- Tak, poszliśmy tam na randkę - skomentował, kręcąc cały czas głową z niedowierzaniem.

- Kiedy to było? W środę?

- Widzieliśmy się we wtorek. Właśnie w tym miejscu.

- Tam też się rozstaliście? - spytał policjant.

- Nie. Odwiozłem ją do centrum. Nie chciała, żebym odprowadził ją do domu, a przecież wiedziałem, że mieszka niedaleko. Twierdziła, że ma coś do załatwienia na mieście, ale wydaje mi się, że najzwyczajniej w świecie wstydziła się swojej rodziny.

- Coś wspominała o niej?

- Niewiele. Rozmawialiśmy o innych sprawach, ale dało się wyczuć, że ma z nimi jakiś problem. Poznaliśmy się trochę ponad miesiąc temu, więc chciałem, żeby czuła się ze mną komfortowo. Sam nie poruszałem tematów, które dla mnie były trudne. - Mężczyzna ponownie zaczął kręcić głową. - Ale w ogóle jak to mogło się stać?

- Tego jeszcze nie wiemy. Przepraszam, ale muszę o coś spytać. Co pan robił w nocy z czwartku na piątek?

- Byłem w pracy. Miałem nocny dyżur. Później pojechałem pomóc przy tacie.

- Przy tacie? - spytał zdziwiony.

- Tak, mój tata dawno temu miał wypadek...

- Na motocyklu? - wtrącił Grzegorz Wiśniewski.

- Nie, w pracy. Spadł na niego regał. Doznał trwałego urazu kręgosłupa i nie ma władzy w rękach i nogach. Poszedłem na pielęgniarstwo, żeby lepiej się nim opiekować. Mama nie dawała rady sama.

- Przykro mi.

- Nie szkodzi. Miałem trzynaście lat, kiedy to się stało. Kiedyś z tatą jeździłem na rowerze, a z czasem zaczął pokazywać mi życie z motocykla. Teraz to ja jestem jego przewodnikiem. Zabieram na wyprawy tak często, jak mogę.

- To dlatego nie jeździ pan z chłopakami ze „Strzały” na dłuższe wypadki...

- Skąd pan wie? - Mężczyzna zmrużył oczy, jakby się zamyślił. - Aha, teraz już wszystko jasne. To od Wojtka ma pan zamiary na mnie. Ale proszę się nie stresować, nie mam do niego żalu.

- Może mi pan opowiedzieć, co dokładnie robiliście podczas ostatniego spotkania?

- Przyjechałem po Lucy około siedemnastej. Była piękna pogoda, więc pojechaliliśmy na mały piknik na Pola Mokotowskie, a później ona zaproponowała wesołe miasteczko. Najpierw się zdziwiłem, to takie oldskulowe. Jednak ku mojemu zaskoczeniu super się bawiłem. Śmigaliśmy na samochodzikach, poszliśmy na kilka karuzel. Wygrałem dla niej misia. A później, tak jak wspominałem, odwiozłem ją do centrum.

- A czy w wesołym miasteczku zaszło cokolwiek nietypowego?

- Nie - powiedział pewnie, jednak po sekundzie już zmienionym głosem dodał: - Chociaż wspominała, że ktoś się na nią dziwnie gapił.

- Tam na miejscu?

- Tak, ale nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej - odpowiedział lekko zawiedziony.

- Rozumiem. Czy Lucyna wspominała, że chce tam jeszcze wrócić?

- Nie.

- A czy kiedyś mówiła coś o swoim byłym chłopaku?

- Nie. Zresztą nie pytałem. Sam niedawno zakończyłem swój związek i nie chciałem o nim rozmawiać. Gdybym zaczął wypytywać o jej, pewnie spytałaby o moją historię, czego wolałem uniknąć.

- A czy pana była dziewczyna mogłaby coś zrobić Lucynie Kaczorowskiej? - rzucił Wiśniewski, świadom, że nie miało to większego sensu, skoro ofiara została zgwałcona. Ponad dwudziestoletnie doświadczenie w policji pokazało mu jednak, że czasami najbardziej abstrakcyjne rozwiązania są tymi właściwymi.

- Nie - odpowiedział stanowczo. - Ona wyjechała za granicę, do Nowej Zelandii. Dalej nie da rady uciec z Polski.

- Rozumiem - skomentował komisarz, zostawił swój numer i wyszedł.

## Rozdział 19

ON

On wyjechał, a ja w końcu mogę robić to, co kocham. Podglądać laski.

Raz nie wytrzymałem i przy nim odpaliłem jeden z nagranych filmików. Myślałem, że śpi, a gdy on nagle wyskoczył za moimi plecami, prawie dostałem zawału. W pierwszym momencie myślałem, że to ojciec. Po chwili uspokoiłem się i zbyłem go, że to nie to, co myślał. Samo się włączyło.

Na szczęście ten koszmar się skończył i mogę ruszać na swoje. Ostatnio odkryłem basen. Nie w sensie, że nie wiedziałem, że takie coś istnieje, bo od małego ojciec mnie tam ciągał, twierdząc, że pływanie to umiejętność ważniejsza niż jazda na rowerze. Pewnie dlatego, że jego młodszy brat się utopił. Jednak na mnie te kliwne historie nie działają. To pieprzenie o zdrowiu i bezpieczeństwie zupełnie nie robi na mnie wrażenia. Dopiero jak trener sekcji powiedział, że chce, żebym startował w zawodach, poczułem chęć do pływania. Uwielbiam rywalizację, ten wyrzut adrenaliny, więc tylko dlatego się zgodziłem.

Ale i tak jest to nieporównywalne do widoku nagich ciał. To miks adrenaliny i podniecenia. W odróżnieniu od szatni w szkole na basenie kobitki rozbierają się chętniej, no i są różne. Nie podobają mi się stare. Ich skóra jest luźna, cycki wiszą do pępka. Takich nie znoszę. Zdecydowanie wolę te młode i raczej szczupłe. Może nie mają wielkich, ale są jędrne i tak fajnie skaczą przy każdym ruchu.

I co najważniejsze, cały czas ktoś się kręci. Wchodzi, wychodzi.

Po wielu próbach udało mi się znaleźć doskonale miejsce na ustawienie kamerki. Testowałem, sprawdzałem.

Ojciec tryskał dumą, gdy późnym wieczorem wracałem z treningu zmachany. A ja miałem ochotę śmiać mu się w twarz. Dla mnie najważniejsze było to, żeby móc po zajęciach, gdy już praktycznie nikogo nie ma na basenie, przejść do szatni damskiej i zmienić kasetę lub naładować kamerę. Raz weszła jakaś sprzątaczką i zaczęła na mnie krzyżeć, ale spokojnie wytłumaczyłem, że wydawało mi się, że ktoś wołał o pomoc. Naprawdę wymyśliłem płaczącą historię, że moja mama poślizgnęła się pod prysznicem i się bardzo połamiała, dlatego się przestraszyłem, bo cały czas mi się śni widok matki takiej powykręcanej. Nawet chyba łezka mi się zakręciła w oku.

Babka przez chwilę patrzyła na mnie z niedowierzaniem, ale gdy doszedłem do części, gdzie opisywałem rehabilitację, zmiękła. Poklepała mnie po rękę i powiedziała, że jestem dobrym człowiekiem.

Dobrym to jestem kłamcą, nie człowiekiem.

## Rozdział 20

Praca w agencji miała być dla Aurelii szansą, a okazała się drogą do upadku. Jej ciało zaczęło odczuwać liczne nadgodziny i eventy do późnych godzin bez jakiegokolwiek wsparcia, po których nie mogła się wyspać, tylko rano, jak pozostali pracownicy, musiała stawić się w biurze.

Pracowała w agencji już czwarty rok i miała wrażenie, że musi spełniać coraz bardziej wyśrubowane wymagania stawiane przez jej szefa. Poza tym nie znajdowała wspólnego języka z resztą pracowników. Wszyscy gadali tylko o instagramowych celebrytach, imprezach do świtu czy wyjazdach w miejsca, które dla niej były nieosiągalne.

Jednak zupełnie nieoczekiwanie pojawiło się małe światełko w tunelu. Miało na imię Dagmara i od kilku dni pracowało u nich w agencji. Ta dziewczyna spokojnie mogłaby pracować jako fotomodelka i zgarniać za to nieprzyzwoitą kasę. Co zaskakujące, poza wyglądem miała też coś w głowie. Nie machała rękami jak reszta lalkowatych dziewczyn, mimo że nie odbiegała od nich urodą. Zupełnie przypadkiem usiadła obok niej podczas wyjścia firmowego, które miało miejsce już trzeciego dnia od pojawienia się nowej.

- Przecież od takiego ciągłego szczerzenia się mogą pęknąć kąciki ust – szepnęła jej do ucha nowa, widząc, że Aurelia też obserwuje uśmiechającą się do szefa Basię Marecką, recepcjonistkę, prawdopodobnie aspirującą do roli jego kochanki.

- Ojoj, to byłaby strata – skomentowała i niepewnie spojrzała na rozmówczynię.

- Dagmara Zatorska – odpowiedziała ta i wyciągnęła do niej rękę.

- Aurelia Ibisz. Miło mi.

- Mnie również. Długo tu pracujesz?

- Trochę. Za trzy miesiące będą cztery lata.

- To długo.

- Wiem. Zostałam zatrudniona jeszcze przez żonę szefa, dlatego chyba wyglądam trochę inaczej niż większość. Niedawno się rozstali, więc zmienił się profil pracownika.

- Wyglądasz super. To cała reszta powinna popracować nad stylem. Popatrz na tamtą... – Kivnęła głową na szefową działu kreacji. – Przecież tak ubierają się... no wiesz.

- Wiem. – Uśmiechnęła się. – I cieszę się, że nie tylko ja tak uważam.

Tak zaczęło się pierwsze wyjście z kolegami z pracy, którego nie uznała za stratę czasu. Rzadko zmuszała się do udziału w takich spotkaniach. Nie znosiła tej obłudy, wymuskanych dziewczyn i śliniących się na ich widok mężczyzn. Gdy pojawiała się do tego większa ilość alkoholu, robiło się jeszcze gorzej, bo znikwały zahamowania.

## Rozdział 21

– Dziecko, jak ty wyglądasz?! – rzuciła matka, gdy tylko Dagmara weszła do jej gabinetu.

Jak co wtorek prowadziła zajęcia z tańca towarzyskiego dla dzieci i nie zamierzała z tego zrezygnować, mimo że nie wiązała swojej przyszłości ze szkołą tańca.

– Ciesz się, że przebrałam się po rowerze i nie przyszłam w spodniach z pieluchą i pstrokatą koszulką z poliestru.

Uśmiechnęła się i usiadła na jednym z hamaków, które zresztą podczas nieobecności matki sama zamocowała. Ile się później nasłuchiwała, że tak nie można... Że to nie jej szkoła, żeby samodzielnie decydowała o jej wyposażeniu i że takie rozwiązania pasują w jakiejś hipisowskiej spelunie, a nie renomowanej szkole tańca. Jednak gdy raz przyłapała matkę na cichym pochrapywaniu w materiałowym łożu, docinki i uwagi się skończyły na zawsze. Niestety tych odnośnie do jej stylu ubierania nie udało jej się uciąć nigdy. Może gdyby zaczęła nosić rajstopy niezależnie od pogody, babciowe, jak nazywała to za plecami matki, buty na niewielkich obcasach i do tego stonowane sukienki, zazwyczaj w kwiaty lub inne bliżej nieokreślone mazy, tak jak Marianna Zatorska, miałyby spokój. Jednak oznaczałoby to, że musiałyby zacząć nosić rzeczy, na które zazwyczaj nawet nie patrzyła podczas buszowania w sklepach.

Ze dwa razy nawet spróbowała ubrać się tak, aby sprawić matce przyjemność. Raz na jej imieniny przyszła w sukience, która bardzo przypominała te noszone przez Mariannę, jednak założyła do tego błyszczące buty na niebotycznych szpilkach.

– Wyglądasz jak szczudlarz – skomentowała matka, gdy Dagmara składała jej życzenia.

Innym razem było trochę lepiej. Włożyła idealną sukienkę, buty też nie były kontrowersyjne, jednak... zapomniała o fryzurze. Spięta je swoim zwyczajem w niechlujny kok.

– Prawdziwe kobiety używają grzebienia – usłyszała, gdy szykowały przekąski dla gości.

Po tych próbach stwierdziła, że nigdy nie uda jej się dojść do ideału, więc nie zamierzała podejmować więcej starań. Skupiła się na budowaniu pancerza, który pozwalał jej ignorować kąśliwe uwagi.

– Matko, ty nie jesz sera?

– Ojej, po co ty tyle ćwiczysz?

– Znowu się z kimś biłaś.

– Za dużo pijesz.

– Za mało jesz.

Co chwilę nadarzała się sytuacja, do której mogła się przyczepić, coś, co według niej stanowiło odchylenie od normy, a dla takiej poważnej kobiety, za jaką chciała być uznawana, było to nie do zaakceptowania.

Dagmara zrzuciła buty i wygodnie ułożyła się w hamaku. Najchętniej wsunęłaby sobie słuchawki do uszu, ale wiedziała, że matka by tego nie przeżyła. „Przecież ty ogłuchniesz!” lub

„To brak szacunku dla innych!” słyszała zamiennie, gdy matka widziała ją z nimi w uszach. Wołała nie sprawdzać, która uwaga padnie tym razem. Zamknęła oczy i poczuła, że zaczyna odpływać.

- To jest straszne – wytrąciła ją ze snu matka, która siedziała przy biurku i w ramach przerwy doczytywała poranną gazetę.

- Co? – rzuciła od niechcenia, wcale nie chcąc wchodzić w jakąkolwiek dyskusję.

- No ta dziewczyna.

Kobieta uniosła „Wyborczą” i pokazała zdjęcie z pierwszej strony. Dagmara zerknęła na nie niechętnie kątem oka i zamarła. Szybko zerwała się z hamaka, prawie wywijając przy tym orła, a po sekundzie siedziała już obok matki i czytała.

### ***Morderstwo w wesołym miasteczku***

*Niestety niektórym osobom to szczególne miejsce, które zazwyczaj wypełnia śmiech bawiących się tam ludzi, przez długi czas będzie kojarzyć się ze scenerią rodem z horroru.*

*W piątkowy poranek odwiedzający to miejsce ojciec z synem przypadkowo trafili na zwłoki młodej kobiety. Ofiarą była dziewiętnastoletnia Lucyna K., świeżo upieczona absolwentka jednego z liceów na warszawskim Wilanowie.*

*Morderca ułożył ją w dziwnej pozycji: na brzuchu, z twarzą wciśniętą w ziemię i rękoma ułożonymi do boku.*

*„Jeździmy po kraju od dwudziestu lat i nigdy nic tak straszego się nie wydarzyło naszym parku. Zawsze szczyliciliśmy się obsługą na najwyższym poziomie, a także atrakcjami, jakich nie ma konkurencja” – skomentował wydarzenie właściciel wesołego miasteczka, Remigiusz Mordasiewicz.*

*Policja cały czas pracuje nad ustaleniem sprawcy oraz motywu.*

*Jeżeli ktoś z Państwa był świadkiem lub widział dziewczynę w okolicach parku, proszony jest o pilny kontakt z Komisariatem Policji Warszawa Wilanów.*

Dagmara patrzyła na zdjęcie młodej brunetki, której twarz została rozmazana, i wiedziała, że nie może to być przypadek.



## Rozdział 22

Gdy Grzegorz Wiśniewski dotarł na miejsce, czuł, że ma *déjà vu*. Na ziemi wśród krzaków leżała młoda kobieta z twarzą zwróconą w stronę ziemi. Tym razem ciało zostało idealnie ułożone tak, że ręce wraz z tułowiem tworzyły krzyż. Nawet stopy ustawiono tak, aby nie rozchodziły się na boki – palce wbito w ziemię.

Nagie ciało przypominało manekin, który ktoś zostawił na leśnym runie wśród krzewów jagód. Tym razem ubrań nie było przy ciele, poza majtkami, które leżały obok, złożone w koseczkę.

– Nie spieszył się, miał zdecydowanie więcej czasu, dlatego dopracował każdy szczegół. Ręce, stopy, majtki, to wszystko ma dla niego chore znaczenie. Ułożył ją w ten sposób i napawał się widokiem – rzuciła prokurator Mirosława Korzemiacka, która ponownie dotarła na miejsce zbrodni przed nim.

Jak zwykle ubrana w czarne spodnie i koszulę, stała w bezpiecznej odległości od ciała, tak aby nie zakłócać pracy technika, i nagrywała na dyktafon swoje spostrzeżenia. Tym razem spotkali się w Lesie Kabackim, od strony Piaseczna. Gdy zadzwoniła do policjanta, ten właśnie wsiadał do samochodu. Pierwszy raz od dawien dawna planował pójść do kina, niestety jak to często się zdarzało, nie było mu to dane. Żona ze smutkiem w oczach powtarzała, że nic się nie stało i niech już jedzie. Niedługo jakaś matka wpadnie w rozpacz, a on będzie jej nadzieją na szybkie znalezienie mordercy córki.

Z reguły nie zapuszczał się w okolice Ursynowa. To nie był już jego rewir, jednak zbyt duże podobieństwo do morderstwa Lucyny Kaczorowskiej powodowało, że prokurator zadzwoniła do niego i wymogła szybkie stawienie się na miejscu znalezienia zwłok. Tym razem na ciało trafiła młoda dziewczyna, która biegła tędy co sobotę. Z początku myślała, że ktoś przysnął w drodze powrotnej po piątkowej imprezie. Możliwość przejścia z Ursynowa do znajdujących się po drugiej stronie lasu małych osiedli wzdłuż jednej z dłuższych ulic w Warszawie – Puławskiej – powodowała, że w weekendowe wieczory przemieszczało się tędy wiele osób.

Komisarz przystanął obok pani prokurator i rozpiął guzik pod szyją. Ostatnio żona odkopała na strychu stare koszule, które nosił ponad dwadzieścia lat i pięć rozmiarów temu. Generalnie leżały na nim dobrze, z czego się ucieszył, jedynie przy szyi niektóre go trochę cisnęły.

Wystarczyło jedno spojrzenie na ofiarę, by wiedział, że nie mógł to być przypadek, i zrozumiał, dlaczego pani prokurator tak nalegała na jego obecność.

– Faktycznie chyba się nie spieszył. Tylko co ma oznaczać ta inscenizacja? Chce nam coś przekazać? To część jakiegoś przedstawienia?

– Może jest nawiedzonym księdzem i krzyżuje niegodne stąpania po ziemi kobiety? – rzuciła zaczepnie i podrapała się po głowie.

– Tylko że pierwsza ofiara raczej nie była typem grzesznicy. Z tego, co nam wiadomo, to nie należała do grona proszących się o kłopoty dziewczyn.

- Tego jeszcze nie wiemy. Poza tym może się okazać, że odbiór dziewczyny jako grzesznicy jest zupełnie kosmiczny i nikt normalny tego nie zrozumie – westchnęła ze smutkiem.

- I tak mówi mój policyjny nos.

- Super, a coś jeszcze ci szepcze?

- Że musimy zewrzeć dupy, bo mogą być kolejne ofiary.

- To i mój wnuk mógłby powiedzieć, a tak serio? Z kim mamy do czynienia? – dopytywała.

Właśnie dlatego komisarz Grzegorz Wiśniewski lubił pracować ze stojąca koło niego kobieta. Zawsze drażyła, dopytywała, nie odpuszczała. Nie szła na łatwiznę, zrzucając ogrom pracy na policjantów.

- Może z jakimś fanatykiem religijnym, który chce zbawiać świat.

- Naciągane, dawaj dalej.

- Może to jakiś uciekinier z psychiatrika, który ma manię krzyży. Może w dzieciństwie został wykorzystany i patrzył wtedy na krzyż. Albo zraniony w dzieciństwie mężczyzna, który nie potrafi zawierać znajomości, więc robi to siłą.

- Oj, kombinujesz.

- Wiem, ale czy jest jakieś racjonalne uzasadnienie dla czegoś takiego? – Głową wskazał na leżącą dziewczynę. – Przecież trzeba być nieźle popieprzonym, żeby coś takiego zrobić. Z mordercami gwałcącymi swoje ofiary czasami się spotykamy, ale gdy zaczynają układać je w dziwnych pozycjach, wchodzą dodatkowe komplikacje. To na bank coś oznacza i nasza w tym głowa, żeby zorientować się, o co chodzi, i zapobiec kolejnym atakom.

- I to mnie przeraża. Jeżeli w ciągu ośmiu dni popełnił dwie podobne zbrodnie, możemy spodziewać się kolejnych. Trzeba zrobić wszystko, aby jak najmniej szczegółów dostało się do mediów, bo inaczej zacznie się histeria, i to na skalę niespotykaną. Każdy zatrzyma swoją córkę w domu, niezależnie od tego, ile ma lat, dwanaście czy trzydzieści osiem. W okolicy czy odległym Tarchominie. Bo przecież nikt nie założy, że morderca nie wsiądzie w autobus czy metro i nie przejedzie na drugi koniec stolicy. Może rozpętać się istny armagedon.

- Też tego się obawiam – westchnął i momentalnie pomyślał o swoich córkach, które od niedawna mieszkały na warszawskim Ursynowie, zwanym sypialnią warszawy. Koniecznie musiał im delikatnie zakomunikować, że nie mają się same przemieszczać, szczególnie po terenach słabo oświetlonych i nieuczęszczanych, co niestety wielokrotnie robiły, powtarzając mu: „Tato, tutaj jest bardzo bezpiecznie”. Teraz, patrząc na zwłoki dziewczyny, miał dowód na to, jak bardzo się myliły.

- Jak to pięknie powiedziałaś, trzeba zewrzeć dupy i znaleźć typa. Zbierz ekipę. – Widząc zdziwioną minę Grzegorza Wiśniewskiego, dodała: – Zaraz pogadam z twoim komendantem. Masz ode mnie zielone światło na wszystko. Sprawdźcie kamery. Przesłuchajcie okolicznych mieszkańców. No i wyciągnij wszystko o dziewczynie. Może coś ją łączyło z poprzednią ofiarą. Kopcie jak krety, tak głęboko, jak się da. Musimy namierzyć psychola jak najprędzej, inaczej ci na górze zrobią nam z dup jesień średniowiecza. – Tym miłym akcentem zakończyła rozmowę, odwróciła się do kucającego niedaleko technika i zaczęła o coś wypytywać, zostawiając komisarza z czarnymi myślami krążącymi po jego głowie.

## Rozdział 23

Dagmara patrzyła na zdjęcie dziewczyny z gazety i wiedziała, że to niemożliwe, aby mógł to być zbieg okoliczności. Jej twarz podobna była do tej, którą widziała na zdjęciach pozostawionych przez matkę Gabrieli Górskiej. Z pogonią myśli w głowie przeprowadziła zajęcia z podstaw tańca, mając wrażenie, że każda z jej uczennic, powtarzając przedstawiane przez nią ruchy, wie dobrze, że trenerka jest dzisiaj zupełnie gdzie indziej i perfekcja poruszania się w walcu wiedeńskim guzik ją interesuje.

Gdy serdecznie, choć w pośpiechu pożegnała ostatnią z uczestniczek kursu, w biegu chwyciła swój rower i już po piętnastu minutach siedziała na kanapie w salonie, zasypana dokumentami z teczki, której miała unikać jak ognia. Weszła na jedną ze stron z wiadomościami, szybko odnalazła zdjęcie zamordowanej kilka dni wcześniej dziewczyny i położyła obok ekranu portrety zamordowanej pięć lat wcześniej. To nie mógł być przypadek. Wyglądały jak siostry albo chociaż kuzynki. Brunetki, o dość pulchnych twarzach, szeroko rozstawionych oczach, dziewczyny, które ciężko było nazwać ładnymi. Obie miały jednak coś sympatycznego w wyrazie twarzy. Coś nieuchwytnego, trudnego do opisanie słowami, ale gdy człowiek na nie patrzył, czuł to w sercu.

To, co również je łączyło, to fakt, że obie zostały zgwałcone oraz zabite. Co do kolejności, to Dagmara nie miała jeszcze konkretnych danych.

Na ciele Gabrysi Górskiej dodatkowo znaleziono liczne rany klute, ale biorąc pod uwagę fakt, że zbrodnie te dzieliło aż pięć lat, morderca mógł zmienić swój sposób działania. Może w jego mniemaniu udoskonalił go, by czerpać ze zbrodni jeszcze więcej chorej satysfakcji.

Co najważniejsze, oba ciała znaleziono w dziwnych pozycjach, które były swojego rodzaju podpisem mordercy.

Dagmara już miała wyłączyć komputer, gdy na ekranie zobaczyła nagłówek nowego newsa na portalu informacyjnym.

„Ciało młodej dziewczyny znalezione w Lesie Kabackim”

## Rozdział 24

– Czy ty uważasz, że jesteśmy jakąś organizacją charytatywną?

– Nie, ale moja mama jest w szpitalu i źle się czuje – powiedziała Aurelia ledwo słyszalnym głosem, licząc chociaż na odrobinę empatii.

– Przykro mi, ale jest robota do zrobienia. Dzisiaj musi wyjść oferta do urzędu, inaczej nie mamy szans na przedłużenie kontraktu. Wszyscy są na eventach, więc jeżeli tego nie zrobisz, możesz się nie pokazywać więcej w pracy.

I to tyle, co usłyszała. Zero współczucia. Zero dopytywania o szczegóły. Wiedziała, że nie jest ulubienicą szefa, ale robiła wszystko, co kazał. Przychodziła pierwsza, wychodziła ostatnia. Niejednokrotnie nie miała już sił, ale nie poddawała się. Płacono jej nieźle, ale wiedziała, że inni zarabiają lepiej. Z bliżej nieokreślonych powodów premie omijały ją szerokim łukiem. Robiła wszystko najlepiej, jak potrafiła, a i tak czuła się nic nieznaczącym trybikiem, którym można pomiatać na każdy możliwy sposób.

Tak jak teraz.

Dzień wcześniej, wieczorem, odebrała telefon ze szpitala, z oddziału intensywnej terapii. Pani doktor spokojnym, lecz dość chłodnym głosem oznajmiła, że jej matka dostała udaru i leży u nich. Podobno poszła do sklepu spożywczego i nagle padła na ziemię. Zawieźli ją do szpitala, a gdy tylko odzyskała przytomność, podała numer córki.

Teraz Aurelia zapłakana tkwiła przed salą, na której podpięta do niezliczonej aparatury leżała jej matka, i zupełnie nie wiedziała, co zrobić. Niby lekarz powiedział, że sytuacja jest opanowana, mimo to czuła lęk o jej zdrowie. Nie chciała powtórki tego, co było z tatą. Minęło już ponad jedenaście lat od jego śmierci, a ona nadal nie mogła sobie wybaczyć, że nie zdążyła się z nim pożegnać. Wtedy pewnego kwietniowego dnia zadzwoniła do niej matka:

– Tata miał stłuczkę, wróć wcześniej do domu. Trzeba zrobić mu coś do jedzenia.

– Coś poważnego? – spytała przerażona.

– Nie. Z tego, co powiedział, to ktoś w niego wjechał. Poobijał się, ale poza tym wszystko dobrze. Wziął wolne i pojechał do domu, żeby położyć się na chwilę.

– To niech odpoczywa – odpowiedziała bez namysłu.

– Ja mam jeszcze klientów i nie mogę mu niczego ogarnąć do jedzenia, więc ty podjedź i zrób mu spaghetti lub usmaż paluszki rybne. Cokolwiek, żeby biedak miał co jeść.

– Mamo, umówiłam się z koleżanką. Poza tym to stary koń. Chyba umie sobie obiad zrobić.

– Aurelio, proszę cię, nie zaczynaj. Pojedź i już.

– Dobra – westchnęła.

Siedziała właśnie na ławce w parku i czekała na koleżankę. Planowały pójść na zakupy do lumpeksu, a później do kina. Umówiła się z nią dawno temu, więc przecież głupio było nagle odmówić.

Poszły tylko na zakupy, kino już sobie darowała. Gdy weszła do domu ponad dwie godziny później, panowała w nim kompletna cisza. Położyła swoje znoszone czarne martensy na szafce przy drzwiach i ruszyła do kuchni, żeby nastawić wodę na ryż. Po drodze do domu kupiła dwie piersi z kurczaka, do których zamierzała dodać sos sycuański. Oboje z ojcem uwielbiali potrawy na ostro. Tym małym akcentem pragnęła zrewanżować się za spóźnienie. Najciszej, jak potrafiła, nastawiła posoloną wodę z ryżem, pokroiła mięso w małe kosteczki i wrzuciła je na rozgrzaną patelnię z małą kapką oleju. Podsmażyła kurczaka, zalała sosem i zmniejszyła ogień, aby się podusiło.

Po cichu ruszyła do sypialni rodziców, gdzie odpoczywał tata. Dopiero gdy stała raptem dwa metry od drzwi, dotarło do niej, że coś jest nie tak. Nie chrapał. W mieszkaniu panowała grobowa cisza. Już samo to spostrzeżenie spowodowało, że nogi się pod nią ugięły. Nacisnęła powoli klamkę. Usłyszała ciche skrzypnięcie i popchnęła drzwi. Ojciec leżał na plecach na środku łóżka, które od dziewiętnastu lat współdzielili z mamą Aurelii.

Dziewczyna podeszła bliżej i zamarła. Miał zamknięte oczy, ale nie wyglądał, jakby spał. Doskoczyła do niego i nie widząc żadnego ruchu, przyłożyła ucho do jego klatki piersiowej. Nie usłyszała bicia serca, tylko przejmującą ciszę. Nie wiedząc, co robić, bo nigdy nie miała lekcji pierwszej pomocy, wykręciła numer do matki. To była najgorsza rozmowa w całym jej życiu.

Od tego wydarzenia minęło już wiele czasu, a i tak nie mogła sobie tego wybaczyć, choć zarówno lekarze, jak i mama powtarzali, że nic by to nie zmieniło. W wyniku wypadku doszło do pęknięcia krwiaka w mózgu, którego prawdopodobnie miał od lat. Nawet gdyby wyładował w szpitalu, nie byłiby w stanie go uratować. Jednak ona i tak czuła zjadające ją każdego dnia wyrzuty sumienia. Mogła najwyczejniej w świecie z nim być, a tak umierał sam z poczuciem, że nic nie znaczy dla swojej rodziny.

Dlatego teraz, pomimo zapewnień lekarza, że z mamą jest dobrze, czuła paraliżujący strach, zostawiając ją samą. W końcu z drżącym sercem wsiadła do autobusu i pojechała do biura. Miała ostatni dzień na dopracowanie oferty na wyjątkowo dużą współpracę. Jeżeli udałoby się im podpisać umowę, dostałaby obiecana sporą premię, na którą tak bardzo liczyła. Chciała zabrać mamę w wymarzoną podróż do Rzymu, którą planowała z ojcem, a nigdy nie mieli na to czasu ani wystarczających funduszy.

W biurze, tak jak zapowiedział szef, nie zastała nikogo. Od początku tygodnia wszyscy czynnie uczestniczyli w targach programistycznych i branży budowlanej, dlatego wyjątkowo mogła delektować się ciszą. Zrobiła sobie kawę i usiadła przy swoim biurku. Podłączyła służbowy laptop do zasilania i czekała, aż się włączy. Minęła minuta, potem dwie, a ekran, jak był czarny, tak nadal taki pozostawał. Zero reakcji na naciskanie przycisku „power”. W końcu chwyciła komórkę i wpisała w wyszukiwarkę „twardy reset macbooka”.

Po chwili wciskała dziwną kombinację przycisków, licząc, że zaraz będzie miała na ekranie ofertę, nad którą pracowała od dwóch tygodni. Mogłaby skończyć ją w domu, jednak tydzień wcześniej jej kot zalał jej prywatny komputer kawą, którą zupełnie bez pomyślunku postawiła na stole, obok klawiatury. Efekt? Uszkodzona płyta główna i brak możliwości pracy zdalnej.

Rozejrzała się po biurze, nie wiedząc, co zrobić. Potrzebowała komputera. Dowolnego. Musiała się tylko zalogować do Gmail, dostać do chmury, gdzie miała plik, nanieść ostatnie po-

prawki i wysłać ofertę do szefa. Mogła zrobić to z jakiegokolwiek komputera.

Bez wiary w sukces ruszyła na przechadzkę po biurze. Zgodnie z wytycznymi szefa swoje laptopy zostawiali w biurze, a jedyną sytuacją, kiedy mogli je wynosić, były targi, dlatego teraz wszystkie biurka świeciły pustkami. Już sięgnęła po telefon, by zadzwonić do Gabriela Kamińskiego i zapytać, co ma robić, gdy zobaczyła laptop na biurku Wiktora.

Wiktor Chrzanowski. Przyjaciel szefa. Przydupas, jak nazywała go w myślach. Człowiek, którego bała się od pierwszego momentu, przede wszystkim z powodu blizny, która ciągnęła się od oka po kącik ust. O tym, jak powstała, krążyły przeróżne historie. Jedni twierdzili, że to wynik porachunków gangsterskich. Drudzy – że uległ wypadkowi samochodowemu. Jeszcze inni – że spadł ze schodów. Niezależnie od wszystkiego wyglądał przerażająco. Może gdyby był sympatycznym człowiekiem, odbiór jego osoby byłby inny, jednak on nie potrafił komunikować się z otoczeniem w sposób cywilizowany. Krzyczał, wyzywał, a siedzący obok niego właściciel agencji jakby tego nie widział. Dlatego wizja skorzystania z jego sprzętu paraliżowała Aurelię. Gdyby ją na tym przyłapał, straciłaby pracę, a nawet jeżeli nie – nękałby ją po wsze czasy.

Przeszła jeszcze raz po całym biurze i nie widząc żadnego innego laptopa, usiadła przy jego biurku i otworzyła klapę. Momentalnie pojawiło się okno logowania. Uśmiechnęła się do siebie i wpisała hasło: „Wiking1983”. Zupełnie przypadkiem kiedyś podpatrzyła, jak wpisywał je w komputerze, nie spodziewając się, że wiedza na ten temat jej się kiedykolwiek przyda.

Przysiadła bliżej boku biurka, aby mieć dobry widok na główne drzwi, i uruchomiła przeglądarkę. Wpisała adres domeny, następnie swój login oraz hasło i zabrała się do roboty. Po godzinie intensywnej pracy, pięciokrotnym przeczytaniu oferty, upiększeniu wizualnym zgodnie z najnowszymi trendami w końcu z uśmiechem na twarzy wcisnęła „wyślij”.

Wyczyściła historię przeglądania, by nie zostawić po sobie żadnych śladów, i już chciała zamknąć komputer, gdy na pulpicie zobaczyła dokument o nazwie „rozliczenia”.

Nigdy nie należała do wścibskich osób, ale zawsze się zastanawiała, czym dokładnie zajmuje się tu Wiktor Chrzanowski. Niektórzy twierdzili, że był człowiekiem od wszystkiego, ale ona miała odmienne zdanie. Jak dla niej był człowiekiem od niczego. Nigdy nie widziała, żeby udzielał się na eventach czy coś planował albo uczestniczył w kreatywnych spotkaniach, na których dyskutowali o tym, jak ma przebiegać współpraca z poszczególnymi klientami, czy też planowali konkretne imprezy.

Otworzyła plik i zaczęła go uważnie przeglądać. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak zwykły arkusz kalkulacyjny, który wypełniała co miesiąc. Przychody, koszty związane z obsługiwanyimi klientami. Powoli przechodziła z wiersza do wiersza. Wystarczyło jej czytać pierwsze trzy, by zauważyć, że coś się nie zgadza. Przychody przy poszczególnych klientach nie odpowiadały tym, które znała. Bardziej zaskakująca okazała się rubryka z kosztami. Zupełnie nie zgadzała się z tymi, które w rzeczywistości zostały wygenerowane. Wiedziała, że część kosztów jest bezpośrednio przekierowywana do klienta, z pominięciem ich agencji.

Przypatrzyła się dokładniej tym, które znała najlepiej. We wrześniu, październiku i listopadzie sama obsługiwała średniej wielkości wydawnictwo. Dobrze wiedziała, jakie wiązały się z tym koszty, dlatego miała stuprocentową pewność, że wyglądały zupełnie inaczej niż to, co miała przed sobą. Coś było stanowczo nie tak.

Jeszcze raz zalogowała się na swoją pocztę i wysłała na prywatny adres mailowy oglądany przed chwilą arkusz. Na komputerze Wiktora Chrzanowskiego znalazła jeszcze kilka faktur, wycen i ofert, które uznała za podejrzone. Z nimi zrobiła to samo. Czując się trochę jak szpieg, ponownie wyczyściła historię wyszukiwania, zamknęła komputer i ustawiła wszystko tak, jak było poprzednio.

Zupełnie nie wiedziała, co ma zrobić ze swoim odkryciem, jednak nie miało to znaczenia. Teraz musiała skupić się na matce.

## Rozdział 25

- Nazywała się Nina Wysoczańska. Miała dwadzieścia jeden lat i, co zaskakujące, było bardzo podobna do pierwszej ofiary.

- Oby - rzucił pod nosem komisarz Grzegorz Wiśniewski, usłyszawszy rewelacje od stojącego przy jego biurku Mikołaja Chmielewskiego.

- Co „oby”?

- Oby Lucyna Kaczorowska faktycznie była pierwszą ofiarą.

- Serio sądzisz, że mogło być ich więcej? - powiedział zdziwiony młody policjant, jakby myśl o większej liczbie ofiar była abstrakcyjna.

- Mam nadzieję, że nie, ale nigdy nie wiadomo. Chłopaki już szukają podobnych spraw z ostatnich kilku lat.

- Matko, to jest chore.

- Wiem, i czuję, że lepiej nie będzie. Mam nadzieję, że minie chwila, zanim media się połąpią, że to ten sam człowiek gwałci i morduje.

- A może jednak nie? Może to zbieg okoliczności? - rzucił z nadzieją w głosie Chmielewski.

- Pracuję w firmie od prawie trzydziestu lat i nigdy nie zdarzyło się, aby w ciągu kilku dni dwie osoby zostały zamordowane w podobny sposób i nie były ze sobą powiązane osobą sprawcy.

- A tak z ciekawości, dużo miałeś spraw seryjnych morderców? - zapytał młodszy kolega.

Komisarza Grzegorza Wiśniewskiego już dawno temu przestały dziwić tego typu pytania. Jak tylko zapowiedział przejście na emeryturę, odniósł wrażenie, że niektórzy zaczęli traktować go jako źródło wiedzy przeróżnej. Pytali o metody pracy w latach dziewięćdziesiątych. O jakieś szczególne sprawy. O spektakularne aresztowania. O seryjnych mordercach niestety też miał co nieco do opowiedzenia.

- Powiem tak, zdecydowanie za dużo. Wolałbym, żeby ich nie było.

- Chyba jak każdy, ale ilu ich miałeś? - nie odpuszczał.

- Ktoś może pomyśleć, że pewnie kilkudziesięciu albo co najmniej kilkunastu, ale w Polsce wcale nie panoszyło się ich zbyt wielu. Na nasze szczęście oczywiście. Ja w swojej pracy spotkałem się z dwoma.

- Opowiesz o którymś? - spytał kolega i przysiadł na biurku. Wyglądał trochę jak mały chłopiec, który za chwilę ma usłyszeć jakąś niesamowitą historię o smokach, księżniczkach i rycerzach.

- Chyba gorsza była sprawa mordującej pielęgniarki. W ciągu roku w jednym ze szpitali na oddziale noworodkowym zaczęły umierać dzieci. Początkowo wszyscy myśleli, że to ta osławiona śmierć łóżeczkowa, jednak zdarza się ona niezwykle rzadko, a w tym miejscu raz na dwa, trzy miesiące w niewyjaśnionych okolicznościach umierały dzieci, a później nawet i czę-



ściej. Trochę zajęło dyrekcji uzmysłowienie sobie, że dzieje się coś strasznego, a wręcz przerażającego. Pracowaliśmy pod przykrywką. Nie mogliśmy spłoszyć mordercy, a zarazem musieliśmy być nadzwyczaj ostrożni, żeby nie narazić kolejnego malucha.

- I co się stało?

- Mordowała pielęgniarka. Okazało się, że wymyśliła sobie, że dzięki uśmiercaniu dzieci uwolni je od tragedii. Ta chora kobieta ubzduriała sobie, że ich rodziny nie są w stanie się nimi dobrze zajmować i że na sto procent te dzieci będą cierpieć w swoich domach.

- A jak na to wpadliście?

- Przez przypadek. Jedna z podstawionych funkcjonariuszek usłyszała, jak ta kobieta upomina ojca, który przyszedł do szpitala pod wpływem alkoholu. Powiedziała mu, że jest niegodny posiadania dzieci i może lepiej by było, jakby jego nowo narodzona córka umarła, niż mężczyła z nim.

- Masakra...

- Dokładnie. A ponieważ szukaliśmy jakiegokolwiek punktu zaczepienia, poszliśmy tą ścieżką. Okazało się, że lata wcześniej jej mąż w pijackim zwidzie zakatował ich córeczkę, gdy miała dwa miesiące. Dziewczynka zmarła w wyniku licznych uderzeń, które zaserwował jej świeżo upieczony tatuś.

- O Boże... - skomentował mężczyzna.

- Dokładnie. To było przerażające. Ja długo nie mogłem się po tym otrząsnąć.

- Nie dziwię się.

- Dobra, wróćmy do naszej sprawy. Co wiesz o tej dziewczynie?

- Na razie niewiele. W odróżnieniu od tej pierwszej...

- Lucyny - wtrącił komisarz Grzegorz Wiśniewski, nieco zdenerwowany.

- Tak, przepraszam. W odróżnieniu od Lucyny Kaczorowskiej znaleźliśmy przy niej dokumenty. Telefon leżał kawałek dalej, ale jest zablokowany. Rodzice zostali już powiadomieni. Matka momentalnie odplynęła, więc wezwano karetkę. Z tego, co udało się wyciągnąć od ojca, który też prawie zemdlął, dziewczyna nie sprawiała żadnych problemów. Dobrze się uczyła. Była na trzecim roku iberystyki. Według ojca z nikim się nie spotykała, ale pewności nie miał. Mamy jej komputer z hasłem. - Chmielewski uśmiechnął się, znając jego problemy z technologią. - Poza tym niewiele. Nikt nie wie, dlaczego znalazła się w Lesie Kabackim. W piątek umówiła się z koleżanką do kina. Rozstały się około dziewiętnastej. Dziewczyna podobno następnego dnia planowała iść na imprezę i chciała się wyspać. Niestety do domu nigdy nie dotarła. Do sprawdzenia jest nieskończona ilość kamer. Do miejsca, gdzie ją znaleźiono, można dojść na kilkanaście, o ile nie więcej sposobów, więc ciężko będzie ustalić ten właściwy. Poza tym nie wiadomo, czy weszła sama, czy już z mordercą. Biorąc pod uwagę jej wygląd, nie chce mi się wierzyć, że była przypadkową ofiarą. Jest zbyt podobna do pierwszej ofiary. To znaczy do Lucyny.

- Niestety - westchnął komisarz. - Przez chwilę myślałem, że to może były chłopak Lucyny Kaczorowskiej. Taki typowy chamek. Na jego szczęście ma alibi, bo gdyby nie, to tak dla przykładu załatwiłbym mu przymusowe wakacje w areszcie. Zresztą ci Kaczorowscy są dość specyficzni. Okazało się, że Lucyna kłóciła się z rodzicami o mieszkanie, które dostała w spadku po

jakiejś cioci. Rodzice przywłaszczyli je sobie, twierdząc, że jak dorośnie, przekażą je jej, ale nie zrobili tego, nawet jak skończyła osiemnaście lat. Gdy pojechałem o to wypytać, matka na mnie naskoczyła. Myślałem, że zaraz przywali mi w twarz lub wydrapie oczy. Gdyby nie sposób morderstwa, a bardziej fakt gwałtu, zastanawiałbym się nad nią. Okropna kobieta, zresztą jej mąż nie lepszy. Gdy przyszedłem, to spał. Zacząłem wypytywać o mieszkanie, a ona zawołała go i zaczęła podjudzać. Miałem wrażenie, że oni żyją w jakimś odrealnionym świecie, w którym jednym ze złych jestem ja. Musiałem szybko się ewakuować, bo doszłoby do rękoczynów.

- Zawsze mogli kogoś wynająć - rzucił z głupkowskim uśmiechem kolega.

- Niby tak, ale jakoś nie wyobrażam sobie tego. Obracają się w dość podejrzanym towarzystwie, ale bardziej to oni za skrzynkę wódki gotowi byłiby przedziurawić komuś opony. No i jest jeszcze pies.

- A co z psem?

- Dziewczyna miała swojego kundelka, wabił się Włodzimierz i zniknął. Rodzice zupełnie zapomnieli poinformować nas o fakcie, że poza ich córką w domu od kilku dni nie ma czworonoga. Jej ojciec nawet nie pamiętał, jak się wabi, mimo że mieszkał z nimi od prawie dwóch lat.

- Dzwoniłeś do schronisk?

- Ja nie, młody z operacyjnego to ogarnął, ale nigdzie nie mają żadnego pasującego do opisu, a niestety nie był zachipowany. - Komisarz Grzegorz Wiśniewski schylił się po swój kaset i zaczął coś notować. - Dość tych pogaduszek. Ja wezmę ten komputer Niny i posprawdzam znajomych. Może ktoś wie coś więcej. Może jakimś cudem dziewczyny się znały.

## Rozdział 26

ON

No i w końcu spełniło się moje marzenie. Wylądowałem na budowie. Matka szczebiocze wszystkim, jaki to ja jestem pracowity i że mało który chłopak w moim wieku chciałby robić cokolwiek, a ja sam z siebie proszę o możliwość pracy.

Kiwam tylko głową potwierdzająco i z godnością przyjmuję pochwały.

Tylko ja tam chciałem iść z zupełnie innego powodu.

Za każdym razem, gdy odwiedzałem ojca na budowie, a on gdzieś zniknął, goście u niego zatrudnieni opowiadali niestworzone historie z alkoholem i kobietami w rolach głównych. Żaden z moich kumpli ze szkoły nie miał takich przygód, żaden z nich niczego takiego nie przeżył. A ja chciałem słuchać o cyckach, rżnięciu i innych rzeczach zabronionych dla dzieci.

Ale ja nie jestem już dzieckiem. Nie czuję się nim od dawna, ale niestety cały czas mnie tak traktują.

Wśród tych chłopaków nikt nie patrzy na mnie jak na gnojka, ale jak na równego sobie, a to tylko dlatego, że zapieprzam jak mały samochodzik. Niestraszna mi żadna praca, więc dają mi najgorsze z możliwych robót. A ja zawsze wszystko grzecznie robię i nigdy nie narzekam, dlatego w nagrodę dostaję to, na co czekam.

Prawdziwe męskie rozmowy, po których w domu śnię na jawie, a moja ręka lata jak szalona.

## Rozdział 27

– Wiesz może, co się dzieje z Aurelią? Nie ma jej od dwóch dni... – Dagmara zagaiła do jednej z koleżanek, która podobnie jak większość w szafie miała tylko ultrakrótkie spódnice i bluzki z głębokimi dekolami.

– Niestety, nic mi nie wiadomo – odpowiedziała Elwira, wysoka, tleniona blondynka z nogami jak modelka. Pracowała przede wszystkim jako hostessa na imprezach, a w międzyczasie ogarniała zaopatrzenie. Zamawiała długopisy, breloczki i inne gadzety reklamowe. Nie powalała inteligencją, ale nie przejmowała się tym, co chwilę serwując innym średnio rozumiałe dowcipy. – Może szef coś wie.

– Niestety nie – rzuciła Gaga i wróciła do planowania eventu dla gabinetu kosmetycznego.

Co zadziwiające, niezmiernie podobała się jej ta praca, mimo że stanowiła tylko przykrywkę dla prowadzonego śledztwa. Wkręcona siedziała nad prezentacją, wymyślając propozycje działań promujących zleceniodawcę. Musiała sprawiać wrażenie niezwykle zaangażowanej, mimo że odciągało ją to od sedna ich zlecenia. Jak na razie nie mieli zupełnie nic. Carlos przeczesał cały internet w poszukiwaniu jakichkolwiek negatywnych opinii, skarg czy uchybień. Nic nie znalazł, co mocno ich zaskoczyło. Z reguły każda firma, która działała od lat, zostawiała po sobie w internecie jakiś ślad w postaci opinii byłych pracowników. Oczywiście zdarzało się, że nikt się nie skarżył, nie umieszczał soczystych obelg pod adresem dawnego pracodawcy, ale wtedy można było znaleźć przynajmniej kilka miłych słów. A tutaj nic, mimo że z ich wiedzy wynikało, że firma działa od ponad dziesięciu lat i przewinęło się przez nią kilkadziesiąt, o ile nie więcej, osób.

Szukali, kopali i coraz bardziej się stresowali, że na nic nie wpadli. Nie znaleźli żadnego punktu zaczepienia. Na realizację zlecenia dostali trzy miesiące. Po tym czasie mieli odpuścić, niezależnie od rezultatów. Z ich punktu widzenia nawet niewykrycie nieścisłości dawało im całkiem niezły zarobek. Tylko czy tak chcieliby skończyć pierwsze zlecenie?

Dagmara rozejrzała się po biurze w poszukiwaniu sprzymierzeńca w sprawie koleżanki. Wiktora Chrzanowskiego odrzuciła natychmiast, jego wzrok rzadko kiedy sięgał poza czubek własnego nosa, chyba że w polu widzenia znalazł się dekolt jakiejś kobiety lub jej długie nogi. Siedzący obok niego szef, Gabriel Kamiński, spławił ją, mówiąc, że Aurelii czasami tak się zdarza. Wątpiła w to. Dziewczyna sprawiała wrażenie typowej grzecznej uczennicy – takiej, która nie spóźnia się, jest uczciwsza od papieża i nawet z gorączką przyjdzie do pracy. Niewyjaśniona nieobecność nie wchodziła w grę.

Po lewej stronie siedział Mirek. Kolejny przystojniak, który zachwycał się własnym odbiciem w lustrze. Jego próżność sprawiała, że nie widziała sensu w podchodzeniu do niego. Obok pracowała Aśka – średniego wzrostu brunetka o zjawiskowych oczach, chyba najnormalniejsza ze wszystkich przebywających w tym momencie w biurze. Dagmara już chciała wstać i podejść do niej, gdy spotkała karzące spojrzenie szefa, jakby wiedział, co chce zrobić.

Ze skupieniem na twarzy, aby wyglądało, że intensywnie pracuje nad koncepcją, którą następnego dnia mieli omawiać, wyszukała Joannę Gryglas na Facebooku. Wyskoczyło osiem wyników. Odnalezienie tej właściwej nie zajęło jej długo. Wysłała zaproszenie i nie minęło nawet pięć sekund, gdy dostała powiadomienie o przyjęciu go. Teraz były znajomymi, więc Dagmara mogła do niej napisać na Messengerze bez strachu, że wiadomość wpadnie do spamu.

- Muszę wysłać ofertę do gabinetu medycyny estetycznej i nie mam do niego adresu e-mail - napisała, licząc na szybką odpowiedź. Specjalnie wybrała klienta Aurelii, którego tylko ona obsługiwała.

- Niestety nie mam - odpowiedziała dziewczyna praktycznie natychmiast. - Spytaj Auri, ona na pewno ma.

- Wiem, ale jej nie ma.

- To zadzwoń.

- Nie odbiera. Boję się pójść do szefa, wiesz, jaki jest.

- Wiem - odpowiedziała Aśka, dostawiając obok kilka groźnych emotek.

- Wspominała, że mieszka gdzieś na Żoliborzu. Będę w okolicy po południu, to mogłabym do niej zajrzeć. Znasz jej adres?

Dagmara patrzyła na skaczące kropczki, oznaczające, że jej rozmówczyni coś pisze, i czekała. Nie miała pomysłu, jak inaczej zdobyć adres koleżanki. Już myślała, że nic z tego nie wyjdzie, gdy na ekranie zobaczyła dane. Uśmiechnęła się do dziewczyny, która odruchowo na nią spojrzała.

Reszta dnia dłużyła się niczym niedzielny obiad, który zwykle kolidował z czymś ciekawszym, a który stanowił obowiązkową część tygodnia w rodzinie Zatorskich. Zawsze z bratem robili sobie różnego rodzaju psikusy, wszystko tak, aby nie zdenerwować matki, która nigdy nie rozumiała ich poczucia humoru, ale również aby chociaż trochę umilić sobie ten nudny czas siedzenia przy stole. Dosypywali sobie soli do kompotu, dolewali niejadalną ilość maggi do zupy. Wszystko jakoś uchodziło im na sucho lub było ignorowane przez matkę. Jednak do czasu.

Raz w zemście za pofarbowanie jej ukochanych spodni na różowo, czyli kolor, którego wtedy nienawidziła, Gaga postanowiła spłatać bratu psikusa większego kalibru. Dobrze wiedziała, że Bartek po obiedzie ma iść z kolegami do kina i śpieszy się, jednak guzik ją to interesowało. Cios za cios, jak powtarzała często jako swoją życiową maksymę.

Postanowiła uziemić go na dłużej, a pomysł wydawał się banalny. Jak to w większości domów, także i u nich każdy miał swoje miejsce przy stole. Tata i mama siedzieli przy obu szczytach stołu, a oni po bokach - ona od strony salonu, on przy długim oknie zasłoniętym gustowną firanką.

Gdy już wszyscy usiedli do stołu, uśmiechnęła się do brata serdecznie i rzuciła:

- O której umówiłeś się z chłopakami?

- Za dwadzieścia minut, a co?

- Nic, tak pytam. Podałbyś mi masło? - poprosiła.

Spojrzzał na nią zdziwiony, bo miała je zdecydowanie bliżej, ale nachylił się w jego kierunku. I wtedy zorientował się, że coś jest nie tak. Siedząca naprzeciwko niego siostra zaczęła

się śmiać, wprawiając w zdziwienie resztę domowników.

W pierwszym momencie wszystko wyglądało bardzo niewinnie. Przyklejony do krzesła chłopiec, nic specjalnego. Niestety pech chciał, że spora plama niezaschniętego kleju cały czas pokrywała drewno, a Bartek, chcąc się uwolnić, dotknął go dłonią, natychmiast sklejąc się z meblem. W tym momencie przestało być śmiesznie, a zaczęło być dość dramatycznie. Szamocząc się z krzesłem, chłopak przewrócił się i uderzył tyłem głowy o wystający kurek do regulacji temperatury na kaloryferze, przez co rozciął sobie skórę.

Wszystko skończyło się szyciem głowy i odklejeniem ręki od krzesła. To był kolejny raz, kiedy jej szalony pomysł skończył się średnio. Na szczęście dorosła i z większą świadomością podejmowała decyzje, nawet te dość ryzykowne.

Gdy w końcu na zegarku zobaczyła siedemnastą, poczuła ulgę. Wszyscy zaczęli wyłączać komputery, wносить do kuchni zgromadzone podczas całego dnia kubki i opuszczać biuro. Najchętniej wybiegłaby jako pierwsza, ale odczekała, aż szef wraz ze swoim przydupasem opuszczą agencję, wtedy wylogowała się, zamknęła komputer i wyszła.

Dojechanie pod wskazany adres zajęło Dagmarze dwadzieścia minut. Przypięła swoją dwukołową strzałę do latarni i ruszyła do klatki, na której wisiała tabliczka z napisem „1-30”. Wybrała numer 12 i czekała. Po trzech próbach skończonych niepowodzeniem postanowiła zmienić taktykę. Wybrała dowolny numer i gdy tylko usłyszała kobiecy głos, rzuciła:

- Ulotki.

- Nie będziesz nam tu śmieciła! – krzyknęła kobieta i rozłączyła się.

Przy kolejnej próbie, gdy usłyszała głos po drugiej stronie, powiedziała:

- Zapomniałam klucza, może mi pani otworzyć?

Tym razem nie usłyszała żadnego komentarza, a jedynie dźwięk zwalnianej zapadki.

Szybkimi susami pokonała dwa piętra i stanęła pod drzwiami z numerem 12. Nie chciała od razu dzwonić. Przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała.

- A pani czego tu szuka? – usłyszała za sobą męski głos.

Odwróciła się i zobaczyła starszego mężczyznę, co najmniej po osiemdziesiątce, w spodniach dresowych i bluzie z kapturem, w których raczej widuje się nastolatków, a nie leciwych mężczyzn.

- Ja do Aurelii, martwię się o nią – powiedziała prawdę.

- Jest pani jej koleżanką?

- Tak, z pracy – odpowiedziała pewnym głosem.

- To miło. Ludzie się teraz już o nikogo nie troszczą. Moje wnuki odwiedzają mnie wtedy, jak rodzice im każą, a dzieci w sumie niewiele częściej. Mam wrażenie, że takie odwiedziny znajomych znikają. Smutne to niezwykle. Tak jakby ludzie zapomnieli, że są zwierzętami stadnymi. Bez tego robią się stetryczali.

- Aha – westchnęła, nie wiedząc, jak to skomentować.

- A coś się stało konkretnego? – spytał mężczyzna.

- Nie. To znaczy... nie wiem. Od kilku dni nie pojawia się w pracy, nie odbiera telefonu. Tak po ludzku martwię się. Stwierdziłam, że zjrzę. Wie pan, czasami zdarzają się wypadki domowe.

- Oj, wiem, kiedyś Waldek spod trójki złamał nogę i przez trzy godziny walił laską o podłogę. Miał pecha, bo akurat na trzecim piętrze robili remont i strasznie hałasowali. Gdy po południu zrobili sobie przerwę, ktoś usłyszał pukanie. Krzyżeć nie był w stanie, bo dwa dni wcześniej dopadło go zapalenie krtani. Na szczęście ktoś go usłyszała, a sąsiadka obok miała do niego klucze. Wpadła do środka i wezwała karetkę, widząc, jak leży bez ruchu. Wszystko się dobrze skończyło, ale gdyby na przykład krwawił, pomoc mogłaby nie zdążyć na czas i dopiero gdy smród wydobywałby się z mieszkania, dowiedzielibyśmy się, że sąsiad umarł.

- A pan do Aurelii ma może klucze? - rzuciła, nie licząc na zbyt wiele.

- Niestety nie. Nie znamy się zbyt dobrze. Takie sąsiedzkie „dzień dobry”. Na święta puka i składa życzenia, ale to nie jest aż taka zażyłość, żeby klucze zostawiać. Proszę dzwonić. Może jednak jest w domu i otworzy - powiedział mężczyzna i schował się w swoim mieszkaniu.

Nie mając nadziei, Gaga nacisnęła dzwonek. Raz, drugi, trzeci. Nic. Niewiele myśląc, nacisnęła klamkę i ta ustąpiła.

- Zapomniała zamknąć drzwi? - szepnęła sama do siebie i popchnęła je do środka.

## Rozdział 28

Nina Wysoczańska miała przed sobą całe życie. Po wakacjach planowała zacząć drugi kierunek studiów, fizjoterapię. Jeszcze nie wiedziała, czy się dostała, ale bardzo wierzyła, że jej się uda.

Uważano ją za spokojną i zrównoważoną. Od małego grała na skrzypcach, co kochała i pielęgnowała, ćwicząc dwa, trzy razy w tygodniu.

W ciągu ostatnich tygodni nie wydarzyło się w jej życiu nic szczególnego, a przynajmniej nikt o niczym nie wiedział. Zachowywała się jak zwykle, pracowała niezmiennie jako recepcjonistka w salonie kosmetycznym, w którym wszyscy wypowiadali się o niej bardzo pozytywnie.

Nikt z rodziny ani znajomych nie wiedział nic o żadnym chłopaku lub chociaż bliższym koleździe. W mediach społecznościowych udzielała się dość często. Miała konta na Facebooku i Instagramie, na których publikowała posty co drugi dzień, a czasami i częściej. Ostatni wpis umieściła dwa dni przed śmiercią. Zrobiła sobie selfie podczas festynu.

– Kurwa mać! – krzyknął Grzegorz Wiśniewski i walnął w biurko zaciśniętą w pięść dłońią, zupełnie nic sobie nie robiąc z faktu, że obok pracują inni.

– Nie idzie? – zapytał Maksymilian Kaznowski, zwany przez wszystkim Maksem.

– Nic nie mamy – odpowiedział i odwrócił się twarzą do kolegi. – Masz chwilę?

– Mam, a co?

– Pomożesz mi z przeszukaniem bazy? Niby to jest jasne, ale wiesz. Człowiek starej daty i komputer to nie jest najlepszy zestaw.

Uśmiechnął się serdecznie do kolegi i odsunął stojący obok niego fotel. Dawno temu zrozumiał, że pewnych rzeczy nie przeskoczy, dlatego nauczył się prosić o pomoc i nie wstydził się tego za bardzo. Kiedyś było zupełnie inaczej. Każde zwrócenie się o wsparcie odbierał jako policzek, potwarz. Z czasem jednak zrozumiał, że to nie o niego chodzi. Tutaj najważniejsze jest dobro sprawy, jak najszybsze znalezienie tego, kto zawinił – ukradł, pobił kogoś czy zabił niewinną ofiarę. Jego uczucia nie miały żadnego znaczenia. Nikogo nie obchodziły. Nikt nie robił wśród policjantów ankiety z zadowolenia z pracy. Wszyscy mieli to gdzieś. Najważniejszy był efekt ich działania. Dlatego patrzył na kolegę z nadzieją, że ten mu pomoże, a dzięki temu chociaż trochę zbliży się do rozwiązania.

– Nie ma sprawy. Czego szukamy?

– Podobnych spraw. Myślę, że z ostatnich trzech, maksymalnie czterech lat. Jeżeli w tym okresie nie działał, to nie sądzę, żeby wcześniej był aktywny.

– Dobra, daj mi więcej szczegółów – rzucił Maks i wpisał odpowiedni adres w okienko przeglądarki.

– Morderstwa młodych kobiet połączone z gwałtem i podtapianiem.



- No dobra. W ciągu ostatnich czterech lat było takich spraw osiem.
- To niedużo.
- A może spróbować bez utopienia?
- Wydaje mi się, że na razie te osiem mi wystarczy. Dziękuję. Jakby coś wynikło, to dam znać.

Przez następne dwie godziny przeglądał akta. Na początku chciał wyeliminować sprawy, w których ofiary były dużo starsze, jednak po chwili stwierdził, że coś może mu przez to umknąć. Później chciał ominąć te, w których zamordowane leżały na plecach, jednak i te zostawił. Czytał wszystko po kolei. Zamknął ostatnie okno przeglądarki i wyłączył monitor. Oczy mu płonęły, bynajmniej nie przez zmęczenie. Jego organizm za każdym razem dawał znać, że nie lubi komputerów. Każda minuta spędzona przed monitorem wywoływała u niego alergiczną reakcję. Ból i pieczenie oczu, zawroty głowy.

Posiedział chwilę przed zgaszonym ekranem komputera i zastanawiał się, w którym kierunku teraz pójść. Akta, które przejrzał, wyłoniły kilka tropów, ale nie miał pojęcia, czy słusznych. Żadna ze spraw nie przypominała w stu procentach tych, które miał na tapecie. Nikt do tychczas nie zgwałcił żadnej dziewczyny, którą potem zamordował, a następnie ułożył w tak dziwny sposób. Grzegorz był pewien, że nie było to przypadkowe.

Odchylił fotel do pozycji półsiedzącej, zamknął oczy i zaczął odtwarzać w myślach obrazy z odwiedzanych w ostatnim czasie miejsc zbrodni. Dwie dziewczyny. Młode. Niezbyt atrakcyjne, ale i nie brzydkie. Brunetki. Obie zgwałcone z użyciem jakiejś butelki czy innego przedmiotu, utopione w błotnistej kałuży. Obie pośmiertnie ułożone w tym samym miejscu, gdzie umarły. Obie nagie. W przypadku pierwszej rzeczy leżały obok. Ubrań drugiej nie znaleźli. Przy obu morderca zostawił majtki, które leżały obok ciała. „Po co?” – pomyślał Wiśniewski. Otworzył oczy, nie mając poczucia, że jego rozważania podążają w jakąś sensowną stronę.

Sięgnął po przygotowaną przez matkę Niny Wysoczańskiej listę znajomych. Koniecznie musiał z nimi porozmawiać. Dobrze wiedział, że często to ta najprostsza policyjna robota prowadzi do rozwiązania sprawy.

## Rozdział 29

– Aurelia, jesteś? – krzyknęła Gaga, stojąc w małym, lecz przytulnym przedpokoju.

Budynek pochodził prawdopodobnie z lat siedemdziesiątych, może osiemdziesiątych, jednak już na pierwszy rzut oka widziała, że mieszkanie koleżanki nie jest reliktem minionej epoki. Białe ściany, szare płytki na podłodze, drewniane dodatki i rośliny powodowały, że wszystko wyglądało nowocześnie.

Nie słysząc żadnej odpowiedzi, ruszyła dalej. Nie miała z tym większego problemu. Od kiedy tylko pamiętała, chodziła po obcych domach, doprowadzając tym matkę na krawędź załamania nerwowego. Gdy wracała do domu wcześniej niż reszta członków rodziny i nie miała kluczy, bo swoim zwyczajem zapominała ich zabrać, nie siedziała, jak większość jej rówieśników, na klatce schodowej. Szła do jednej ze starszych sąsiadek i wpraszała się na herbatkę, a czasami i obiad. Zostawiała tylko na drzwiach swojego mieszkania kartkę z informacją, gdzie aktualnie jest, aby nie przegapić powrotu swoich rodziców lub brata.

Teraz też nie czuła dyskomfortu, jaki podobno powinien wywoływać spacer po cudzym mieszkaniu, szczególnie w sytuacji, gdy nie dostało się zaproszenia. Powoli szła wąskim korytarzykiem, na końcu którego znajdował się duży pokój. Tam na podłodze leżały trzy workowate fotele sako i niski stolik kawowy. Na ścianie wisiał nieduży telewizor i kilka półek z książkami. Pomieszczenie połączono z kuchnią, która pełniła również funkcję jadalni. Na kuchence stał niedawno zrobiony rosół, a w zlewie w sitku Gaga znalazła niewielką porcję makaronu.

Otworzyła ostatnie drzwi i zamarła. Na łóżku, skulona w dziwnej pozycji, leżała Aurelia. Nie ruszała się. Dagmara podeszła do niej przerażona, delikatnie dotknęła jej ręki, bojąc się, że poczuje zimno.

– Aaa!!! – wrzasnęła głośno dziewczyna i momentalnie usiadła. – Co ty tu robisz?!

– Jezu, przepraszam. Myślałam, że ci się coś stało!

– Spałam.

– Pukałam, dzwoniłam i nic.

– Mnie nic nie obudzi – powiedziała i badawczo spojrzała na koleżankę. – Jak tu weszłaś?

– Nie zamknęłaś drzwi.

– Super. A tak poza tym to po co mnie nachodzisz? – spytała obrażona, czym mocno zdziwiła Dagmarę.

– Nie ma cię w pracy od kilku dni. Nikt nie wie, co się stało. Pisałam, dzwoniłam do ciebie, zmartwiłam się...

– Może nie chciałam z nikim rozmawiać?

– Rozumiem. Stało się coś?

– Nie – odpowiedziała zdecydowanie za szybko i zaczęła nerwowo rozglądać się po pokoju.

- Wiem, że nie znamy się za dobrze, ale uwierz mi, czuję, jak ktoś nie mówi prawdy.  
- Ale... - zaczęła, jednak zamiast dokończyć, wstała z łóżka i ruszyła w stronę kuchni.  
- Proszę, powiedz, co się stało? - spytała Gaga z delikatnym uśmiechem na twarzy.  
- Po co?  
- Tak po ludzku się martwię. Wiem, że nie należysz do tych osób, które nagle znikają bez powodu. Coś musiało się stać, że przestałaś przychodzić do pracy.

Dziewczyna podreptała do pokoju obok, a Dagmara za nią. Usiadła przy białym stoliku i sięgnęła po stojący na nim kubek z zimną już kawą.

- Moja mama jest w szpitalu, a oni... - Znowu zawiesiła głos i przeniosła wzrok z okna na Dagmarę. - Oni zrobili coś strasznego - powiedziała i zaczęła płakać.

- Jezus Maria. Bardzo mi przykro z powodu mamy. Co jej się stało?

- Zemdląta w sklepie. Miała niewielki udar. Niby wszystko jest już okej, ale stresuję się.

- To zrozumiałe. - Poglaskała dziewczynę delikatnie po ramieniu. - A oni, czyli kto? - spytała, zupełnie nie wiedząc, o czym mówi koleżanka.

- Ja nie mogę... nie mogę ci nic powiedzieć. Oni mnie zniszczą... - wyszeptła Aurelia i zaczęła nerwowo stukać palcami po stole.

- Posłuchaj. Nikt nie zrobi ci krzywdy. Obiecuję - powiedziała, czując od razu ciężar wypowiedzianych słów. Znała wiele osób spod ciemnej gwiazdy i spokojnie mogła liczyć na ich pomoc i wsparcie, jednak nie znając sytuacji koleżanki, nie wiedziała, czy nie przesadziła.

- Chodzi o Gabriela i Wiktora - powiedziała w końcu.

- A co te patałachy zrobiły?

- Oni... oni... - próbowała wydusić, ale coś ją blokowało.

- Spokojnie. Nic ci nie grozi.

- W poniedziałek poszłam do biura, mimo że chciałam wziąć wolne - zaczęła, kręcąc głową. - Mama leżała w szpitalu i ostatnią rzeczą, której chciałam, było robienie oferty.

- No rejczel.

- Ale Kamiński zaczął się ze mnie śmiać, gdy poprosiłam go o wolne.

- Skurwiel - syknęła Dagmara.

- Powiedział, że muszę przyjechać, bo wszyscy pojechali na targi i on sobie nie wyobraża, że ja tego nie skończę. Oczywiście pogroził, że jeżeli nie wykonam jego polecenia, nie mam czego szukać w firmie.

- Współczuję - skomentowała szczerze Gaga.

- Dzięki. Grzecznie pojechałam do firmy, żeby skończyć tę durną ofertę. Niestety miałam pecha, bo mój komputer odmówił posłuszeństwa, a większość zabraliście ze sobą. Okazało się, że tylko laptop Wiktora został na miejscu. Zupełnie przypadkiem znałam jego hasło.

- Przypadkiem... - powtórzyła po koleżance i uśmiechnęła się serdecznie.

- Tak, kiedyś...

- Nie musisz się tłumaczyć - skomentowała, widząc zmieszanie na twarzy koleżanki.

- To wszystko jest straszne. Ja nie wiem, co mam robić...

- Spokojnie. Opowiedz, co stało się później.

- On miał na komputerze jakieś dziwne pliki, które zupełnie nie zgadzały się z rozliczeniami, które przygotowywałam dla szefa. Faktury opiewały na wyższe kwoty. Pojawiały się pozycje z kosmosu.

- Rozumiem - powiedziała Dagmara, ledwo hamując triumfalny okrzyk. „W końcu jakieś konkrety!”, pomyślała. - Masz te wyliczenia?

- Tak - powiedziała cicho. - Obiecałam, że je skasuję, ale tego nie zrobiłam, choć mi grozili.

- Grozili?

- Tak. Nie wiem, jak się dowiedzieli, ale w poniedziałek wieczorem zadzwonił do mnie Wiktor z przeprosinami. Powiedział, że to jego wina, bo nakręcił szefa na ten przetarg i tak nie powinno być. Że rodzina jest najważniejsza i takie tam. Ucieszyłam się. Zaprosili mnie na kolację. Powinnam już wtedy wyczuć, że coś jest nie tak.

- Nie obwiniaj się - powiedziała Dagmara, obawiając się tego, co za chwilę usłyszy.

- Zaprosił mnie do siebie do domu. Na kolację. Myślałam, że będą też inni pracownicy, ale okazało się, że byliśmy we trójkę. Na początku... rozmowa zupełnie się nie kleiła. Oni próbowali być mili, pytali o moje życie. Nawet się ucieszyłam. Pracuję w agencji już tak długo, a oni nic o mnie nie wiedzieli. Jedliśmy, piliśmy wino i nagle...

Kolejne łyzy spłynęły Aurelii po policzku.

- Spokojnie. Cokolwiek ci zrobili, jesteś już bezpieczna.

Dagmara wstała z krzesła, podeszła do dziewczyny i przytuliła ją. Ta początkowo oponowała, ale po kilkunastu sekundach rozluźniła się.

- Oni zrobili mi zdjęcia... - szepnęła w końcu.

## Rozdział 30

Pół nocy nie spała, obmyślając sprawę Aurelii, a w przerwach analizując morderstwa dziewczyn. Choć w pierwszej kwestii szybko powstał plan, który miał szansę na sukces, to jednak nie wiedziała, co zrobić z drugą.

Wiedziała, że powinna zgłosić się na policję i opowiedzieć o swoich spostrzeżeniach, ale nienawidziła wszystkiego, co było związane z mundurowymi. W czasie studiów poznała wielu funkcjonariuszy, których ceniła za profesjonalizm i zaangażowanie, jednak gdy przychodziło co do czego i stawała przed policją jako organizacja lub jako zwykła obywatelka Dagmara Zatorska, zbywali ją, ignorowali i nie byli w żaden sposób pomocni.

Pierwszy raz miało to miejsce, gdy przez rok mieszkała w akademiku. Wraz z kilkoma koleżankami zorientowały się, że regularnie ktoś je okrada. Przeważnie znikały małe sumy, ale dla dziewczyn, które często od połowy miesiąca nie miały grosza przy duszy, każda kwota była na wagę złota. W pierwszym odruchu poszły do firmy obsługującej budynek. Niestety brak monitoringu i chęci pomocy spowodował, że ich sprawa została zignorowana. W drugiej kolejności wybrały się na policję, licząc, że ta przyleci jak na skrzydłach, wykryje sprawcę i zrużga leniwych ochroniarzy, którzy poza rozwiązywaniem krzyżówek nie wykonywali żadnej pracy. Niestety tak się nie stało. Opieszały policjant przyjmujący zawiadomienie od razu dał im do zrozumienia, że mają ważniejsze rzeczy do robienia niż szukanie złodziejzka, który nie wiadomo, czy istnieje. Zadając im pytania, sugerował, że może same wydały te pieniądze albo zgubiły lub wrzuciły do innej torebki. Wtedy Gaga postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Ustawiła w kilku miejscach w pokojach i na korytarzu małe kamerki, które pożyczyła od ojca z firmy. Przez pierwszy tydzień zupełnie nic się nie działo, a przeglądanie godzin nagrań było nużące niczym czytanie encyklopedii. Na szczęście w drugim tygodniu odniosła sukces. Okazało się, że sprawcą był chłopak jednej z dziewczyn, który podczas odwiedzin u ukochanej szedł niby to do łazienki, a tak naprawdę wchodził do innych pokoi, których lokatorek nie zastał, i podkra- dał drobne sumki. Z dumnie wypiętą piersią powędrowała na komisariat z dowodem w rękach. Wówczas jednak zamiast jej podziękować, spisujący jej zeznania policjant ochrzanił ją za wtrącanie się w pracę służb mundurowych.

Drugim, dużo poważniejszym spotkaniem z policją była śmierć jej brata. Wszyscy jak jeden mąż powtarzali, że doszło do wypadku. Że to nieszczęśliwy splot zdarzeń spowodował, że w ciągu kilku sekund stała się jedynaczką. Dagmara nie mogła w to jednak uwierzyć. Godzina- mi rozmyślała o tym, rozkładając ich ostatnią przejażdżkę na części pierwsze, i dałaby sobie rękę odciąć, że słyszała w pewnym momencie jakiś bliżej nieokreślony trzask. Była na sto procent pewna, że dobiegł jej uszu, zanim w motocykl brata uderzył samochód osobowy, który spowodował, że dwie sekundy później Bartek wpadł pod koła tira.

Wtedy też nikt nie wziął tego na poważnie. Każdy zbywał ją, tłumacząc, że jej upór jest wynikiem wyrzutów sumienia. W końcu to ona nalegała, żeby pojechali nad Zegrze, a w takich

sytuacjach naturalne jest szukanie winnych dookoła.

Może i mieli trochę racji, może i często ludzie próbowali się w ten sposób ratować, aby nie wpaść na zawsze w ramiona wyrzutów sumienia. Żaden z policjantów nawet na ułamek sekundy nie zastanowił się nad proponowaną przez nią przyczyną wypadku – celowym uszkodzeniem motoru. Oczywiście idąc dalej tym tropem, nie miała pojęcia, kto i dlaczego miałby to zrobić, jednak to mogłoby stanowić punkt wyjścia do kolejnych pytań. Zależało jej tylko na zasianiu niepewności, by zaczęły działać w tej sprawie.

Dlatego obiecała sobie, że dopóki nie będzie miała jakichkolwiek twardych dowodów łączących sprawy morderstwa Gabrysi Górskiej i tych z ostatnich dni, będzie unikała policji jak ognia. Włączyła komputer i raz jeszcze zaczęła czytać o pierwszym morderstwie. Odszukanie personaliów dziewczyny nie stanowiło wyzwania. Po dwóch minutach wiedziała, kto jest ukryty pod hasłem „Lucyna K.”. Lucyna Kaczorowska nie sprawiała wrażenia osoby mocno zaprzyjaźnionej z mediami społecznościowymi, jednak kilka osób zostawiło na jej stronie na Facebooku wpisy pożegnalne.

„To nie może być prawda. Cały czas mam nadzieję, że za tydzień pójdziemy na ciastko i do kina” – napisała Anika ze zdjęciem kota jako profilowym.

„Jeszcze się spotkamy” – pisała Karolina Niedziałek pod ich wspólnym zdjęciem z jakiegoś baru.

Uwagę Dagmary najbardziej przykuło wstawione przez jakiegoś chłopaka zdjęcie, na którym oznaczył zmarłą i które podpisał: „Na zawsze w moim sercu”.

Zrobili je z ręki. Uśmiechali się do obiektywu, a w tle kręciła się karuzela. „Byli razem w wesołym miasteczku”, pomyślała Dagmara i odnalazła fragment z informacją, gdzie zostało znalezione ciało dziewczyny. Czy mógł to być przypadek?

Po kolei czytała jego opisy i komentarze na jego profilu. „Miły, sympatyczny mężczyzna”, pomyślała Dagmara, oglądając kolejne fotografie. W parku, w lesie, na sali kinowej, na motocyklu, z ojcem, który, z tego, co przeczytała, od lat przykuty był do łóżka, a na zdjęciu siedział na wózku inwalidzkim i zwiedzał Muzeum Powstania Warszawskiego.

Wróciła do oglądania zdjęć miejsca, gdzie zabito córkę Mileny Górskiej. „Ale czy na pewno tam umarła?”, pomyślała i odnalazła odpowiednie zdjęcia oraz opis. Nigdzie nie zauważyła śladów wskazujących na to, że jej ciało ktoś włókł, a w rozmowie z prasą jeden z funkcjonariuszy kilkakrotnie powtarzał: „na miejscu zbrodni”, „tam, gdzie ją zabito”. Dagmara dobrze wiedziała, że czasami policja celowo ukrywa niektóre fakty albo wprowadza w błąd, aby następca myślał, że ma przewagę nad glinami.

Zamknęła komputer i schowała do szafki teczkę Gabrysi Górskiej.

# Rozdział 31

ON

Jak mnie on wkurwia.

Przyjeżdża do nas i wszyscy skaczą, że taki biedny i bla bla bla.

Każdy ma ciężko w życiu, tylko na różne sposoby.

Ojciec w ramach kary wysłał mnie do tego miejsca, gdzie on mieszka, i zupełnie nie wiem, nad czym niby tak wszyscy biadolą. Mnie się podoba, a nawet okazjonalnie mógłbym się z nim zamieniać.

Może robić, co chce, nikt go nie kontroluje. Przynajmniej nie tak, jak mnie. Ja mam wrażenie, że rodzice czasami zamieniają się w jakichś policjantów, których głównym zadaniem jest sprawdzanie mnie. Muszą wiedzieć, gdzie byłem, co robiłem, z kim. Czasami chciałbym wyjechać, a to miejsce, gdzie on mieszka, jest idealne.

Śmiać mi się chciało, bo jak wpadłem w odwiedzinę, jakaś baba kazała mi iść na obiad, a inna krzyczała, że jak nie pójde pomagać w ogrodzie, to pożałuję.

Ale nie to wpłynęło na moją decyzję, że będę nawiedzać go częściej.

Jedna dziewczyna wpadła mi w oko, i chyba ja jej też. Po pięciu minutach rozmowy kiwnęła głową na drzwi. Nie wiedziałem, o co jej chodzi. Ona ruszyła, kręcąc biodrami na boki, więc poszedłem za nią.

Weszliśmy do małego pomieszczenia, nie większego od toalety u mnie w domu. Wzięła moją rękę i zaczęła masować nią swoje cycki, cały czas oblizując przy tym lubieżnie wargi.

I nagle przestała.

Poprawiła koszulkę i wyszła.

Chwilę tamostałem, bo gacie mi prawie rozerwało. Gdy ją znalazłem, jakby nigdy nic siedziała z dwiema koleżankami i jednym kolesiem. Łaskawie podniosła głowę i spojrzała na mnie:

- Jak chcesz więcej, przynieś mi coś.

I tyle. Stałem tam i miałem ochotę chwycić ją za włosy i zawlec z powrotem do tego pomieszczenia, aby skończyła to, co sama zaczęła.

Zamiast tego odwróciłem się i wyszedłem.

## Rozdział 32

– Dasz radę!

Dagmara uśmiechnęła się do Aurelii i otworzyła drzwi do budynku firmy eventowej. Dzień wcześniej ustaliły, że dziewczyna wróci do pracy i będzie zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie stało. Jakby nie znalazła dowodów na przekręty szefa i jego pomagiera. Jakby ci dwaj nie zwabili jej podstępem i nie zrobili jej zdjęć, które raczej nie uchodziły za godne pokazania mamie czy babci.

Witając się zdawkowym „cześć”, „hej”, usiadły przy swoich biurkach i skupiły na pracy. Na Aurelię czekał już naprawiony sprzęt, więc od razu zabrała się do pilnego nadrabiania zaległości.

Dagmara Zatorska bacznie obserwowała koleżankę, która raz po raz rozglądała się po pomieszczeniu i rytmicznie uderzała palcem wskazującym prawej dłoni o blat. Widząc jej nerwowe podrygi, za każdym razem wysyłała do Aurelii jakąś wiadomość, aby ją uspokoić: „Będzie dobrze”, „Nie stresuj się”, „Jestem obok”. Najchętniej wstałaby i przytuliłaby dziewczynę, ale wiedziała, że nie powinna.

Około południa do biura przyszedł Wiktor Chrzanowski, który swoim zwyczajem nie śpieszył się do pracy, o ile to, co robił w agencji, można było tak nazwać.

– O, kto to do nas wrócił? – zagaił z tym swoim fałszywym uśmiechem.

– Tak, jestem – odpowiedziała Aurelia cienkim głosem, jakby chciała zapaść się pod ziemię.

– I dobrze, robota na ciebie czeka – powiedział, jakby w ogóle wiedział, nad czym dziewczyna pracuje. – Mam nadzieję, że taka sytuacja się więcej nie zdarzy i nie znikniesz bez słowa wyjaśnienia.

– Ale przecież ja was informowałam – wtrąciła Dagmara.

Na prośbę przerażonej koleżanki poszła wcześniej do szefa, który siedział ze swoim przydupasem, i powiedziała, że Aurelii nie będzie przez kilka dni. Położyła przed nimi wniosek urlopowy i nie czekając na ich komentarz, wróciła do swojego biurka. Teraz udawali, jakby to się nie wydarzyło.

– Może tak, może nie. Niezależnie od wszystkiego, to chyba nie twoja sprawa. Auri jest na tyle dużą dziewczynką, żeby załatwić swoje sprawy samodzielnie.

– Tak, masz rację – odezwała się Aurelia. – Przepraszam, ale sytuacja z mamą rozwalila mnie psychicznie.

– Dobra, już nie przepraszaj, każdemu może się zdarzyć. A teraz do roboty. W najbliższej przyszłości sporo będzie się działo, więc nie ma czasu na obijanie się.

– Przepraszam. – Dagmara niepewnie podniosła rękę i wstała z przyklejonym uśmiechem. Wszystkie oczy skierowały w jej stronę. – Jestem tu nowa i jeszcze nie udało mi się was wszyst-



kich poznać, dlatego chciałam was zaprosić na małą imprezę. Mój dziadek ma leśniczówkę w Kampinosie. Mam nadzieję, że wpadniecie i poznamy się lepiej. – Uśmiechnęła się serdecznie do wgapionego w jej dekolt Wiktora Chrzanowskiego.

Wiedziała, że ten facet nie odpuści takiej okazji na imprezę, a dzięki temu będzie mogła zrealizować swój plan. Cios za cios.

## Rozdział 33

Komisarz Grzegorz Wiśniewski wyciągnął telefon z tylnej kieszeni spodni i otworzył notatki. Dopisał do listy „do kupienia” pozycję „czytnik do książek”. Od dawien dawna czuł, że za mało czyta. Czasami udawało mu się znaleźć chwilę, żeby obejrzeć film lub serial, ale już na książki nie znajdował czasu. Jego żona za to pochłaniała powieść za powieścią. Lubowała się w romansach, ale nie miało to znaczenia. Książka to książka, dlatego zazdrośnie na nią patrzył, gdy przed snem zaczytywała się w kolejnej, a jemu oczy zamykały się ze zmęczenia.

Wyłączył aplikację i wpisał adres jednej z dwóch najbliższych koleżanek Niny Wysoczarskiej, o których wspominała jej matka, gdy w końcu udało się z kobietą porozmawiać. W drodze pod wskazany adres policjant włączył podcast, który poleciła mu starsza córka. To była kolejna w ostatnim czasie zmiana w jego życiu. Zawsze uwielbiał historię, a zwłaszcza starożytną. Gdy po raz kolejny podczas sobotniego obiadu narzekał na brak czasu na zagłębianie się w temat, jedna z córek, Hania, zaczęła opowiadać mu o audycjach, których może słuchać, jeżdżąc samochodem. Oczywiście gdy dowiedział się, co musi zrobić, aby z głośników popłynęły opowieści o Rzymianach, cała radość opadła. Ponad miesiąc uczył się, jak zsynchronizować radio z telefonem i bez zakłóceń posłuchać wybranego programu. Kiedy trzeci raz z rzędu nie musiał dzwonić do córki, żeby mu pomogła, poczuł się najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

Gdy podjechał pod wskazany adres, kończył właśnie słuchać historii konia trojańskiego. Odczekał, aż skończy się odcinek, i wysiadł na zewnątrz na spotkanie z upałem, który znowu dawał o sobie znać. Wpisał na klawiaturze domofonu numer 42, pod którym mieszkała dziewczyna. Uprzedził ją o swoim przyjeździe, więc nie stresował się tym, czy zastanie ją w domu.

- Tak, słucham? - usłyszał skrzeczący głos z głośnika.

- Z tej strony komisarz Grzegorz Wiśniewski, dzwo...

Nie zdążył dokończyć, bo od razu usłyszał odblokowywane drzwi.

Powoli zaczął wspinać się na piąte piętro, wiedząc, że będzie to dla niego nie lada wyczyn. Po pierwszym zawale, czyli dwa lata wcześniej, obiecał sobie, że zacznie o siebie dbać. Przejrzał oferty siłowni, porównał karnety, sprawdził godziny pracy basenu i... na tym się skończyło. Gdy drugi raz wylądował w szpitalu, a lekarz powiedział z poważną miną, że następny raz zapewne będzie ostatnim, przestraszył się nie na żarty.

Czasu na ćwiczenia jeszcze nie wygospodarował, ale wziął ze schroniska psa, z którym wychodził rano i wieczorem, zostawiając spacer w ciągu dnia żonie. Dodatkowo zrezygnował z korzystania z windy i parkował samochód kawałek od domu i komisariatu. Niby nic, ale codziennie robił ponad dziesięć tysięcy kroków, z czego był dumny jak małe dziecko, a jego lekarz chwalił go przy każdej wizycie, widząc poprawiające się wyniki badań i zmniejszający się obwód w pasie.

Staął przed drzwiami z numerem 42 i wierzchnią stroną dłoni stał ze skroni małą strużkę potu, która pojawiła się na wysokości trzeciego piętra. Gdy zaczynał swoją przygodę ze schodami, krople pojawiały się już między parterem a pierwszym piętrzem, więc i tak czuł dumę.

Nie zdążył nacisnąć guzika, gdy drzwi się otworzyły.

– Znowu nie działa winda? – spytała młoda dziewczyna z rudym afro na głowie.

– Nie, prozdrowotnie się przeszedłem.

– A, to super. Cały czas powtarzam mojej mamie, że windy są dla leni. – Uśmiechnęła się, pokazując krzywe, szare zęby. – Proszę wejść. – Otworzyła szerzej drzwi, zapraszając go do środka.

Od razu weszli do sporego pomieszczenia, które pełniło praktycznie wszystkie możliwe funkcje. Gdyby na środku stała wanna, a w róg wciśnięto toaletę, nie zdziwiłby się. Na szczęście architekt nie popłynął aż tak z koncepcją.

Z lewej strony znajdował się aneks kuchenny z najmniejszym blatem, jaki kiedykolwiek Grzegorz Wiśniewski widział. Sam uwielbiał gotować, ale to, jaki robił przy tym bałagan, było nie do opisania. Wszędzie stały brudne naczynia, a czasami nawet i meble udało mu się czymś umorusać. Do wspomnianych co jakiś czas historii należało słynne robienie przez niego sosu pomidorowego na pizzę. Włoskie danie wyszło świetnie, tylko że podczas blendowania pomidorów zapomniał zamknąć szczelnie urządzenie i część czerwonej mazi wylądowała na suficie, zostawiając nieciekawy ślad. Oczywiście przy każdej możliwej okazji opowiadał, że plama powstała przy krojeniu zwłok jednego z odwiedzających go gości.

Obok aneksu kuchennego stała zawieszona na grubych łańcuchach ławka z oparciem, obłożona mnóstwem poduszek. W centralnym miejscu dziewczyna ustawiła okrągły stół z małymi taboretami, przy którym zasiedli.

– Ja cały czas jestem w szoku – odezwała się jako pierwsza. – Nina nikomu nic nie zrobiła. Mogła co najwyżej rozbawić na śmierć. Miała niesamowity dar. Uwielbiała wymyślać skecze. Nawet miała swój kanał na YouTube.

– Może swoimi żartami kogoś zdenerwowała?

– Nie. To były takie lajtowe skecze. Nie to, co można zobaczyć w sieci, wyzwiska, niemile, wręcz chamskie porównania. Nie, nic z tych rzeczy.

– Rozumiem. Kiedy ostatnio się widziałyście?

– Dwa dni przed tym, jak ją znaleźiono.

– Mówiła ci, co ma w planach na wtorek i środę?

– Tak – powiedziała i zamilkła, jakby bała się powiedzieć prawdę. – Spotykała się z kimś. Niestety nie zdradziła mi szczegółów. Nawet wczoraj próbowałam znaleźć jakiegoś nowego znajomego wśród osób, które ma na Facebooku czy Instagramie, i nic. Jedyne, co mi powiedziała, to że poznała go przez aplikację randkową. Oglądaliśmy ostatnio razem ten serial o koleśiu z Tindera.

– Z czego? – spytał Grzegorz Wiśniewski, czując, że jak zwykle jest niedoinformowany.

– Tinder. Taki portal randkowy. Przesuwa pan w lewo lub w prawo i decyduje się, czy dana osoba podoba się panu, czy nie. Oczywiście do niczego to nie obliguje. Później można rozma-

wiać, ile się chce, a czy dojdzie do spotkania w realu, to już bardziej zależy od tego, czy ma się *vibe* z daną osobą.

- *Vibe*? – powtórzył po dziewczynie, czerwieniąc się ze wstydu. – Przepraszam, ale chyba za stary jestem na ten slang. Moje córki, pewnie w pani wieku, nie używają go w domu, bo wiedzą, że nie rozumiem. Ale czasami jak słucham, jak rozmawiają między sobą, to mam wrażenie, że to nie jest język, którego uczyłem się w szkole.

- Wszystko się zmienia. Nie tylko język, ale i technologia. Mama kiedyś mówiła, że miała telefon stacjonarny z przekręcaną tarczą do wybierania numeru, a teraz to kto ma telefon na kablu w domu?

- Niewiele... A wracając do tego Andera...

- Tindera – poprawiła go dziewczyna.

- Przepraszam, to gdzie szukać informacji o tym? Na komputerze? – spytał i pożałował. Nie powinien był zadawać tego pytania.

- To aplikacja tylko na telefon. Przynajmniej w Polsce. W niektórych krajach można używać jej przez przeglądarkę.

- Mamy jej telefon, ale rodzice nie znają hasła.

Spojrzał na dziewczynę i dopiero teraz zauważył dziwny tatuaż na jej szyi. Było to bliżej nieokreślone zwierzę. Spuścił na chwilę wzrok, udając, że zapisuje coś w notatniku.

- To ma pan szczęście. Ja znam. Często ją nagrywałam. Potrzebowała sporo materiału na media społecznościowe, a że ma lepszy aparat od mojego, to używałam jej telefonu. Przez pewien czas wpisywała za każdym razem swój kod, aż stwierdziła, że nie ma to sensu, i podała mi go.

Komisarz Grzegorz Wiśniewski aż podskoczył z radości. Spisał kod i już miał zakończyć rozmowę, gdy przypomniał sobie o jednej sprawie. Szybko znalazł w telefonie zdjęcie Damiana Makowskiego i pokazał dziewczynie.

- Znasz go?

Dziewczyna wzięła do dłoni jego telefon i zaczęła przyglądać się mu bacznie.

- Niestety, nie kojarzę – powiedziała, kręcąc przy tym przecząco głową. – A kto to jest? Morderca?

- Badamy różne ślady.

Porozmawiał jeszcze chwilę z dziewczyną i wrócił na komisariat, gdzie czekał na niego telefon Niny. Liczył, że znajdzie w nim odpowiedź na pytanie, z kim spotykała się ofiara.

## Rozdział 34

Dagmara od zawsze uwielbiała wszelkiej maści imprezy. Urodziny, imieniny, rocznice. Każdy powód był dobry, aby zorganizować przyjęcie, domówkę czy spotkanie towarzyskie.

Pierwsze przyjęcie wyprawiła swoim misiom, gdy miała zaledwie trzy lata. Niewiele z tego pamiętała, ale ze zdjęć, które zrobił jej tata, wynikało, że bawiła się świetnie. Przy małym stoliku ustawiła wszystkie misie, ubrała się w jedną ze swoich sukienek z falbankami i szczyrzyła się do aparatu. Jedynie matka i brat, przymuszani do uczestnictwa w spotkaniu, nie mieli już tak radosnych min.

Teraz, sprawnym ruchem robiąc kreskę na lewym oku, uśmiechała się od ucha do ucha, choć wyjątkowo nie z samej imprezy się cieszyła. Gdyby ktoś w nocy wyrwał ją ze snu i spytał, jaka jest jej dominująca cecha, bez zająknięcia powiedziałaaby, że troska o bliskich. Niezależnie od wszystkiego stawiała w obronie rodziny i przyjaciół. Aurelii nie znała zbyt dobrze, ale czuła, że mają szansę zostać dobrymi koleżankami, a może i przyjaciółkami. Gdy zaś ktoś zadzierał z jej bliskimi, musiał się liczyć z jej reakcją.

Spojrzała w lustro, ułożyła w staniku piersi poprzecz, jak to zawsze powtarzała mama, ściągnięcie skóry z pleców. Wyglądała nie gorzej od tych niuń z biura, na widok których zarówno właściciel agencji, jak i Wiktor Chrzanowski dostawali ślinotoku, a spodnie w wiadomym miejscu robiły im się przyciasne.

Wyjrzała przez okno i widząc stojący przed oknem samochód zgodny z informacją z aplikacji Ubera, chwyciła w dłoń szpilki, wskoczyła w wygodne buty i wyszła z mieszkania. Droga do leśniczówki zajęła im czterdzieści minut. Goście mieli zacząć zjeżdżać się około dziewiętnastej, więc miała jeszcze cztery godziny na przygotowanie wszystkiego. Przed całkiem sporym drewnianym budynkiem kręciło się już kilka osób. Na potrzeby imprezy integracyjnej wynajęła swój ulubiony catering. Pomimo faktu, że powód przyjęcia nie był zbyt pozytywny, chciała mieć z tego jakąś przyjemność: jedzenie.

Każdy, kto ją znał, wiedział, że ma na tym punkcie świra. Dagmara nie potrafiła gotować i bez krępacji się do tego przyznawała, ale w wynajdowaniu potraw, które doprowadzały człowieka wręcz do orgazmu, doszła do perfekcji.

Tym razem postawiła na kuchnię meksykańską. Zupa meksykańska z batatami, kurczakiem i soczewicą, quesadilla z kurczakiem i warzywami, pikantna zupa z kurczakiem i kukurydzą, burrito z kurczakiem i awokado, guacamole. Wszystko to w wykonaniu jej dobrego kolegi – Fernando pochodził z Meksyku i znał się na rodzimej kuchni. Gdy kilka dni wcześniej wpadła do niego na piwo i wyłożyła swój plan, wszedł w to bez zastanowienia. Oczywiście nie za darmo, ale Dagmara, pewna już, że ma właściciela agencji w garści, chciała zorganizować wielki finał w swoim stylu.

Podziękowała kierowcy i wysiadła. Dobrze wiedziała, że wynajęci kelnerzy wszystkim się zajmą, ale sama, trochę jak jej mama, lubiła mieć nad wszystkim kontrolę. Nie chodziła za

dwoma całkiem przystojnymi mężczyznami i nie poprawiała układanych przez nich kieliszków i butelek z tequilą, która była jednym z najlepszych trunków imprezowych, ale będąc na miejscu, miała poczucie, że gdyby coś się wydarzyło, miałyby szansę zareagować.

Z daleka patrzyła, jak pracują, i oczami wyobraźni widziała, co wydarzy się tutaj za kilka godzin.

## Rozdział 35

Próżność i potrzeba pokazywania się – to zdecydowanie były dwie dominujące cechy większości pracowników agencji eventowej, którą prowadził Gabriel Kamiński.

Na zaproszenie Dagmary pojawili się wszyscy, a każdy przybył wystrojony jak na audyencję u królowej. Dziewczyny stawily się w przykrótkich spódnicach, które ledwo zakrywały miejsca intymne, eksponując nogi tak długie, że modelki pokazów Victoria's Secret mogłyby poczuć ukłucie zazdrości. Wejście każdej z nich wywoływało pełne podziwu westchnięcia mężczyzn, którzy przyjechali pierwsi. Gdy podjeżdżał samochód z kolejną kobietą, dostawali ślinotoku połączonego z oczopląsem, nie wiedząc, na której części wyeksponowanego ciała zawiesić wzrok.

– Jezu, ale super to zorganizowałaś! – piszczała z zachwytu Basia Marecka.

Wcisnęła się w różową sukienkę, tak ciasną, że ledwo była w stanie w niej oddychać i chodzić. Każdy krok stanowił dla niej problem. Dagmara musiała patrzeć tylko na jej twarz, żeby przypadkiem nie wybuchnąć śmiechem.

– Dziękuję. Miałam nadzieję, że się wam spodoba.

– I podoba się. Uwielbiam amerykańskie jedzenie – rzuciła, bujając się w rytm puszczanej przez DJ-a muzyki.

– Meksykańskie – poprawiła ją i rozejrzała się za Aurelią. Obiecała koleżance, że będą się trzymały razem.

– No tak. A to twój dom?

– Rodzinny – skłamała jakby nigdy nic. Dom wynajęła specjalnie na tę okazję, ale wolała to utrzymać w sekrecie. Ktoś mógłby wyczuć, że to podejrzane. – Należał kiedyś do mojego dziadka, taty mamy. Pracował jako leśniczy i wraz z rodziną przez długie lata tutaj żyli.

– Wow – powiedziała Basia i zrobiła przerażoną minę. – Ja nie wiem, jak ludzie mogą tak mieszkać. Ja jestem uzależniona od miasta. Sklepy, kina, bary, restauracje. To jest mi potrzebne. Gdybym wylądowała w takim miejscu, to czułabym się jak w więzieniu.

– Ja też...

Gaga ponownie minęła się z prawdą. Od zawsze marzyła o mieszkaniu na wsi, budzeniu się z kurami, obserwowaniu, jak przyroda zmienia się w zależności od pory dnia czy roku, o życiu w ciszy, którą dawała wieś. Pod tym względem była kopia swojego ojca. Wielokrotnie próbował przeforsować pomysł wyprowadzki poza miasto, jednak nigdy nie trafił na podatny grunt. Matka z bratem stanowczo odmówili wyjazdu. Zagrozili, że jeżeli spróbuje ich zmusić, uciekną.

Dagmara wiedziała, że za kilka lat pewnie wdroży ten plan w życie. Może na początku nie w pełnym wymiarze, może na weekendy będzie się przenosić do Kampinosu lub innego zalesionego obszaru w okolicach stolicy, a w tygodniu pomieszkiwać w Warszawie. Czekwała tylko na odpowiedni moment.

- A znasz tego DJ-a? - Basia kiwnęła głową na mężczyznę, który podskakiwał w rytm granej muzyki w czarnym T-shircie z napisem „Niech się wstydzi ten, kto widzi” i rysunkiem nagiego faceta z dużym penisem i wielkimi słuchawkami na uszach.

- Tomi? Tak, to mój kumpel. Znamy się ze szkoły.

Pierwszy raz powiedziała prawdę. Z Tomkiem Bartoszewskim знаła się ze szkoły baletowej. Był jednym z niewielu przedstawicieli płci męskiej, którzy kochali taniec równie mocno co ona. Większość jego kolegów rezygnowała, gdy dostawali pointy i kazano im ćwiczyć na zajęciach w obcisłych kombinezonach dopełnionych getrami. Jednak on został na polu bitwy i stał się jednym z najlepszych tancerzy, jakich Gaga poznała. Z czasem jego miłość do baletu przełała się również na inne style tańca i ku rozpaczy jego matki, która oczami wyobraźni widziała go tańczącego na największych salach świata, dał się pochłonąć breakdance'owi i tańcowi nowoczesnemu, które łączył w tak niesamowity sposób, że ludziom zapierało dech w piersiach.

- Fajny... - Marecka uśmiechnęła się zalotnie.

- Wiem, tylko od trzech lat ma żonę.

- Oj tam, oj tam. Nie ma takiego wagonika, którego nie da się odczepić - powiedziała blondynka, cały czas nie odrywając wzroku od mężczyzny. - Idę siku.

Dziewczyna odwróciła się na swoich monstualnych obcasach i podreptała do pomieszczenia, na którego drzwiach gospodyni imprezy nakleiła plakietkę z napisem „toaleta”, aby nie słyszeć co dwie minuty pytania o nią.

Dagmara z uśmiechem na twarzy patrzyła na coraz bardziej pijane towarzystwo, które po trzech godzinach ledwo stało na nogach, a mimo to ochoczo wyciągało ręce do kelnerów roznoszących drinki i wlewało w siebie kolejne porcje alkoholu, na którym nie oszczędzała. Zadowolona z postępu sytuacji, podeszła do Aurelii, która niczym przestraszone zwierzę siedziała obok DJ-a. Tomek został poinformowany o wszystkim i zadeklarował pomoc przy jakichkolwiek agresywnych zachowaniach ze strony szefa agencji czy jego przydupasa.

- To już czas - powiedziała głośno, wiedząc, że i tak nikt nie będzie wiedział, o co chodzi.

Dziewczyna momentalnie się rozpromieniła. Jej oczy zaświeciły, a kąciki ust uniosły się w uśmiechu. Obciągnęła sukienkę, aby zakrywała ona kolana, po czym sięgnęła po torebkę. Chwilę w niej pogrzebała i podała koleżance mały pakunczek, który wspólnie przygotowały dzień wcześniej, siedząc w salonie u Dagmary, oglądając „Małe kłamstewka” i pijąc białe wino z lodem w ramach nagrody za misterny plan, a także by odetchnąć od upału, który męczył nie-miłosiernie.

- Daj mi piętnaście minut i spadamy. Chłopaki są już w drodze. - Uśmiechnęła się i ruszyła do kuchni.

Po chwili szła z dwoma drinkami, kręcąc zalotnie biodrami. Z daleka widziała już śliniącego się Wiktora Chrzanowskiego.



## Rozdział 36

Gdy pierwszy raz przeglądał cudze rzeczy, wchodził w czyjeś życie bez jego pozwolenia, czuł się jak intruz. Jak wąż, który wślizguje się nieproszony. Teraz jednak, po latach pracy w policji, komisarz Grzegorz Wiśniewski zupełnie zapomniał o swoich dawnych dylematach. Przeglądał telefon Niny Wysoczańskiej tak, jakby należał on do niego.

Zaczął od najłatwiejszej rzeczy. Wszedł do galerii zdjęć i oglądał zrobione przez dziewczynę fotografie, a miała ich mnóstwo. Na zajęciach tanecznych, które prowadziła, w pubie, podczas biegania, w domu na kanapie. Upamiętniała praktycznie wszystko, co robiła, jednak na większości zdjęć była sama. Czasami pojawiała się jakaś koleżanka, ale niestety próżno było szukać męskiego towarzystwa.

Wrócił do głównego pulpitu i zaczął przeglądać aplikacje. Facebook, Instagram. Z wielką chęcią informowała swoich znajomych i osoby, które ją obserwowały, o nowych treningach zumbi, w których brała udział, ostatnio zjedzonych potrawach czy planach na weekend. O wszystkim, co uznawała za interesujące.

Następnie włączył Tindera. Nigdy nie widział tej aplikacji, ale zgodnie z informacjami od koleżanki zamordowanej prawdopodobnie to tam kogoś poznała. Z tego, co udało mu się dowiedzieć, to żeby zacząć z kimś rozmawiać, trzeba utworzyć z nim parę, czyli polubić się wzajemnie.

Zupełnie nie mogąc odnaleźć się w aplikacji, wszedł w jej profil. Jako zdjęcie główne ustawiła to, które widział zarówno na Facebooku, jak i Instagramie. Z rozpuszczonymi brązowymi włosami, które prezentowały się tak, jakby dopiero co wyszła od fryzjera, uśmiechała się serdecznie do obiektywu. Nie było to zdjęcie zrobione z ręki, wyglądało, jakby zrobił je profesjonalny fotograf, a przynajmniej ktoś, kto się na tym zna.

Kliknął w jej opis i zaczął czytać:

*Zarażam uśmiechem,  
wprowadzam muzykę w życie,  
sięgam po marzenia, nawet te najdalsze.*

„Ładne”, pomyślał policjant i wszedł do korespondencji.

Pisała tylko z trzema osobami, co go ucieszyło. Obawiał się, że będzie musiał przejrzeć wymianę zdań z kilkunastoma, a może kilkudziesięcioma potencjalnymi podejrzanymi, a zupełnie nie miał na to czasu i ochoty.

Otworzył pierwszą z rozmów:

- *Jesteś piękna* – napisał mężczyzna podpisujący się jako Mirek.
- *Dziękuję, ty też jesteś niczego sobie ;)* – odpowiedziała mu Nina.

Grzegorz Wiśniewski czytał uważnie wymianę zdań między zamordowaną a, jak ów rozmówca pisał, dwudziestoosmioletnim pracownikiem salonu komputerowego, który lubił komedie romantyczne i taniec. Niestety ich rozmowa robiła się coraz mniej ekscytująca i wciągająca, aż nie byli w stanie wydusić z siebie nawet grzecznościowego „Co u ciebie?”. Nigdy się nie spotkali. Znajomość trwała raptem trzy tygodnie i wygasła, niepodsykana przez żadną ze stron.

Grzegorz wypił łyk zimnej herbaty, którą zrobił ponad godzinę temu, ale wciągnięty trzymanym w rękę urządzeniem zapomniał o niej, i zaczął przeglądać kolejną konwersację. Od razu trochę posmutniał. Składała się raptem z kilku zdań.

– *Cześć, napiszesz coś o sobie?* – napisała dziewczyna.

– *Hejka, a co chcesz wiedzieć?*

– *Wszystko :) Zaciekaw mnie albo zszokuj informacją o sobie, jeżeli wolisz.*

– *Nie wiem.*

– *A jaką ocenę miałeś z języka polskiego? Chyba 1, skoro nie potrafisz napisać o sobie kilku słów. Żegnam.*

Uśmiechnął się. Dziewczyna mu się podobała. Nie zamierzała tracić czasu na kogoś bezwartościowego.

„A co ja bym napisał w takiej sytuacji?“, zapytał sam siebie i podrapał się po żuchwie, którą najwyraźniej musiał nierówno ogolić, bo pod lewym kącikiem ust wyczuł kłujące małe włoski. Nigdy nie brał udziału w takich rozmowach. Swoją żonę znał od późnej podstawówki, zostali parą, jak poszli do liceum. Nigdy nie spotykał się z żadną inną dziewczyną, dlatego nigdy nie musiał się „sprzedawać” – prezentować swoich walorów, odpowiadać na dziwne i niekomfortowe pytania, prężyć się jak podczas godów.

Cały czas zastanawiając się nad tym, co by zrobił, przeszedł do ostatniej konwersacji. Początek brzmiał dość banalnie, ale utrzymany był w miłym i sympatycznym tonie. Chłopak w żaden sposób się nie narzucał. Pisał, że jest piękną dziewczyną i przypomina mu ważną w jego życiu osobę, która umarła.

Z czasem zaczęli opowiadać o sobie więcej, o swoich marzeniach, celach życiowych. Nie zaskoczyło go, że Nina Wysoczańska chciała kiedyś założyć coś na kształt klubu sportowego skupiającego się wokół zumbi. Rozmówca nie wiedział, co to jest, ale grzecznie dopytywał. Sam rozpisywał się, że chciałby zostać weterynarzem, jak jego mama. Twierdził, że jest studentem właśnie tego kierunku i niedawno przyjechał do stolicy. Na niektóre pytania odpowiadał wymijająco. „Jestem obywatelem świata”. „Nieważne jest, gdzie się mieszka, ważniejsi są ludzie, którzy nas otaczają”.

Sporo rozmawiali o rodzinie, co było dość nietypowe. Wiśniewski odnosił wrażenie, że młodzi ludzie raczej stronią od takich tematów. Wolą opowiadać o imprezach, które zaliczają, nowych telefonach czy serialach na Netflixie. Ci dwoje jednak często opowiadali o swoich bliskich. Dziewczyna opisywała dość szczegółowo swoich rodziców, a chłopak z reguły wspominał tylko o matce. O ojcu pisał półsłówkami, tak jakby nie chciał powiedzieć prawdy, bo była zbyt raniąca.

Jednak najciekawsze Grzegorz znalazł na samym końcu konwersacji – najświeższe wiadomości.

- *Może się spotkamy?* - napisała po jakichś dwóch tygodniach dziewczyna.

Wiśniewski spojrział na datę wiadomości. Kilka dni przed morderstwem.

- *No nie wiem* - odpowiedział.

„Sprytnie”, pomyślał policjant. Najwyraźniej chłopak nie chciał, aby inicjatywa wyszła od niego. Takie reakcje wzbudzają zazwyczaj zaufanie.

- *Ja też się boję, ale czuję, że nadajemy na tych samych falach. Dawno z nikim nie rozmawiało mi się tak dobrze. Jakbyśmy znali się od lat.*

- *Czuję to samo. Ale ostatnio się przejechałem i wolę się nie spieszyć.*

- *Rozumiem. Umówmy się, że jak nie spodobam Ci się w realu, będziesz mógł wyjść w każdym momencie.*

W końcu po dłuższym przekonywaniu chłopak się zgodził. Ustalili dokładną godzinę i datę - dwa dni przed tym, jak komisarz Grzegorz Wiśniewski wraz ze sporą ekipą policjantów, przy wsparciu prokurator Korzemiackiej, zabezpieczali miejsce zbrodni.

W końcu mieli jakiś punkt zaczepienia. Możliwe, że ostatnią osobę, która widziała dziewczynę żywą, lub mordercę.

## Rozdział 37

ON

Przyniosłem jej ptasie mleczko i dezodorant, który ukradłem mamie. Usłyszałem, jak rodzice rozmawiali, że takie dzieci jak on, więc ona też, potrzebują często najprostszych produktów.

Przez dobre pół godziny jej szukałem. Gdy w końcu namierzyłem, siedziała w pokoju u koleżanki i o czymś gadały. Powiedziałem tylko, że mam, co chciała, i wyszedłem. Czekałem jakieś pięć minut, aż w końcu pojawiła się na korytarzu.

- Czego? - rzuciła wulgarnie, żując gumę.

- Obiecałaś mi coś - odpowiedziałem, patrząc raz na jej twarz, raz na mocno wyeksponowane cycki.

- Może i tak, ale mogłam zmienić zdanie.

- Niczego nie zmienisz - syknąłem, chwyciłem jej rękę i ścisnąłem, a ona, zamiast krzyknąć, uśmiechnęła się. Puściłem zaskoczony.

- Też tak lubię - wyszeptała i rozejrzała się.

Nie widząc nikogo w pobliżu, ruszyła na tyły budynku. Otworzyła drzwi do jakiegoś pomieszczenia i pociągnęła mnie za rękę. Gdy tylko zamknęła za nami drzwi, zdjęła koszulkę. Jej cycki wyglądały doskonale z tej odległości. Ścisnąłem je, lizałem, a ona raz po raz jęczała.

- Klękaj! - warknąłem.

Na jej twarzy pojawił się strach, jakby dopiero teraz zorientowała się, że dała się zamknąć w małym pomieszczeniu z dużo większym od siebie facetem. Ale nie odpowiedziała, tylko pokręciła przecząco głową.

- O nie, nie po to jechałem taki kawał, żebyś teraz próbowała się wymigać.

Rozpiąłem rozporek, jedną ręką zsunąłem spodnie i majtki, a drugą chwyciłem ją za kark i zmusiłem, aby opadła na kolana. Wrywała się, ale ja miałem to gdzieś. Ostatnio na budowie jeden koleś opowiadał mi o tym, jak mu jedna zrobiła dobrze, więc chciałem spróbować, a ta dziewczyna była idealna do tego.

Nikt mnie nie znał, a ona nie miała komu powiedzieć. Takich jak ona nikt nie słucha.

## Rozdział 38

Od rana banan nie schodził jej z ust. Czują się tak, jakby wygrała w totka i na dodatek uszczęśliwiła tym jeszcze kilka osób. Cały poprzedni dzień przesiedziała, szykując papiery wraz z pełną dokumentacją w postaci zdjęć i filmów. Gdy wieczorem umówiła się w biurze z szefem agencji Gabrielem Kamińskim i Wiktorem Chrzanowskim, niby w sprawie nowego klienta, którego miała ściągnąć, aż lewitowała z ekscytacji.

Panowie, jak zwykle ubrani w najlepsze garnitury, prezentowali się jak z katalogu z drogą odzieżą. Popijali czerwone wino, ignorując fakt, że są w pracy, a nie w restauracji, i zadowoleni z życia rozmawiali, zupełnie nie spodziewając się tego, co ich czeka.

Gdy Dagmara Zatorska zaczęła opowiadać, co dokładnie wydarzyło się podczas imprezy, która w ich mniemaniu skończyła się dobrze, powoli ich zadowolone wyrazy twarzy zmieniały się. Gdyby nie botoks, który doskonale ich wygładzał, zapewne na czołach pojawiłyby się groźne bruzdy, a tak tylko zabijali spojrzeniem siedzącą przed nimi kobietę i z nerwów zaciśkali zęby.

– Nic nam nie zrobisz – odezwał się w końcu szef agencji.

– Zrobić mogę bardzo dużo, poczynając od zawiadomienia prokuratury o oszustwach na znaczną kwotę – rzuciła z nieschodzącym z twarzy uśmiechem, jakby w wyniku nieudanej operacji plastycznej nie była w stanie przybrać innej mimiki. – Latami oszukiwaliście swoich klientów, wystawiając faktury za rzeczy, których nigdy nie robiliście, lub zawyżając je znacząco. Z tego, co mówili mi na studiach, nie powinno się tak robić. Moi drodzy panowie, to oznaka wielkiego braku szacunku dla kontrahenta.

– To nie tak... – zaczął Kamiński, ale zawiesił głos.

– Powiem tak, macie przejebane – skomentowała i wyciągnęła z teczek przygotowane wcześniej z Carlosem dokumenty. – Ale mam propozycję, taką z serii nie do odrzucenia. Podpiszcie papiery kończące dotychczasową współpracę z klientami, których wymieniłam w umowie. Oddacie firmie pana Kacpra Uznańskiego wszystko, co mu ukradliście, a Aurelii Ibisz wypłacicie wszystkie zaległe prowizje, nagrody i tego typu rzeczy. Oczywiście dodatkowa premia będzie mile widziana i może utemperuje moje zapędy do dalszego mszczenia się. Sugeruję więc, że warto zajrzeć trochę głębiej do kieszeni.

Dwaj siedzący przed nią mężczyźni cały czas patrzyli na nią jak na kosmitkę. Miała wrażenie, że przydupasowi szefa oczy się lekko wybałuszyły, a z kącika ust zaczęła spływać spieniona ślina, jakby chorował na wściekłość.

W końcu Wiktor Chrzanowski wstał ze skórzanego fotela i odstawił pusty kieliszek na szklany blat biurka swojego przyjaciela.

– Chyba ci się poprzestawiało w głowie, suko – powiedział, podszedł do Dagmary i stanął kilkanaście centymetrów od niej.

Czuła jego skwaśniały oddech i najchętniej naplułaby mu w twarz, ale się powstrzymała. Uzgodniła z Carlosem, że przeprowadzi rozmowę z godnością i nie da się podpuścić, mimo że bez żadnych skrupułów wyprowadziłaby prawy prosty, który dopracowała do perfekcji i który nie raz, nie dwa powalił rosnącego faceta. Mierzyła się z nim wzrokiem, nadal uśmiechając się pewnie. Wiedziała, że jest górą. Wiedziała, że nic nie mogą jej zrobić, a mimo to w kieszeni trzymała włączony dyktafon, który w razie czego mógł jej pomóc. Chrzanowski odezwał się chrapliwym od tłumionej wściekłości szeptem:

– Ty myślisz, że znalazłaś sobie jakichś frajerów, którzy będą skakać, jak sobie życzysz? Nie z takimi kurwami mieliśmy tu do czynienia i zapewniam cię, że żadna z nich nie skończyła dobrze. Takie jak ty zjadamy na śniadanie, a przy lunchu już o nich nie pamiętamy.

– Grozisz mi?

Przysunęła się jeszcze bliżej, a tego zupełnie się nie spodziewał, bo odruchowo się odsunął, potykając o własne nogi.

– Możesz to nazywać, jak chcesz. Chociaż ładniej brzmi upomnienie. My generalnie w agencji nie lubimy osób nielojalnych.

– Aha, tacy goście z zasadami jesteście? Zaskoczę was, ale ja też. Tylko wydaje mi się, że inne wartości wyznajemy.

Sięgnęła ponownie do teczki i wyciągnęła odpowiednie fotografie, po czym podała je stojącemu przed nią mężczyźnie. Drugi plik kopii podsunęła szefowi.

Przenosząc wzrok z jednego na drugiego, chwilę patrzyła na coraz bledsze twarze. Najchętniej zrobiłaby im zdjęcia i wrzuciła do folderu dziękczynnego, który miała na pulpicie. Wrzucała tam wszystko, co uznała za swój sukces. Było tam zdjęcie zupy tajskiej, której przepis wyciągnęła od znajomego kucharza, a o którym marzyła od lat, selfie z jej ukochanym piosenkarzem Stingiem podczas jego ostatniego koncertu w Polsce, ale też takie proste rzeczy, jak poranek na łące czy zdjęcie ukrytego w lesie jeziora przy świetle zachodzącego słońca.

– Widzę, że zaczynacie rozumieć, że mam po swojej stronie kilka asów. Więc jeżeli chcecie, aby te zdjęcia, na których, jak widać, bawicie się świetnie z moim kumplem Pepe, nie trafiły do waszych żon i matek, a te rozliczenia na policję, to niestety musicie grać w moją grę. Co do zdjęć, to jest też nagranie i powiem wam... – Wybuchnęła głośnym śmiechem, a w tym momencie po skroniach Wiktora Chrzanowskiego zaczęły spływać małe krople potu. Nieważne, że wszystko to nie do końca się zgadzało z tym, co sobie pomyśleli. Nic takiego strasznego się nie wydarzyło, poza kilkoma pozowanymi zdjęciami z jej kolegami. Filmu żadnego nie miała, ale dobrze wiedziała, że nikt nigdy jej nie sprawdzi. Ot, taki bluff. – Nie spodziewałabym się, że jesteście aż tak otwarci na różne opcje, kombinacje i uduziwienia. Po alkoholu stajecie się niezwykle otwarci. Ale nie zdradzę wam wszystkiego. Jeżeli mnie zdenerwujecie, to się dowiecie, ale nie radzę. Zresztą nie tylko wy, ale i wiele innych osób. A jeśli chodzi o zdjęcia Aurelii, to średnio je zabezpieczyliście. Już ich nie ma. I jeżeli jeszcze raz zrobicie coś takiego jakiejś dziewczynie, to skończycie z jajami przybitymi do drzewa w mroźną grudniową noc. Pewnie już wiecie, że nie ma co mnie denerwować. Ale żeby nie przeciągać, bo muszę paznokcie poprawić, to żegnam panów. Do zobaczenia nigdy.

## Rozdział 39

– Witaj – powiedział Kacper Uznański i zaprosił ją do swojego gabinetu. Tym razem ubrany był w elegancki dres i białe conversy, w których wyglądał jak młodziak, a nie pan koło pięćdziesiątki. – Gdy Moniczka powiedziała, że chcesz się spotkać, przestraszyłem się. Byłem bardziej niż pewien, że coś nie wypaliło, ale patrząc na ciebie, wyczuwam sukces. Ciekawe, czy się nie mylę?

Dagmara usiadła naprzeciwko mężczyzny na tym samym fotelu co poprzednio. Niby było to tylko dwa tygodnie temu, ale miała wrażenie, że upłynęło znacznie więcej czasu. Zniknęło zdenerwowanie, a pojawiła się duma z dobrze wykonanej roboty. Wyciągnęła z torby przygotowane przez Carlosa dokumenty i podała je mężczyźnie.

– Tutaj są korekty faktur za wykonane przez agencję Gabriela Kamińskiego usługi. Jak pewnie wiesz, trzeba podpisać i im odesłać. – Uśmiechnęła się, widząc zdziwioną minę mężczyzny.

– Aż na tyle mnie rąbnęli?! – krzyknął mężczyzna, powoli przeglądając kartka po kartce trzymane dokumenty i kręcąc z dezaprobatą głową.

– Do tyłu się na razie przyznali, ale myślę, że mogło być więcej.

– Wow, nie spodziewałem się tego.

– No niestety, nie mieli skrupułów. Na szczęście oddadzą wszystko plus twoje wydatki za ostatnie pół roku.

– Żartujesz? – rzucił zdziwiony, a jego oczy aż zaświeciły się z podniecenia.

– Nie – powiedziała pewnym głosem i sięgnęła po kolejny dokument i podała mężczyźnie.

– Dodatkowo nie musisz się martwić o obsługę eventową. Tutaj jest propozycja umowy z niesamowitą osobą. Ma doświadczenie, jest niezwykle pracowita i zdeterminowana. Mogę za nią ręczyć. Poza tym to ona przez ostatnie lata was obsługiwała, więc myślę, że dobrze się na tym zna.

Mężczyzna odłożył dokumenty i podrapał się po głowie.

– Gdy twój ojciec powiedział mi o tobie, wiedziałem, że będziesz dobra. Interesy z nim zawsze dają gwarancję sukcesu. Ale to, co odstawiłaś, powoduje, że powinien czuć się zagrożony. Przerastasz go o głowę, a to dopiero twój początek. – Wstał i wyciągnął do niej rękę. – Jesteś niezemska. Nie wiem, jak to zrobiłaś, i chyba nie chcę wiedzieć, ale jestem pewien, że klienci będą ustawiać się do was kolejkami, dlatego pamiętaj, że zaczęło się ode mnie. – Uśmiechnął się do Dagmary i wrócił na miejsce. – A tak na serio, będę miał dla was kolejne zlecenie. Muszę tylko jeszcze porozmawiać z żoną i odezwę się.

## Rozdział 40

– Da się ustalić, z kim korespondowała na Tinderze Nina Wysoczańska? – spytał Grzegorz Wiśniewski, siadając naprzeciwko Mikołaja Wronkowskiego.

Młodszy od niego o prawie dwadzieścia lat mężczyzna z miesiąca na miesiąc zmniejszał niepokryty tatuażami procent swojego ciała. Prawą rękę miał całą czarną, tak jakby ktoś oblał ją farbą, nie zostawiając ani milimetra wolnej przestrzeni. Na lewej miał motywy z różnych europejskich miast. Dwa tygodnie wcześniej przy piwie, na które umawiali się dość regularnie, zaczął opowiadać ich historię.

Jako osiemnastolatek wbrew swoim rodzicom nie poszedł na studia, ale spakował plecak i wyruszył w podróż. Zaczął od czeskiej Pragi, później wylądował na trochę w Wiedniu. Następny był Berlin, po nim Amsterdam, Paryż, aż dotarł do Londynu, gdzie mieszkał przez siedem miesięcy. Ani razu nie zadzwonił do rodziców z prośbą o pieniądze. Zawsze udawało mu się zaczepić do jakiejś prostej pracy, niewymagającej znajomości lokalnego języka. Kopał doły, kosił trawniki, roznosił ulotki. Gdy po roku wrócił do domu, czuł się gotowy na studia. Wtedy znowu zaskoczył wszystkich, bo zamiast pójść na prawo, jak liczyli rodzice, wybrał studia informatyczne, a następnie poszedł do szkoły policyjnej, wprawiając matkę w stan przedzawałowy. Poza zmianą życiowych planów wrócił również z ciałem ozdobionym licznymi pamiątkami związanymi z każdym odwiedzionym miejscem.

– Niestety jest to bardzo trudne, ponieważ współpraca z portalem idzie opornie. Na szczęście jest kilka rzeczy, które wiemy. Zdjęcie profilowe jest fałszywe. Znalazłem identyczne na stronie jednego z banków zdjęć, więc nadal nie mamy pojęcia, jak wygląda. Za to zdjęcie z festynu zrobił prawdopodobnie on. Sprawdziłem pogodę. Generalnie cały dzień było słonecznie, a tutaj widać gęste chmury. Tylko od piętnastej do siedemnastej panowała taka pogoda. Znalazłem jedną kamerę, którą ustawiono na główne wejście na teren festynu. Oczywiście mógł wejść inaczej, ale od czegoś muszę zacząć. Teraz będę sprawdzać, czy może na którymś kadrze widać coś interesującego.

– Chcesz mi powiedzieć, że będziesz sprawdzać wszystkie nagrania z tego okresu? – wtrącił zdziwiony Grzegorz Wiśniewski.

– Oj, nie. Mam takiego nowego, który jest nakręcony jak króliczek z reklamy baterii. On bierze na swoje barki wszystko, co najgorsze, więc i tym się pewnie chętnie zajmie.

– A co z telefonem dziewczyny? Wiemy, gdzie była bezpośrednio przed morderstwem?

– Ostatnie logowanie zarejestrowano na festynie, później telefon został wyłączony.

– Cholera. Pewnie żadnych śladów na telefonie nie znaleźliście? – dopytywał Grzegorz Wiśniewski i sięgnął po przygotowaną na ten dzień sałatkę.

Od jakiegoś czasu żona starała się przygotowywać mu do pracy zdrowe jedzenie, tak aby chociaż trochę zmienił szkodliwe nawyki żywieniowe wyrobione przez długie lata pracy.



- Niestety dla nas, dobrze wiedział, co robi. Wyczyścił wszystko z obudowy i ekranu. Nie ma nic. Zupełnie. Nawet odcisków dziewczyny. Ktoś bardzo się postarał i wyczyścił wszelkie ślady. Wygląda, jakby nigdy nikt go nie dotykał.

## Rozdział 41

„Dobrze, że zdechl”.

Dagmara patrzyła na wyklejoną kartkę z napisem utworzonym z wyciętych liter. Nie miała pojęcia, o co chodzi.

Gdy miała osiem lat, zmarł jej ukochany pies. Wabił się Snoop i był przepięknym labradorem o brązowym umaszczeniu. Stanowili nierozłączną parę od pierwszego dnia jej życia. Matka zawsze opowiadała, że strzegł jej jak oka w głowie. Leżał przy jej łóżeczku i pilnował, a jeśli z jakiegoś powodu nie było go przy niej, gdy tylko zaczynała płakać, leciał do jej pokoju i sprawdzał, czy wszystko jest w porządku, nawet gdy siedział wtedy przy misce i pałaszował przygotowane przez ojca Dagmary rarytasy. Niestety to właśnie zbyt duża ilość podawanego jedzenia spowodowała, że przez ostatnie miesiące życia cierpiał, pokonany przez dysplazję, chorobę powszechną wśród przedstawicieli tej rasy.

To było pierwsze, co przyszło Dagmarze do głowy, gdy przeczytała kartkę umieszczoną w zwykłej kopercie. Nie miała przyklejonego żadnego znaczka ani wpisanego adresata. Znalazła ją u rodziców w stercie poczty, którą swoim zwyczajem wyciągnęła ze skrzynki i zaczęła przeglądać, mimo że od dawna rzadko coś przychodziło do niej na adres domu rodzinnego.

„Może ktoś się pomylił”, pomyślała i wyciągnęła z plecaka dokumenty, które od dawna chowała w szafie u rodziców, aby nie mieć do nich dostępu na co dzień.

Patrząc na nie, czuła się trochę jak zdrajca. Dwa tygodnie po pogrzebie brata siedziała z ojcem w salonie. Matka spała po zażyciu sporej dawki leków uspokajających, co czyniła od momentu, gdy dowiedziała się, że jej ukochany syn zginął. Marianna i Bartek Zatorscy godzinami potrafili przesiadywać wspólnie przed telewizorem, oglądając programy przyrodnicze, czego nikt inny z domowników nie trawił. Ciągała syna po występach swoich podopiecznych, licząc, że i on zapala wielką miłością do tańca, ale nie dość, że to nie nastąpiło, to okazało się, że chłopak ma wadę, która jest nie do przeskoczenia – w ogóle nie miał wycucia rytmu. Muzyka w tańcu mu nie przeszkadzała. Nawet lubił potupać sobie nogą, ale robił to w ramach „disco samby”, jak to komentowała matka. Bawił się przy tym świetnie, wywołując u rodzicielki delikatne konwulsje, dlatego nie cisnęła, a z czasem wręcz zaczęła sugerować, żeby w ogóle nie tańczył. Przy żadnej okazji.

Przez pierwsze tygodnie po śmierci Bartka matka praktycznie nie wychodziła z pokoju. Dostawała pod drzwi posiłki i sporadycznie pozwalała komuś wejść. Z tego powodu Dagmara z ojcem siedzieli często w ciszy, popijając powoli czerwone wino, które przywiózł z Włoch.

– To nie była twoja wina – powtarzał. Słyszała to już tyle razy, ale cały czas jakby do niej nie dochodziło. – To on przyszedł do mnie i poprosił o motocykl. Ja powinienem powiedzieć „nie”, ale... Jeżeli ktoś ma się tutaj obwiniać, to powinienem to być ja.

– Nie. Teraz to wymyślasz. On to zrobił, bo zawsze mu dogryzałam, że jest boidudkiem, to moja wina...

Nie dał jej skończyć.

– Nie! Policja, biegli, wszyscy uznali to za nieszczęśliwy wypadek. Gdyby nie jechał z tobą, pojechałby z kimś innym. On kochał te dwa kółka, mimo że na co dzień był taki powściągliwy. Dlatego teraz musisz bardziej o siebie dbać, dla nas. – Popatrzył na nią, próbując się uśmiechnąć. – Jesteś jedynym, co nam zostało, więc nie możesz pchać się w kłopoty.

Na wspomnienie tej i tysiąca podobnych rozmów poczuła wyrzuty sumienia. Niestety jak zwykle niewiele sobie robiła z tego typu złożonych przyrzeczeń. Otworzyła teczkę, w której zgromadziła wszystkie informacje dotyczące wypadku. Dopiero wczoraj dostała ekspertyzę od biegłego sądowego. Stanowiło to nie lada wyzwanie. Po pierwsze, musiała znaleźć kogoś z najwyższej półki, kto nie będzie wróżył z fusów. Po drugie, długo czekała na zwrot wraku motocykla przez prokuraturę. Nie wynikało to bynajmniej z ich dążenia do prawdy, ale z opieszałości i miliona druczków do podpisania.

Na szczęście rodzice bez zająknięcia pozwolili jej się tym zająć, nie doszukując się drugiego dna. Dagmara chciała nie tylko być na bieżąco ze śledztwem, które ku jej rozpaczy szybko zamknięto, kwalifikując to, co się stało, jako nieszczęśliwy wypadek, mimo że zapewniała, że nim nie był. Chciała zrobić co w jej mocy, aby dojść do prawdziwej przyczyny wypadku.

Biegły, który obejrzał motocykl Bartka w ramach prowadzonych przez policję działań, nie był najlepszy. Na swoim koncie miał kilka kontrowersyjnych opinii, a w środowisku, co Dagmara dogłębnie sprawdziła, nie miał renomy. Odwalał robotę po linii najmniejszego oporu, zgarniał kasę i tyle go obchodziło. Nie wchodził w szczegóły, a gdyby to zrobił, szybko by odkrył, że Bartek Zatorski sprawdzał wszystko po pięć razy. Rozkręcał swój motocykl wielokrotnie i dopieszczał każdy jego element, a w chwili krytycznej jego hamulce odmówiły posłuszeństwa, czego biegły nie wychwycił.

Tak stwierdził fachowiec, do którego zwróciła się o pomoc Dagmara. Długo zajęło jej znalezienie odpowiedniej osoby. Zrobiła pewnego rodzaju casting, choć biorące w nim udział osoby nie miały o tym zielonego pojęcia. Rozpytała znajomych motocyklistów, kolegów z uczelni, przeszukała cały internet, a potrzebną pomoc znalazła w najmniej spodziewanym miejscu – w sklepie spożywczym.

– Przykro mi z powodu pani brata – zaczęła pani Zosia, gdy kilka dni po wypadku Gaga przyszła zrobić zakupy dla rodziców.

Matka, która zazwyczaj zajmowała się zaopatrzeniem, nie chciała wychodzić z łóżka. Ojciec nie potrafił kupować nic poza kawą i winem, więc niechętnie pomaszerowała do małego lokalnego sklepiku, który wielokrotnie ratował jej życie, a dokładniej imprezy, które regularnie robiła podczas nieobecności rodziców.

– Dziękuję – odpowiedziała, zupełnie nie mając ochoty na rozmowę.

Chwyliła za plastikowe worki z owocami i zaczęła wkładać jabłka, wiedząc, że i tak kupi złe. Tym razem miała to zupełnie gdzieś.

– Mój syn też zginął na motorze – wyszeptwała. – To było dawno temu, a i tak nadal czuję pustkę. Gdyby nie Karolek, mój wnuczek, umarłabym z rozpaczy.

– Przykro mi – skomentowała i dalej pakowała owoce.

- Jeżeli kiedykolwiek będzie pani potrzebowała jakiegoś specja od motorów, to proszę dać znać. Mój wnusio jest najlepszym z najlepszych. Jego ojciec zginął przez błąd partacza, który nie dokręcił jakiejś śrubki, dlatego za życiową misję obrał sobie walkę z takimi. Jest biegłym i ponoć nie ma sobie równych - powiedziała i podeszła do klienta, który nie był w stanie sięgnąć po ogórki stojące na wyższej półce.

Rozmowa ta praktycznie wypadła z głowy Dagmarze, lecz przypomniała sobie o niej zupełnie przypadkiem, gdy matka wysłała ją po sól do sklepu.

Dzięki temu teraz siedziała z dokumentami, z których jasno wynikało, że pojazd jej brata został celowo uszkodzony. Bez odpowiedzi zostawało tylko pytanie, kto to zrobił.

## Rozdział 42

ON

Gdy ją zobaczyłem, aż zaniemówiłem. Wyróżniała się spośród reszty. Brązowe włosy, długie i rozpuszczone, gdy reszta dziewczyn zawsze musiała spinać. I ta twarz...

Gdy spytałem go, kto to jest, powiedział, że nie mogę mu jej zabrać.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi.

W końcu wyznał, że wszystko wie. Widział mnie z tamtą dziewczyną i on też by tak chciał. Ma dość tego, że inni się z niego śmieją.

Na początku myślałem, że żartuje. Zupełnie to nie pasowało do tego chudego, zawsze wycofanego chłopaka, który bał się własnego cienia.

Podejrzywałem, że to jakaś podpucha. Że ojciec go na mnie nasłał, żeby mnie sprawdził i doniósł, co robię. Postanowiłem zrobić mu test. Dałem starą kamerkę, której nie używałem, i kazałem nakręcić jakąś laskę z ukrycia. Spojrzał na mnie jak na jakiegoś dewianta, a ja zaśmiałem się mu w twarz.

- Miękką pała jesteś i tyle. Nie dasz rady, więc... - powiedziałem, ale zostawiłem mu sprzęt. Ciekawiło mnie, czy podejmie wyzwanie.

Wpadłem dwa tygodnie później, tak jak się umówiliśmy.

Siedział na murku przed tym obskurnym budynkiem. Pierwszy raz delikatnie się uśmiechał. Nigdy się tak nie zachowywał, nawet jak moja mama robiła mu coś dobrego do jedzenia. Wtedy kiwał głową, jakby przestraszony, szeptał „dziękuję” i tyle.

A teraz kąciki ust nie opadały, jakby ciągnęła je w górę jakaś magiczna siła.

- Hej - rzuciłem zaciekawiony. Zazwyczaj nie zagadywałem do niego pierwszy. Szedłem tam z musu, więc ograniczałem udzielanie się do minimum, ale teraz ciekawość mnie zżerała.

- Masz - odpowiedział i wyciągnął w moją stronę coś zawiniętego w kawałek materiału.

Od razu wiedziałem, co to jest. Kamera. Odwinąłem ją i odchyliłem boczny ekran. Jakość nagrania daleka była od ideału, ale i tak widziałem, że chłopak spisał się nieźle. Nagrał dwie dziewczyny podczas kąpieli pod prysznicem. Nigdy wcześniej ich nie widziałem, chociaż może po prostu nie zwróciłem uwagi na ich twarze. Teraz gapiałem się na nie jak szczyrbaty na suchary. Jedna, blondynka z dużymi cyckami i bardzo okrągłymi pośladkami, przez chwilę wykonywała ruchy, jakby tańczyła. Druga, niższa i drobniejsza, poruszała się z powagą jakiejś damy. Jej oszczędność w ruchach zachwycała.

Alte gdybym miał wybrać, która ładniejsza, nie wiem, czy dałbym radę.

- Która jest łatwiejsza? - rzuciłem.

Spojrzał na mnie tymi swoimi wylupiastymi oczami, jakbym spytał o pogodę na Marsie, więc wyjaśniłem:

- Która daje się macać i takie tam?

- Hmm... No...

- Ja pierdołę, ty masz coś z deklek. - Wstałem z murka zniechęcony.

- No... chyba Kasia...

- Czyli? Żadna z nich nie ma na czole tatuażu ze swoim imieniem.

- Ta wyższa.

- Czyli grubsza? - dopytywałem dalej.

- Tak.

- No i w końcu coś konkretnego. To teraz dowiedz się, jakie słodycze lubi - powiedziałem i ruszyłem na przystanek.

Za dwie godziny miałem pojawić się na budowie. Tego dnia jeden z chłopaków miał urodziny, co oznaczało niezłe ekscesy. Ojciec pilnował, żeby mi nic nie dawali, ale zawsze jakoś mi się udawało podprowadzić chociaż małpeczkę. Poza tym nie to jarało mnie najbardziej, ale dziewczyny, które przyprowadzali.

## Rozdział 43

Gdy weszła do ich ukochanej tajskiej knajpy, ojciec siedział już przy stoliku i swoim zwyczajem czytał książkę. Niezależnie do tego, dokąd szedł i z kim był umówiony, zawsze zabierał ze sobą coś do poczytania. Wielokrotnie próbowała go przekonać do Kindle'a lub innego urządzenia do czytania e-booków, ale był niereformowalny. Zapach papieru i szelest kartek dawały mu taką radość, że wygoda nie mogła tego przebić.

Dagmara uśmiechnęła się lekko do kelnerki i podeszła do stolika.

– Nie wiem, czy cię zakopać, czy ci pogratulować – powiedział, odłożył książkę na bok i zmierzył ją wzrokiem.

Jak zwykle o tej porze roku miała na sobie krótkie jeansowe spodenki i T-shirt, tym razem lawendowy z kolorowym napisem „love”. Poprawiła spływające falą blond włosy, które starała się jak najczęściej nosić rozpuszczone – nie po to, żeby wkurzyć matkę, ale dlatego, że dzięki temu czuła się trochę mniej jak chłopczyca.

– Też cię miło widzieć, tatusiu – odpowiedziała i zatrzepotała teatralnie rzęsami.

– Ty mnie tu nie kokietuj. Nie wiem, czy pamiętasz, ale jakiś czas temu na coś się umówiliśmy. Wiesz dobrze, że całe życie pozwalałem ci na wszystko. Ale jest jedna rzecz, której nie zniosę. Jeżeli będziesz się niepotrzebnie narażać... Z matką nie damy rady, jeżeli coś ci się stanie.

Dagmara patrzyła na ojca i zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Zawsze stanowił dla niej oparcie i dawał poczucie bezpieczeństwa, niezależnie od wszystkiego. Zawsze mogła na niego liczyć, nawet gdy naginała zasady narzucane przez matkę. Nawet wtedy chronił ją, żeby nie dosięgły jej pioruny, które Marianna wysyłała w jej kierunku za niewielką nawet niesubordynację.

Gdy zmarł Bartek, żadne z nich nie mogło się odnaleźć. Każde szukało nowego pomysłu na siebie i na swój sposób wypełnienia sobie pustki, która po nim pozostała.

Matka zaczęła więcej pracować. Do już wcześniej napiętego harmonogramu dorzuciła sobie prowadzenie grup konkursowych, z którymi prawie co tydzień wyjeżdżała na zawody. Ojciec zapisał się na golf i zniknął z kolegami na całe dni. Podobno od rana po późne popołudnie chodzili po polach golfowych z przystrzyżoną równo trawą.

Ona też poszła w sport, a dokładniej w jedną z bardziej brutalnych wersji, w kickboxing. Nic sobie nie robiła z faktu, że jej „przystojna buzia”, jak to często powtarzała matka, raz na jakiś czas udekorowana była krwistymi lub ciemnofioletowymi siniakami. Paznokcie odchodziły jej od palców, a na pieszczelach miewała bulwy wielkości kurzego jajka.

Może rodzice nie przejmowali się tym tak bardzo, gdyby kiedyś podczas treningu nie poślizgnęła się i nie walnęła głową o posadzkę. Może też nigdy by się o tym nie dowiedzieli, gdyby nie jej nadgorliwy kolega, który widząc koleżankę zabieraną przez karetkę, zadzwonił po jej rodziców, bo zupełnie przypadkiem znał nazwę szkoły tańca matki.

- Nie możesz nam nigdy więcej tego zrobić - powtarzali oboje, wisząc nad jej łóżkiem.

Od tego czasu zmieniła treningi na crossfitowe, z delikatną domieszką boksu, wmawiając sobie, że są bezpieczniejsze niż kickbokserskie, choć wiedziała, że to nieprawda. Zrezygnowała z wymarzonej specjalizacji detektywistycznej, a skupiła się na przestępstwach gospodarczych, licząc, że to mniejsze ryzyko.

Wierzyła, że wszystko w jej życiu będzie układało się tak, że nie będzie musiała mocno nagiąć złożonej obietnicy. Jednak nie mogła odmówić pierwszemu zleceniodawcy zaangażowania w kolejną sprawę, jaką dla nich miał.

Patrzyła na ojca, którego twarz zdobiła coraz większa ilość zmarszczek. Dodawały mu uroku, ale też powodowały, że coraz częściej myślała o tym, że kiedyś go zabraknie. Kiedyś obudzi się rano i nie będzie miała do kogo zadzwonić i pogadać.

- Wiem - wydusiła w końcu. - Nie powinnam brać tej sprawy Uznańskich.

- Uznańskich? - spytał zdziwiony i swoim zwyczajem zmarszczył nos, jakby chciał ją nastraszyć.

- Hmm... - westchnęła, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć. Wczorajsze spotkanie z szefem firmy programistycznej bardzo ją zaskoczyło. Nie chodziło już o sprawę gospodarczą, ale taką dla Sherlocka Holmesa.

- Wydusisz coś z siebie? - ponaglił i postukał pałeczkami o blat drewnianego stołu.

W tym momencie Dagmara pożałowała, że dzisiaj postanowili zjeść sushi. Stojące przed ojcem futomaki z serkiem philadelphia i surowym łososiem nie wymagały szybkiej konsumpcji, a tym samym nie mogła rzucić: „Zaraz pogadamy, zjedz, bo wystygnie”.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedziała, wiedząc, że to średnia strategia. Odwlekała tylko w czasie nieuniknione.

- Jeżeli chcesz mnie tak traktować, to twój wybór.

- Tato, ale ja naprawdę myślałam, że chodzi o sprawę tych matroszek.

- O co? - spytał zdziwiony.

- Aha, czyli nic o tym nie wiesz?

- Nie. Chodziło mi o tę Górską. Panią od tych dziwnych tańców.

- Stepowania - wtrąciła z uśmiechem, który szybko zniknął. - Nie wiem, co wiesz, ale ja nic jej nie obiecywałam.

- To trochę dziwne. Powiedziała matce, że zadeklarowałaś się jej pomóc i że jest jej niezmiernie miło, że w końcu jest ktoś, kto znajdzie mordercę jej córki.

- Ale to nieprawda! - krzyknęła. - Ja jej odmówiłam. Przecież wam obiecałam - powiedziała już ciszej.

- To ciekawe. Ale z tego, co przed chwilą powiedziałaś, wynika, że jest jeszcze inna sprawa? - spytał, chwycił kawałek sushi i zanurzył go w sosie sojowym, który stał przed nim w małej miseczce.

- Tak. Jest - powiedziała w końcu i skinęła na stojącą niedaleko kelnerkę z gładko upiętymi w kok włosami. - Mogę poprosić o jeszcze jedną colę zero?

- Kiedy rzucisz to świństwo? - wymamrotał ojciec z pełnymi ustami.



– Nigdy, dbam o swoje śrubki – odpowiedziała. – Dobra. Nie będę kręcić. Twój kumpel dał mi drugie zlecenie.

– Wow, rzeczywiście wspominał, że poszło ci super, ale nic więcej nie mówił.

– Poprosiłam go o to.

– Dlaczego? – spytał, odsunął od siebie talerzyk, na którym nic już nie było, i skrzyżował na brzuchu ręce. Ta pozycja obronna zawsze ją stresowała.

– Chyba wiesz dlaczego... – Przewróciła oczami i pokręciła głową. Nigdy nie lubiła takich podchodów, ale jednocześnie coś ją blokowało i nie potrafiła powiedzieć wprost, co się dzieje. Wzięła głęboki wdech i spojrzała na ojca. – Nie uchronicie mnie przed wszystkim. W każdym momencie może mi się coś stać. Może potrafić mnie samochód, mogę spaść ze schodów lub kupa z samolotu może mnie zgnieść. Ja wiem, że wiele przeszłście, ale nie możecie zabraniać mi żyć. – Słowa wypływały z jej ust w sposób niekontrolowany, dając jednocześnie uczucie ulgi. – Możesz mi wierzyć lub nie, ale zrobię wszystko, żeby się nie narażać. Ja nie mam w sobie jakichś autodestrukcyjnych ciągót. Kocham żyć. Jeść, podróżować, imprezować i takie tam. Dla mnie, jak i dla was, śmierć Bartka była końcem świata. Sam wiesz, jak wiele kosztowało nas, aby wrócić do żywych. Ale właśnie ze względu na niego nie możemy odbierać sobie życia pełną piersią. On by tego nie chciał. Zawsze powtarzał, że najlepszym lekarstwem jest uśmiech, a marzenia trzeba realizować. I ja tego chcę. Od trzech lat staram się robić wszystko, abyście byli szczęśliwi, ale mam dość. Mam okazję zrobić coś, o czym zawsze marzyłam. I żeby nie było, nie zamierzam biegać z bronią i strzelać do złoczyńców. Takie rzeczy mnie nie kręca. Sprawy gospodarcze są niezwykle rozwojowe, ale chciałabym się sprawdzić w innych i nie chcę tego robić za waszymi plecami. Chcę móc wam o wszystkim mówić, chwalić się sukcesami, a nie jak złodziej ukrywać się i liczyć, że nikt mnie nie złapie na gorącym uczynku.

Dagmara sięgnęła po podaną jej chwilę wcześniej colę, zupełnie nie rejestrując tego faktu. Czowała, że cała się w środku trzęsie ze zdenerwowania i jednocześnie ekscytacji. W końcu wydusiła z siebie coś, co siedziało w niej od dłuższego czasu. Od śmierci brata często rezygnowała ze swoich marzeń, aby nie narażać rodziców na stres. Nie pojechała na rajd motocyklowy do Rumunii. Odrzuciła udział w wyprawie wspinaczkowej we francuskie Alpy. Wszystko po to, żeby nie dokładać im zmartwień. O ile dotychczasowe ustępstwa aż tak bardzo jej nie bolały, o tyle teraz, stojąc przed możliwością rozwiązania nietuzinkowej sprawy, o jakiej marzą wszyscy zaczynający pracę w zawodzie detektywa, nie chciała odpuścić.

Chciała zrobić to, co często powtarzał Bartek: „be the best, fuck the rest<sup>\*</sup>”, ale nie raniąc przy tym najbliższych. Drżącą ręką odstawiła szklaną butelkę na stół i spojrzała na ojca. Podczas całego swojego monologu patrzyła bardziej na jego włosy niż oczy, bojąc się, że wyczyta w nich coś, co jej się nie spodoba. Teraz ojciec wbijał wzrok w kant stołu, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. W końcu spojrzał na córkę i powiedział:

– Przepraszam.

Po tych słowach wybuchnął płaczem.

---

<sup>\*</sup> bądź najlepszy, pieprz innych (ang.)

## Rozdział 44

– Wyjaśnij mi jeszcze raz. Ci ludzie dostali sześć matiosiek – powiedział niezdarne Carlos, poprawiając kołnierzyk różowej koszulki polo, który przekreślił się i nieładnie układał się wokół szyi, co chłopak dostrzegł w odbiciu w ekranie, zanim włączył laptop.

– Matrioszek – poprawiła go Dagmara i pociągnęła łyk mojito, które specjalnie z okazji zdobycia drugiego zlecenia serwował jej tego wieczoru wspólnik.

Uwielbiała, gdy rozpieszczał ją wszystkim, co dobrze smakowało lub zawierało procenty, a ideał stanowił miks tych rzeczy.

– Zwał jak zwał. Czyli dostawali te drewniane laleczki, i co w tym dziwnego?

– Przede wszystkim to, że poza standardowym kształtem znacząco różniły się od tych klasycznych. Zazwyczaj mają ubrania ludowe, a te miały nowoczesne. Plus ich miny były przerażające. Zdecydowanie nie chciałabym takich dostać w prezencie i nie podarowałabym komuś, kogo lubię. W teczce są ich zdjęcia. Pobrałam odciski od państwa Uznańskich i ich córki Moniki. Teraz czeka mnie zabawa ze sprawdzaniem, czy poza ich odciskami na tych laleczkach są jeszcze inne.

– Pomóc ci z tym? – spytał niechętnie.

Zawsze tego typu zadania go przerażały. Zabezpieczanie miejsca zbrodni uważał za jedną z najnudniejszych rzeczy. Zupełnie nie wyobrażał sobie siedzenia godzinami nad plamką substancji koloru czerwonego, jak w protokole odkreślała krew policja. Dodatkowo miał wrażenie, że jego palce są zbyt grube, aby za pomocą pincetki unosić z ziemi pojedynczy włos lub mikroskopijny skrawek tkaniny. Może i dałby radę po dziesiątej próbie, ale szanse, że dany materiał nadawałby się jeszcze do badania, byłyby bliskie zera. Dlatego unikał takich sytuacji jak ognia i chętnie oddawał je innym.

– No rejcej – odpowiedziała z uśmiechem na twarzy. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Nie. No co ty. Wszystko pewnie byś pościerał tymi swoimi zgrabiętymi palcami. Ty poszukasz informacji o wszystkich osobach, które przewijają się przez ich dom. Tutaj masz listę. – Sięgnęła po przygotowaną wcześniej kartkę, na której drukowanymi literami wypisała nazwiska, i podsunęła ją Carlosowi. – Wpisałam na nią wszystkich, łącznie z naszymi zleceniodawcami. Warto wiedzieć o nich jak najwięcej.

– Zdecydowanie – potwierdził, zapatrzonny na długie nogi Dagmary.

Dobrze wiedziała, że od zawsze miał świra na punkcie kobiecych nóg, a te leżące pół metra od niego na kanapie przyciągały go jak magnes.

– Skup się! – Uderzyła go w ramię jedną z poduszek i zrobiła poważną minę. – Czyli mamy Kacpra Uznańskiego, pięćdziesięcioletniego właściciela firmy programistycznej, oraz Iwonę Uznańską, jego drugą żonę. Co zaskakujące i bardzo na plus, nie jest od niego o dwadzieścia lat młodsza. Widziałam ją i strzelałabym, że jest w jego wieku, a może i nawet ciut starsza. No

i mamy córkę Monikę. Wygląda jak klasyczna laleczka, taka blondyneczka, ale chyba niegłupia.

- Czyli znalazłaś siostrę? - rzucił i od razu pożałował.

Momentalnie do niego doskoczyła i usiadła na nim okrakiem, oplatając go w pasie swoimi długimi nogami.

- Ja blondyneczką? - spytała z błyskiem w oku.

Patrzył w jej błękitne tęczy, przenosząc wzrok raz po raz z nich na zgrabny nos przyozdobiony piegami, które w okresie letnim były jeszcze wyraźniejsze, i na usta, które miał ochotę pocałować.

- Nie, w życiu. Jesteś ciemną brunetką - odpowiedział i przyciągnął ją do siebie.

Od tak dawna niczego nie pragnął bardziej niż bliskości z Dagmarą. Dobrze pamiętał o ich ustaleniach. Mieli być partnerami w biznesie, a nie kochankami. Jednak dla niego jedno nie przeszkadzało drugiemu, a wręcz się wzajemnie uzupełniało.

Patrzyła na niego przez dobre kilka sekund, a on miał wrażenie, że trwa to wieki. Już liczył, że się złamie i zerwie z niego koszulkę, którą specjalnie dla niej założył, ale nie tym razem. Zwinnym ruchem wymknęła się z jego objęć i usiadła na końcu kanapy, w bezpiecznej odległości.

- Jak nie potrafisz się zachowywać, to będziemy zmuszeni wprowadzić zasadę pięciu metrów.

- Zasadę pięciu metrów? - powtórzył zdziwiony.

- Tak, to moja autorska zasada - odpowiedziała z dumą w głosie. - Nie możesz zbliżać się do mnie na odległość mniejszą niż pięć metrów.

- Aha, to jak będziemy pracować?

- Tak jak teraz.

- A co, jak będzie trzeba pojechać gdzieś razem samochodem? - dopytywał rozbawiony.

Uwielbiał szalone pomysły, z którymi wyskakiwała Dagmara. Nigdy wcześniej nie znał osoby, która naprędce wymyślała tak absurdalne rozwiązania, a co najśmieszniejsze, jeszcze szybciej o nich zapominała.

- Tego jeszcze nie wiem, ale to już mój problem. Wróćmy do sprawy - powiedziała oschłym głosem, próbując udawać obrażoną. - Po domu kręci się jeszcze kilka osób. Jest gospoia, która kiedyś opiekowała się Moniką Uznańską.

- Czyli pracuje tam od wieków? - wtrącił Carlos i sięgnął po swoje mojito.

Kątem oka zobaczył, że szklanka Dagmary jest już pusta, i momentalnie się uśmiechnął. Brak drinka zdecydowanie mógł zmiękczyć jej podejście. Wiedział, że za chwilę będzie potrzebowała kolejnego.

- Pracuje od wieków i pamięta dinozaury chodzące po ulicach. Jest członkiem rodziny, jak to powiedział Kacper Uznański. Jest jeszcze ogrodnik, który dba o zieleń wokół domu, i młoda dziewczyna, która sprząta.

- To gospoia tego nie robi? - spytał i dopił drinka.

- Jak to powiedział Kacper Uznański, to jest pomoc gospoia. Dom jest spory i pewnie jednej osobie ciężko utrzymać porządek, no i pani Zofia również gotuje. I to tyle z takich osób na

stałe. Oczywiście raz na jakiś czas przyjeżdża ekipa do wymycia okien.

- To ta gospośnia z panią od konserwacji powierzchni płaskich nie dają rady? - rzucił ironicznie.

- Nie, specjalisto od sprzątanía, który nie potrafi własnych skarpetek odłożyć na miejsce. Odwiedzałam ich dom i muszę powiedzieć, że nawet moja perfekcyjna mama, która dopiero rok temu odpuściła sobie mycie okien co dwa tygodnie, nie dałaby rady. To są wielkie połączenia szyby, a do niektórych trzeba dostać się z pomocą bardzo wysokiej drabiny. Zresztą po co ja ci to opowiadam...

Pochyliła się w stronę swojej szklanki, a zauważywszy, że jest pusta, wróciła do pozycji wyjściowej, nie komentując tego w żaden sposób. Carlos dobrze wiedział, że w normalnej sytuacji kokieteryjnie poprosiłaby go o nowego drinka, jednak teraz musiała grać twardą i niedostępną.

- Wszystko już wiem, poza jednym. Co tutaj jest podejrzanego?

- No tak, ja wiem, ty nie wiesz, a mi się wydaje, że jednak wiesz - powiedziała tak szybko, że zupełnie nie zrozumiał sensu wypowiedzianego przez nią zdania. - Oni nie tylko dostawali te dziwne matrioszki, ale w środku za każdym razem coś ukryto. - W tym momencie sięgnęła po jedną z kartek i zaczęła czytać: - „Nienawidzę cię”. To było w pierwszej. Mało wyszukany tekst. W drugiej znaleźli jakiś kawałek starego i śmierdzącego mięsa.

- O matko, to chyba nie jest oznaka polskiej życzliwości.

- No rejczel. Niestety, co niezaskakujące, nie zatrzymali go, a szkoda. Kolejna znowu wariowała liścik: „Zapłacisz mi za to”. Do czwartej ktoś wlał krew lub...

- Inną substancję koloru czerwonego - skończył za nią Carlos i napił się słabego mojito. Nie był to jego ulubiony drink, zdecydowanie wolał gin z tonikiem, a okazjonalnie whisky z lodem, ale w towarzystwie Gagi, jak lubił ją nazywać, mógł pić cokolwiek.

- Dokładnie - powiedziała, nie odrywając wzroku od kartki. - No i znaleźli jeszcze dwie. W jednej był liścik z tekstem: „Wszyscy się dowiedzą”, a w ostatniej jakaś żrąca substancja. Ta gospośnia to otworzyła i się trochę poparzyła.

- I nie wezwali policji?

- Kobieta bardzo nalegała, żeby tego nie robić. Od zawsze pracowała na czarno i nie chciała mieć problemów, a Uznańscy cały czas podchodzą do tego dość lekko.

- Dziwne - skomentował Carlos.

- Dziwne? To mało powiedziane. Najlepsze jest to, że nie mają zielonego pojęcia, kto może za tym stać.

- A do kogo były adresowane paczki?

- Do nikogo - westchnęła. - Za każdym razem znajdowali je na zewnętrznym parapecie biura Kacpra Uznańskiego, więc wyszli z założenia, że to on jest adresatem.

- Może tak, może nie. Masz zdjęcia domu?

- Mam kilka, ale nie za dużo.

- Ale pamiętasz mniej więcej, jak rozmieszczone są pomieszczenia i jak usytuowane względem ulicy?

- Co za głupie pytanie!

Pokręciła głową, schyliła się po pustą kartkę i zaczęła rysować. Carlos dobrze wiedział, że zrzuty czy perspektywy to było jedyne, co Dagmara potrafiła narysować. Wielokrotnie naśmiewał się z jej kotków, które przypominały słonie, lub innych zwierzątek, które obok pierwowzoru nawet nie stały. Teraz nawet nie zaczynał, widząc, jak w skupieniu kreśli rozmieszczenie pomieszczeń w domu zleceniodawców.

Powoli wstał i ruszył do kuchni, zgarniając po drodze puste szkło. Pięć minut później dzieli ramię w ramię pochyleni nad szkicami i popijali kolejnego drinka, zupełnie zapominając o zasadach, które chwilę wcześniej wyznaczyła dziewczyna.

- Z tego wynika, że od ulicy jest dostęp do okien kuchni i łazienki? - upewnił się i uśmiechnął. Bliskość Dagmary zawsze wpływała na niego kojąco. Miks używanych przez nią perfum z osobliwym zapachem skóry powodował, że miał ochotę zrzucić wszystkie dokumenty zalegające na stole, zerwać z niej zwykły biały T-shirt z tęczą, zsunąć jasnoniebieskie krótkie jeansy i...

- Halo! - Oberwał w ramię, przez co wylał na siebie kilka kropli trzymanego w ręku drinka. - Czy możesz się skupić? Nie wiem, o czym myślisz, ale wróć na ziemię, bo inaczej koniec narady.

- Tak jest, szefowo - powiedział, jednocześnie salutując.

- Odpowiadając na twoje pytanie, to tak. Aby dostać się do reszty, trzeba przejść przez ogrodzenie, które wygląda na dość solidne.

- Okej, ale jakby ktoś mocno się postarał, to mógłby dosięgnąć parapetu w biurze. Popatrz. - Wskazała na jej rysunek, gdzie okno zaznaczonego jako biuro pomieszczenia było niezwykle blisko ogrodzenia. - Jak myślisz, jak daleko to jest?

- Hmm, nie wiem. Ale nawet jeżeli komuś udało się tak wychylić, aby dosięgnąć z zewnątrz, to co z tego?

- Jeszcze nie wiem.

Uśmiechnął się zawadiacko i pocałował ją w usta, gdy zamyślona zerknęła w jego stronę. Zupełnie się tego nie spodziewała, ale też nie oponowała. Trzecie mojito z ilością rumu znacznie przekraczającą zalecaną zrobiło swoje. Przyłgnęła do niego niczym koala do drzewa i dała się ponieść chwili.

## Rozdział 45

Nigdy nie lubił wywieszać na ścianę wszystkich zebranych informacji i liczyć, że to go natchnie. Zawsze ze zdziwieniem patrzył, jak w filmach, szczególnie tych amerykańskich, główny bohater długimi minutami gapi się w wywieszone zdjęcia ofiar i podejrzanych, dopisuje informacje, a czasami nanosi nie wiadomo co znaczące linie, mające naprowadzić go na rozwiązanie zagadki.

Gdy jednak w grę wchodziły dane o kilku zdarzeniach, a na dodatek ofiara albo przestępca się przemieszczali, sam drukował olbrzymią mapę i małymi pinezkami mocował ją do ściany, która do tych celów została zamontowana lata temu, a z której on osobiście skorzystał raptem dwa razy.

W pierwszej kolejności zaznaczył miejsce znalezienia Lucyny Kaczorowskiej, a następnie ostatnie miejsce logowania jej telefonu, czyli wesołe miasteczko, jakieś dwadzieścia godzin przed znalezieniem jej ciała, dwieście metrów od krzaków, w których znalazł ją mężczyzna z synem. Pierwsze pytanie, które się z tym wiązało, to co tam robiła. Z rozmowy z Damianem Makowskim wiedzieli, że faktycznie tam była, ale kilkadziesiąt godzin wcześniej. Nikt nie wiedział nic o późniejszej wizycie.

Według dokładnych ustaleń patomorfologa umarła około pierwszej, maksymalnie drugiej w nocy. Na podstawie znalezionych śladów zupełnie nie byli w stanie określić, co działo się wcześniej. Wiedzieli na pewno, że umarła tam, gdzie ją znaleźli, o czym świadczyły plamy opadowe, które jednoznacznie wskazywały, że po śmierci została delikatnie przesunięta, ale na pewno nikt jej nie przeniósł czy włókł. Zresztą nie tylko one o tym mówiły. Ściółka wokół nie nosiła żadnych śladów świadczących, że było inaczej, a nikt nie potrafiłby jej tak ułożyć, aby grupa wprawionych śledczych tego nie zauważyła.

Wśród pytań bez odpowiedzi cały czas jedno szczególnie krążyło wokół głowy komisarza Wiśniewskiego – dlaczego dziewczyna dała się zwabić na teren wesołego miasteczka o tak późnej porze? Od lat na każdym kroku ostrzegano młode kobiety przed chodzeniem po ciemnych ulicach, umawianiem się z nieznajomymi, szczególnie w odludnych miejscach. W filmach nie raz, nie dwa pokazywano historie kobiet, które źle skończyły, zapomniawszy o zdrowym rozsądku, a mimo to co chwilę słyszał o sytuacjach zbliżonych do tej, która zdarzyła się Lucynie Kaczorowskiej. Może nie aż tak tragicznych w skutkach, ale na pewno traumatycznych, wypalających w psychice ślad na długie lata, a czasami i na całe życie.

– Nie myśl tyle, bo zjedzą cię gile – rzucił Ignacy Bobrowski, który przysiadł na biurku i spojrzał na przyczepiane przez mężczyznę karteczki. – Możliwe, że coś mam – powiedział, czym wyraźnie zainteresował komisarza, który dopiero teraz się odwrócił i spojrzał na rozmówcę. – Znalazłem na dłoniach naszej pierwszej denatki sierść. W aktach jest informacja, że miała kundelka o pięknym imieniu Włodzimierz. Już widzę miny sąsiadów, jak krzyczała

„Włodzimierz, do nogi!”... – Parsknął śmiechem na własny żart, jednak widząc karcący wzrok kolegi, czym prędzej spoważniał.

– Do sedna, Igi – rzucił Wiśniewski, poprawiając karteczkę z napisem „Lucyna Kaczorowska. Miejsce zbrodni”, która wisiała nierówno.

– Nie będę ukrywać, ale odwaliłem za was kawał dobrej roboty. Połączyłem kilka kropek i okazało się, że w poniedziałek ukochany piesek Włodek zaginął.

– Co? A skąd ty to wiesz? – wtrącił zdziwiony.

– Bo jestem niezmiernie inteligentny. – Uśmiechnął się i pociągnął łyk płynu, który miał w termicznym kubku w kolorze zgniłej zieleni.

– Oczywiście – odpowiedział z nieszczerym uśmiechem Grzegorz.

– Okazało się, że dziewczyna wrzuciła do sieci kilka zapytań o swojego Włodzimierza na stronach z ogłoszeniami o zaginionych psach i kotach. Podobno zniknął podczas wieczornego spaceru w poniedziałek. Poszli swoim zwyczajem nad Wisłę. Przez większość czasu siedł koło niej, ale nagle gdzieś wyrwał i już nie wrócił. Miała nadzieję, że go we wtorek znajdzie albo sam wróci do domu, ale nic z tego.

– To skąd wiesz, że na rękach miała jego sierść? – spytał nieco zdezorientowany.

– Poprosiłem jednego z policjantów, żeby zdobył mi coś należącego do niego, i okazało się, że włosy są identyczne.

– To faktycznie intrygujące – powiedział i odwrócił się do tablicy. – A nie mogła ich nosić od kilku dni?

– Generalnie mogłaby, ale to by oznaczało, że nie myła rąk od kilku dni. Ich ilość zdecydowanie wskazuje, że niewiele przed śmiercią go głaskała.

– To faktycznie się wykazałeś. A na miejscu zbrodni znaleźliście jego ślady?

– Nie, chociaż nie dam sobie ręki uciąć, że ich tam nie było. Widziałeś ten lasek. On jest wykorzystywany przez właścicieli psów jako toaleta. Moja żona mieszkała niedaleko i powiedziała, że to dziwne, że nikt nie znalazł jej wcześniej, bo generalnie dużo osób tam chodzi.

– Rozumiem. Dziękuję – powiedział i odwrócił się w stronę tablicy.

Gdy po minucie technik nadal siedział oparty o jego biurko i nie wyglądał, jakby chciał do kądokolwiek iść, ponownie odwrócił się w jego kierunku.

– To nie koniec nowin?

– Nie. – Wstał z uśmiechem na twarzy i wyciągnął z kieszeni telefon. – To ręce Niny Wysockańskiej. – Pokazał wyświetlone na nim zdjęcie. – Widzisz coś?

Komisarz przybliżył telefon i poprawił okulary, które nosił do pracy biurowej, a które z uporem maniaka zsuwały mu się z nosa.

– Sierść?

– Tak, i to tego samego psa co u pierwszej dziewczyny.

– O kurde – powiedział z ekscytacją. – Czyli ten gość musiał go zabrać. To nie może być przypadek.

– Raczej nie.

– Dobra robota! – Odwrócił się do kolegi i poklepał go po ramieniu.

- Po to jestem. Wysłałem ci link do ogłoszenia dotyczącego psa, żebyś nie musiał już szukać. Może gdzieś tam znajdziecie info o osobie, która go znalazła.

- Dziękuję - mruknął pod nosem i zamyślił się.

Zaznaczył miejsce znalezienia ciała Niny Wysoczańskiej i nawet nie zauważył, gdy kolega odszedł.



## Rozdział 46

Zrobiła sobie podwójną aspirynę i usiadła na kanapie. Z Carlosem mogłaby konie kraść. Uwielbiała jego inteligencję, poczucie humoru i to, że rozumieli się w lot, ale gdy zdarzało się, że u niej spał, to miała ochotę udusić go poduszką, a później jego zwłoki rozpuścić w wannie lub zrzucić przez balkon, włożyć do bagażnika i wrzucić do Wisły. Wszystko przez dźwięki, jakie wydawał przez sen. Niektórzy nazywali to chrapaniem, ona zdecydowanie wolała charczenie. Od trzech dni budziła się w środku nocy i nie była w stanie spać dłużej, bo obok leżał on. Nie potrafiła się go pozbyć. Nie mogła znaleźć w sobie tyle siły, żeby powiedzieć chłopakowi stanowczo „nie” i zrezygnować z przyjemności i rozkoszy, jakie serwował jej za każdym razem. Poza tym, choć mocno to w sobie ukrywała, jego towarzystwo dobrze jej robiło.

Powoli zeszła do salonu, używając drewnianej drabiny, i rozejrzała się po swoim wnętrzu. To był ten rzadki moment, kiedy żałowała, że jej mieszkanie jest tak ubogie w drzwi. Włączenie telewizora nie wchodziło w grę, chyba że w wersji niemej, której nie akceptowała. Na czytanie książki w środku nocy jakoś nie miała ochoty. Niewiele myśląc, podniosła kanapę i wyjęła schowane w niej dokumenty sprawy Gabrysi Górskiej. Zamknęła mebel i ruszyła do garderoby.

Poza łazienką było to jedyne pomieszczenie, do którego wstawiła drzwi, a zrobiła to z dość przyziemnego powodu. Nie znosiła, jak ubrania śmierzdziały jedzeniem lub papierosami, a niestety wśród znajomych cały czas miała kilku palaczy, którzy nic sobie nie robili ze straszenia ich okropnymi zdjęciami i nadal kopcili co niemiara. Podczas upojnych imprez często pod koniec już nie dopilnowywała towarzystwa, więc zdarzało się, że ktoś palił w mieszkaniu, czego później żałowała przez kilka kolejnych dni, wietrząc w trybie ciągłym.

Cichutko zamknęła za sobą drzwi i usiadła na jednej z leżących na podłodze poduszek, które nie pasowały jej do kanapy. Od paru dni nie przeglądała teczek, jedynie dorzuciła kilka zdjęć z miejsc ostatnich dwóch morderstw, które podesłał jej kolega z policji.

Położyła obok siebie zdjęcia z trzech miejsc zbrodni, umościła się na średnio wygodnej poduszce, której pierze w niektórych miejscach zbiło się w kłęby, co powodowało, że siedziała praktycznie na podłodze.

Każde ze zdjęć miało dokładnie ten sam klimat. Mroczny, spowity delikatną mgłą las, który widuje się raczej w filmach grozy i ma się nadzieję, że nigdy nie zostanie się w nim samemu. Kolejną rzeczą łączącą te sprawy były leżące na leśnym runie dziewczyny. Wszystkie brunetki, o włosach co najmniej do ramion i twarzach tak przeciętnych, że mało kto mógł je zapamiętać. Z informacji, do których dotarła, oprócz Niny Wysoczańskiej dwie pozostałe były niezwykle spokojne. To, co łączyło dwie ostatnie ofiary, to na pewno lokalizacja, były niemal sąsiadkami. „Może się znały?”, zapytała samą siebie Dagmara i napisała na czystej kartce nagłówek „to do”, a pod nim: „Sprawdzić, czy Lucyna i Nina się znały”.

Każda z dziewczyn leżała trochę inaczej, a to ze względu na ułożenie rąk, jednak każdej morderca wcisnął głowę w ziemię, tak jakby nie chciał patrzeć na ich twarze.

– Nie udusił ich – powiedziała sama do siebie i sięgnęła po zdjęcie Górskiej.

Twarz dziewczyny zanurzona była w błocie do połowy policzka, tak że uszy w całości były ponad powierzchnią. W ciągu tych kilku godzin, które dzieliły wykonanie zdjęć od jej śmierci, część owadów zdążyła już złożyć swoje jaja, a z nich wylęgły się pierwsze larwy. Gdyby świadomie dociskał jej twarz, wpadłaby w błoto znacznie głębiej, co najmniej po uszy, ograniczając insektom dostęp do otworów.

Każdej z dziewczyn ułożył głowę identycznie, chociaż różniło je podłoże, na którym leżały. Pierwsza i druga ofiara, bo tak myślała już o nich Dagmara, brodziły twarzą w kałuży. Twarz Niny Wysoczańskiej morderca wcisnął w miątkę ziemię.

Istotną różnicę stanowiło to, co zostawił przy dziewczynach. „Przy drugiej ofierze śpieszył się lub ktoś mu przeszkodził”, pomyślała. Gabrysia Górka i Nina Wysoczańska zostały całkowicie pozbawione ubrania. Obie leżały nago na brzuchu. Pierwsza z nich ręce miała ułożone wzdłuż ciała, a druga na boki – jakby jej ciało miało przywozić na myśl krzyż.

Z Lucyną Kaczorowską coś poszło nie tak, bo miała na sobie koszulkę na ramiączkach, której kolor ciężko było ustalić z powodu błota poprzyklejanego do materiału. Reszta jej ubrań leżała w pobliżu.

Przy każdej z nich napastnik zostawił też majtki, które w dość osobliwy sposób złożono niedaleko stóp ofiary. Dagmara od zawsze z nabożną uwagą oglądała zdjęcia z miejsc zbrodni. Przysunęła jedno z nich jeszcze bliżej i wtedy to dostrzegła. Od samego początku coś jej nie pasowało na zdjęciach dwóch najnowszych ofiar. Gabrysia Górka leżała na polanie, która była płaska niczym stół, jednak Lucyna Kaczorowska i Nina Wysoczańska już nie.

Pierwsza z nich głowę i stopy miała lekko uniesione, co zobaczyła lepiej na innym zdjęciu. Druga z dziewczyn leżała w poprzek małego wzniesienia. Dagmara spojrzała za okno i dojrzała promienie słońca, które powoli zaczynały oświetlać zasną Warszawę. Zegarek na laptopie pokazywał czwartą pięć. Bijąc się chwilę z myślami, w końcu podjęła decyzję. Wybrała ze sterty świeżo wypranych rzeczy, których jeszcze nie poukładała na miejsce, spodenki rowe i koszulkę, dorzuciła do tego niezbędną bieliznę i po cichu ruszyła do łązienki.

Nigdy nie jechała przez miasto o tak wczesnej porze, ale zawsze musiał być ten pierwszy raz.

## Rozdział 47

ON

Nie wiem dlaczego, ale zawsze traktował mnie jak kogoś sobie bliskiego, mimo że zachowywałem się normalnie, a czasami jak fiut. To on zawsze coś dla mnie robił. To ja wykorzystywałem go przy każdej możliwej okoliczności, mimo że ojciec co chwilę powtarzał, że on ma przerabane życie i powinienem być dla niego miły, pomagać mu i takie tam dyrdymały.

Jednak gdy ją zobaczyłem, pozazdrościłem mu. Stali razem i rozmawiali. Z daleka widziałem, jak zaciska pięść, jego ciało jest jakoś dziwnie skrzycone. Nigdy bym się nie spodziewał, że sam podszedłby do jakiejś dziewczyny i pierwszy się do niej odezwał.

Za każdym razem zachowywał się jak cipa. Wzdychał do którejś, z reguły najbrzydszej w okolicy, a ta nawet nie rzącała na niego spojrzeć, nie mówiąc o uśmiechu.

Ale tym razem było inaczej.

- To ona zagadała do mnie - powiedział, gdy w końcu odeszła.

Chciałem im przerwać, już szedłem do nich, gdy się odwróciła i poszła w przeciwnym kierunku.

- Przez pomyłkę? - rzuciłem, żeby trochę się z niego ponabijać. Zresztą nie wierzyłem, że taka dziewczyna mogłaby sama z siebie do niego podejść. Coś musiało się za tym kryć. Jakiś podstęp, wyrachowanie. Takie dziewczyny nigdy nie spotykają się z takimi jak on, nie mówiąc o bardziej intymnych rzeczach.

- Nie. Zainteresowała się mną.

- Oj, ale kłamczuszka z niej - zaśmiałem się na głos.

- Nie mów tak.

- Ale taka jest prawda, stary. Nigdy nie będziesz miał takiej. No chyba że...

- Że co?

- Że jej zapłacisz lub ją zmusisz - rzuciłem, a on obrócił się, jakby obraził się za to, co powiedziałem.

Później przyniosłem mu kilka pisemek i zacząłem wmawiać, że z nim coś nie tak.

Uwierzył. Widziałem, jak patrzy na siebie z odrazą. Jakby sam nie rozumiał, co z nim nie tak, ale w to wierzył. Głupek.

## Rozdział 48

*W dniu 7 czerwca zaginął roczny pies mieszaniec (przypomina trochę labradora) z dość krótką sierścią. Niestety pies wyslizgnął się z szelek podczas spaceru na Wilanowie, przy Wiśle, przez co nie ma żadnych oznak przynależności. Cecha charakterystyczna: biała łatka pod szyją. Maść beżowa (biskopt), wzrost do kolana, waga ok. 20 kg. Pies jest ufny i łagodny. Wabi się Włodzimierz.*

Przeczytał ogłoszenie na facebookowej lokalnej grupie i poczuł delikatne ukłucie. Od pół roku mieli w domu uroczą jamniczkę, która według niektórych wyglądała jak gruba parówka na malutkich nóżkach. Jego córki nazwały ją Pepa, ponieważ zjadała wszystko, co znalazła na swojej drodze, i z każdym dniem robiła się coraz grubsza. Jednak komisarz Grzegorz Wiśniewski zdecydowanie wołał Mamba, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, jako dziecko posiadał kotka, który tak się wabił, a po drugie, uwielbiał kolorowe, owocowe gumy, których od dłuższego czasu unikał jak ognia.

Przyjrzał się ogłoszeniu i już chciał zamknąć komputer, gdy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Skopiował pierwsze zdanie ogłoszenia i wkleił je w okno przeglądarki. Momentalnie pojawiło się kilkanaście tych samych postów, wszystkie wstawione były przez Lucynę Kaczorowską. Powoli zaczął je przeglądać. Na niektórych stronach znalazł kilka komentarzy pod ogłoszeniem dziewczyny.

*Chyba widziałam go w Konstancinie-Jeziornie, niedaleko...*

*Ile musi się zdarzyć podobnych historii, aby ludzie przestali używać tych bezużytecznych i groźnych dla innych szelek.*

*Podobny piesek ganiał na Tarchominie. Ale nie sądzę, że to Twój. Za daleko.*

*Ale cudowny piesek, trzymam kciuki.*

Na część z nich Lucyna odpowiedziała, dziękując za pomoc lub prosząc o maila z dokładniejszymi danymi, gdzie pieska ostatnio widziano. Co zaskakujące, podany przez nią adres mailowy różnił się od tego, który sprawdził na komputerze dziewczyny.

Sięgnął po jej komputer, który cały czas miał na biurku, otworzył stronę Gmail.com i wpisał znaleziony chwilę wcześniej adres. Patrzył przez kilka sekund na pole do wpisania hasła, mając pustkę w głowie. Sam miał średnio wyrafinowane hasło dostępu do swojej skrzynki mailowej. Nie wpisywało się w najnowszy i najbezpieczniejszy trend, aby składało się co najmniej z ośmiu znaków i zawierało duże i małe litery, cyfry oraz znaki specjalne. No i litery nie mogły tworzyć żadnego słowa. Jego spełniało tylko część tych wytycznych, a mimo to czuł dumę, że nie poszedł na łatwiznę.

Drżącą ręką, czując się trochę jak saper rozbijający bombę, wpisał to samo hasło, którym dziewczyna zabezpieczyła swój komputer. Niepewnie wcisnął „dalej” i zamknął oczy. Zawsze tak robił, gdy się stresował i wołał odwlec w czasie swojej klęskę.

W jego rodzinie od ponad dwudziestu lat krążyła opowieść rozpowszechniana przez jego małżonkę, jak to podczas wyjazdu nad polskie morze poszli na romantyczny spacer. Zachód słońca, delikatny wiaterek i dwójka zakochanych ludzi. Od jakiegoś czasu rozmawiali o wspólnej przyszłości, ale bez szczegółów. Gdy w pewnym momencie Grzegorz Wiśniewski, wówczas dwudziestoparolatek, przyklęknął, jego dziewczynę zamurowało. Niespiesznie wydobyl z kieszeni zawinięty w chusteczkę do nosa pierścionek.

– Wyjdiesz za mnie? – spytał, wyciągnął w jej kierunku mieniący się w promieniach zachodzącego słońca złoty pierścionek z małą perelką i zamknął oczy.

W historii rozpowiadanej przez Danutę Wiśniewską trwało to czasami nawet i trzy minuty, zanim otworzył oczy. Wtedy zamiast ujrzeć zadowoloną dziewczynę, zobaczył... nic.

Widząc dziwne zachowanie chłopaka, przyszła małżonka cichutko na paluszkach schowała się za krzakami i przyciskając dłonie do ust, powstrzymywała się przed wybuchnięciem śmiechem.

– Danusia? Gdzie jesteś?! – krzyczał zdezorientowany i kręcił się w kółko, potykając o własne nogi.

Teraz bezpieczny siedział na krześle, ale mocno zaciskał powieki, jakby to mogło uchronić go przed porażką. Wziął głęboki oddech i powoli je rozchylił.

– Uff... – mruknął sam do siebie i pochylił się w stronę komputera. Miał przed sobą dostęp do drugiego konta dziewczyny, o którym nikt nie wspominał.

Szybko przejrzał korespondencję i po chwili znalazł wymianę mailową ze znalazcą psa.

## Rozdział 49

Gdy ruszała z warszawskiego Żoliborza, miała wrażenie, że cała stolica śpi. Dzięki wczesnej porze mogła delektować się ciszą miasta, której tak rzadko doświadczała. Dźwięki samochodów, sunących po szynach tramwajów, szum przemieszczających się ludzi – to wszystko nagle gdzieś zniknęło, a miasto wydawało ledwo słyszalny pomruk, tak miły dla ucha.

Dagmara jak rzadko nigdzie się nie spieszyła, więc w swoim umiarkowanym tempie delektowała się okolicznościami, raz po raz przypominając sobie sytuacje z mijanych miejsc.

Przy Rotundzie kiedyś przez godzinę stała i czekała na koleżankę, która, jak się później okazało, robiła to samo, ale pięćdziesiąt metrów dalej. Po długim czekaniu, rozglądaniu się z nadzieją, że zaraz z tunelu pod rondem wyjdzie jej kumpela z dzieciństwa, stwierdziła, że została wystawiona, dlatego smutna wróciła na Mokotów.

Na placu Konstytucji lata wcześniej zorientowała się, że zgubiła złoty łańcuszek, który dostała od babci. Latała jak wariatka, szukając go i angażując do pomocy przypadkowe osoby. W końcu zrozpaczona przyjechała do domu, a on jak gdyby nigdy nic leżał na jej biurku.

Wspomnień związanych z Polami Mokotowskimi miała tak wiele, że mogłaby nimi obdarzyć kilka, a może kilkanaście osób. Pamiętała zboczeńca, który na oczach przechodniów robił sobie dobrze, szalone imprezy w Bolku i wycieczki rowerowe z bratem, które zawsze kończyli na jednej z ławeczek, sącząc piwo na spółkę.

Gdy wjechała w głąb Mokotowa i zobaczyła szyld odwiedzanej co tydzień przez nią i ojca restauracji tajskiej, serce zaczęło jej szybciej bić, a przed oczami stanęło ich ostatnie spotkanie. Gdy ojciec nagle zaczął płakać, zamurowało ją. Zupełnie nie wiedziała, co ma zrobić. Tylko raz wcześniej widziała go zalanego łzami.

Stał wtedy obok policjanta, który relacjonował przebieg wypadku. Ona kilka metrów obok tkwiła jak zaczarowana, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Zresztą przez kolejne dwa tygodnie w ogóle niewiele mówiła. Na zadawane pytania odpowiadała, potakując lub przecząco kręcąc głową. To wtedy kilkanaście kilometrów od Legionowa widziała, jak spływają mu po polikach łzy. Później ani razu. Na pogrzebie z kamienną twarzą wspierał matkę, która z emocji i od ilości przyjętych leków antydepresyjnych ledwo trzymała się na nogach. Grzecznie kiwał głową, gdy kolejno podchodzili do niego znajomi Bartka, rodzina czy osoby, które go skądś znały. Przyszedł niezły tłum chcący pożegnać go podczas tej ostatniej drogi, dlatego ojciec długo znosił te tortury. Dagmara trzymała się z daleka, bojąc się, że nie wytrzyma.

– Nie tego chciałem – wyduślił z siebie i wytarł twarz w jedną z chusteczek ciasno wciśniętych w drewnianą podstawkę. – Cały czas patrzyłem na to, co robisz, przez nasz przyzmat, ignorując twoje marzenia, pragnienia. Przepraszam, to samolubne.

– Tato... – Uśmiechnęła się do ojca. Ten ubrany w błękitną koszulę mężczyzna, który gdzie się pojawiał, tam wzbudzał respekt mimo swojego niewielkiego wzrostu, nagle skurczył się jeszcze bardziej, jakby ciężar sytuacji przygniótł go lub wyssał całe powietrze. – Nie mów tak.

Jesteś ostatnią osobą, która powinna mówić o sobie jako o samolubie. Zawsze robiłeś wszystko dla innych, więc czasami też masz prawo wymagać.

- Dziękuję. - Otarł łzę i wyprostował się, nabierając powietrza do płuc. - Niezależnie od wszystkiego nie może być tak, że nasze strachy ograniczają ciebie.

- No tak - westchnęła.

- Pogadam z mamą. Nic nie obiecuję, bo wiesz, jak z nią jest. Uparta z niej kobieta, ale też troskliwa. Te wszystkie jej ograniczenia, którymi was gnębiła całe życie, wynikały z tego, że was bardzo kocha i wasze bezpieczeństwo jest dla niej najważniejsze.

- Chyba troszczy się o siebie - wtrąciła i od razu pożałowała.

- Nie przesadzaj. Ona naprawdę dużo w życiu przeszła. Jest, jaka jest. Ma swoje za uszami, ale zawsze stara się...

- Dlaczego ty zawsze jej bronisz? - spytała. - Ona nie tylko mnie potrafi uprzykrzyć życie. Non stop wymyśla ci jakieś wyjścia, wizyty w nudnych muzeach lub naukę tańca, którą cię katusze od zawsze. Ty serio to lubisz? Bo minę masz jak... - Już chciała wtrącić coś niecenzuralnego, ale się powstrzymała. - A czy mama kiedyś zrobiła coś dla ciebie?

Mężczyzna patrzył na córkę i przez dłuższą chwilę milczał.

- Nigdy wam nie opowiedzieliśmy wszystkiego, bo nie czuliśmy potrzeby. I co zaskakujące, to ona nie chciała, mimo że patrzelibyście na nią inaczej. Wiem, że będzie na mnie wściekła, jak wyjdzie, że ci powiedziałem, ale chyba przyszedł na to najwyższy czas. Ona sama z siebie nigdy by się nie zdecydowała. - Mężczyzna sięgnął po szklanke z lemoniadą, którą swoim zwyczajem zamówił bez cukru, i upił łyk. - Za wiele o dziadkach ze strony mamy wam nie opowiadaliśmy.

- Wiem, że zginęli, gdy miałam pięć czy sześć lat - wtrąciła, oparła brodę o rękę i wpatrzyła się w ojca.

- No, i już na wstępie jest pierwsze kłamstwo. Oni nie umarli, to znaczy nie wtedy. Ojciec zmarł w więzieniu, a matka... - Nabrał powietrza i odwrócił głowę w stronę witryny, za którą ludzie przemieszczali się tłumnie w bliżej nieokreślonych kierunkach. - Twoja mama miała siostrę.

- Co? - krzyknęła. Wybałuszyła lekko oczy i wpatrzyła się w stojącą przed nią szklanke z colą zero. Obserwowała wędrujące w środku bąbelki, nie mogąc zrozumieć sensu usłyszanых przed chwilą słów.

- Wiem, że nigdy wam o tym nie mówiliśmy. Twoja mama nie chciała. Nie chciała współczucia. Nie chciała rodzinnych wyjazdów na Powązki.

- Powązki? Przecież mama powiedziała, że grób dziadków został zniszczony, a ona ma ich w sercu i nie musi chodzić na cmentarz.

- To kolejne kłamstwo. Na Powązkach leżą twoja babcia i ciocia.

- Jak umarli? - spytała, dobrze wiedząc, że będzie to smutna i zapewne tragiczna historia.

- Matylda, bo tak nazywała się starsza siostra twojej matki... - Zamilkł i uśmiechnął się. Dopiero teraz zrozumiała, skąd wzięło się jej drugie imię. Kiedyś mama powiedziała, że podobają jej się i tyle. - Twój dziadek był okropnym człowiekiem. Pracował na roli, od rana pił,

a gdy wracał do domu, to najmilsze, co miał dla rodziny, to krzyki. Awanturował się o wszystko, a gdy wpadał w szal, to...

- Bił mamę?

- Na początku nie. Dostawało się tylko twojej babci, ale gdy dziewczynki podrosły, to nazy twoja mama miała osiem lat, a twoja ciocia trzynaście, pierwszy raz uderzył Matyldę. Podobno blisko było tego, żeby straciła oko. Krew lała się niemiłosiernie, a ojciec po wszystkim zasnął na kanapie, jakby nigdy nic. Dziewczynki, bojąc się cokolwiek zrobić, siedziały wciśnięte w kącie, czekając na powrót matki. Zresztą to dlatego doszło do awantury. Babcia pojechała rowerem po zakupy, niestety ten odmówił posłuszeństwa i przez dziesięć kilometrów musiała pchać go do domu z pakunkami przewieszonymi przez kierownicę. Dziadek nie dostał obiadu na czas, więc wpadł w szal, a starsza z sióstr nadawała się idealnie na worek treningowy.

- I nikt nic nie zrobił? - spytała zdziwiona, czując, jak jej prawa dłoń samoistnie zaciska się w pięść.

- Słońce, nawet w dzisiejszych czasach takie rzeczy potrafią ująć płazem, a kiedyś było to standardem. Niestety twój dziadek uważał, że najlepszy sposób na wyżycie się to przywalenie kobiecie lub dziewczynce. Wtedy czuł się... - zawiesił na chwilę głos i popatrzył na córkę smutnymi oczami - bardziej męski. Rok później doszło do tragedii. Twoja babcia zachorowała, wylądowała w szpitalu. Twoja mama nie wie, co jej było, ale nagle zniknęła. Matylda miała czternaście lat, była już małą kobietką. Przeszkolona przez swoją mamę, robiła wszystko w domu. Niestety pewnego dnia po pracy twój dziadek przyprowadził dwóch kolegów, podobnych sobie moczymordów i damskich bokserów. Twoja mama nigdy nie wchodziła w szczegóły. Jeden z nich zgwałcił twoją ciocię. Drugi też próbował. Broniła się, a ten w szale uderzył jej głową o podłogę. Wykrwawiła się na kolanach twojej matki. Panowie jakby nigdy nic posnęli po kątach, zupełnie nic nie robiąc sobie z tego, że na środku kuchni leży martwa dziewczyna. Nie wiem, skąd twoja matka wzięła w sobie siły, ale w środku nocy, zakrwawiona, w szoku, zapłakana, poszła do wsi obok. Z tego, co opowiadała, drogą było siedem kilometrów, więc poszła przez las. Ja, szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie tego. Chyba nie dałbym rady, a ona miała wtedy niecałe dziesięć lat. Zemdląła pod drzwiami znajomej mamy. Gdy się obudziła, miała nadzieję, że to wszystko to był tylko sen, a w drzwiach zaraz stanie Matylda. Niestety to się nie wydarzyło. Gdy na jaw wyszło to, co się stało u nich w domu, nie wróciła już tam. Twoja mama w oczekiwaniu na babcię została u kobiety, do której przyszła, a gdy jej mama wyzdrowiała, wyjechała.

- A co się stało z tymi skurwielami?

- Prawie zostali skatowani przez mieszkańców wsi, niestety milicja ich obroniła. Twój dziadek trafił za kratki, ale nie powiem, na jak długo. Zresztą nie ma to znaczenia, krótko po wyjściu na wolność wrócił tam znowu za pobicie i już nigdy nie wyszedł. A morderca twojej ciotki został powieszony.

- Jezu, to straszne... - wyszeptwała smutno.

Teraz, jadąc po ulicach pustej Warszawy, nadal nie mogła się pogodzić z tym, że jej własna matka nigdy się przed nią nie otworzyła i nie opowiedziała historii, która w dużej mierze



uksztaltowała jej osobowość. Odgoniła te myśli, wzięła łyk izotonika z bidonu zawieszzonego od dołu do ramy roweru i delektowała się dalszą podróżą.

Jazda pustą Marszałkowską, a później Puławską była dość surrealistyczna. Na co dzień zapchane ulice, w których samochód za samochodem stoją w gigantycznych korkach, a w środkach aut sfrustrowani warszawiacy i napływowci, którzy chcą jak najszybciej pokonać drogę z punktu A do punktu B. Problem polegał na tym, że liczba osób chcących tego samego w tym samym momencie przekraczała możliwości stolicy. Teraz te ulice świeciły pustkami, a wyłączone światła powodowały, że pokonywała kolejne skrzyżowania, tylko delikatnie zwalniając.

Gdy dojechała na miejsce, gdzie jeszcze niedawno wesoły śmiech odwiedzających ludzi niósł się po okolicy, dochodziła szósta. Przymocowała rower do ogrodzenia, używając zawieszzonego pod siodełkiem łańcucha, który przez całą drogę wbijał jej się w nogę, i ruszyła. Znalazienie miejsca, gdzie zamordowano Lucynę Kaczorowską, zajęło jej jakieś dziesięć minut. Gdy weszła w odpowiednią alejkę, od razu zobaczyła pozostawioną przez służby taśmę z napisem „Policja”, która naderwana z jednej strony raz po raz podrywała się z ziemi, podlatując w górę niczym ptak.

Powoli weszła między drzewa i przedzierając się przez niskie krzewy, zbliżyła się do miejsca, gdzie znaleziono dziewczynę. Gdy stanęła kilka metrów od niego, poczuła, jak włoski na rękach i nogach stają jej dęba, jakby sama obecność w tym miejscu nasączała ją złą energią.

Podeszła jeszcze bliżej i wyciągnęła telefon. Ustawiła go w takiej pozycji, aby móc sobie wyobrazić dokładnie, jak leżała dziewczyna.

„Ja bym ją ułożyła zupełnie inaczej”, pomyślała. Sposób jej ułożenia zdecydowanie generował kilka problemów. Po pierwsze, morderca musiał ją podciągnąć pod krzaki, które rozłożystymi gałęziami ograniczały dostęp do leśnego runa. Musiał się przeciskać, wykonywać dziwne ruchy, aby ułożyć dokładnie w taki sposób, jaki widziała na zdjęciach.

Po drugie, idealne jak od linijki ustawienie ciała w sytuacji, gdy leżała częściowo w niecie, nie było łatwe i na pewno wymagało sporo wysiłku. Powoli obeszła cały obszar dookoła i wróciła po rower. Wklepała w nawigacji w telefonie adres drugiego miejsca zbrodni. Dzieliło ją od niego raptem sześć kilometrów. Wsiadła na dwukołowca i pojechała we wskazane miejsce.

Podobnie jak kilkanaście minut wcześniej, znalazła się w lesie, mimo że w niedalekiej okolicy wznosiły się bloki. Ponownie znalezienie miejsca, gdzie odkryto ciało, tym razem Niny Wysoczańskiej, nie stanowiło problemu. Ustawione obok znicze jasno dawały znać, że wydarzyła się tu jakaś tragedia, a zawieszzone na drzewach biało-niebieskie taśmy z napisem „Policja” określały jej skalę.

Oparła rower o drzewo i rozejrzała się dookoła. Sceneria praktycznie kropka w kropkę przypominała tę, którą oglądała kilkanaście minut wcześniej. Las, blisko zabudowań, nie jakiś oddalony o kilometry od ludzi. Tak jakby mordercę kręciła ta bliskość, jakby fakt, że w każdej chwili może ktoś złapać go za rękę, dodatkowo go podniecał. Ale Dagmara wiedziała, że powód mógł być zupełnie inny. Prostszy. Przyziemny. Może nie miał samochodu i dalekie wojaże nie wchodziły w grę. Musiał zadowolić się tym, co mógł zrobić sam, bez użycia auta.

Ponownie wyciągnęła telefon i odnalazła zdjęcie ciała Niny Wysoczańskiej w leśnej scenarii. „I znowu to samo”, pomyślała i położyła się kawałek dalej w podobnej pozycji, jak znale-

ziono ofiarę. Czują, że leży pod kątem. Utrzymanie ciała w jednej linii sprawiało jej problem. Szybko obróciła się w taki sposób, aby było jej wygodniej.

- Co pani tu robi? - usłyszała nagle tubalny męski głos dochodzący zza krzaków, które miała nad głową.

Zanim zdążyła obrócić się w jego stronę i odpowiedzieć, doskoczył do niej mały buldog francuski o szarym umaszczeniu i zaczął lizać ją po twarzy.

- Marley, przestań! - krzyknął mężczyzna, cały czas utrzymując bezpieczną odległość.

- Wszystko w porządku. - Delikatnie odepchnęła czworonoga od siebie, drapiąc go za uchem, co niezmiernie mu się spodobało. - Przepraszam, że pana zdenerwowałam - rzuciła i stanęła na nogi. Dopiero teraz zauważyła, że mężczyzna był o wiele niższy od niej i wspierał się na lasce, której nie widziała zza oddzielających ich od siebie krzaków.

- Nic nie szkodzi. Przez to, co ostatnio się stało, chodzę jakiś zestresowany. A gdy zobaczyłem panią, leżącą... Aż serce mi stanęło.

- Przepraszam, zupełnie nie pomyślałam, że ktoś może mnie tutaj zobaczyć.

- Nie ma sprawy, ale proszę tego więcej nie robić, jeżeli nie chce mieć pani na sumieniu jakichś ofiar. Takich leśnych dziadków jak ja.

- Zapamiętam.

Uśmiechnęła się do mężczyzny i nachyliła do psa, który cały czas skakał wokół jej nóg. Dobrze знаła tę rasę. Jej bliska koleżanka, z którą czasami biegała wzdłuż Wisły, miała takiego. Gdy wpadała do niej po treningu na plotki i coś do schrupania, nigdy nie była w stanie się od niego opędzić. Jednak jak to stwierdziła koleżanka, Dagmara uwielbiała, jak ktoś się wokół niej kręcił, i niezwykle rzadko mówiła „nie”. Podobnie było z psami, wystarczyłby stanowczy gest czy słowo, aby odpuścił i z podkulonym ogonkiem podreptał do właściciela.

- Zresztą to straszne, co się stało. Nina była tak miłą dziewczynką... - rzucił mężczyzna.

- Znał ją pan? - spytała zdziwiona. Nawet przez ułamek sekundy nie pomyślała, że mogłaby spotkać kogoś, kto znał ją osobiście. Cel jej wizyty był zdecydowanie inny.

- Tak - odpowiedział mężczyzna i podszedł trochę bliżej. Dopiero teraz zauważyła, że wspomagająca go kula pełni dość ważną funkcję: zastępuje nogę. Dziwnie układająca się nogawka podwinęła się, odsłaniając dół metalowej protezy. - Jej babcia przyjaźniła się z moją żoną. Dziewczyny co tydzień odwiedzały się na kawę z ciastkiem. Na zmianę piekły słodkości, a później godzinami siedziały i rozmawiały o wszystkim. Od polityki, poprzez książki, aż po zwykłe plotki. Tej części ich spotkań nie mogłem znieść, więc wychodziłem. To babskie paplanie zawsze mnie irytowało. - Ostatnie zdanie powiedział z zaciśniętymi zębami. - Czasami Wiesława, bo tak nazywała się babcia tej zmarłej dziewczyny, zabierała ją ze sobą. Pamiętam, jak tańczyła do muzyki, którą słyszała w głowie, bo my w domu nawet radia nie mieliśmy, a o telewizorze nie wspomnę. Zawsze mnie odstraszały te nowinki technologiczne. Kiedyś tego nie mieliśmy i jakoś żyliśmy. Czytaliśmy książki, gazety, a później rozmawialiśmy i dyskutowaliśmy. A teraz ludzie z nosami w tych ekranach, nie widzą, jak dzieje się tragedia tuż obok.

- Zgadzam się - skomentowała, nie chcąc wchodzić w dyskusję. - Opowie mi pan coś więcej o Ninie Wysoczańskiej? - spytała i ponownie schyliła się do pieska, który cały czas podska-

kiwał przy jej nogach.

– Powiem pani szczerze, nigdy nie lubiłem dzieci. Zawsze mnie denerwowały. Ale ona jakoś wyjątkowo nie. Wirowała sobie po naszym domu i wprowadzała do niego trochę radości. Żona nie mogła mieć dzieci, więc nasz dom zawsze był trochę pusty. Generalnie cieszyłem się z tego, ale gdy Ninka przychodziła, to czasami pojawiał się żal, smutek. Miałem wrażenie, że była inna niż te drące się bachory... – Ostatnie słowa wycedził z takim jadem, że Dagmara aż się przestraszyła. – Oczywiście gdy dorosła, przestała przychodzić. Czasami widywałem ją na ulicy. Kłaniała się, mówiła „dzień dobry”. Z tego, co Wiesia opowiadała, to wyrosła na mądrą panienkę. Nigdy nie sprawiała problemów. A co ostatnio u niej się działo, to nie wiem. Moja żona pewnie by wiedziała, ale niestety od dwóch lat nie żyje.

– Bardzo mi przykro.

– Powiem pani tak. – Mężczyzna ściszył głos i podszedł do niej. – Czasami lepiej, jak ktoś umiera szybko, zamiast cierpieć katusze. Moją żonę dopadł rak, raz-dwa i jej nie było. To spadło na nas jak grom z jasnego nieba. Oczywiście pięknie by było, gdyby nie dopadła nas taka tragedia, ale gdy na oddziale poznała kilka kobiet, które już latami użerały się z tym świństwem, bała się długiej agonii. Niszczącej chęć do życia, wszystko. Moja ukochana Bogusia sama powiedziała po którejś wizycie, że ma nadzieję na wyzdrowienie, ale jak nie, to chciałaby, żeby stało się to szybko. Nie chciała przechodzić dziesięciu terapii, nie mieć na nic siły. Leżeć dniami, tygodniami, mając raptem promil promila szans na sukces. No i jej się poszczęściło... – Zaśmiał się smutno i schylił się do swojego pupila. – Czułem się samotnie, więc kupiłem sobie psa. Zawsze jest do kogo się odezwać i mobilizuje do ruchu, inaczej utknąłbym w domu na wieki.

– Dobrze pan to wymyślił. A wracając do Niny Wysoczańskiej, z kim mogłabym porozmawiać na jej temat?

– A właściwie to kim pani jest? – spytał nagle mężczyzna i zmierzył ją wzrokiem. – Nie wygląda pani na policjantkę, zresztą oni chyba nie przyjeżdżają na miejsce zbrodni rowerem, tylko radiowozem.

– Ja jestem...

– Nie zdążyła skończyć, bo mężczyzna jej przerwał:

– Prywatnym detektywem? – Widząc delikatne kiwnięcie głową, od razu rzucił: – Ale kto panią wynajął?

– Tak, zgadza się. Dobrze pan kombinuje. Jednak nie mogę zdradzić, kto jest moim zleceniodawcą. Tajemnica zawodowa. – Uśmiechnęła się i rozłożyła ręce.

– Rozumiem.

– To zna pan kogoś, z kim mogłabym porozmawiać? – cisnęła dalej.

– Ona zawsze wzdychała do syna naszego piekarza. – Staruszek obrócił się i pokazał gdzieś w stronę bloków, które minęła, dojeżdżając do lasu. – Podobno niebawem zamknie swój sklep, bo te sieciowe piekarnie wyzynają takie biznesy, ale przez lata wszyscy tutaj chodziliśmy do niego. Czasami za kasą stał jego syn. Zawsze muchy w nosie miał, gdy ojciec prosił go o pomoc. Taki niemily i niewdzięczny. Gdybym miał takiego syna, pokazałbym mu, na czym życie polega. Raz, drugi dostałby pasem i chodziłby jak w zegarku.

- To gdzie go znaleźć? - wtrąciła, chcąc przerwać wypowiedź mężczyzny.

- Nie pamiętam, jaka to ulica. Widzi pani ten duży szary blok z reklamą marketu? - Wskazał na stojący jakieś trzysta metrów od nich budynek. Widząc kiwnięcie głowy, kontynuował:

- To jak pani go minie, tak że będzie z prawej strony, i pójdzie jakieś sto metrów, to będzie taki pawilon handlowy z mnóstwem sklepików i na pierwszym piętrze jest piekarnia „Wiola”.

- Dziękuję ślicznie.

Schyliła się jeszcze i pogłaskała psa, który cały czas krążył pod jej nogami, domagając się uwagi, i podeszła do drzewa, gdzie zostawiła rower.

## Rozdział 50

Wycieczka na miejsce, gdzie zginęła Gabrysia Górską, nie wchodziła w grę, przynajmniej nie od razu. Gdy tylko Dagmara skończyła rozmawiać ze starszym panem z pieskiem, jej telefon jak na zawołanie zaczął wydzwaniać.

– O, śpiący królewicz się obudził? – rzuciła na powitanie.

Carlos nie należał do fanów wczesnego wstawania, dlatego już ósma rano, którą pokazywał jej zegarek, należała do niezwykle wczesnych.

– Można tak powiedzieć. I może bym jeszcze trochę pociągnął i smacznie pochrapał, ale jak zorientowałem się, że gdzieś wybyłaś, przestraszyłem się. Ten film, który wczoraj oglądaliśmy, o porwanej dziewczynie, zdecydowanie nie pomógł. Dobrze, że od razu odebrałaś, inaczej już dzwoniłbym do radia i telewizji, że zostałaś porwana, a na każdym słupie w mieście szybko pojawiłyby się plakaty z twoją ładną buźką.

– Nie dałbyś rady wszystkich obkleić. Podobno w Warszawie jest ich około stu tysięcy.

– To skupiłbym się tylko na tych obok twojego mieszkania. Zawiesiłbym na czterech. No, może pięciu.

– No super – prychnęła.

– A tak serio to gdzie ty jesteś? Buty biegowe stoją na miejscu, ale roweru brak.

– Ojoj, ktoś się w detektywa bawi.

– Taką mam robotę, ale mów, gdzie jesteś?

– Opowiem ci, jak wrócę. Załatwię jedną rzecz po drodze i będę za jakieś półtorej godziny. Potem poproszę cię o listę miejsc, gdzie można znaleźć takie dziwne matryoszki.

– Tak jest, szefowo – odpowiedział już spokojniejszym głosem Carlos.

– No rejczel. I poproszę śniadanie! – rzuciła wesoło i rozłączyła się.

Podniosła oparty o pień brzozy rower i ruszyła w kierunku bloków, które wskazał jej starszy mężczyzna. Po trzech minutach bez żadnego problemu stanęła przed budynkiem, w którym na pierwszym piętrze zawieszony był czerwono-biały neon z fikuśnym napisem „Piekarnia Wiola”.

Z rowerem pod pachą weszła po schodach, popchnęła szklane drzwi prowadzące do lokalu i momentalnie poczuła wzmożoną pracę ślinianek. Zapach świeżego chleba uderzył w nią jak asteroida w Ziemię chwilę przed wyginięciem dinozaurów i doszczętnie zniszczył postanowienie niejedzenia glutenu. W obliczu takiego zapachu uległa w sekundę.

Bacznie lustrując znajdujące się na półkach świeże pieczywo, ustawiła się w kolejce za starszą panią i dwoma młodymi chłopakami, prowadzącymi tak dziwną rozmowę, że niewiele z tego rozumiała:

– Wczoraj w galerii matka kupiła mi nowe karty. I mam tam Charizarda VMax.

– Serio? Zamienimy się?

- A co mi dasz?

- Mam Charizarda.

- Takiego zwykłego?

- Mogę jeszcze dorzucić Bulbasaur V.

- No nie wiem... - Widząc kiwnięcie głowy sprzedawczyni, rzucił do niej: - Dwie drożdżówki proszę.

W końcu Dagmara stanęła przed około czterdziestoletnią kobietą, która z uśmiechem na twarzy zapytała:

- Co podać?

- Trzy kawałki czystoziarnistego i sok wyciskany z pomarańczy poproszę - powiedziała i wyciągnęła telefon. Od dawna nie nosiła ze sobą karty płatniczej. Za wszystko płaciła zbliżeniowo, zupełnie wypierając ze swojej wyobraźni sytuację, gdy mogłaby zgubić lub zniszczyć telefon.

- To wszystko?

- Tak... To znaczy nie - powiedziała, zdając sobie sprawę, jak dziwnie to zabrzmiało. - Chciałabym porozmawiać z synem właściciela.

- Igorem? - spytała kobieta i ściągnęła brwi. - Syna chwilowo nie ma. Wyjechał. A o co chodzi?

- Mam do niego sprawę, a on nie odbiera telefonu. Może mam zły numer - powiedziała nąprędce wymyślane kłamstwo.

- Aha, pani zaczeka chwilę, to poproszę pracownicę, żeby stanęła na kasie, i porozmawiamy.

Kobieta obsłużyła dwie czekające za Dagmarą osoby i na chwilę zniknęła za drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Po minucie wróciła, a z nią średniej urody blondynka w firmowej koszulce. Miała lekko przetłuszczzone włosy i krzywy nos.

- Postój chwilę za kasą, a ja porozmawiam z panią. Jakby coś, to będę na zewnątrz - powiedziała właścicielka tonem nieznoszącym sprzeciwu i ruszyła do drzwi.

Wyszły i stanęły w bezpiecznej odległości od wejścia. Kobieta wydobyła z tylnej kieszeni spodni paczkę papierosów i wyciągnęła ją do Dagmary.

- Pali pani? - spytała, ale widząc przeczący ruch głową, wzięła jednego i podpaliła. - O co chodzi? Co ten mój Igorek nawywijał?

- Wie pani... - zaczęła miłym głosem i uśmiechnęła się. Nie chciała w żaden sposób przestraszyć kobiety. - Muszę z nim porozmawiać.

- Tyle to ja wiem, tylko o czym?

- O Ninie Wysoczańskiej.

- O Ninie? - spytała kobieta lekko drżącym głosem. - Ona została zamordowana.

- Wiem, dlatego chciałabym porozmawiać z pani synem.

- Ale go nie ma.

- Rozumiem. Mogę poczekać albo zadzwonić później.

Kobieta zaciągnęła się papierosem, kręcąc lekko głową. Po kilku sekundach trzymania dymu w płucach wydmuchała go na bok.

- To niemożliwe.

- Dlaczego? - rzuciła Dagmara, czując, że zaraz wybuchnie. Nie znosiła, jak rozmówca przeciąga wymianę zdań w nieskończoność.

- Powód jest prosty i prozaiczny. Siedzi w pierdlu.

Kobieta beznamiętnie strzepnęła popiół wprost na swoje wysłużone buty.

## Rozdział 51

Kiedyś podczas jednego ze spotkań towarzyskich któryś z kolegów komisarza Grzegorza Wiśniewskiego, jeszcze z czasów liceum, stwierdził, że jego praca jest jedną z bardziej fascynujących i ekscytujących. Teraz, siedząc piątą godzinę przed ekranem w poszukiwaniu mężczyzny z psem, miał ochotę zadzwonić do niego i wykrzyknąć, że bardzo się mylił.

Generalnie po prawie trzydziestu latach służby wiedział, że to nudna i żmudna praca małych mróweczek, jak czasami widział funkcjonariuszy, przynosi efekty. Pomaga znaleźć przestępcę, a później wsadzić go na lata do więzienia. Rzadko kiedy jednak wiązała się ze spektakularnymi akcjami, tak często pokazywanymi w filmach.

Odsunął się od biurka i wstał. Już dziesięć minut wcześniej jego zegarek natrętnym wibrowaniem informował go, że musi się ruszyć, jednak pochłonięty pracą ignorował to. Teraz sam czuł, że zaraz pojawi się ból pleców, który nie odpuści przez dłuższy czas.

Wyszedł ze swojego biura i ruszył korytarzem do wyjścia. Starając się nie zachęcać nikogo do nawiązania z nim rozmowy, minął recepcję i wyszedł z budynku. Gorące powietrze momentalnie go zaatakowało, a na jego ciele pojawiła się warstwa potu.

Żwawym tempem ruszył w stronę pobliskiego warzywniaka, w którym od jakiegoś czasu robił zakupy. Nie tylko z powodu bardzo smacznych owoców, ale również dlatego, że z niezwykłą wytrwałością i nie zważając na swoje ograniczenia i problemy, prowadził go niepełnosprawny mężczyzna, któremu pomagała matka.

Komisarz zrobił zakupy i wrócił na komendę.

– Prawdopodobnie coś mamy – powiedział aspirant Mikołaj Chmielewski, gdy tylko wrócił do współdzielonego biura.

W pierwszym momencie Grzegorz zupełnie nie zrozumiał sensu wypowiedzianych przez kolegę słów.

– Co? – powiedział zdecydowanie za głośno i postawił zakupy.

– Mamy chyba numer tego gościa.

– Jak to?

– Informatycy przeczesali telefon Niny Wysoczańskiej i znaleźli go. Niby go usunęła, ale i tak do niego dotarli. Musiałaby zrobić twardy reset, żeby na stałe się go pozbyć.

– Udało się ustalić, do kogo należy?

– I tutaj zaczynają się schody.

– Nie podoba mi się to – skomentował komisarz, usiadł i poprawił poduszkę, która miała mu zabezpieczyć odcinek lędźwiowy przed prostowaniem, a w epizodach wielkiego zmęczenia garbieniem się.

– I słusznie. Jak wiadomo, od dwa tysiące szesnastego trzeba rejestrować karty prepaid...

– Serio chcesz mi robić wykład o przepisach? – wtrącił wkurzony.



Od rana chodził zły jak osa. Nie dość, że śledztwo się ślimaczyło, nie mieli żadnych nowych śladów, to na dodatek domek na Mazurach w okolicach Ostródy, który wyglądał jak z marzeń, został sprzedany.

- O matko, ktoś ma chyba menopauzę lub nie napił się z rana szocika - powiedział zdziwiony młody policjant. - To przechodząc do sedna, mamy dane gościa.

- Przepraszam, wszystko jest nie tak - rzucił i zaczął wstawać.

- Spokojnie. Zdarza się. Już go sprawdziliśmy. To ślup. Ktoś go poprosił, żeby kupił kartę. Niestety to straszny menel i zupełnie nie pamięta, kto to był. On nawet nie kojarzy, gdzie dokonał rejestracji i kiedy. Masakra. Udało nam się go namierzyć tylko dlatego, że pomieszkuję u swojej matki.

- Cholera! - krzyknął komisarz Grzegorz Wiśniewski i uderzył pięścią w stół, rozlewając przy tym trochę kawy ze stojącego przed nim kubka.

- Na szczęście pani prokurator ruszyła ze swoim urokiem i niedługo będziemy mieli miejsce ostatniego logowania, bo niestety cały czas nie udało się nam go ustalić.

- Dobrze chociaż to. Mam wrażenie, że jest już tyle wątków rozkładanych na czynniki pierwsze, że zaraz z któregoś kąta wypelznie ten popieprzeniec.

- Oby. Każdy na to liczy, a także na to, że ludzie nie wpadną w popłoch. Podobno już któraś gazeta chciała opublikować materiał o morderstwach. Na szczęście na chwilę odpuścili, ale nie wiadomo, na jak długo.

## Rozdział 52

ON

On chyba mi uwierzył, że jestem jego przyjacielem.

Zadzwoił do mnie i coś stękał. Niewiele rozumiałem. Gadał od rzeczy. Napisałem mamie, że jadę z kolegami na rower, i ruszyłem do niego. Bardzo niespiesznie.

Gdy dotarłem, poszedłem od razu na polanę, na której się spotykaliśmy. To tam przekazywałem mu pisemka z gołymi laskami i czasami coś słodkiego. Tym razem wyglądał inaczej, jakby się czegoś bał. Patrzył gdzieś ponad mnie i unikał kontaktu wzrokowego.

- Kurwa, mówiłem ci, żebyś nie dzwonił do domu. Starzy nie powinni wiedzieć, że ze sobą gadamy. Oni się ciebie boją - rzuciłem, co nie do końca było prawdą.

- Przepraszam - wydukał, a mnie się zrobiło lepiej.

- Co jest? Dawaj, bo się ściemnia.

- Ja nie chciałem...

- Tyle to już mi powiedziałeś przez telefon. Teraz poproszę o szczegóły.

- Ona... Ona zaczęła... Ona nie chciała...

- Kurwa, skup się! - wrzasnąłem.

Na szczęście staliśmy na tyle daleko od zabudowań, że nikt nie mógł nas usłyszeć. On nie odezwał się ani słowem, tylko ruszył w stronę zwalonego konaru.

Gdy ją zobaczyłem, zdębiałem. Ten cipowaty chłopaczek, który bał się własnego cienia, zrobił coś takiego. Aż klasnąłem w dłonie.

- No i to się nazywa dobra robota. Teraz trzeba pociąć ją na kawałki i pozbyć się ciała - rzuciłem podekscytowany. Jej widok momentalnie podsunął mi jakieś dziwne wizje, które już kiedyś pojawiły się w mojej głowie.

- Ona nie żyje - wyszeptał i znowu wpadł w histerię.

Podszedłem bliżej i wbiłem wzrok w jej klatkę piersiową. Wbrew jego słowom ta rytmiczność unosiła się i opadała, ale nie zamierzałem mu tego mówić.

- Ja się tym zajmę - rzuciłem, sam siebie zaskakując.

Popatrzył na mnie zdezorientowany.

- Nie stresuj się. Zaopiekuję się tobą. Idź, bo ktoś zauważy twoją nieobecność i możesz mieć przez to problemy.

Kiwnął tylko głową. Popatrzył na nią ostatni raz i ruszył w stronę majaczącego w oddali obokurwego budynku.

To, co później się działo, chłonałem każdą komórką swojego ciała, chociaż chwilami odpływałem. Spełniłem wszystkie moje fantazje, a gdy skończyłem...

Ona była martwa.

Patrzyłem na jej nagie ciało i marzyłem o więcej.

Gdy przyszedł, jednym spojrzeniem ściągnął mnie na ziemię.

Musiałem zacząć myśleć trzeźwo, a nie jak jakiś odurzony ćpun.

Zabrałem wszystkie jej rzeczy, poza jedną.

Majtkami.

Te ułożyłem niedaleko jej stóp.

Kiedyś w jakimś filmie usłyszałem, że niektórzy przestępcy mają swoje znaki rozpoznawcze.

Też taki chciałem mieć. Majtki. Ułożenie ciała. Niech główkują, zastanawiają się.

## Rozdział 53

Wysledzenie producenta matrioszek, które dostawali Uznańscy, wcale nie było trudne. Okazało się, że w podwarszawskim Brwinowie, niewielkiej miejscowości kilka kilometrów od Grodziska Mazowieckiego, młoda dziewczyna w dość zaskakujący sposób malowała małe laleczki strugane przez jej ojca. Taki rodzinny biznes, który miał podreperować domowy budżet. Choć sam pomysł niósł wielki potencjał, to jednak niestety sposób prezentacji nie zachęcał do kupna. Potencjalnych klientów nie przyciągały zrobione telefonem zdjęcia i ubogie opisy, zwłaszcza że całość umieszczona została na stronie zrobionej na darmowym i dość prymitywnym motywie na Wordpressie.

Teraz Dagmara siedziała z Carlosem i razem z zachwytem oglądali ich dzieła, zastanawiając się, jak powinni podejść do tematu.

- A może pojechałbyś do tej dziewczyny, uwiódł ją i wyciągnął informacje, komu je sprzedawała? - rzuciła Gaga i sięgnęła po plastikowe pudełko ze smażonym makaronem z kurczakiem i warzywami z chińskiej knajpki za rogiem, którą wyjątkowo udało jej się przeforsować. Jedzenie po raz trzeci z rzędu gołąbków, schabowego lub pierogów nie wchodziło w grę, co wyraziła buntem i karczemną awanturą.

- Świetny pomysł, tylko co, jeżeli jest homoseksualna?

- Na ciebie nawet lesbijka by poleciała - powiedziała z uśmiechem na twarzy i pogłaskała go po gołej klatce, na której widoczne były delikatnie zarysowane mięśnie.

- No super. Zadanie marzeń. A tak serio?

- Cały czas nad tym myślę. Widziałam, że za dwa dni wystawiają się na targach, więc możemy pojechać i wy badać.

- Trochę lepszy pomysł, tylko jak zagadamy?

- Ty jak zawsze szukasz problemów, a nie rozwiązań. - Wsadziła kolejną porcję jedzenia do ust. - A coś więcej dowiedziałeś się o domownikach? Może to nie Uznański jest ich adresatem.

- Druga pani Uznańska została nią siedem lat temu. Pierwsza żona zmarła w wyniku długotrwałej choroby. Kilka lat później pojawiła się nowa miłość. Z tego, co udało mi się ustalić, to córka z macochą żyją w dobrych układach. Kobieta pracuje w jakiejś firmie kosmetycznej, takiej wege, bio i takie tam. Sprawia wrażenie miłej i sympatycznej, ale wiesz, jak jest. Może komuś się nie podobała, może kogoś wygryzła z biznesu. Ludzie mają bardzo pokretny tok myślenia.

- To na pewno. A córunia lalunia?

- Monika Uznańska. Grzeczna, ułożona, chociaż faktycznie sprawia wrażenie laluni. Trochę w stylu tej... nooo...

- Reese Witherspoon w Legalnej blondynce - wtrąciła.

- No właśnie. Taka głupkowata, przesadna w wyglądzie, ale jednak z czymś w głowie.

- Czyli zakochałeś się?

- Tak. - Położył rękę na jej udzie, ale natychmiast ją zrzuciła. - Już jesteśmy po słowie i za tydzień będzie ślub.

- Spadaj. - Walnęła go w nabity mięsień naramienny i schyliła po kolejny kęs jedzenia.

- Ty jak zwykle wszędzie szukasz zagrożenia. Ja poza tobą świata nie widzę, a ty mi takie głupoty gadasz.

- No dobra. Mów dalej.

- Nie ma nic dalej. Nic nie znalazłem. A co do...

Nie zdążył skończyć, bo telefon Gagi zaczął dzwonić, wykonując przy tym małe obroty na stoliku przed nimi. Niespiesznie schyliła się po niego i spojrzała na numer.

- Nie znam. Pewnie fotowoltaika lub sprzedaż innego gówna - rzuciła. - Ale dzisiaj mam dobry humor, więc dam im szansę.

Po drugiej stronie połączenia nie było pracownika call center, który od rana po zmierzchu wydzwaniał po ludziach. Dzwoniła kobieta, o której zaledwie kilka minut wcześniej rozmawiali, czym wprawiła Dagmarę w nie lada zdziwienie. Rozmówczyni chciała się pilnie spotkać.

## Rozdział 54

Dagmara Zatorska umówiła się z Moniką Uznańską pod Pałacem Kultury i Nauki. Od razu po jej telefonie wciągnęła na siebie jeansowe spodenki i białą koszulkę ze sporym wycięciem, przez które widać było neonowy różowy stanik sportowy. Poprawiła jeszcze włosy, spryskała się swoim ukochanym dezodorantem Miss Dior, którego używała od kilku lat, i wyszła z domu, zostawiając Carlosa leżącego na kanapie w samych bokserkach.

Piętnaście minut później siedziała na drewnianej ławce, rozglądając się za dziewczyną. Do tychczas widziały się dwa razy, za każdym razem w biurze jej ojca, dlatego gdy Monika stanęła przed nią w luźnych jeansach i krótkim topie odsłaniającym kilka centymetrów gołego brzucha, w pierwszym momencie zupełnie jej nie poznała. Dopiero gdy odezwała się swoim skrzeczącym głosem, Gaga zorientowała się, że to ona.

- Dziękuję, że tak szybko zgodziłaś się ze mną spotkać - powiedziała i usiadła obok.

Jej twarz również wyglądała zupełnie inaczej. W biurze dziewczyna była mocno pomalowana, ale dziś nie miała na sobie ani grama makijażu. Nie wyglądała jak wypacykowana laleczka, ale ładna, o dość mocnych rysach kobieta, która w wersji sauté spokojnie mogła mieć powodzenie.

- Nie ma za co. Siedzę właśnie nad sprawą tych matrioszek, więc jeżeli masz na ten temat coś do powiedzenia, to chętnie wysłucham.

- No chyba mam, chociaż sama nie wiem, czy na pewno... - zaczęła i przygryzła skórkę prawego kciuka, która odstawała, powodując dyskomfort. - Ty coś już wiesz?

- Na razie zbieramy dane.

- Aha. Ja nawet nie wiem, od czego zacząć...

- Od początku?

- Tak, ale to nie takie proste.

- Zapewne - powiedziała Dagmara i uśmiechnęła się do dziewczyny. - Spróbuję ci pomóc.

Kto według ciebie zostawia te matrioski?

- Natalia jakaś tam - powiedziała cicho, zamknęła oczy i chwyciła się za głowę.

- Kto to jest?

- Ona... no... Boże, to nie może być prawda - dukała, a po jej polikach zaczęły płynąć łzy.

- Spokojnie. Skąd taki pomysł, że to ona? Znacie się?

- Nie - odpowiedziała głośniej i pociągnęła nosem.

- Zrobiłaś jej coś?

- Nie... To znaczy tak... Sama nie wiem.

- Robi się dziwnie. Co potencjalnie jej zrobiłaś?

- Odbiłam chłopaka - wyszeptała i zaczęła nerwowo uderzać lewą nogę o ziemię.

- Generalnie to słaba sytuacja, ale żeby od razu wysłać takie groźby? - spytała Dagmara, ale nie usłyszała odpowiedzi. Dziewczyna zapatrzyła się na mężczyznę, który ubrany w długi futrzany płaszcz pchał rozklekotany rower. Roztaczał wokół siebie odrażający odór, mieszanek moczu, potu i wszystkiego, czego dotykał ostatnimi czasami, powodując, że Dagmarze zrobiło się niedobrze. - A na tym chłopaku się nie mści?

- Nie - odpowiedziała tak cicho, że ledwo usłyszała.

- To chyba taki standard. Kobiety, zamiast szukać winy w partnerze, widzą ją w innej kobiecie, tak jakby on był bezmózgą istotą, która nie ma władzy nad swoim popędem i...

Nie skończyła. Dopiero teraz dostrzegła dziwny wyraz twarzy Moniki Uznańskiej. Tak jakby wzrokiem chciała jej coś powiedzieć, bo słowa nie mogły jej wypłynąć z ust.

- To był twój brat.

Momentalnie świat zawirował. To nie mogła być prawda. Bartek spotykał się raz na jakiś czas z jakąś dziewczyną, ale tylko randkował, nic poważnego. Nigdy żadnej jej nie przedstawił. A nagle okazało się, że nie wiedziała aż o dwóch.

- Nie. To niemożliwe - powiedziała, jakby ktoś właśnie wyjawiał jej, że jest córką Świętego Mikołaja i Królowej Śniegu.

- Spotykaliśmy się przez kilka miesięcy. Poznaliśmy się na imprezie firmowej mojego ojca. Przyszli z waszym tatą.

Dagmara od razu przypomniała sobie to wydarzenie. Zrobiła wszystko, żeby tam wtedy nie pójść. Jej kumpel w tym samym czasie robił urodziny. Powiedziała, że musi się uczyć, i bez skrupułów ominęła nudne spotkanie firmowe.

- On był taki inny niż rówieśnicy. Zrównoważony, ciepły i taki zainteresowany drugą osobą. Nie wiem, dlaczego nikomu o nas nie powiedział.

- To przeze mnie. Zawsze mu docinałam - powiedziała smutno Dagmara, która dopiero niedawno uświadomiła sobie, jak głupio robiła. Brat nie miał tak mocnego charakteru jak ona i nie wszystko spływało po nim jak po kaczce.

- Może. Nie wiem. Nigdy mi tego nie wyjaśnił. Ja nigdy przy nikim się tak nie czułam. Miałam wielką nadzieję, że to ten jedyny, ale... - Kolejne łzy pojawiły się na jej policzku, szybko mknąc w stronę nosa i ust. - On...

- Umarł - skończyła za nią Dagmara.

- Tak, wiem, że dla ciebie jego śmierć była katastrofą. Ale uwierz, ja nadal nie mogę się otrząsnąć. Wiem, że wypadki chodzą po ludziach, ale dlaczego padło akurat na niego?

- Może się kiedyś tego dowiemy. Ale jaki związek z tymi matroszkami ma Bartek?

- Gdy się poznaliśmy, spotykał się z kimś. Poza imieniem nie wiem o niej nic więcej, uprzedzając twoje pytanie. Z tego, co powiedział, nie było to nic poważnego. Kilka randek i tyle. Na imprezie tak dobrze nam się gadało, że wziął ode mnie numer telefonu, ale przez ponad tydzień nie dzwonił. Byłam święcie przekonana, że jednak mu się nie spodobałam, że przegadał ze mną kilka godzin z nudów pomieszanych z dobrym wychowaniem. Ale gdy ja już przestałam mieć nadzieję, zrobił to. Spotkaliśmy się i wszystko mi wyjaśnił. - Dziewczyna wyjęła chusteczkę z przewieszzonej przez ramię małej torebki, wytarła łzy i wydmuchała nos.

- Czyli co?

- To, że się miotał. Nie wiedział, co zrobić. Z jednej strony chciał się ze mną spotkać, a z drugiej miał dziewczynę. Nie mógł postąpić inaczej niż zerwać z tamtą, żeby umówić się ze mną na randkę, nie wiedząc, czy kolejne nasze spotkanie będzie równie wciągające. Wiesz, tak naprawdę zaryzykował.

- No rejczel – wtrąciła Dagmara.

- Ale on nie żałował. Mieliśmy tyle wspólnego. Uwielbialiśmy te same filmy, muzykę...

- Serio? Ty też jesteś depezką? – spytała rozbawiona.

- Oczywiście. To najlepszy zespół na świecie – skomentowała i obie się zaśmiały.

- On ciągle chodził w tych paskudnych koszulkach z ich podobiznami, z klatką wypiętą jak u koguta.

- Tak, z tymi koszulkami to przesadzał. Nigdy takich nie nosiłam. To jest takie...

- Kiczowate? – odpowiedziała Dagmara. Pierwszy raz od dawna rozmawiała z kimś o bracie i choć zupełnie się tego nie spodziewała, czuła się lepiej.

- Dokładnie.

- Dobra, ale wróćmy do tej dziewczyny. Skąd pomyśł, że to ona zostawia matrioski? Przecież od jego śmierci minęły już ponad dwa lata...

- Tak, wiem. Ale jakoś... Nie wiem... Może się mylę...

- A czy kiedyś wcześniej coś się działo?

- Tak – odpowiedziała pewniejszym głosem. – Bezpośrednio po tym, jak twój brat z nią zerwał, wysyłała mu niefajne SMS-y. Początkowo nie chciał mi powiedzieć, ale dostał jednego podczas jednej z randek. Widziałam po jego minie, że coś jest nie tak. Długo musiałam ciągnąć go za język, zanim mi powiedział. Twierdził, że nie chciał mnie stresować.

- I co mu pisała?

- Że popełnia największy błąd w życiu. Że byli tacy szczęśliwi, a on to zniszczył. O takich tekstach mi mówił, ale wydaje mi się, że było też ostrzej. Miałam wrażenie, że czasami dziwnie się rozglądał.

- Obserwowała go?

- Nie jestem pewna, może mam już paranoję, ale wydaje mi się, że tak.

- Czy kiedykolwiek ją widziałaś? – dopytywała dalej Dagmara.

- Nie wiem. Parę razy widziałam jakąś dziewczynę, która dziwnie na mnie patrzyła. Ale wiesz, jak to jest. Człowiek wpada w obsesję, zaczyna sobie wymyślać. A ja mam do tego niesamowite skłonności. Po śmierci mamy widziałam ją parę razy. Raz w sklepie, innym razem na targu, a przecież ona leżała w grobie, kilka metrów pod ziemią.

- Rozumiem. Ja też widziałam Bartka kilka razy. To nasz mózg chyba sam wypełnia jakąś pustkę, którą zostawiają po sobie bliscy.

- Chyba tak – westchnęła smutno Monika Uznańska i pociągnęła nosem.

- Czyli nie wiesz, jak wygląda, nazywa się, cokolwiek, co mogłoby pomóc?

- Jeżeli wtedy to faktycznie była ona, to miała krótko obcięte włosy, pofarbowane na jasny blond. Mniej więcej mojego wzrostu, może pulchniejsza niż ja. Ale to było trochę po pogrzebie twojego brata. Od tego czasu mogła zapuścić włosy, schudnąć.

- No rejczel. I myślisz, że po takim czasie to ona podrzuca te laleczki?



- Nie wiem, ale to jedyne, co przychodzi mi do głowy. Od kiedy zaczęły przychodzić, analizowałam wszystko tysiąc razy. Tata nigdy nikogo by nie skrzywdził. Zresztą on jest nudny, jak jego firma i większość pracowników. Iwona mogłaby kogoś wkurzyć, ale służbowo. Jest bizneswoman z prawdziwego zdarzenia. Nie ma, że boli, idzie po trupach do celu. Tylko że te karteczki wskazują na raczej prywatne niesnaski, nic związanego z pracą.

- Zdecydowanie.

- Przez chwilę myślałam o niani, ale to najmiłsza i najserdeczniejsza osoba, jaką znam. Ona na pewno nikogo by nigdy nie skrzywdziła.

- Rozmawiałaś o tym z rodzicami? - spytała Dagmara.

- Nie. Po pierwsze, nie chciałam denerwować ojca. Po drugie, to są moje domysły, więc nie jestem nawet pewna, czy prawdziwe.

- No dobra. Zrobimy tak. Ja poszukam tej dziewczyny. Cały czas mam kontakt z kolegami Bartka. Może któryś coś o niej wie.

- Dziękuję - wyszeptała i uśmiechnęła się, pokazując równe, białe zęby, które prawdopodobnie wyszły z tego samego gabinetu stomatologicznego co uśmiech jej ojca.

- Nie masz za co. Po pierwsze, to twój ojciec mnie wynajął. Po drugie, jeżeli ma to coś wspólnego z moim bratem, moja motywacja właśnie wzrasta wykładniczo.

## Rozdział 55

ON

O ja pierdołę.

To było niezwykłe. Seks przy tym to nic. Nigdy żadna laska nie dała mi tego, co poczułem, zabijając. Gdy patrzyła na mnie tymi pustymi oczami, a ja raz po raz ją uderzałem.

Nie wiem, jak udało mi się dotrzeć do domu niezauważonym. Nie dość, że ubranie upięprzyłm krwią, to jeszcze z ryja nie schodził mi ten kretyński uśmiech. Próbowałem zachowywać się normalnie, żeby nie zwracać na siebie uwagi, ale to było silniejsze.

Ojciec od razu wychwyił, że coś jest nie tak. Pytał mnie, co się dzieje, a ja tylko stałem i gapiłem mu się w twarz.

– Zedrę ci ten dumny grymas z ryja, jak nie powiesz, co przeszkobałeś. Przecież widzę, że z podniety aż drżysz. Znowu kręciłeś jakieś gołe nastolatki? O Boże, dobierałeś się do jakiejś? Nie, tylko nie to... – darł się i jęczał na zmianę.

Nie zламаłem się.

Nie tego dnia.

Ale już tydzień później musiałem przemówić.

Musiałem cokolwiek powiedzieć.

– Kurwa!!! Co ty zrobiłeś?

Przyszedł, a raczej wbiegł do mojego pokoju. Nigdy nie widziałem go tak wkurwionego, a potrafiły mu puścić nerwy. Na jego czole pojawiła się wielka pulsująca żyła, nozdrza latały jak szalone, ale najgorszy był kolor jego twarzy. Czerwony, jakby się poparzył.

– Kurwa, gadaj!

Podszedł do mnie, schylił się i chwycił mnie za kołnierzyk koszulki. Od razu poczułem od niego alkohol. Ojciec nie pił od ponad dwudziestu lat, przestał po tym, jak potracił małego chłopca, wracając z budowy. Od tego czasu miał świra na punkcie procentów i ich unikania. Swoich pracowników potrafił sprawdzać kilka razy dziennie, dlatego chłopaki dopiero po robocie ruszały do butelek.

Ale on sam nie tknął alkoholu od dawna.

Patrzył na mnie i sapał, licząc, że zacznę mówić. Wiedziałem, że wie coś więcej, ale nie chciałem się podkładać i wsypać samego siebie. Milczałem, ale tym razem nie podniosłem już na niego wzroku. Gapiłem się na płamę na dywanie, która w zależności od kąta, z którego się na nią patrzyło, przypominała albo dinozaura, albo konia.

– Gadaj, gnoju, co ty jej zrobiłeś?! – wrzasnął, napiął się cały i uderzył mnie w brzuch.

Takiego bólu nigdy nie doświadczyłem, a dostałem przecież wiele razy. Od zawsze lałem się z innymi. Biłem innych i byłem bity.

Jednak ciosu wyprowadzonego przez własnego ojca z niczym nie mogłem porównać. Jakby walnął mnie jakiś młot, miażdżąc mi wnętrzności. Momentalnie wyładowałem obok dinozaura. Patrzył na mnie, a ja czułem, jakby pokój zaczął wirować.

- Teraz języka zabrakło ci w gębie? A wcześniej, masakrując dziewczynę, to taki chojrak byłeś! Kurwa, i te gacie obok jej ciała...

Wyprowadził kolejny cios, tym razem stopą. Pewnie z boku wyglądało to tak, jakby chciał kopnąć piłkę. Tylko jej nigdzie nie było, a cały impet zamachu przyjął mój brzuch. Nigdy nie przykładałem się do lekcji biologii, więc nie wiedziałem, co po której stronie w człowieku jest, ale czułem, że coś mi uszkodził.

Miałem dość.

- To nie ja... - wyszeptalem w końcu. Nigdy nie uważałem się za tchórza, ale tym razem musiałem tak postąpić. - To on - powiedziałem cicho, ledwo sam słyszałem własny głos.

- Mogłeś mu przerwać. Zrobić coś. Ona...

- Przepraszam - wyszeptalem i zacząłem płakać.

Za tę scenę powinienem dostać Oscara. Sam się nabrałem. Wyłem jak pieprzony bóbr, sapałem, a ojciec siedział koło mnie i głąskał mnie po głowie.

- Pomogę ci - powiedział po jakimś czasie. - Przepraszam, synu.

Później słyszałem jego rozmowę z matką. Nie zdradził, że mnie pobił. Trudno. Mam to w dupie.

- Co zrobimy? Nie możemy pozwolić, aby nasz jedynak trafił do więzienia - szeptała, płacząc. Zresztą nic innego nie robiła, od kiedy dowiedziała się, co stało się z dziewczyną. To znaczy dowiedziała się tego, co ja jej powiedziałem. Wydukałem. Wyszeptalem podzieloną na fragmenty moją wersję, która bardzo daleka była od prawdy.

Ale co najzabawniejsze, im ona pasowała.

- On jest potworem. Nie może już nigdy zbliżyć się do naszej rodziny.

- Ale ja nie mogę powiedzieć policji prawdy, od razu zaczną go cisnąć. A jak w ramach zemsty nagada coś na młodego?

- To co chcesz zrobić? - dopytywała matka łamiącym się głosem.

- Ostatnio robiłem dom takiej starszej pani psychiatrze. Powiem, że mam problemy z siostrzeńcem, który w związku z rodzinnymi problemami sfiksował. Zapłacę jej nawet, aby tylko zamknęła go w jakichś Tworkach lub innym ośrodku bez klamek.

I tak też zrobił.

## Rozdział 56

Dagmara siedziała na ławce jeszcze dobre pół godziny po odejściu Moniki Uznańskiej. Zupełnie nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

Poczuła ukłucie smutku, że jej brat, z którym zawsze łączyła ją bliska relacja, nic jej nie opowiadał o swoich dziewczynach. Nigdy nawet jednym słowem nie zdradził się, że kogoś ma. Wiedziała, że życie z nią nie było łatwe. To ona miała charakter chłopczycy, jak to wypominała jej matka. Robiła rzeczy zarezerwowane raczej dla płci męskiej, a on od tego stronił. Nie pchał się w kłopoty, unikał konfrontacji. Gdy kłócili się, to zawsze ona była prowodyrem. To zawsze ona zaczynała i drażyła tak długo, aż uznała, że jest lepsza.

Dłatego gdy przyszedł z propozycją zakupu motocykli, zdębiała. Nigdy nie spodziewała się, że mógłby wpaść na taki pomysł. Twierdził, że od dawna o tym marzył i potrzebuje jej wsparcia. Oczywiście uległa. Tyle razy tego żałowała. Gdyby odmówiła, może by zrezygnował, a tak zmarł, robiąc to, co kochał.

W końcu wysłała Carlosowi wiadomość, że będzie za trzy, cztery godziny, wsiadła na rower i podjechała do metra. Z reguły stroniła od takich rozwiązań. Po to przemieszczała się dwukółkowcem, aby unikać komunikacji miejskiej, ale po ostatniej wycieczce na drugi koniec miasta i z powrotem nadal czuła mięśnie ud. Dojazd w północno-zachodnie obrzeża stolicy okazał się nie lada wyzwaniem.

W końcu, gdy wysiadła z autobusu, po pięciu minutach znalazła się na skraju lasu, gdzie znaleziono Gabrysię Górską. Wyrzebała w telefonie zdjęcia, żałując, że nie ma wydruków, i zaczęła szukać dokładnego miejsca, gdzie grzybiarz natknął się na ciało. W odróżnieniu od miejsc ostatnich morderstw tu nie mogła liczyć na ułatwienia w postaci rozłożonych policyjnych taśm.

Na podstawie dołączonej mapki mniej więcej wiedziała, w którym kierunku ma iść. Po dziesięciu minutach doszła do miejsca, którego szukała. Nie dość, że drzewo, przy którym znaleziono dziewczynę, nadal tu rośnie, to niedaleko stał ledwo widoczny krzyżyk z małą tabliczką. Musiała podejść bliżej, aby odczytać, co na niej umieszczono.

*Gabrysiu, najcudowniejsza córko. Żegnaj.*

Gaga wyświetliła jedno ze zdjęć. Na szczęście dzięki potężnemu dębowi szybko ustaliła, w jaki sposób leżała dziewczyna. Ponownie, tak jak w dwóch poprzednich miejscach, położyła się na ziemi, choć korzenie wbijały jej się w plecy. Wstała, otrzepała się z kawałków kory oraz trawy i rozejrzała.

Mimo że miejsce nie było przechylone w żaden sposób, tutaj również nie ułożyłaby swojej ofiary. Kilkaset metrów dalej widziała polankę, która cała porośnięta miękką trawą, bez ukrywanych pod zielenią korzeni, o wiele bardziej nadawała się na ekspozycję ciała.

Szybko wyciągnęła z plecaka mapkę, która została po ostatniej wycieczce, i usiadła po turecku na trawie, zupełnie nic nie robiąc sobie z faktu, że na spodenkach prawdopodobnie zostanie zielony, ciężko spieralny ślad.

Otworzyła pierwsze zdjęcie i wyrysowała dokładnie kierunki, które wyznaczała głowa i nogi dziewczyny. Kiedyś słyszała o seryjnym mordercy, który zawsze układał swoje ofiary tak, aby głowy miały skierowane na północ.

To samo zrobiła z ciałem drugiej ofiary, czyli Lucyny Kaczorowskiej. Mapkę wydrukowała na kartce formatu A4, więc jej dokładność nie imponowała, ale zawsze mogła stanowić punkt zaczepienia.

Naniesienie kierunku ułożenia zwłok Niny Wysoczańskiej przysporzyło jej trochę trudności, ponieważ zdjęcia, którymi dysponowała, nie dawały jednoznacznych podpowiedzi. Jednak gdy w końcu na trzymanej przez nią mapie naniosła trzecią kreskę, która miała oznaczać ułożenie ciała, poczuła, że serce zaczyna bić jej szybciej. Używając boku telefonu, przedłużyła linie w jednym i drugim kierunku, chociaż już wiedziała, że jeden jest prawidłowy. Nie mogło być przypadkiem, że wszystkie trzy przecinały się w jednym miejscu.

Szybko wskoczyła na leżący w trawie rower i pomknęła do domu. Czekala ich mrówcza robotka przy użyciu mapy z dużo większą rozdzielczością, aby odkryć, jaki dokładnie punkt wskazują linie.

## Rozdział 57

– Możesz jeszcze raz mi to wszystko wyjaśnić?

Carlos cały czas z niedowierzaniem patrzył na Dagmarę, jakby przed chwilą oznajmiła, że jest jego babcią lub przyleciała z odległej galaktyki.

– Czego nie rozumiesz? Monika spotykała się z moim bratem, który specjalnie dla niej zerwał z jakąś dziewczyną.

– Aha, i ty o tym nic nie wiedziałaś, dlatego jesteś zła na mnie?

– Kurwa! – krzyknęła. – Nie jestem na nikogo zła! – Oparła łokcie o kolana, głowę wsparła na dłoniach, a palce zatopiła w swoich blond włosach. – Jak mogłam tego nie wiedzieć? Kurwa, detektywka od siedmiu boleści. Nie zauważyłam, że mój brat ma kogoś. Poza tym czemu mi nie powiedział?

– Przecież nie był wylewny – wtrącił Carlos, chcąc chociaż trochę uspokoić atmosferę.

– Brak wylewności a brak zaufania w stosunku do siostry to dwie różne sprawy. On się przede mną nie otwierał.

– Oj, teraz to grubo przesadzasz. Tego, że ktoś wstydzi się mówić o swoich związkach, nie wiązałbym z brakiem zaufania. Przecież o innych rzeczach ci mówił.

– Teraz to nie wiem, czy mówił o wszystkim. Czy nie ukrywał czegoś jeszcze. Czy nie prowadził podwójnego życia. A może nie był wcale taki skryty, tylko przed nami udawał. Może na co dzień chodził z wypiętą kłatą, podrywał każdą dziewczynę i uważano go za duszę towarzysstwa.

– Tak, i jeszcze jeździł batmobilem i miał dar przenikania przez ściany.

– Nie pomagasz – wycedziła Dagmara i zerwała się z kanapy. – Choćby skały srały, dowiem się prawdy. Idziesz ze mną? – spytała, czym wywołała konsternację u siedzącego na kanapie Carlosa. Z reguły nie zapraszała go do swoich działań. Sama chodziła własnymi ścieżkami, wychodząc z założenia, że da sobie radę.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego chcesz, żebym poszedł z tobą?

– Bo cię lubię? – rzuciła niby od niechcienia. Nie chciała zdradzać prawdziwego powodu.

– Serio? Takie teksty możesz przedszkolakowi wciskać, ale nie mnie. Dokąd mamy iść i po co ci ja?

– O matko, ale z ciebie wrzód na dupie. Jedziemy do kumpla mojego brata.

– Okej, brzmi konkretnie, a czemu sama nie możesz?

– Bo średnio się lubimy.

– Opowiesz mi szczegóły?

- Nie. Do niczego ci to nie jest potrzebne. Masz robić za dobrego glinę, bo ja nie potrafię. Nie znoszę gnoja - rzuciła i podreptała do swojej garderoby.

Po pięciu minutach wróciła w sukience, której nigdy nie widział i zdecydowanie wolał utrzymać ten stan. Była wyjątkowo nieatrakcyjna, w kolorze, którego nazwy nie znał, i pasowała zdecydowanie bardziej do Marianny Zatorskiej niż do jej córki.

- Nawet nie waż się komentować, bo inaczej skończysz w Wiśle.

Pokiwał tylko potwierdzająco, przygryzając dolną wargę, żeby nic nie chlapnąć.

Dwadzieścia minut później byli już przed budynkiem na Bielanych i parkowali hulajnogi elektryczne, które zgarnęli niedaleko mieszkania Dagmary.

- Pół godziny temu ten gnom wrzucił relacje na Instagramie. Siedział w domu, a że jest ultraleniwy, to raczej nadal jest na miejscu. - Skinęła głową w stronę niedużego, trzykondygnacyjnego bloku z dwiema klatkami.

- Jak chcesz tam wejść?

- Drzwiami? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Super, bo już się bałem, że parolotnią. A tak serio, królowno, jaki masz plan?

- Matko, ty faktycznie do pracy z ludźmi się nie nadajesz. Nie wiem, czy to nie błąd, że cię zabrałam.

- Może dasz mi szansę? - Uśmiechnął się zalotnie i zatrzepotał rzęsami, których mu zazdroszczyła, powtarzając co jakiś czas, że to wielka niesprawiedliwość, że on ma tak długie, a jej ledwo od powieki odrosły.

- Zobaczymy. Nie ma co tutaj stać jak słupy. Czas ruszać nasze szanowne cztery litery.

Nie czekając na jego reakcję, ruszyła w kierunku budynku. Dostanie się do klatki schodowej okazało się dziecinnie proste, ponieważ ktoś nie docisnął drzwi i weszli bez wydzwaniania do sąsiadów. Powoli wspięli się na drugie piętro, stanęli przed numerem 6 i Dagmara naciśnęła dzwonek.

- Kłękajcie narody, któż mnie nawiedził - rzucił zdziwiony chłopak stojący w progu.

Stanowił totalne przeciwieństwo Bartka. Jego waga na pewno przekraczała sto dwadzieścia, a może i więcej kilogramów. Brak włosów na głowie, a przy tym długa i gęsta broda, powodowały, że ciężko było określić jego wiek. Chyba najgorszy był jednak odór, który wydobył się z mieszkania - smród potu, który osiadał na jego koszulce i panoszył się niczym zaraza. Dagmara dobrze wiedziała, czego się spodziewać, ale gdy dotarło to do jej nozdrzy, z trudem powstrzymała się od jakiegoś dosadnego komentarza.

- Cześć, mam sprawę - powiedziała tak spokojnie i sympatycznie, jak tylko potrafiła, ścisnąc przy tym dłoń Carlosa, którą odruchowo chwyciła.

- Sprawę? Do mnie?

- Tak, chodzi o Bartka.

- Aha, no w sumie nie ma się co dziwić. Czego chcesz? To znaczy chcecie? - Spojrzał wymownie na chłopaka.

- Przepraszam, to Carlos, mój narzeczony.

- Ooo, gratki. Myślałem, że ty z tych wyzwolonych, które nigdy nie dadzą się usidlić - powiedział pogardliwym tonem.

- Ludzie się zmieniają.

- Taaa, gadaj lepiej, czego chcesz. Mam robotę.

- Dawno temu dziewczyna Bartka, ale nie Monika, ta wcześniejsza, opowiadała o jakimś supermiejscu w Kampinosie na imprezę zaręczynową i zupełnie nie pamiętam, gdzie to było. Masz do niej namiar? Bo mi wypadło z głowy, jak się nazywała, i nie mogę jej namierzyć.

Chłopak chwycił się za koniec brody prawą ręką i zaczął nią kręcić, powoli przenosząc wzrok z Dagmary na Carlosa i z powrotem.

- Taaa... - Zaśmiał się. - Ale bajeczkę wymyśliłaś. A że jesteś wredną suką, gównu się ode mnie dowiesz.

Nie czekając na ich reakcję, z hukiem zatrzaskała im drzwi przed nosami.

- Ty tępy fiucie! - krzyknęła Dagmara i kopnęła w nie z wściekłością.

- Chyba faktycznie nie pałacie do siebie miłością - rzucił Carlos i zaczął zbiegać ze schodów, zostawiając wkurzoną Dagmarę.



## Rozdział 58

ON

Nie wiem dokładnie, dlaczego ojciec zabrał go z ośrodka, może z litości. Może gdzieś tam w środku wie, że to ja jestem wszystkiemu winny.

Najlepsze, że zrobił to nie tylko w tajemnicy przede mną, ale też matką. Ona zresztą mało co wie. Dowiedziałem się zupełnie przypadkiem od faceta, który pracuje czasami w drugiej firmie ojca, zajmującej się festynami i imprezami. Mnie to średnio kręci, wolę budowlankę. Prosta fizyczna praca, a w tej drugiej trzeba za dużo myśleć.

Wyjątkowo ten jeden facet dorabia trochę w jednej, trochę w drugiej. I on nagle wypala mi tekst, że ten chudy chłopak, z takimi wylupiastymi oczami, co jest chyba jakimś naszym krewnym, jest strasznie zamknięty w sobie, i pyta, czy on tak zawsze.

W pierwszym momencie pomyślałem, że jaja sobie robi, ale gdy powiedział, że podobno ten gość ostatnie lata spędził w jakimś ośrodku, wiedziałem, że to nie może być przypadek.

Pogadałem z nim jeszcze chwilę i polecałem do ojca do biura. Tego dnia wszyscy pracownicy firmy od eventów i koncertów dokądś pojechali, więc nikogo nie było. Przeszukałem wszystkie teczki, licząc, że znajdę jego adres, ale niestety na nic nie trafiłem. Ojciec musiał zatrudnić go na lewo, co trochę utrudniało zadanie.

Nie pozostawało mi nic innego jak pojeździć po miejscach, gdzie rozkładali stelaże. Nie znałem ich wszystkich, ale wyposażony w rower ruszyłem w miasto. Na trzech nie znalazłem zupełnie nikogo. Na czwartym miejscu kręcił się jeden typek. Podpytałem i okazało się, że widział go raptem dziesięć minut wcześniej. Pokazał gdzie. Grzecznie podziękowałem i pobiegłem.

Ucieszył się na mój widok. Chyba ani przez sekundę nie pomyślał, że to przeze mnie wyłądował w psychiatriku. Ja w sumie też poczułem się jakoś lepiej. Nigdy nikt nie patrzył na mnie jak na jakiegoś przywódcę, szefa czy jakiś pieprzony autorytet. A on tak robi. Traktuje każde moje słowo jak prawdziwą świętość, a ja nie zamierzam ukrywać, że cholernie mi się to podoba.

Ojciec załatwił mu małe obskurne mieszkanko u jakiejś starej baby. Sam nie chciałbym w nim zamieszkać, ale jako meta dla spotkań jest znakomite. Czasami gdy on siedzi w szkole i grzecznie zakuwa, ja oglądam pornosy, a raz nawet zaprosiłem tam jedną taką. Nawet mu o tym nie powiedziałem, bo i po co.

Co zabawne, moje nauki nie idą w las, bo ostatnio przywalił jakiemuś kolesiowi. Nawet ojciec był w szoku. Podśluchałem, jak mówił matce, że widział kolesia, który oberwał. Nie wyglądała na takiego lamusa, co daje się łąć, a to chuchro mu nieźle wpięrdziło. Podobno chłopczek naśmiewał się z tego, co się stało z jego matką. Nie wytrzymał i przywalił mu, przez co

wylali go ze szkoły. Ale jak to on, niczym kot, spadł na cztery łapy. Niby ma takie nieszczęśliwe życie, a jednak dopisuje mu jakiś głupi fart.

Ojciec szybko znalazł mu miejsce w budowlance, gdzie jego kumpel rządził od lat.

Obiecaliśmy sobie, że już nigdy nie zrobimy niczego złego, jak to, co stało się z Karoliną.

## Rozdział 59

Od zawsze uwielbiała rysować, tylko w odróżnieniu od dzieł koleżanek i kolegów nie były to pieski, kotki, bo te w jej wykonaniu nie przypominały siebie. Kochała robić rzuty.

Gdy w podstawówce dostali na technice za zadanie narysować coś w perspektywie, aż podskoczyła z radości. Siedziała przez cały weekend i dopracowywała każdy detal na rysunku przedstawiającym skrzyżowanie. Cienie we wnękach okiennych, poświęty z ulicznych latarni. Wszystko zrobiła perfekcyjnie. Do tego stopnia, że nauczyciel wezwał jej ojca do szkoły, nie wierząc, że dziewczynka, która nigdy nie wykazywała się talentem plastycznym, narysowała coś takiego.

Teraz Dagmara usiadła na podłodze i rozłożyła wielki wydruk fragmentu mapy, który obejmował miejsca znalezienia wszystkich trzech dziewczyn. Gdy składała zamówienie u znajomego, który miał drukarnię plakatów, wydawało jej się, że ten format w zupełności wystarczy, jednak teraz miała wątpliwości.

Wyciągnęła z teczek wszystkie zgromadzone materiały i ułożyła zdjęcia dziewczyn w odpowiednich lokalizacjach. Już wcześniej wiedziała, że jest szansa, że przecinają się w tym samym miejscu, tylko cały czas nie była pewna, gdzie dokładnie to jest.

Przysiadła w rogu, gdzie rozpościerał się Las Kabacki, i narysowała tam mały symbol, coś na kształt ciała. To samo zrobiła z dwiema pozostałymi ofiarami. Przez chwilę patrzyła na swoje dzieło, próbując sobie wyobrazić, czy linie się faktycznie przecinają. Chwyliła długą linijkę, którą kupiła w pobliskim papierniczym, i zaczęła kreślić proste. Dwie pierwsze przecięły się, co nie stanowiło zaskoczenia, z matematyki wiedziała, że dwie proste, które nie są równoległe, zawsze będą miały jeden punkt przecięcia. Gdy poprowadziła trzecią z precyzją chirurga, jakby od tego zależało jej życie, aż podskoczyła z radości.

– Wow! – krzyknęła głośno, gdy poczuła znajomy dreszcz podniecenia.

– Tak jeszcze chyba nigdy nie cieszyłaś się na moje przyście – usłyszała za sobą głos Carlosa.

– Tak, oczywiście. Cieszę się. Poza tym zdobyłam kolejny punkt w konkursie zajebistości.

– Komuś coś się udało. To chyba dzisiaj mamy co oblewać. – Uśmiechnął się do niej i podał karteczkę. – Nazywa się Natalia Szwed i niedawno wróciła z Wielkiej Brytanii.

– Co? – Patrzyła na kartkę, marszcząc czoło. Dopiero po chwili zorientowała się, o co mu chodzi. – Ale jak to zrobiłeś?

– Miałem grać dobrego glinę? – spytał.

– No rejczel.

– Więc ty odwaliłaś superrobotę jako zła postać. Udało ci się jak zwykle kogoś konkretnie wkurzyć, dlatego ułatwiłaś mi robotę. – Uśmiechnął się.

– Ale jak to zrobiłeś? – powtórzyła.

- Hmm, nie wiem, czy powinienem ci powiedzieć. To zdradzanie swoich tajemnic zawodowych.

- No weź! - Podeszła do niego, wspięła się na palce, zarzuciła ręce na jego szyję i zatrzepotała rzęsami.

- Chcesz mnie przekupić?

- Ja? W życiu... - Delikatnie polizała go po płatku lewego ucha, odwróciła się i podeszła w stronę kuchni. - Zupełnie przypadkiem mam twoje ulubione piwo - powiedziała zalotnie. - Możemy spędzić miły wieczór. Ty opowiesz mi, jak się tego dowiedziałeś, a ja też ci coś opowiem.

- Czyli handel. A nie powinno być tak, że wspólnicy mówią sobie wszystko i o wszystkim, niezależnie od wszystkiego?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami i podała mu zimne tyskie. - Nigdy nie byłam w żadnej spółce, więc nie mam doświadczenia. Wiem za to, że jeżeli powiesz mi, jak zdobyłeś kontakt do tej dziewczyny, nie pożałujesz.

Usiadła na blacie i otworzyła sobie swoje ulubione truskawkowe piwo. Dobrze wiedziała, że zaraz wszystkiego się dowie, używając swoich kobiecych wdzięków. I nie będzie w tym układzie poszkodowaną, a podwójną zwyciężczynią.

## Rozdział 60

– Nie możesz tam jechać sama! – krzyczał Carlos.

– Zabronisz mi?

– Tak, zabronię.

– Spróbuj – powiedziała Dagmara i stanęła z założonymi rękoma.

– Powiedz chociaż, gdzie to jest.

– Pokazywałam ci już i powiedziałeś, że dzisiaj nie możesz, dlatego pojedę sama. Zobaczę, co to za miejsce, i tyle.

– Nie możesz jutro? Jeden dzień cię nie zbawi, a będziesz miała czas zastanowić się, co zrobić ze sprawą Natalii Szwed.

– Mam podzielną uwagę i mogę myśleć o dwóch sprawach jednocześnie. Więc ty załatw, co masz do ogarnięcia, ja zrobię swoje, a wieczorem na tej kanapie – wzrokiem wskazała na stojący obok mebel – z winkiem w rękę i jakimś dobrym jedzonkiem omówimy szczegóły.

Nie mając nic do gadania, Carlos wyszedł z mieszkania na umówione dużo wcześniej spotkanie, a Dagmara wskoczyła w strój rowerowy i po dziesięciu minutach jechała na swoim dwukołowcu w stronę podwarszawskiej Magdalenki. Google Maps pokazywało, że ma do przejechania około czterdziestu kilometrów.

Nie raz, nie dwa pokonywała dłuższe trasy, jednak wzmagający się upał powodował, że wiedziała, że nie będzie lekko. Lejący się z nieba żar połączony z wysiłkiem fizycznym to mieszanka co najmniej wybuchowa. Na szczęście zawsze miała plan awaryjny, a w tym wypadku oznaczał on telefon do znajomego, który bez żadnych pytań przyjeżdżał do niej i zawoził we wskazane miejsce.

Droga do punktu przecięcia się linii ułożenia wszystkich trzech ciał zajęła jej półtorej godziny, ale w odczuciu Dagmary trwała znacznie krócej. Może to za sprawą kłębiących się w jej głowie myśli o byłej dziewczynie brata. Trzy sekundy po tym, jak Carlos powiedział, jak się nazywa, miała jej zdjęcie na ekranie telefonu.

Krótko obcięta brunetka, z mocno zarysowanymi kośćmi zuchwy i oczami udekorowanymi zbyt długimi rzęsami. Miała w spojrzeniu coś demonicznego, przerażającego. Coś, co powodowało, że Dagmara nigdy nie chciałaby mieć jej wśród znajomych, a tym bardziej jej brat. Przy najmniej tak by założyła, gdyby ktoś spytał ją o zdanie. Teraz już niczego nie była pewna.

Po długich przekomarzaniach z Carlosem, który nie chciał zdradzić, jak uzyskał jej dane, obiecała, że pójdzie z nim na ściankę wspinaczkową. Od dawna próbował ją na to namówić, ale zawsze stanowczo odmawiała, jednak w tym wypadku potraktowała to jako kartę przetargową.

– Gdy ty sobie poszłaś, ja zostałem na polu walki – zaczął z uśmiechem triumfatora. – Siedziałem dobre pół godziny przed blokiem tego typka, zastanawiając się, jak to rozegrać, gdy

nagle pojawił się w klatce. Na szczęście zmienił ten walący potem T-shirt, więc podszedłem do niego. W pierwszym momencie zaczął wrzeszczeć, że mam się od niego odczepić i że jak jeszcze raz cię zobaczy, to wezwie gliny.

- O matko, jaki delikatny – skomentowała rozbawiona Dagmara.

- Nie wiem, czy delikatny, ale wkurzony. Zresztą opowiedział mi co nieco o tobie... – Carlos podniósł na nią wzrok, przekrzywił głowę i obserwował ją, oczekując, że sama przyzna się do źródła ich konfliktu.

- To jest sprawa sprzed lat, a on się cały czas tym tak bardzo ekscytuje?

- Wiesz co, czasami zupełnie cię nie rozumiem. Jesteś inteligentną kobietą, a bywa, że nie jarzysz najprostszyczych rzeczy. Jeżeli kogoś upokorzysz, a później śmieją się z niego latami, to może mieć do ciebie o to pretensje.

- No tak, czyli powiedział ci swoją wersję.

- Nie wiem, jaka jest twoja, ale jeżeli w szkolnej gazetce umieszcza się artykuł o problemach gastrycznych ucznia, nie może się to dobrze skończyć.

- Dobra, to był głupi szczeniacki psikus, może trochę przesadziłam. Zresztą on wcześniej też mi nieźle dowalił, robiąc zdjęcia, jak spałam na ławce w parku. Moja matka nie uwierzyła w tłumaczenie, że na chwilę się zdrzemnęłam. Więc niech on nie robi z siebie takiego aniołka, bo nim nie jest. Ale wracając do sedna, jak go przekonałeś, żeby wyjawiał, jak nazywała się ta dziewczyna?

- Mój urok osobisty spowodował, że dał się zaprosić na piwo. Kupiliśmy kilka i usiedliśmy na ławce w parku.

- Wow, takie ziomerskie klimaty.

- Gdy już opadły emocje po spotkaniu z tobą, to gość sprawiał wrażenie całkiem w porządku.

- Sprawiał wrażenie – powtórzyła Dagmara ze słyszalną ironią w głosie.

- Opowiedział mi sporo o Bartku. O tym, że twój brat jako jedyny w klasie się nie wstydził z nim zadawać. Że inni go nękali, a on zawsze stawał po jego stronie. Oczywiście nigdy nie dochodziło do rękoczynów, bo jak to powiedział, „Bartka wiatr mógłby przewrócić”.

- To prawda. Dlatego tak bardzo się zdziwiłam, gdy wyskoczył z tym motocyklem. Ja się bałam, że on się na nim nie utrzyma, ale miał jakiś dar.

- Więc trochę jak Flip i Flap, zaprzyjaźnili się mimo dzielących ich różnic.

- Dobra, dość tych ekliwych wspomnień, gdzie w tym dziewczyna? – wtrąciła już zdecydowanie zniecierpliwiona Dagmara.

- Pracowała z kumplem twojego brata w sklepie spożywczym, z Marianem, o ile w ogóle pamiętasz jego imię.

- No rejczał, że pamiętam. Ten nieuk nawet na studia nie poszedł.

- Nie poszedł, bo go nie było stać – warknął Carlos.

- O matko, obrońca się znalazł. Może gdyby się nie lenił, toby znalazł rozwiązanie.

- A może gdybyś ty popatrzyła na innych nie przez swój pryzmat, dostrzegłabyś, że życie nie jest takie cukierkowe i łatwe jak twoje. Ludzie nie mają kasy, żeby posyłać dzieci na pry-

watne uczelnie. Nie stać go było nawet na dzienne bezpłatne, bo jak by się utrzymywał? Ojca nie znał, a matka jest po udarze i nie może pracować.

- Nie wiedziałam - powiedziała zdziwiona.

- No właśnie. Jesteś superbabeczka, ale czasami wydajesz wyroki zupełnie bez zastanowienia się. Nie wiem, ale powiem.

- Okej, sorka. Jestem w gorącej wodzie kąpana, nic nie poradzę. - Wzruszyła ramionami i wypila do końca piwo. Niestety to było ostatnie, a na Carlosa nie mogła liczyć, że skoczy do sklepu po kolejne.

- I widzisz, ty mówisz „nic nie poradzę”, a chłopaka gnoićś przez dłuższy czas.

- Jezu, przepraszam. Już zjeżdż ze mnie! - krzyknęła i wstała z kanapy. Najchętniej wyszłaby z mieszkania i poszła dokądkolwiek. Od zawsze nie znosiła konfrontacji. Gdy tylko ktoś zaczynał jej coś wyrzygiwać, robiła wszystko, aby to zgasić w zarodku, i oddalała się, aby nie doszło do ponownego zapłonu. Teraz jednak nie mogła tego zrobić. Miała konkretny cel. Musiała dowiedzieć się o dziewczynie jak najwięcej, a na chwilę obecną to siedzący na kanapie, uroczy, lecz jednak mocno wkurzony na nią Brazylijczyk mógł znacząco przybliżyć ją do tych informacji. - Jak zwykle przesadziłam, ale uwierz, działałam w dobrej wierze. Chciałam ochronić mojego brata przed...

- A może on tego nie chciał. Może dlatego nic ci nie mówił o swoich sympatiach, bo bał się, że mu to popsujesz. Że nie zaakceptujesz i będziesz szukać problemów, zamiast wesprzeć. Zastanowiłaś się kiedyś nad tym? - Carlos wyrzucał z siebie słowa niczym karabin amunicję, a Dagmara z każdym kolejnym robiła się coraz mniejsza. Widząc jej reakcję, wstał z kanapy i podszedł do niej. - Czasami musisz innym pozwolić żyć po swojemu.

Ignorując bojową minę, przyciągnął ją do siebie i przytulił. Przez chwilę próbowała się wyswobodzić, ale jego uścisk miał moc i w końcu zrezygnowała, a jej ciało opuściło napięcie. Wtedy się rozkleiła.

Nie raz, nie dwa zdarzało jej się płakać, ale zawsze robiła to w samotności, gdy nikt nie patrzył, nie mógł jej oceniać. Teraz jednak przestało mieć to znaczenie. Duma ustąpiła miejsca zwykłemu smutkowi wymieszanemu ze wstydem.

- Już spokojnie... - Carlos pogłaskał ją po rozpuszczonej blond czuprynie i pocałował w czoło. - Ty nie zawsze musisz być wojowniczką, Meridą Waleczną czy inną boginią. Czasami możesz być ludzką Dagmarą, która nie jest najlepsza. Musisz czasami odpuścić i dać sobie i innym żyć. - Pogłaskał ją jeszcze raz po głowie i zaprowadził na kanapę, mając wrażenie, że dziewczyna zaraz się przewróci. Usiedli obok siebie, a ona położyła głowę na jego kolanach. Chwilę tak siedzieli w milczeniu, a on drapał ją za uchem jak kota.

- Powiesz mi, czego się dowiedziałeś? - wyszeptwała w końcu Dagmara, cały czas patrząc gdzieś przed siebie.

- Oczywiście. To, że się nazywa Natalia Szwed, już wiesz. Pracowała z Marianem w sklepie spożywczym. Chłopak pracował tam, żeby, i tu cię zdziwię, móc zapisać się na studia, co mu się udało. Od roku uczy się inżynierii jakiejś tam.

- Wow, zwracam honor.

- Chyba nie mnie to powinnaś powiedzieć, ale nieważne. Dziewczyna pracowała tylko w weekendy, kiedy czasami wpadał twój brat. Raz, czekając na kolegę na zapleczu, zaczął z nią gadać i tak od słowa do słowa wyszło, że mają wspólne zainteresowania. Umówił się z nią następnego dnia na kawę czy ciastko i zaczęło się. Jak to powiedział Marian, Natalia nie była jakąś superlaską, ale miała w sobie jakąś tajemnicę. Nikt o niej nic nie wiedział, a w pracy rozmawiała tylko z chłopakami, mimo że większość personelu była żeńska. Wtedy to go nie zastanawiało, ale po tym wszystkim, co zaszło, mocno zaczął się zastanawiać.

- A co zaszło? - wtrąciła i momentalnie wstała, uderzając się o rękę Carlosa.

- Ty wszystko musisz wiedzieć od razu? Daj mi chwilę. Krótko po tym, jak zaczęli ze sobą chodzić, Marian zabrał twój brata na imprezę organizowaną przez kolegę z pracy. Poszli do jakiegoś pubu niedaleko Pól Mokotowskich. Twój brat oczywiście przyszedł z Natalią. Podobno wszyscy bawili się świetnie, do czasu gdy jedna z dziewczyn wybiegła z łazienki, krwawiąc obficie z nosa, a za nią jakby nigdy nic wyszła ona. Wersje były różne. Dziewczyna twój brata powiedziała, że nie wie, co się stało, tamta druga twierdziła, że Natalia wpadła do łazienki za nią, zaczęła wykrzykiwać, że jeżeli jeszcze raz spojrzy na jej chłopaka, to ją zabije czy coś w tym stylu, a na odchodne walnęła jej głową o ścianę, rozbijając nos. Przyjechała policja, stwierdziła, że wszyscy są pijani jak beły i w sumie to nie wiadomo, jak było. Może dziewczyna się potknęła. Generalnie nie byli chętni do wchodzenia w szczegóły. Upomnieli Natalię i tyle.

- Dziwne.

- To mało powiedziane. Policja jest chyba od działania w takich sytuacjach.

- Nie o to mi chodzi - wtrąciła Dagmara. - Mój brat zawsze stronił od przemocowych osób. Nawet miał do mnie pretensje, że chodzę na kickboxing, a później boks, mimo że tłumaczyłam, że to co innego. To forma aktywności, która daje upust złym emocjom. Zawsze powtarzał, że to samo można powiedzieć o bójkach kiboli. Też się nawalają, bo negatywne emocje w nich buzują.

- No i chyba to go bolało. Marian stwierdził, że zaczął unikać Natalii. Spotkali się jeszcze raz czy dwa, nawet wyjechał z nią na weekend, chcąc dać jej szansę, ale nic z tego...

- A więc to z nią wyjechał... - wtrąciła i zaśmiała się smutno. - Twierdził, że jedzie z kolegami na ryby. Dobrze wiedział, że tym mnie odstraszy. Ja i ryby to zestaw wybuchowy.

- Domyślam się. Zanudziłabyś się na śmierć i utopiła.

- No rejczel - skomentowała. - I co było dalej?

- W sumie to nic. Poznał Monikę Uznańską i skończyło się spotkanie z Natalią Szwed.

- I co? Tak po niej to spłynęło?

- Niestety tego nie wiem i Marian też nie. Akurat wtedy wyjechał na ponad miesiąc do Stanów, do swojego kuzyna, który kupił mu bilet. A gdy wrócił... - Carlos zawiesił głos i spojrzał smutno na Dagmarę.

- Bartek już nie żył - skończyła za niego i sięgnęła po telefon.

Włączyła Facebooka i weszła na profil brata. Koniecznie musiała znaleźć kogoś, kto mógłby jej pomóc dowiedzieć się, co działo się później i czy dziewczyna miała coś wspólnego z matroszkami i listem wysłanym do jej rodziców.



To ostatnie wypowiedziane przez nią zdanie rezonowało jak dzwon i zostało w niej do końca podróży, która zajęła jej zdecydowanie dłużej, niż Gaga planowała.

Nigdy wcześniej nie dotarła w te podwarszawskie rewiry. O Magdalence słyszała tylko w wiadomościach w kontekście porachunków gangsterskich. Gdy wjechała w wysoki sosnowy las, zdębiała ze zdziwienia. Nigdy nie widziała tak zalesionej miejscowości, w której co kilka set metrów między drzewami stały olbrzymie rezydencje.

Cały czas podążając za wskazówkami podawanymi przez nawigację, zagłębiała się, aż dotarła do tablicy świadczącej o końcu terenu zabudowanego. Do celu miała jeszcze tysiąc trzysta pięćdziesiąt metrów. Ostatnie trzysta musiała pokonać, pchając rower, a to z powodu piaszczystej drożki, na którą jej ukochana szosówka zdecydowanie się nie nadawała.

Powoli szła, delektując się lasem, zupełnie zapominając o tym, co ją tutaj ściągnęło. Promienie słońca przenikały przez liście, powodując, że na ziemię padały jasne smugi światła, co dawało magiczny efekt. Gdzieś tam piaszczyste placki wybijały się spod mchów i ściółki, przypominając bardziej nadmorskie klimaty niż tereny wokół stolicy.

Gdy dotarła na miejsce, momentalnie dopadł ją smutek. Zupełnie nic tu nie było. Taki sam las, drzewa, jak te, które widziała przez ostatnie kilkanaście minut. Nic nadzwyczajnego. „Dlaczego ktoś miałby wskazywać właśnie to miejsce?“, pomyślała. A może była tak bardzo skoncentrowana na celu, że nie zauważyła absurdu swojego odkrycia? Po co ktoś miałby dawać policji wskazówkę? Dobrze wiedziała, że psychopaci delektują się wodzeniem służb za nos, ale może tym razem to zwykły przypadek albo jej nadinterpretacja. Oparła rower o leżący na ziemi spróchniały pień i obesła go dookoła.

Uniosła głowę w górę i zamknęła oczy. Otaczała ją tak przyjemna cisza, że poczuła, jak ciało opuszcza całe napięcie, które ostatnio jej towarzyszyło. Powoli usiadła obok swojej różowej strzały i wyciągnęła z holdera bidon z napojem. Po przejechaniu prawie czterdziestu kilometrów zostało w nim raptem niecałe dwieście mililitrów.

– Muszę stanąć gdzieś po wodę – powiedziała sama do siebie. Chciała włożyć bidon z powrotem do uchwytu, ale wyslizgnął jej się ze spoconych dłoni i upadł na ziemię. – Ale pierdoła ze mnie – zaśmiała się do siebie i schyliła po niego.

Odgarnęła przy okazji kilka gałęzi, które odsłoniły coś na kształt krzyżyka. Podniosła go najdelikatniej, jak potrafiła, nie wierząc w swoje znalezisko.

Był to niewielki krzyżyk zbity z dwóch deseczek, a na jego dłuższym boku ktoś napisał markerem: „Nigdy cię nie zapomnę”. Położyła go na konarze i sfotografowała. To nie mógł być przypadek. Miała graniczące z pewnością przekonanie, że dokładnie w tym miejscu ktoś umarł. Tylko kto?

## Rozdział 61

Nadal była w szoku. Podniosła rower z ziemi i ruszyła w przeciwnym kierunku, niż przyszła. Przebyła jakieś sto metrów i las zaczął się przerzedzać. Po kolejnych dwustu metrach doszła do drogi gruntowej. Zupełnie nie wiedząc, w którą stronę skręcić, poszła w lewo. Po pięciu minutach jazdy na rowerze dotarła do ścieżki, którą już знаła, dlatego zawróciła. Dwieście metrów od miejsca, w którym wyszła z lasu, stanęła przed zrujnowanym budynkiem. Oparła rower o schody i zaczęła się rozglądać. Przy drzwiach wejściowych widać było ślad po starej tabliczce. Wyrazna różnica w odcieniu elewacji świadczyła o tym, że kiedyś wisiała tam informacja o tym, co w budynku się znajdowało. Na jej oko mogła być to szkoła, przedszkole lub coś tego typu.

- Czego tu pani szuka? Sensacji? To lepiej szybko zabierz swoje cztery litery! – usłyszała nagle za sobą.

Gdy się obróciła, zobaczyła starszą kobietę z burzą tlenionych loków, ubraną w luźną sukienkę w biało-zielone mazy. Jej wyraz twarzy nie był zbyt przyjazny, mimo to Dagmara uśmiechnęła się serdecznie.

- Przepraszam, nie chciałam nikogo zdenerwować. Przejeżdżałam obok i zainteresowało mnie to miejsce. Tu mieściła się jakaś szkoła?

Kobieta spojrzała na nią, zmierzyła od stóp do głów, a następnie zerknęła na rower.

- Na pewno nie jesteś żadnym pismakiem?

- Nie, proszę pani. – Uniosła dłoń, jakby składała harcerską przysięgę.

- Mam nadzieję. Mam już ich dość. Od lat wracają tutaj jak sępy, licząc, że znajdą jakieś ochłapy i jakimś cudem rozwiążą sprawę.

- Jaką sprawę? – spytała, licząc, że jej ekscytacja nie jest widoczna.

- No... Ona...

- Jeżeli pani nie chce, nie musi mówić – powiedziała sympatycznie. – Ja tutaj zapuściłam się na wycieczkę. Zawsze jak gdzieś jestem, lubię poznawać historię okolicy, ale rozumiem, że to dla pani trudny temat.

- To nie tak. Jestem nim po prostu zmęczona. Osiem lat temu zamordowano tutaj dziewczynę. Pracowała w ośrodku. – Kiwnęła głową w stronę budynku.

- Ośrodku?

- Tak, taki tam wychowawczy, wie pani, dla młodzieży z różnymi problemami.

- I zabił ją ktoś z tych dzieciaków?

- Nie, to znaczy... chyba nie. Nigdy nikogo nie złapano. Zrobił się wokół tego straszny dym. Dyrektorka wpadła w depresję i się powiesiła. Fajna kobieta była, ale nagonka prasy doprowadziła ją na skraj załamania. Później przyszła kolejna, ale miała wypadek samochodowy. Zupełnie normalna rzecz, jednak ktoś podchwycił temat, że to przekłęte miejsce, i nie znalazł się

nikt chętny do pracy tutaj. I tak z roku na rok odsyłali kolejne dzieci do innych ośrodków, aż zamknięto go i świeci teraz pustką. Władze próbują wynająć ten budynek, ale kto chciałby prowadzić pensjonat czy szkołę w miejscu, obok którego zabito dziewczynę, i to w tak okrutny sposób.

- Jezu, jaka tragedia... - powiedziała Dagmara i zrobiła smutną minę. - A kim była ta dziewczyna?

- Tak jak wspomniałam, pracowała tutaj. Miała na imię Karolina, z tego, co kojarzę, jej ciotka harowała na kuchni w ośrodku. Kilka razy z młodą rozmawiałam. Niezwykle miła, sympatyczna dziewczyna. Mimo że to miejsce zawsze wytwarzało złe wibracje, ona się tym nie przejmowała. Te dzieciaki czasami zachowywały się, jakby miały konszachty z diabłem.

- Pani tu pracowała?

- Krótko. Mieli wolne miejsce, więc gotowałam obiady, ale mój mąż załatwił mi lepszą robotę u siebie w zakładzie, więc odeszłam.

- Zrozumiałe. A ta dziewczyna jak wyglądała?

- Hmm, a po co ci to? - spytała kobieta i znowu groźnie spojrzała na Dagmarę.

- Ma pani rację. Moja mama zawsze powtarza, że jestem wścibska jak jakiś detektyw. Muszę wszystko wiedzieć i o wszystko się rozpytyuję. Przepraszam.

- Nie szkodzi. - Uśmiechnęła się. - Moje wnuki też takie są. Kochane, ale wścibskie. A gdzie poszłam, a z kim rozmawiałam, mimo że zupełnie nie znają tych osób. To chyba cecha was młodych. Kolekcjonujecie informacje, czasami zupełnie niepotrzebne.

- Chyba tak - przyznała, licząc, że kobieta sama będzie kontynuowała.

- Karolina, z tego, co pamiętam, była ładną dziewczynką. Jak umarła, miała chyba szesnaście czy siedemnaście lat, czyli już taka mała kobietka. Zawsze chodziła z rozpuszczonymi włosami, mimo że dyrektorka się o to wściekała. Zazdrośnie na nią patrzyłam, bo miała taki piękny brązowy kolor, który kiedyś próbowałam sobie zrobić, ale wpadał bardziej w rudy i mąż przez kilka dni patrzył na mnie jak na kosmitkę.

- A jak zginęła? - dopytywała dalej Dagmara, mimo że wiedziała, że do końca dnia zdobędzie od znajomego policjanta akta sprawy, które o wiele lepiej przedstawią przebieg tamtych zdarzeń.

- Na samą myśl o tym robi mi się słabo. Ktoś zmasakrował jej twarz. Podobno ciężko było ją rozpoznać... - Kobieta westchnęła ciężko i przetarła strużkę potu spływającą po czole.

- Masakra.

- To musiał być jakiś zwyrodnialec. Dzieci w ośrodku były po różnych przejściach. Pamiętam chłopca, który uwielbiał bawić się płomieniami, dlatego wszyscy na kuchni musieli chować lub zabierać wszelkie źródła ognia. Podobno kiedyś rozpalili ognisko w domu. Na pytanie dlaczego, powiedział, że chciał zrobić sobie kiełbaski. Takich akcji miał na swoim koncie mnóstwo. Rodzina ledwo wiązała koniec z końcem, a z takim w domu mieli jeszcze ciężiej. Gdy podpalili kurnik sąsiadowi, wyładował tutaj. Te dzieci były okropne. Łały się non stop, dary niemiłosiernie, ale nie sądzę, że byłyby w stanie zrobić coś tak strasznego. To musiał być jakiś starszy facet, który szukał ujścia dla swoich żądz. A że dziewczyna nie chciała, to ją zabił,

a później wykorzystał. Tylko ja nigdy nie mogłam zrozumieć jednego, dlaczego zostawił ją nagą ułożoną jak krzyż, z twarzą i stopami wbitymi w ziemię.

Gdy Dagmara to usłyszała, włosy na jej rękach momentalnie stanęły, a serce zaczęło szybciej bić.

## Rozdział 62

ON

Gdy zadzwonił do mnie pewnego letniego wieczora, miałem wrażenie, że właśnie dostałem niezapowiedziany prezent, na który na dodatek zdecydowanie nie zasłużyłem.

Tym razem nie płałał mu się język. Dość dokładnie opowiedział, co się stało. Że zobaczył dziewczynę tak podobną do Karoliny, że myślał, że zwariował. Pojawiła się na koncercie. Niestety przyszła z kimś, a gdy impreza się skończyła, zobaczył ją w tłumie i poszedł za nią, a dokładniej za nimi. Nie powiedział, na co liczył. Obserwował z bezpiecznej odległości, mimo że wśród tyłu ludzi nikt na niego nie zwracał uwagi.

I wtedy zdarzył się cud. Jej chłopak, lub kimkolwiek on był, wszedł do autobusu i odjechał, zostawiając ją samą.

Gdy mi o tym mówił, aż podniósł głos. Chyba nigdy wcześniej nie słyszałem u niego takiej euforii. Później wszystko działało się bardzo szybko.

Poszedł do niej, udając, że znalazł telefon. Zaskoczył mnie sprytem, bo pokazał jej swoją komórkę. Oczywiście powiedziała, że to nie jej, i wtedy stało się coś dziwnego. Zaczęła uciekać. Może przestraszyła się, że jest sama z obcym chłopakiem, a wkoło nikogo. Może zrobił coś, o czym mi nie powiedział, co ją przestraszyło. Nie chciał mi wyjawić, a ja w sumie nie ciskałem.

Gdy przyjechałem, leżała na polanie, dziwnie ułożona. Ja bym jej tak nie zostawił. Wyjaśnił, że od trzech lat wszystko ustawia w stronę Magdalenki, gdzie zabił Karolinę. Nie wprowadzałem go z błędu, bo po co.

Postaliśmy tam chwilę i poprosiłem, żeby wrócił do domu. Nie musiał wiedzieć, co zamierzam jej zrobić. I tak zobaczył wystające z mojej torby dłuto do betonu, więc pewnie się domyślał, ale nie chciałem, aby znał szczegóły. Jak zwykle powtarzałem mu, że wszystko po to, aby go chronić.

Teraz wiedział, że jeżeli będzie do tego zmuszony, rozwali je. Jednak najpierw postanowił spróbować najprostszego rozwiązania. Założył drugą parę rękawiczek i nacisnął klamkę.

Aż drgnął zaskoczony, odkrywszy, że drzwi były otwarte. Popchnął je do środka i krzyknął:

– Komisarz Maksymilian Obrębski, Komisariat Policji Warszawa Żoliborz!

Czekał. Niestety poza ciszą nic mu nie odpowiedziało. Szybko założył ochraniacze na buty i wszedł do mieszkania.

W małym przedpokoju na ścianie wisiało kilka damskich kurtek, a na podłodze stała kolekcja butów na obcasie, od kozaków po czółenka, tak jakby właścicielka mieszkania była przygotowana na każde warunki pogodowe. Z niewielkiego pomieszczenia, gdzie podłoga lśniła, jakby chwilę wcześniej ktoś ją wypolerował, wszedł do otwartej przestrzeni, która łączyła

w sobie trzy funkcje. Po lewej stronie mieściła się kuchnia, która podobnie jak podłoga błyszcząca czystością. Jej centralnym punktem była wielka wyspa ze zlewem i miejscem do gotowania oraz czterema hokerami dla gości, którzy chcieliby wesprzeć gospodynię w przyrządzaniu posiłków lub zabawić rozmową. Stamtąd kilkoma krokami można było znaleźć się w przestronnym salonie, na którego środku stała wielka kanapa w kształcie litery U, mogąca pomieścić co najmniej osiem osób. Mebel wyglądał na niezwykle wygodny. Obrębski chwilę patrzył na niego, walcząc z pokusą, by na kilka sekund na nim usiąść. Trzecia z rzędu doba z ilością snu ograniczoną do maksymalnie dwóch godzin powodowała, że czuł zmęczenie.

- Jesteśmy już - wytrącił go z rozmyślań głos Boguckiego, który pojawił się nagle za jego plecami.

- A ochraniacze na buty? - spytał. - Serio? - rzucił po sekundzie, widząc przerażenie w ich oczach. - Dam wam z mojego zapasu, bo mam dość waszej bezmyślności, ale błagam, nauczcie się, że to podstawa podstaw...

Nie czekając na ich reakcję, wyjął z kieszeni dwie pary niebieskich worków z gumkami i rzucił w ich stronę, nawet nie patrząc, czy złapali. Chwilę później już we trzech przemierzali mieszkanie Mariki Urbaniak, licząc, że coś znajdą.

- Nie widać żadnych śladów walki - odezwał się jako pierwszy Bartosz Bogucki, wychodząc z ogromnej sypialni, w której nic nie zwróciło jego uwagi. Pokryte wielką czarną narzutą dwuosobowe łóżko, obok na drewnianej szafce kilka czasopism kobiecych, a przy łóżku od strony okna na podłodze, a dokładnie na małym włochatym dywaniku białe kaptcie czekające na właścicielkę.

- Musimy się dowiedzieć, o której wyszła, dokąd pojechała, co robiła cały dzień - rzucił Obrębski.

- Wiemy, gdzie pracowała? - spytał Jaworski, podchodząc do okna, z którego roztaczał się widok na niewielkie podwórko z placem zabaw.

- Na razie nic nie wiemy. Ustalenie jej planu dnia to wasze zadanie. Tylko błagam, nie spierdajcie tego - powiedział Obrębski, wyjmując telefon z kieszeni. - Zaraz wezwę tu techników, aby przeczesali mieszkanie, chociaż nie sądzę, że coś znajdą. Mam już SMS od komendanta z informacjami, co sprawdzić w pierwszej kolejności. Namiary na jej robotę i kilka koleżanek. Dochodzi piąta. Mamy dwie, trzy godziny na przygotowanie się i lecimy w miasto.

Pokręcili się jeszcze chwilę po mieszkaniu, ale nic nie znaleźli, pojechali na komisariat.

Bogucki i Jaworski siedzieli przy swoich biurkach, przeglądając media społecznościowe, a w tym czasie ich kolega wypytywał komendanta. Chwilę po szóstej wszedł do ich pokoju z puszką energetyka w ręce, w drugiej trzymając kilka kartek.

- Szef nie ma pojęcia, kto to i dlaczego - zaczął i pokręcił głową. - Źle powiedziałem. Nikt szczególnie nie przychodzi mu do głowy. Od pięciu lat nikogo osobiście nie aresztował. Od tego czasu to my dokonujemy tych czynności. On działa z tylnego siedzenia. Oczywiście w swojej karierze wkurzył niejednego typka spod ciemnej gwiazdy, ale to było lata temu. Pytanie: czemu dopiero teraz ktoś się aktywował?

- Może wyszedł z więzienia? - powiedział Bogucki i wstał. Po godzinie siedzenia za biurkiem ból kręgosłupa był nie do zniesienia.

- Jest taka opcja, więc musimy wszystko dokładnie posprawdzać. Poza nami pracuje jeszcze ponad dwudziestu policjantów tutaj, kolejni rozpytują w terenie. Ważne, aby wszystkie informacje do mnie spływały, abym mógł je przefiltrować i przekazać dalej.

- Oczywiście – potwierdził Jaworski i odwrócił się na krześle biurowym w stronę kolegów.  
- A tak sobie pomyślałem, że nie powinniśmy skupiać się tylko na komendancie, bo może to jego córka nadepnęła komuś na odcisk?

- Oczywiście, że mogła. Może poznała kogoś na portalu randkowym i coś nie pykło. Może jakaś zawistna koleżanka postanowiła zemścić się albo poszło o chłopaka. Trzeba dobrze przeświecić jej środowisko.

- A związek z Wieczorek i Trawińską? – spytał Bogucki, wykonując skręty tułowia raz w jedną, raz w drugą stronę i wywołując tym dziwne spojrzenia kolegów.

- Na chwilę obecną nic nie wiadomo, aby się znały i czy stoi za tym ten sam człowiek. Ale na pewno rano rozpęta się piekło. Już w tym momencie cała Polska huczy od informacji o „Brzytwie”, jak nazwała go prasa, mimo że mało prawdopodobne, aby to właśnie było narzędzie zbrodni. Każdy przeczytał o odciętej głowie, uchu i nodze, a gdy usłyszą o dłoni, to naturalne będzie dorzucenie kolejnej ofiary na konto jednej osoby, a może tak wcale nie być.

- Zajebiecie – wtrącił Jaworski i schylił się do dolnej szuflady. – Ma ktoś ochotę na trochę kofeiny? – spytał, wyciągając małe żółte buteleczki z napisem „napalm”.

- Matko, co to? – spytał Obrębski.

- Suplementy. Taka kawa w małej porcji. Czujesz się po tym bardziej pobudzony. Generalnie stosuje to przed treningiem, ale jak mnie zamula, to biorę, chce któryś?

- Nie, dzięki – odpowiedział od razu Bogucki. – Jeszcze będę świecił w nocy.

- No tak, mogłoby to być problematyczne – zaśmiał się Maks Obrębski, a na jego twarzy na ułamek sekundy zagościł grymas zbliżony do uśmiechu. – Dość tych głupot. Trzeba spać dupy, i to tak konkretnie. Śmiem twierdzić, że to najważniejsze śledztwo w naszej karierze. Jak je spieprzymy, nie będzie co zbierać. Bez ręki można żyć, ale gdy okaże się, że ona nie żyje, a my na dodatek nie złapiemy skurwiela, polecą łby, nasze w pierwszej kolejności. – Policjant przysiadł na jednym z nieużywanych biurków i sięgnął po kartki ze spotkania z komendantem.

- Tak żebyście wiedzieli, o kim mowa. Marika to niezłe ziółko. Od małego mieli z nią problemy. Zawsze czuła potrzebę dopierdzielania rodzicom. Podkradała drobniaki z portmonetki, uciekała ze szkoły. To były takie rzeczy na początek. W liceum włamała się do pokoju nauczycielskiego podczas lekcji i wykradła z szafki jednej z nauczycielek testy. Gdy dostała piątkę, bo specjalnie zrobiła dwa błędy, rodzice od razu wiedzieli, że coś jest nie tak. Przyciśnięta wykrzychała ojcu prawdę, a ten... – mężczyzna zaśmiał się – poszedł do szkoły i doniósł na córkę. Podobno nie odzywała się do niego przez pół roku. W końcu nie wytrzymała, bo potrzebowała pieniędzy na wyjazd z koleżanką na wakacje. Przez chwilę było lepiej... albo tak mu się wydawało. W szkole praktycznie z każdego przedmiotu miała korepetycje i co chwilę musieli szukać kogoś nowego, bo kolejni nauczyciele odmawiali współpracy. Non stop musiał się z nią kłócić o wszystko. Oczywiście najlepiej działała metoda marchewki, nie kija, ale ile można przepokupywać własne dziecko, żeby się uczyło. Na studia się nie dostała, wręcz sabotowała egzaminy. Na jeden poszła i powiedziała, że nic nie napisała, bo zapomniała długopisu.

- Masakra – prychnął Bogucki i usiadł z powrotem na swoim krześle.

– W pewnym momencie komendant miał dość. Nie zamierzał już przepychać się z córką czy, jak to mówią, kopać się z koniem. Dał jej ultimatum, że albo znajdzie pracę, albo pójdzie na studia. Jeżeli nie zrobi tego, czego od niej oczekuje, wyrzuci ją z domu. Dał jej termin do końca lipca. Dziewczyna myślała, że tatuś żartuje, i nic sobie z tego nie zrobiła. Miesiąc się skończył, a ona była gdzieś nad morzem, gdy karta płatnicza odmówiła posłuszeństwa. Ojciec przestał odbierać od niej telefon, więc wydzwaniała do matki, jednak ta poza jednorazowym wsparciem niewiele mogła zrobić. Gdy Marika wróciła znad Bałtyku, zastała walizki ze swoimi rzeczami na podjeździe. Komendant podobno nawet nie pozwolił jej wejść do domu. Po dwóch tygodniach tułania się po koleżankach wróciła z podkulonym ogonem i potwierdzeniem złożenia papierów na jedną z prywatnych uczelni.

– Czyli wygrał?

– Można tak powiedzieć – odpowiedział Obrębski i wyciągnął telefon z tylnej kieszeni. Zegarek pokazywał szóstą trzydzieści. – Nauka nie szła jej super, ale zaliczała po kolei każdy semestr. Przynajmniej póki jej się chciało, bo po dwóch latach stwierdziła, że to nie dla niej, rzuciła studia i zaczęła pracę w firmie przyjaciółki żony komendanta. Pracuje na recepcji w gabinecie medycyny estetycznej.

– Po zdjęciach widać, że już chyba również korzysta z ich usług – stwierdził Jaworski i wyduł usta.

– Niestety dziewczyna należy do tych próżnych i mało ambitnych, ale nie zmienia to faktu, że trzeba się spać i ją znaleźć.

– A jakiś chłopak? – spytał Bogucki.

– Tutaj jest mały problem, bo komendant nie wie, czy jego córka, no...

– Czy lubi chłopców, czy dziewczyny? – skończył za niego młodszy aspirant.

– Mniej więcej. Powiedział, że zawsze ktoś się wokół niej kręcił, ale nigdy nie spotykała się z nikim na poważnie.

– A on nigdy nie spytał? – wtrącił Jaworski.

– Tego nie wiem, ale chyba nie. Wspominał tylko, że żona raz próbowała pociągnąć córkę za język, ale ta ją zbyła. Generalnie nie ma to znaczenia, chyba że to jakiś prawicowy oszołom zrobił jej krzywdę z powodu jej orientacji.

– To może miała dziewczynę? – rzucił ponownie Kamil.

– Tego tym bardziej nie wiedzą. Podobno była jakaś przyjaciółka, która patrzyła na nią inaczej, ale komendant nie mógł sobie przypomnieć jej danych. Obiecał porozmawiać z żoną, jak zajdzie z niej pierwszy szok. Ze smutkiem w oczach powiedział, że żona od lat boryka się z depresją i musiała wziąć większą dawkę leków, więc chwilowo nawet nie dałby rady wyciągnąć z niej jakichkolwiek informacji. Dlatego to my musimy dojść do tego, czy ktoś był i czy jest teraz. – Spojrzał ponownie na telefon i rzucił: – Dobra, panowie, czas się zbierać. Wy jedziecie do niej do pracy, ja odwiedzam przyjaciółki. Około dziewiątej robimy telekonferencję lub spotykamy się tutaj.

Pół godziny później Bartosz Bogucki z Kamilem Jaworskim zajęchali pod elegancki budynek na warszawskim Wilanowie. Na parterze trzykondygnacyjnego bloku mieścił się gabinet medycyny estetycznej, który już z daleka zachęcał do swojej oferty.



- Myślisz, że ktoś już jest? - spytał Jaworski i poprawił wygięty kołnierzyk koszuli, który denrowował go od momentu, kiedy ją założył.

- Jest już jasno, więc nie widać, czy w środku ktoś jest. Na drzwiach napisane jest, że otwarte od ósmej, więc może jeszcze nikogo nie być, ale chyba najłatwiej będzie, jak sprawdzimy to, wysiadając z samochodu i naciskając klamkę - rzucił z przekąsem i zaczął wysiadać.

- O matko, ktoś dzisiaj sypie żartem, że ho ho.

- Zadajesz głupie pytania, to czego się spodziewasz? Trzeba ruszyć dupę i zobaczyć. Może ktoś jest, a może nie. Jak nie ma, to grzecznie poczekamy - powiedział Bogucki, podchodząc do oblepionych folią typu one way vision drzwi, na których wypisane były godziny otwarcia, numer kontaktowy, a także adresy stron w mediach społecznościowych. Złapał za klamkę i nacisnął, a ta ustąpiła. Pociągnął drzwi do siebie i uśmiechnął się do kolegi, który patrzył z niedowierzaniem.

- Dzień dobry! - krzyknął, gdy weszli do środka.

Nikt im nie odpowiedział. W lokalu panowała cisza.

- A jeżeli ona tutaj jest? I leży w którymś z pomieszczeń, pokrojona na małe kawałeczki? W ogromnej kałuży krwi - rzucił szeptem Jaworski i wybałuszył oczy, dodając grozy wypowiedzianym słowom.

- Nie pierdol głupot. Idziemy.

Powoli ruszyli białym korytarzem, w którym co kilka metrów znajdowały się eleganckie drzwi w tym samym kolorze. Za trzema pierwszymi znajdowały się gabinety zabiegowe, każdy z dużym fotelem w stylu tego, który każdy znał z gabinetu stomatologicznego. W czwartym pomieszczeniu było coś na kształt składziku, w piątym pokój socjalny. Gdy stanęli przed ostatnimi drzwiami, Bogucki spojrzał na kolegę.

- A jeżeli ona faktycznie tam leży? - spytał, a jego głos był inny niż zwykle. Drżący, z jakąś nutką niepokoju.

- To ten moment, którego zawsze boję się w filmach, zazwyczaj wtedy ktoś wyskakuje z szafy lub pomieszczenia, które bohater niby już sprawdzał, ale zupełnie nie zauważył kotary czy jakiejś dużej skrytki.

- Możesz przestać? - upomniał go kolega. - To nie pomaga. Zamknij się.

- Wiem i też sram po gaciach, ale chyba któryś z nas musi nacisnąć klamkę.

- Chyba tak - odpowiedział Bogucki i położył palce prawej dłoni na kanciastej, srebrnej klamce.

- No, naciskaj - ponaglił go Jaworski, który podszedł jeszcze bliżej kolegi.

Gdy już chciał to zrobić, drzwi same zaczęły się otwierać.

- Aaa! - wrzasnęli i jak oparzeni odskoczyli do tyłu.

- Aaa! - usłyszeli po ułamku sekundy, a ich oczom ukazała się szczupła brunetka. Szybko wyciągnęła z uszu białe słuchawki i wydarła się: - Pomocy!

Bogucki i Jaworski spojrzeli na siebie. Obaj się trzęśli, a twarze mieli o dwa tony bledsze w porównaniu do codziennego stanu.

- Proszę się uspokoić - odezwał się jako pierwszy Bogucki. - Jesteśmy z policji. Młodszy aspirant Bartosz Bogucki, a to aspirant Kamil Jaworski, chcielibyśmy porozmawiać.

- Ze mną? Coś się stało? - odpowiedziała już spokojniejszym głosem i ruszyła w stronę wejścia do gabinetu.

- Tak, zaginęła Marika Urbaniak.

- Chyba pan sobie ją robi. Ona jest córką komendanta, ktoś musiałby być ostro powalony, żeby coś jej zrobić, pewnie zabalowała - powiedziała dwudziestoparolatka. Usiadła za białym kontuarem, na którym stał bukiet świeżych różowo-białych tulipanów, i włączyła niewidoczny dla odwiedzających komputer.

- Niestety wszystko wskazuje na to, że ktoś ma gdzieś to, kim jest jej ojciec.

- Albo właśnie to nim kierowało - wtrącił Jaworski i od razu dostał łokciem między żebra.

- Może pani... - Bogucki zawiesił głos.

- Marzena Rozenek - wtrąciła dziewczyna i uśmiechnęła się, prezentując śnieżnobiałe, lecz mocno pokrzywione zęby. Zresztą nie tylko je miała krzywe. W połowie chudego nosa miała widoczne zgrubienie, a jego kształt daleki był od linii prostej.

- Pani Marzeno, czy Marika była wczoraj w pracy?

- Tak, siedziała od rana do jakiejś szesnastej. Powinna zostać do osiemnastej, ale spytała, czy mogłaby wyjść wcześniej. Twierdziła, że ma lekarza, chociaż ja w to wątpię - westchnęła i teatralnie przewróciła oczami.

- A dlaczego pani w to nie wierzy? - spytał Bogucki i oparł się przedramionami o blat. Nie czuł się komfortowo, wisząc nad kobietą.

- Hmm... Nie chcę być niemila, poza tym to córka waszego szefa...

- Nie bezpośrednio - wtrącił Jaworski.

- Cóż, straszny z niej leń. Jak może nie robić, to nie robi. A jak robi, to tak, żeby się jak najmniej zmęczyć. Taki typ królewny. Wszyscy powinni wokół niej skakać, a ona będzie leżeć i pachnieć. Wczoraj niby wyszła do lekarza, ale mogę dać sobie odciąć palec, że poszła do fryzjera lub kosmetyczki.

- Rozumiem, że nie pani ją zatrudniła?

- To gabinet mojej mamy. Ja jej pomagam, zajmuję się księgowością, w czym panowie mi przeszkadzili, plus promocją. Idzie nam całkiem dobrze. Ludzi w tym blokowisku całkiem sporo, ceny za metr kwadratowy niebotyczne, więc mieszkają tu celebryci, którzy myślą, że złapali Pana Boga za nóżki, bo mają mieszkanie w prestiżowym miejscu. Tylko jakoś nikt nie zwraca uwagi na fakt, że ludzie sobie zaglądną do okien, przez ścianę słyszą wrzeszczące bachory sąsiadów, a zaparkowanie tutaj graniczy z cudem, dlatego ja, jak mogę, przyjeżdżam skuterem.

- Nie odpowiedziała pani na pytanie - powiedział Bogucki i uśmiechnął się do dziewczyny, próbując określić, czy jest ładna, czy brzydka. Żaden szczegół jej twarzy nie imponował, jednak całokształt intrygował tymi niedoskonałościami, które w takim miejscu jak gabinet medycyny estetycznej stanowiły dość nietypowe zjawisko.

- No tak, jak zwykle gadam jak katarynka. A co chciał pan wiedzieć?

- Kto zatrudnił Marikę Urbaniak?

- Moja kochana mamusia. Uwielbiam ją, ale czasami można jej wcisnąć niezły kit. Jest najlepszą specjalistką od zastrzyków, jaką stworzył świat. Największych panikarzy jest w stanie

przekonać do zabiegu i jeszcze nikt nie miał jakichkolwiek pretensji, ale jeżeli chodzi o otaczających ją ludzi, to porażka. Mama przyjaźni się z żoną komendanta od liceum. Siedziały razem w ławce i obiecywały sobie przyjaźń do grobowej deski. – Dziewczyna zaśmiała się i przecesała ręką gęste brązowe włosy do ramion. – Jak na razie to im się udało. Miały małą przerwę, gdy moja mama wyjechała na dwa lata do Francji za jakimś facetem, ale po wszystkim wróciła, poznała na imprezie mojego tatę i wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

– Niestety nie do końca, bo Marika zniknęła. Przyjaźnią się panie?

– Czy się przyjaźnimy? – prychnęła dziewczyna, jakby właśnie ją obraził. – My jesteśmy ulepione z różnych glin, i to tak totalnie. Nie chcę się chwalić, ale na studiach otrzymywałam stypendium naukowe. Mówię perfekcyjnie w trzech językach, a w przyszłym roku kończę studia doktoranckie, a Marika to taki dzban, jak mówią dzieciaki. Pustak. Może i wygląda jak modelecza, ale to wszystko. Nie ma z nią o czym pogadać, chyba że o paznokciach, dramatach wśród celebrytów czy nowym programie na Netflixie, takim z gołymi laskami i pręzącymi muskuły kolesiami.

– A czy ostatnio wydarzyło się w pracy coś, co zwróciło pani uwagę?

Dziewczyna ponownie się uśmiechnęła i pokręciła głową przecząco.

– Z nią to cały czas coś jest. W normalnej pracy by ją już dziesięć razy wyrzucono, ale moja mama jakoś czuje się w obowiązku, żeby się nią opiekować. Może dlatego, że jest jej chrzestną, ale to i tak nie usprawiedliwia niańczenia. Przecież ona ma dwadzieścia trzy lata, a wszyscy chodzą wokół niej jakby miała pięć lat. „Ona wcale nie chciała”, „Zapomniała, każdemu się zdarza” – mówiła zmienionym głosem Marzena Rozenek. – Tylko że to wpływa na nasz biznes. Parę klientek się mocno wkurzyło, bo na przykład zapisała dwie osoby na tę samą godzinę. Innym razem nie poinformowała pań zapisanych na konsultacje, że lekarz zachorował. Co pół godziny ktoś przychodził i dopiero na miejscu dowiadywał się, że wizyty nie będzie. Dopiero po godzinie zaczęłyśmy wydzwaniać do kolejnych, informując o tym, co miała zrobić Marika. Sporo ma takich wpadek, a za każdym razem mama mówi, że to na pewno ostatni raz. Cały czas ją usprawiedliwia, a ona z premedytacją to wykorzystuje. Ja bym się najzwyczajniej w świecie wstydziła. Ale ona ma to totalnie w dupie, robi podkówkę, smutne oczka i pozamatane. Masakra.

– Rozumiem rozdrażnienie, a wie może pani, czy jest ktoś, kto życzyłby jej źle?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Ale dwa miesiące temu widziałam, jak się z kimś kłóciła – rzuciła po chwili, nagle podekscytowana. – Uprzedzając pytania, nie wiem, kto to był i o co chodziło. Przechodziłam niedaleko, więc spozjrzałam na nią, ale Marika uraczyła mnie spojrzaniem z serii „Nie wtrącaj się, to nie twoja sprawa”.

– Pamięta pani, jak wyglądał ten ktoś? – spytał Bogucki.

– Duży facet, łysa głowa, myślę, że wujek, to znaczy komendant, nie byłby zadowolony z takiego towarzystwa dla córeczki.

– To jeszcze jedno pytanie na koniec, czy Marika Urbaniak spotykała się z kimś? Może ktoś po nią przychodził?

Kobieta uśmiechnęła się, ułożyła usta w dzióbek i uniosła prawą brew.

– No właśnie – westchnęła, wstała i obesła kontuar. Stanęła po drugiej stronie niecały metr od młodszego aspiranta Boguckiego, który od razu poczuł delikatny kwiatowy zapach jej

perfum. – Według mnie ona jest lesbijką, ale chyba się tego wstydzi, bo umawia się czasami też z facetami.

– To może jest bi? – wtrącił Jaworski.

– Raczej nie. Widziałam ją z kilkoma facetami i zawsze trzymała ich na dystans. Niby się całowali, ale miałam wrażenie, że robiła to pod publikę. Ale gdy raz wpadła tutaj ładna dziewczyna, ale taka, co w związkach damsko-damskich robi za faceta, to gadały przed gabinetem i Marika zachowywała się jak zakochana nastolatka. Gdy tamta musnęła ją po ramieniu dłonią, aż podskoczyła z ekscytacji.

– Nie zna pani tej dziewczyny? – dopytywał Bogucki.

– Niestety nie.

Nie mając więcej pytań, pożegnali się z kobietą i ruszyli do radiowozu. Nie zdążyli wsiąść do niego, gdy telefon Boguckiego zaczął dzwonić, a na ekranie pojawiło się nazwisko komisarza. Odebrał i włączył na głośnik.

– To zaczyna robić się chore – rzucił Obrębski bez słowa wprowadzenia. – Ktoś bawi się z nami w kotka i myszkę, obyśmy tylko to my wygrali to starcie. Na Ursynowie w piekarni znaleziono jej stopę. To znaczy prawdopodobnie jej. Numer buta się zgadza. Niestety nie ma żadnych cech charakterystycznych, jak było z nogą Trawińskiej.

– Może jej podolog by rozpoznał? – rzucił Jaworski i uniósł brwi.

– Kto, do cholery?! – warknął wkurzony Obrębski.

– Podolog, taki specjalista od stóp. Podobno kobiety nie chodzą teraz na pedicure, tylko do podologa.

– Kurwa, nie wiem! – wrzasnął Obrębski, a w tle usłyszeli klakson. – Mirosław Zawada już tam jedzie, żeby zabezpieczyć znaleźzisko, więc za dwadzieścia minut macie tam być. Wysłałam wam za sekundę pinezkę, gdzie to jest – rzucił i rozłączył się.

Jazda we wskazane miejsce zajęła im osiem minut. Z daleka widzieli, dokąd mają się kierować, a to za sprawą kilkunastu radiowozów ze świecącymi stroboskopami na dachach. Zatrzymali się obok jednego z nich i wysiedli. Obrębskiego jeszcze nie było na miejscu. Zajechał kolejnym policyjnym autem dwie minuty później.

– Tym razem ktoś zrobił psikusa pani w piekarni – oznajmił, gdy tylko wysiadł z samochodu i od razu ruszył w stronę pobliskiego sklepu z pieczywem. – Kobieta zaczęła układać plastikowe skrzynki z pączkami czy innymi słodkościami, gdy wśród nich zobaczyła stopę. Na początku pomyślała, że jest sztuczna. – Popchnął drzwi, przed którymi zebrało się kilkunastu gapiów. – O, to chyba ona.

Na środku sklepu siedziała starsza kobieta z okładem na głowie, a przy niej klęczała dziewczyna w koszulce z krótkim rękawem z logiem sklepu.

– Pani Wando, policja do pani – powiedziała ta młodsza i odsunęła się.

Do ich nozdrzy dobiegł przyjemny zapach pieczywa i słodkich wypieków, który podkreślił prace ślinianek, i każdy z trzech policjantów poczuł nieodpartą chęć zjedzenia czegokolwiek.

– Dzień dobry, komisarz Maksymilian Obrębski, a to młodszy aspirant Bartosz Bogucki i aspirant Kamil Jaworski, Komisariat Policji z Żoliborza. Musimy z panią porozmawiać. Da pani radę? – powiedział spokojnie i podszedł jeszcze przestraszonej bliżej kobiety.

Wanda Cichomska miała sześćdziesiąt dwa lata, ale wyglądała na dużo starszą, a to za sprawą siwych niczym gołąb włosów, które co rano zaplatała na małe papiloty. Po śmierci męża dwa lata wcześniej zatrudniła się w sklepie, żeby dorobić do niskiej emerytury. Była to miła odmiana po latach spędzonych w szkole, gdzie pracowała jako nauczycielka matematyki. Za ladą nikt jej nie poniżał, nie kłócił się z nią, nie podważał jej kompetencji, nikomu nie musiała udowadniać swojej wartości.

– Już wszystko opowiedziałam – usłyszeli cichy głos.

– Niestety, muszę jeszcze raz to usłyszeć. O której przyszła pani do pracy? – spytał komisarz.

– Zawsze jestem o piątej trzydzieści, maksymalnie czterdzieści, chociaż pracę zaczynam o szóstej. Lubię być wcześniej, wtedy mam kilka minut na zrobienie herbaty, posprzątanie blatu, wyrzucenie śmieci.

– O której przyjechała dostawa?

– Pan Krzysztof zazwyczaj jest między szóstą dziesięć a dwadzieścia.

– Czy dzisiaj przyjechał punktualnie? – dopytywał dalej.

– Tak, zaparkował od tyłu jakieś piętnaście po szóstej.

– Czy wydarzyło się coś wyjątkowego?

– Nie, było jak zwykle. – Kobieta wzruszyła ramionami i spojrzała smutnymi oczami na policjanta. – Wypakował skrzynki, zabrał puste, porozmawialiśmy ze dwie minuty o pogodzie. Podobnie jak ja nie lubi, jak jest ciepło. Skacze nam wtedy ciśnienie i źle się czujemy. Potem pojechał.

– Co było dalej?

– Rozpakowywałam towar.

– O której znalazła pani stopę? – spytał, próbując powiedzieć to jak najspokojniej.

– Chwilę przed siódmą. Na początku myślałam, że to jakiś chory żart, a później przypomniałam sobie o tym ciele bez głowy i o uchu, które państwo znaleźli, i zrobiło mi się słabo.

– I nodze – dorzucił swoim zwyczajem Jaworski.

– I co pani zrobiła? – spytał Obrębski, jednocześnie obdarzając kolegę wymownym spojrzeniem.

– Najpierw usiadłam i się popłakałam. Wiem, że powinnam od razu zadzwonić, ale jakaś niemoc mnie dopadła. Ja nie oglądam mocniejszych filmów, bo nie mam na to nerwów. A gdy zobaczyłam stopę, odeszły mi wszelkie siły. Nie byłam w stanie podejść do socjalnego, wyjąć z torebki telefonu i zadzwonić. Po trzech minutach pojawiła się Gosia i to ona zadzwoniła.

– Czy pani czegoś dotykała?

– Nie. To znaczy chyba nie. Teraz to już nie jestem niczego pewna.

– Jeszcze dwa pytania. Czy ktoś się tu kręcił rano?

– Nie, ale... – Na chwilę zawiesiła głos. – Wie pan, jakby ktoś chciał, to mógłby podrzucić tutaj wszystko. Ja zawsze biorę skrzynkę i przenoszę do środka, wykładam i wracam po kolejną. Gdy byłam w środku, ktoś spokojnie mógł wejść na zaplecze i podłożyć coś do środka. Ale równie dobrze mogło to mieć miejsce jeszcze w piekarni.

– Rozumiem, a czy są tu jakieś kamery?

- Kamery? – zaśmiała się kobieta. – Może jeszcze czujki ruchu? – prychnęła, ale widząc minę Maksymiliana Obrębskiego, spoważniała. – Przepraszam, reaguję skrajnie na stres. Płacząc lub śmiejąc się – powiedziała zdecydowanie za głośno. – Nie, nie mamy tutaj żadnych kamer, alarmów. Kiedyś szefowa straszyla, że zamontuje, bo znikwały bagietki i chleb kukurydziany, ale wystarczyła rozmowa i to się skończyło.

- To dziękuję – odpowiedział Obrębski i już miał się odwrócić, gdy przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie: – A czy ostatnio działo się coś nietypowego?

- Nie – odpowiedziała kobieta, kręcąc głową, i sięgnęła po zimny okład, który koleżanka położyła na blacie.

Trójka policjantów wyszła na zewnątrz, gdzie tłumek ciekawskich zrobił się jeszcze większy. Obeszli budynek dookoła i stanęli przed wejściem, pod którym musiał zaparkować dostawczak.

- Na pobliskich budynkach nie ma żadnych kamer – stwierdził komisarz, rozglądając się. – Więc tak naprawdę nie wiadomo, czy stopa została podłożona tutaj, czy może w piekarni. Trzeba koniecznie do nich pojechać. Może tam mają jakiś system monitorowania. Chodźmy do środka – rzucił i nie czekając na reakcję Boguckiego i Jaworskiego, wszedł na zaplecze, gdzie Zawada zabezpieczał ślady.

Patolog jak zwykle wisiał nad znaleziskiem, które wśród świeżych pączków wyglądało jak inscenizacja stworzona przez chorego człowieka. Podobnie jak pięć minut wcześniej, gdy uderzył ich zapach słodkości, ponownie ślinianki zaczęły wzmożoną pracę.

- Coś znalazłeś? – spytał Obrębski, łamiąc odwieczną zasadę nieodzywania się do mężczyzny podczas jego pracy. Ten powoli podniósł głowę i spojrzał na policjanta niebieskimi oczami.

- Stopę – odpowiedział poważnym głosem i kontynuował wykonywanie zdjęć.

- Aha – westchnął ten i odwrócił się. – Chyba nic tu po nas. Idziemy.

Wyszli przed budynek od strony zaplecza i przez chwilę stali w ciszy.

- Czas ruszać – odezwał się jako pierwszy Obrębski. – Aaa, nie powiedziałem wam, czego się dowiedziałem o zaginionej. Dostałem numer do jednej dziewczyny i zadzwoniłem. Oczywiście obudziłem ją. Była w szoku, gdy się dowiedziała, rzekłbym nawet, że wpadła w histerię. To, co ciekawe, to fakt, że potwierdziła wszystko, co już wiemy, czyli że życiowym celem Mariki Urbaniak było wkurzanie jej starych, do tego stopnia, że spotykała się z byłymi bandziorami, licząc, że ojciec się dowie. Pracę załatwiła jej przyjaciółka matki...

- Tak, to wiemy – wtrącił Jaworski. – Podobno średnio jej się chciało pracować, córka szefowej niezbyt pozytywnie się o niej wypowiadała. No i prawdopodobnie jest bi, może nawet w stronę lesbijki.

- Czyli wiemy to samo – skomentował komisarz. – Ale generalnie nic szczególnego się nie wydarzyło ostatnio. Stwierdziła nawet, że Marika się uspokoiła. Mniej kłóciła się ze wszystkimi. Mam jeszcze zamiary na trzy jej koleżaneczki, ale obawiam się, że nie znajdziemy nic, co może mieć znaczenie.

## Rozdział 63

– Powinnaś pójść na policję – powtarzał chodzący nerwowo po pokoju Carlos. Nigdy nie pałał miłością do mundurowych, ale przestrzegał przepisów jak mało kto, a ponieważ chciał wiązać swoją przyszłość z usługami detektywistycznymi, wiedział, że współpraca z policją jest ważna. Tym bardziej gdy sprawa dotyczy morderstw, nie ma co szarżować.

– Oni na bank to wiedzą – powiedziała pewnym głosem Dagmara i pochyliła się nad schabowym z ziemniakami. Po dzisiejszej wycieczce dopadł ją wilczy głód i pochłaniała zamówiony przez Carlosa obiad, jakby nie jadła co najmniej od tygodnia. – Poza tym policja ma gdzieś, co tacy zwykli obywatele jak my mogą wnieść do sprawy. Mają swoje metody, swoje przemyślenia i obserwacje, dlatego nie zamierzam ich w niczym wyręczać.

– Super. To po co to robisz?

– Bo poproszono mnie o pomoc – odpowiedziała z dumą w głosie.

– A ta miła pani zapłaci ci za to?

– Hmm, w sumie to nie spytałam.

Odsunęła od siebie pusty talerz i wyprostowała się. Po plecach spływały jej krople wody z mokrych po kąpieli włosów, mocząc stanik i majtki. Jak zwykle po mieszkaniu chodziła w samej bieliźnie, prowokując Carlosa.

– Słaba bizneswoman z ciebie. Jak ty chcesz prowadzić firmę, jak nie planujesz pobierać opłat?

– Jeśli mnie pamięć nie myli, to ja przyniosłam dwa dochodowe zlecenia, a ty żadnego. Poza tym ja zajmuję się tą sprawą po godzinach pracy...

– Lub przed – wtrącił, pijąc do jej porannej wycieczki.

– Dopóki nie wpływa to na moją pracę, nic ci do tego, mój drogi.

– Auć, to zabolalo! – krzyknął chłopak i teatralnie złapał się za klatkę piersiową. – Wydawało mi się, że jesteśmy współpracownikami i będziemy pracować razem.

– No i pracujemy.

– Jakoś mi się nie wydaje. Nie zauważyłem tego „my”.

– No tak, zaczyna się. – Uśmiechnęła się. – Jak bardzo chcesz, to możesz mi pomóc. Ty pogrzebiesz w necie i poszukasz informacji o podobnych sprawach. Może coś jest jeszcze intrygującego.

– A ty co zamierzasz? – rzucił zdziwiony, że tak łatwo został zaangażowany.

– A ja spróbuję odnaleźć Natalię Szwed. Muszę z nią bezwzględnie porozmawiać.

Jak postanowiła, tak zrobili. Dagmara powędrowała do łóżka, gdzie w pozycji półleżącej przeszukiwała media społecznościowe, a Carlos został na kanapie. Po godzinie ponownie usiedli obok siebie.

– Zaczynaj – powiedziała, poprawiając przyduży T-shirt, który zsuwał jej się z ramienia.

Widząc rozbiegany wzrok Carlosa, postanowiła złamać swoje zasady i przyodziać się w cokolwiek, aby go nie prowokować.

- Nie znalazłem niczego, co pasowałoby do naszych wytycznych, czyli gwałt, morderstwo i ułożenie ciała.

- To niedobrze.

- Wiem - skomentował i upił łyk wody ze szklanki, którą postawił na oparciu kanapy. - Ale niezależnie od wszystkiego uważam, że powinnaś pójść na policję.

- Daj mi chwilę.

- Ale na co? A jak komuś coś się stanie?

- Dobrze, pójdę - powiedziała, mimo że w głowie układały się zupełnie inne myśli.

- Mam nadzieję, bo jak nie, to ja to zrobię.

- No rejczel, że pójdę. Ale zastanawia mnie jedna rzecz, te odstępy. Pierwszy raz zaatakował osiem lat temu, później po trzech, a na kolejne czekał następne pięć lat. Gdzie był?

- Może w więzieniu? Nie wiem - skomentował i rozłożył ręce. - A ty co znalazłaś?

- Nie wiem - powiedziała Dagmara i odwróciła laptop w stronę Carlosa.



## Rozdział 64

Wyznaczony termin przejścia na emeryturę zbliżał się wielkimi krokami, a komisarz Grzegorz Wiśniewski denerwował się każdego dnia coraz bardziej. Gdy pierwszy raz powiedział o swoim pomysle żonie, ta ucieszyła się jak nigdy. Łzy radości spływały jej po policzkach i cała aż dygotała z emocji. Teraz miał wielką ochotę powiedzieć jej, że jednak zmienił zdanie. Że chce jeszcze trochę popracować. Opowiedzieć o swoich lękach, obawach. O tym, że jeszcze nie jest gotowy. A może bardziej o tym, że nie wie, jak się w tym odnajdzie. Czy będzie cieszył się tą wolnością.

Może takie rozmyślenia by go nie dopadły, gdyby nie kolega, którego przypadkiem spotkał. Przeszedł na emeryturę rok wcześniej. Liczył, że będzie to początek nowego świetnego życia, a tak się nie stało. Z żoną kłócił się o wszystko, bo nie potrafił się z nią dogadać. Dopiero będąc na emeryturze, uzmysłowił sobie, że przez lata mało z nią rozmawiał. Nigdzie nie wyjeżdżał, bo ciągle coś się działo w pracy. Gdy wylądował w domu, spędzali razem całe dnie, okazała się innym człowiekiem. Non stop strofowała go, że coś źle robi, komentowała każdy jego ruch. Po kilku miesiącach zaczął marzyć o wyjściu z domu, powrocie do pracy. O czymkolwiek, co wyrwałoby go z tego koszmaru. W końcu zatrudnił się jako stróż nocny, tłumacząc, że chce wspomóc budżet domowy.

Komisarz Grzegorz Wiśniewski patrzył na swoją żonę i zastanawiał się, czy czeka go taki sam los. Zawsze uważał, że są zgranym małżeństwem, rzadko się kłócili, ale rozmowa z kolegą uświadomiła mu, że w sumie nie miał za dużo pól do sprawdzenia tego. Od ponad dwudziestu lat spędzał z żoną stosunkowo mało czasu, a nawet jak już byli razem, to wielokrotnie mu odpuszczała. Nie czepiała się, że jest zmęczony, a w konsekwencji tego nie pomaga w domu czy przy córkach.

- Dzwoni ci telefon. - Małżonka szturchnęła go lekko w ramię, wytrącając z rozmyślań.

- Dziękuję! - krzyknął do odchodzącej w głąb mieszkania kobiety i sięgnął po aparat. - Słucham.

- Cześć, tu Mikołaj. Mamy zamiar na ostatnie miejsce logowania telefonu podejrzanego.

- No co ty? - powiedział głośniej, niż zamierzał. Dawno temu przestał ekscytować się wynikami śledztwa, ale fakt, że miało być to jego ostatnie, mocno go nakręcił.

- Pani prokurator pocisnęła i mamy to. Podesłę ci zaraz SMS-em lokalizację, to możesz sprawdzić, co tam jest. Z moich wstępnych ustaleń wynika, że to... las.

Chwilę później komisarz Grzegorz Wiśniewski siedział w swojej mazdzie i jechał w kierunku Nadarżyna. Dojazd do Magdalenki zajął mu dwadzieścia parę minut. Zaparkował na końcu szutrowej drogi, która zaczęła przechodzić w piaszczystą. Kiedyś podczas wyjazdu nad morze zakopał się, i to porządnie. Trzech roślących mężczyzn musiało wspomóc jego, żonę i córki. Od tego czasu, widząc piasek, stawał i nie ryzykował, szczególnie że w tych leśnych

okolicach nie było zbyt wielu osób, które mogłyby mu pomóc. Nie to, co przy nadmorskiej plaży, gdzie czasami ludzie tłoczyli się niczym mrówki.

Powoli wyszedł, ciesząc się z chwilowego spadku temperatury. Zimny front, który dotarł do Polski znad Morza Północnego, przyniósł ochłodzenie, co policjantowi niezwykle pasowało. Stał na środku polany i upewnił się, czy to są otrzymane współrzędne. Nie pomylił się. Rozejrzał się dookoła. Nic w okolicy, tylko drzewa i krzaki. Zmienił ustawienie w mapie na zdjęcie satelitarne i zaczął wyszukiwać najbliższych zabudowań. Po chwili szedł we wskazanym przez Google Maps kierunku. Wyszedł na piaskową drogę i stanął przed sporych rozmiarów budynkiem, który wyglądał na opustoszały.

– Matko, następny? – usłyszał za sobą damski głos. Gdy się odwrócił, ujrzał starszą kobietę ubraną w sukienkę w dziwne wzory.

– Komisarz Grzegorz Wiśniewski – przedstawił się.

– Dawno was tu nie było – skomentowała kobieta, machnęła ręką i zaczęła odchodzić.

– Proszę zaczekać. – Podbiegł i stanął przed nią, zagradzając tym samym drogę. – Czemu powiedziała pani, że jestem „następny”?

– Bo dzisiaj się tutaj wszyscy kręcą.

– Co to znaczy „wszyscy”?

– Jakaś rowerzystka się tutaj na wycieczkę zapuściła. Ładna blondyneczka na różowym rowerze, tym takim cienkim, co Lang jeździł.

– Szosowym?

– Chyba tak, ja się nie znam. I ona pytała o to miejsce. – Głową wskazała na budynek stojący za nią.

– A co to jest?

– Ośrodek wychowawczy kiedyś tutaj był, ale od kiedy wydarzyła się tragedia, to go zamknęli.

– Może pani mniej zagadkowo mówić? Jaka tragedia?

– Dziewczynę zabito.

– Kiedy to było? – spytał Grzegorz Wiśniewski.

– Osiem lat temu. Straszne. Nigdy u nas nic takiego się nie wydarzyło. Wiadomo, Magdalena i okolice słyną z różnych rzeczy... – W tym momencie kobieta pokręciła z dezaprobatą głową i wzniosła oczy ku niebu, jakby prosiła Boga o wybaczenie lub wsparcie. – Ale my, starzy mieszkańcy tych okolic, co nie rozbijają się samochodami za grubą kasę, jesteśmy zwykłymi ludźmi. Czasami któryś chłop z drugim pobije się pod sklepem, zdarzają się jakieś włamania, ale nigdy nikt nikogo nie zabił, a jeszcze tak okrutnie jak tę dziewczynę...

– Co dokładnie jej zrobiono?

– Najpierw ten świr, bo to musiał być jakiś obłąkany, ją zgwałcił. Później podobno torturował, a na koniec zabił i ciało ułożył w krzyżyk.

Kobieta rozłożyła ręce, udając ułożenie ciała zamordowanej, a Grzegorz Wiśniewski poczuł momentalnie, jak nogi się pod nim uginają.

– Złapano wtedy kogoś?

- Nie, niestety, pana koledzy nie dali rady. Szukali, nękali dzieciaki z ośrodka, ale wyobraża pan sobie, aby piętnastolatek był w stanie zrobić niewiele starszej dziewczynie coś tak okropnego? - Kobieta wytrzeszczyła oczy i zagapiła się w twarz komisarza.

Wiśniewski dobrze znał i gorsze przykłady, ale nie chciał nimi obarczać staruszki. Dobrze pamiętał morderstwo małżeństwa i ich trzyletniej córeczki. Wszystkich znaleziono z ranami klutymi klatki piersowej. Od razu wszczęto poszukiwania ich dwunastoletniego syna, który zniknął. W obawie o jego życie i zdrowie do akcji włączyło się wielu policjantów, a także cywilów. Znaleziono go po trzech godzinach. Siedział jak gdyby nigdy nic w parku, trzy kilometry od domu. Miał zakrwawione twarz i ręce, w których trzymał Nintendo. Okazało się, że tata zakazał mu grać i zabrał ulubioną konsolę, dlatego w ramach zemsty zabił w pierwszej kolejności ojca, który spał na kanapie. Później zakradł się do sypialni, gdzie w łóżku rodziców spała matka. Jej się oberwało, ponieważ nie stanęła po jego stronie. Siostrę zabił, bo nie chciał, żeby żyła bez rodziców.

Z taką historią i wieloma innymi w głowie niewiele było w stanie Grzegorza zdziwić.

- A ta dzisiejsza turystka? Widziała pani ją kiedyś tutaj?

- Nie. Na bank. Przejeżdżała obok i tak zahaczyła - powiedziała kobieta pewnym głosem, ale średnio wierzył w takie zbiegi okoliczności.

- Rozumiem...

Nie zdążył skończyć, bo rozmówczyni mu przerwała:

- Ale co zaskakujące, dzisiaj widziałam też jednego z dawnych wychowanków ośrodka - powiedziała jakby od niechcienia.

- Może zatęsknił za tym miejscem.

- Może, ale dawno nikt tu nie wpadał, a dzisiaj aż trzy osoby, łącznie z panem. Trochę tłoczno.

- Pamięta pani, jak nazywał się ten lub ta...

- To był chłopak. W sklepie nawet spytałam sprzedawczyni, bo ona tu wszystkich zna i też pracowała w ośrodku. On się chyba Jarek nazywał, a jego wujek podobno ma firmę budowlaną.

- Nazwiska pani nie pamięta?

- Oj, lata już nie te, żeby wszystko pamiętać. Niech pan mi da swój numer, to jak sobie coś przypomnę, to dam znać.

Grzegorz Wiśniewski podał jej jedną z ostatnich wizytówek, jakie miał w portfelu. Niewiele więcej od niej wyciągnął, bo twierdziła, że się spieszy i musi iść do domu.

## Rozdział 65

Usiadła na polanie i wyjęła z papierowej torby dwie grahamki, opakowanie z szynką krakowską oraz małe pudełko pomidorków koktajlowych. Głód, który męczył ją od ponad godziny, spowodował, że brzuch wydawał dziwne dźwięki, a ręce zaczęły delikatnie drżeć. Dagmara dobrze wiedziała, że jeżeli czegoś z tym nie zrobi, to już niebawem pojawi się ból głowy, który będzie w stanie przepędzić tylko podwójną dawką nurofenu z kodeiną.

Rozdarła reklamówkę i na jej wewnętrznej części rozłożyła rozerwane na pół pieczywo. Otworzyła opakowanie z wędliną pokrojoną na cieniutkie plasterki i udekorowała kanapki małymi warzywami, o które zawsze toczyła z bratem boje. On powtarzał, że to owoce, ponieważ powstają z kwiatów i mają nasiona. Ona natomiast przytaczała jako argument fakt, że według polskiej klasyfikacji jakiegś tam pomidor jest warzywem. Poza tym niska zawartość cukru oraz zastosowanie w kuchni przemawiały na korzyść warzywa.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie i wgrzyła w świeżą bułkę. Dopiero teraz rozejrzała się dookoła. Oddaliła się na tyle od zabudowań, że nie słyszała już szumu ulicy i nie dostrzegала żadnych oznak cywilizacji. Wszędzie dookoła ciągnęła się dość płaska polana, co kilka metrów przecinana pojedynczymi wysokimi sosnami. Gdzieś tam leżał zwalony konar, a za nią rosły jedyne w zasięgu wzroku krzaki, których nazwy zupełnie nie znała.

Dojadła drugą kanapkę, zupełnie nie wyłapując momentu, kiedy zniknęła pierwsza, i wyjęła z kieszeni telefon. Sprawa morderstwa w pobliskim ośrodku wychowawczym nie dawała jej spokoju, dlatego nie mówiąc nic Carlosowi, postanowiła jeszcze raz wybrać się na wycieczkę. Dobrze wiedziała, że gdyby się o tym dowiedział, wkurzyłby się niesamowicie, a ona czuła potrzebę, by dowiedzieć się więcej o tym miejscu i poczuć je.

Wpisała w wyszukiwarkę Google hasło „morderstwo Magdalenka ośrodek wychowawczy” i czekała. Niebieski pasek ładowania wyników przesuwał się niezmiernie wolno. Dagmara westchnęła i rozejrzała się ponownie. Nie powinna się dziwić. Siedziała w lesie, gdzie raczej mało który operator stawiał swoje maszty. Nikt nie chciał inwestować w moc sygnału w tak odludnych miejscach. Wyciągnęła telefon w górę, próbując złapać lepszy zasięg. Na małym popękany od wielokrotnych spotkań z ziemią ekranie pojawiły się w końcu wyniki.

Kliknęła w pierwszy i przeniosła się na stronę lokalnej gazety „Lesznowskie Info”.

*Do ośrodka wychowawczego w naszej gminie, a dokładnie w urodziwej Magdalence, od wielu lat trafiają dzieciaki z różnymi problemami. Są tam tacy, którzy mieli w przeszłości problemy z alkoholem, papierosami czy narkotykami, uciekali z domu lub mają na sumieniu kradzieże czy bójki.*

*Niestety w ostatni poniedziałek w pobliskim lasku odnaleziono ofiarę dużo poważniejszej zbrodni. Zatrudnioną w ośrodku siedemnastoletnią Karolinę W. znalazła jedna z wychowawczyń. Dziewczyna od kilku dni nie pojawiała się w pracy. W domu nikt nie wiedział,*

*gdzie jest. Zaalarmowana policja wszczęła poszukiwania. Niestety to nie oni dokonali tego makabrycznego odkrycia.*

*Ciało dziewczyny leżało na polanie jakieś sto pięćdziesiąt metrów od ośrodka. Zamordowana spoczywała na brzuchu w dość dziwnej pozycji. Jak podało nasze źródło w policji, została wielokrotnie zgwałcona. Śmierć nastąpiła około tygodnia wcześniej.*

*Na chwilę obecną nie ma żadnych podejrzanych ani konkretnych poszlak.*

*Jeżeli ktokolwiek z Czytelników był świadkiem zdarzenia lub posiada wiedzę, kto za tym stoi, jest proszony o kontakt z najbliższą jednostką policji lub pod numer 112.*

Dagmara wróciła do wyników wyszukiwania i wybrała zakładkę „Wideo”, a następnie kliknęła w film o tytule „Kto zabił Karolinę”. Po kilku sekundach na ekranie pojawiła się brunetka z włosami do ramion i dokładnie przyciętą grzywką. Ubrana w czarny kombinezon stała nieopodal konaru, przy którym Dagmara znalazła krzyżyk.

– Witajcie. To znowu ja, Eliza Korczewska. Ponownie zabieram was do świata zbrodni i to tej najgorszego kalibru: morderstwa. Karolinę W. wszyscy opisują jako niezmiernie miłą i sympatyczną osobę. W wieku jedenastu lat straciła oboje rodziców, przez co trafiła pod opiekę siostry swojej matki. Z tego względu przeprowadziła się do podwarszawskiej Magdaleny, którą pewnie wielu z was kojarzy z porachunków gangsterskich. – W tym momencie dziewczyna złożyła dłoń w pistolet i zdmuchnęła wymagowany dym po wystrzelonej kuli, a dwie sekundy później pojawiły się ujęcia z Magdaleny i z głośników poleciał głos dziewczyny: – Zgodnie z informacją znalezioną na Wikipedii w wyniku akcji przeprowadzonej w nocy z piątego na szósty marca dwa tysiące trzeciego roku zginęło dwóch policyjnych antyterrorystów i dwóch przestępców, a siedemnastu funkcjonariuszy odniosło obrażenia. Celem akcji było zatrzymanie najgroźniejszych przestępców w Polsce. O tym, czy akcja była sukcesem, może pogadamy innym razem. Teraz wróćmy do sprawy Karoliny. – Ponownie na ekranie pojawiła się dziewczyna, mając w tle las, który otaczał Dagmarę. – Wszystko rozegrało się w lipcu dwa tysiące dziewiątego roku. Młoda dziewczyna, dzięki wsparciu ciotki, u której mieszkała, dostała pracę w ośrodku wychowawczym, który znajdował się w urokliwej Magdalence. Instytucja ta działała jeszcze za czasów komuny. Starsi mieszkańcy dobrze pamiętali lata, kiedy zwożono tam młodych ludzi, którym niekoniecznie podobał się panujący ustrój. Dowodów na to, co się działo w ośrodku, nie ma, ale legendy o torturach, o pobiciach krążą od lat. Ile w tym prawdy, już nigdy się nie dowiemy. To, co wiadomo na pewno, to to, że w lipcu dwa tysiące dziewiątego roku w Magdalence przebywało trzydziestu siedmiu chłopców w wieku od dziesięciu do czternastu lat oraz dwadzieścia trzy dziewczynki w podobnym wieku. Do tej lokalizacji trafiały głównie dzieci z problemami w nauce, a dokładniej takie, co latami unikały szkoły. Mieszkali tam również osobnicy z bardzo lepkimi rączkami, ale także kilku miłośników bitki. Trudna młodzież, ale raczej nie agresywna. Z rozmów z byłymi wychowawcami wynika, że poważniejsze problemy zwykle ich omijały. Czasami zdarzały się jakieś niesnaski, ale generalnie ośrodek uważano za dobrze prowadzony. Z tego względu dwudziestego lipca planowano odwiedziny kuratora, który tak naprawdę jechał już na uroczystość. Niestety nigdy nie dotarł. Pani dyrektor zadzwoniła do niego i belkocząc trzy po trzy, poinformowała, że nie może ich odwiedzić. Zaledwie trzy godziny przed wielką imprezą jedna z wy-

chowawczyń poszła do lasu po kilka gałązek do pracy plastycznej, którą robiła z jedną z uczennic. Wówczas znalazła nagie ciało. Wróciła z krzykiem i przerażeniem na twarzy. Udało mi się porozmawiać z panią Aldoną.

W tym momencie na ekranie telefonu Dagmary pojawiła się sympatycznie wyglądająca kobieta w wieku koło pięćdziesięciu lat, z krótko obciętymi, jasnymi włosami w ciepłym odcieniu.

- Na wstępie bardzo dziękuję za rozmowę. - Korczewska obróciła się do kamery. - Moim i waszym gościem jest Aldona Wyszowska, była wychowawczyni w ośrodku wychowawczym w Magdalence. To pani dokonała tego makabrycznego odkrycia w dwa tysiące dziewiętnastu roku.

- Tak, to ja znalazłam Karolinę - odpowiedziała kobieta, a na jej twarzy pojawił się smutek.

- Jaka ona była?

- Karolina? Niezwykle pomocna. Życie jej nie oszczędziło. Straciła oboje rodziców, a mimo to miała w sobie wiele ciepła. Chętnie wspierała te dzieciaki. Czasami widziałam, jak po pracy siedziała z małymi dziewczynkami, plotła im warkoczki i rozmawiała. Może tym rekompensowała sobie brak rodziny.

- To niezmiernie smutne, gdy giną takie osoby - westchnęła prowadząca wywiad dziewczyna. - Wiem, że policja nikogo nie aresztowała, jednak zdaję sobie sprawę, że takie osoby jak pani, które znajdowały się w centrum zdarzeń, analizowały, rozmyślały, rozmawiały ze sobą. Może w jakimkolwiek momencie miała pani pomysł, kto mógł dopuścić się czegoś tak okrutnego?

- Ja... No nie wiem. - Kobieta miotła się, rozglądając się na boki, jakby poczuła dyskomfort.

- Pani Aldono, mój program to próba tchnięcia życia w stare sprawy. Może dzięki pani choćby bardzo abstrakcyjnym pomysłom ktoś sobie coś przypomni, skojarzy. Proszę pamiętać, że morderca najprawdopodobniej cały czas jest na wolności. No, chyba że wpadł za coś innego. Ale zakładając, że nie, to może dzięki pani ktoś nie straci życia. Wydaje mi się, że warto podzielić się ze mną i tysiącami osób, które to obejrzą, tym, co pani myśli.

- Gdy zobaczyłam Karolinę leżącą na trawie, przy tym konarze, w pierwszej chwili myślałam, że to jakaś inscenizacja czy coś takiego - zaczęła kobieta, nie patrząc w kamerę. - Leżała naga, a jej białe ciało wyglądało jak manekin ze sklepu. Pamiętam, jak wbiegłam do ośrodka, zupełnie nie wiedząc, co zrobić. Podobno krzyczałam, ale ja tego nie pamiętam. Gdy wpadłam do pokoju dyrektorki, ta z uśmiechem na twarzy rozmawiała przez telefon. To miał być jej dzień triumfu, a stał się początkiem koszmaru. Aż w końcu... - Ucieła, a po jej policzku popłynęła łza. - Później zaczęło się najgorsze. Wszyscy zachowywali się dziwnie. Jedni ze strachu, że coś takiego może jeszcze raz się wydarzyć. Inni dlatego, że przerażało ich okrucieństwo, które dotknęło Karolinę. Nie mieszkała z nami w ośrodku, ale myślę, że większość wychowanków, a także wychowawców traktowała ją po części jako naszą dziewczynę. Nawet najtwardsi, którzy na co dzień chodzili, prężąc jeszcze średnio napakowane klaty, płakali po kątach. Nikt nigdy nie spotkał czegoś takiego. Ale w tym wszystkim była jedna osoba, która zachowywała się nad wyraz spokojnie i opanowanie. Ja miałam wrażenie, że on zmienił się po śmierci Karoliny, ale inaczej niż reszta. Stał się pewniejszy siebie.

- Jak się nazywał?

Kobieta zaczęła kręcić głową, aż w końcu zrezygnowana odeszła, nie udzielwszy odpowiedzi.

- Jak widzą państwo - kontynuowała Eliza - są w tej niewyjaśnionej dotąd sprawie pewne ślady, które mogłyby popchnąć śledztwo do przodu. Jeżeli...

Dagmara wyłączyła nagranie. Schyliła się po leżące przed nią papiery, gdy usłyszała za sobą jakiś hałas. Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, to: „Dzik!”. Już miała odwrócić głowę, gdy poczuła przeszywający ból, a jej ciało rozciągnęło się na ziemi.

## Rozdział 66

ON

On znowu to zrobił.

I tym razem wszystko zaplanował. Śledził. Porwał czworonoga.

To jakiś obłąd.

To zawsze ja byłem tym złym, ale powoli zaczynałem czuć, jakby uczeń doganiał mistrza.

Nie mogłem na to pozwolić.

Musiałem być lepszy.

Pokazał mi ją w necie, więc gdy oznaczyła na zdjęciu na Instagramie, że jest w wesołym miasteczku, poszedłem tam. Wiedziałem, jak wygląda. Czekałem, wypatrywałem i wylapałem ją. Szlajała się z jakimś kretynem, chodząc za rączkę, jak jakieś małe dzieci.

I wtedy pojawił się on, z tym kundlem.

Gdy rozstała się z tym typkiem, przejął ją. Przyciągnął do siebie niczym jakiś pieprzony magnes. A ja stałem, obserwowałem z daleka i śliniłem się.

Żadna z nich mi się nie podobała, ale nie o to tutaj chodziło. Chciałem ją mieć.

Czekałem, aż on zadzwoni do mnie i ponownie poprosi o pomoc, ale tym razem tego nie zrobił.

Odezwał się dwa dni później, gdy ja już wiedziałem.

Przeczytałem w gazecie o mordercy, który zostawił przy ciele majtki ofiary.

Z jednej strony byłem wściekły, że zrobił to sam, ale z drugiej – doceniłem jego gest. Uśmiechnąłem się i podziękowałem.

Poczułem, że zrobił to po części dla mnie.



## Rozdział 67

Grzegorz Wiśniewski nie dziwił się, że nikt nie wpadł na sprawę sprzed ośmiu lat. Sam narzucił ramy czasowe, które ograniczyły możliwość połączenia dwóch współczesnych morderstw ze zbrodnią w ośrodku wychowawczym. Patrząc na zdjęcia z lasku za budynkiem, w którym mieszkali wychowankowie, czuł, jakby dopadło go *déjà vu*. Piękna leśna polana, na której rosnęły dość szczupłe drzewa, a na środku obok zwalonego konaru nagie, białe ciało dziewczyny, której nie dano skorzystać z życia. Skończyła je, zanim tak naprawdę go posmakowała.

Leżała na leśnym runie, z twarzą wciśniętą w mech i rękoma wyciągniętymi na boki. Podobnie jak w przypadku Niny Wysoczańskiej i Lucyny Kaczorowskiej momentalnie przed oczami stanęły mu jego córki. Czym różniły się od ofiary? Czy podobnie jak zabite mogły stanąć na drodze psycholowi, który pozbawiał je życia?

Jedynie, co go pocieszało, to fakt, że różniły się wizualnie od ofiar mordercy. Wszystkie trzy dziewczyny miały kasztanowe włosy średniej długości. Mało kto nazwałby je ładnymi, ale każda z nich miała coś sympatycznego, przyjaznego w oczach. Coś takiego, co powodowało, że człowiek chciałby spędzać z nimi czas.

Patrząc na ich zdjęcia, które ułożył sobie jedno obok drugiego, wiedział, że nie mógł to być przypadek. Powtarzający się wygląd, a także sposób mordowania oznaczał jedno. Ostatnia sprawa Grzegorza Wiśniewskiego dotyczyła seryjnego mordercy. Spośród wielu pytań, które kłębiły mu się w głowie, kilka wysuwało się na pierwsze miejsca. Co morderca robił przez ostatnie osiem lat? Czy w międzyczasie odebrał życie komuś jeszcze? A może trafił do więzienia? Za morderstwo na pewno nie, ponieważ jeszcze byłby zamknięty w czterech ścianach jakiejś celi. To w takim razie gdzie przebywał? Wyjechał za granicę? A może siedział za coś zupełnie innego?

Drugą rzeczą, o której nie mógł zapomnieć ani na moment, był powód tych zbrodni. Już lata temu nauczył się, że odpowiedź na pytanie „Dlaczego?” niezwykle wiele wprowadzała w prowadzone śledztwo. Czy morderstwa dokonał z zemsty, bo został odrzucony przez zamordowane? A może były przypadkowymi ofiarami, które pojawiły się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie?

Jednak patrząc na dokumentację nowo odkrytej sprawy, nie mógł trafić na żadną sensowną odpowiedź. Chwycił telefon i po raz nie wiadomo który sprawdził, czy nikt nie dzwonił. Z ekscytacji nowym odkryciem nie wziął numeru do kobiety, która wspomniała o kręcącym się w okolicy ośrodka chłopaku i dziewczynie na rowerze.

Zupełnie nie wiedział, czy mają oni jakikolwiek związek z prowadzonym śledztwem, ale musiał to sprawdzić. Schował telefon do kieszeni i ruszył do swojego samochodu. Kolejna fala upałów spowodowała, że gdy wsiadł do środka, momentalnie zalał go pot. Od kilku dni miewał też mroczki przed oczami i zawroty głowy. Na prośbę żony zaczął mierzyć ciśnienie dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Za każdym razem okłamywał ją, mówiąc, że jest delikatnie pod-

wyższone. Niestety mijał się znacząco z prawdą. Dwa razy zobaczył już górne w granicy stu osiemdziesięciu, a wtedy stresował się wynikiem, sprawiając, że skakało jeszcze bardziej. Niestety jego lekarz wyjechał, a recepcjonistka w gabinecie miłym głosem informowała, że najbliższa wizyta możliwa jest za trzy tygodnie.

Dobrze wiedział, że nie może tyle czekać. Leki, które brał od dwóch lat, nagle przestały działać i czuł całym sobą, że jeżeli niczego z tym nie zrobi, skończy przy dobrych wiatrach w szpitalu, a jeżeli groźby lekarza się spełnią, to w kostnicy.

Sięgnął po leżącą na siedzeniu pasażera butelkę z wodą, której temperatura pozostawiała wiele do życzenia, odkręcił i wypił duży łyk. Dopiero gdy poczuł płynącą po przełyku ciecz, uzmysłowił sobie, że od rana nie wlał w siebie nic poza dwiema zakazanymi kawami – ani mililitra wody. Włączył klimatyzację na najwyższe obroty i czekał, aż temperatura w samochodzie spadnie na tyle, aby nie czuł się jak w piekarniku.

Po pięciu minutach poczuł znaczącą różnicę. Wrzucił kierunkowskaz i ruszył. Przez całą drogę zastanawiał się, co ma zrobić z niepokojącymi symptomami, które wysyłało jego ciało. Brak możliwości konsultacji z lekarzem paraliżował go strachem, ale to, czego jeszcze bardziej się bał, to rozmowa z żoną.

Pociągnął kolejny łyk wody, wmawiając sobie, że jest mu już trochę lepiej. Dojechał do centrum Magdalenki, zaparkował pod lokalnym sklepem spożywczym, licząc, że to tam pracuje kobieta, o której wspominała staruszka. Wysiadając z samochodu, wypił do końca wodę, po czym zgniótł butelkę i wyrzucił do stojącego pod budynkiem kosza na śmieci. Dookoła pojemnika stały poukładane małe pakiety po wódkach smakowych. Komisarz popchnął drzwi z plakatem reklamującym jedną z marek piwa i wszedł do środka.

Rozejrzał się po sklepie i widząc sprzedawczynię rozmawiającą z jakąś kobietą, ruszył do lodówek ustawionych pod ścianą. Zdecydowanie potrzebował zimnej wody. Wyciągnął jedną, po drodze zgarnął dwa banany, mimo że zdecydowanie wolałby zjeść jakiegoś batonika lub kilka michałków, i podszedł do kasy, przy której nie było już nikogo poza kasjerką. Ze skwaszoną miną gapiała się w ekran trzymanego w ręce telefonu.

Skasowała towary, które przed nią położył, i rzuciła:

– Coś jeszcze?

– Nie. To znaczy tak – wydukał, czując jakiś niepokój, patrząc na twarz kobiety. Jej siwe, krótkie włosy przyjęły zdecydowanie za dużą dawkę lakieru, dlatego nawet porywisty wiatr nie byłby w stanie zmienić ułożenia najmniejszego włoska w jej fryzurze.

– Co, małepeczkę chciałby? – Uśmiechnęła się i spojrzała na półkę wypełnioną po brzegi ognistą wodą. – Nie ma co się wstydzić. Każdy to pije, jakoś trzeba sobie radzić.

– Nie – powiedział już pewniejszym głosem i wysunął z kieszeni odznakę.

– Aaa, pan władza. Ktoś na mnie doniósł?

– A miałby powód? – spytał zaczepnie, przyglądając się bacznie kobiecie.

– Oczywiście, że nie.

– To dobrze. A ja w zupełnie innej sprawie. Osiem lat temu zamordowano dziewczynę...

– Moją Karolinę – wyszeptwała, wchodząc mu w słowo, a jej twarz posmutniała.

– To pani ją wychowywała?

- Tak. Moja siostra ze szwagrem zginęli w wypadku. Straszna sprawa. Mnie samej ciężko było się z tym pogodzić, ale dla niej musiałam być silna. Płakałam, gdy nie patrzyła. Mam nadzieję, że dałam jej chociaż trochę ciepła, którego tak potrzebowała.

- Na pewno. To pani zorganizowała jej pracę w ośrodku?

- Tak, i nigdy sobie tego nie wybaczę. Gdyby nie ja...

- Proszę tak nie myśleć. Chciała pani dobrze.

- Może, ale... - Kobieta zawiesiła głos i zapatrzyła się w drzwi, jakby liczyła, że ktoś zaraz wejdzie i nie będzie musiała kontynuować.

- Tak? Proszę mówić.

- Nie wiem dlaczego, ale zawsze uważałam, że to ktoś z ośrodka.

- Kogoś konkretnego miała pani na myśli?

- Nie wiem. Kilka osób mi się nie podobało. Woźny, który dziwnie patrzył na dziewczynki.

- Wiesław Myśliwiecki? - spytał. Zapoznał się z aktami sprawy, więc znał to nazwisko.

- Tak.

- Zgodnie z aktami w czasie morderstwa był z córką w szpitalu. Widziało go kilka osób.

- Słyszałam, ale mimo to nigdy nie przestałam go podejrzewać.

- Ktoś jeszcze? - dopytywał dalej.

- Dwóch chłopców. Jeden nazywał się Maksymilian, nazwiska nie pamiętam. Jego rodzice siedzieli w więzieniu. Starsze rodzeństwo próbowało się nim zajmować, ale średnio im to wychodziło. Chłopak zaczął zrywać się z lekcji, przesiadywał ze starszymi chłopakami i popijał alkohol. W końcu ktoś doniósł do kuratorium i zaczęła się jatka. Pracowałam tam pięć lat i chyba nigdy nie widziałam takiej agresji w oczach dzieciaka. Sprawiał nam wiele problemów i dyrektorka chciała go odesłać do innego, lepiej przygotowanego na takich jak on, ale nie zdążyła.

- Wie pani, gdzie może teraz być?

- Tak - odpowiedziała, a Grzegorz Wiśniewski lekko się uśmiechnął. - Leży na pobliskim cmentarzu. Dwa lata temu wpadł pod samochód. Podobno w nocy wszedł pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Kierowca nie miał szans na reakcję.

- Aha... - Komisarz westchnął smutno, wiedząc, że to nie może być ich morderca. - A ten drugi chłopak?

- Przed tym całym koszmarem nigdy nie zwracałam na niego uwagi i pewnie tak by stało, ale po kilku miesiącach znalazłam listy, które pisał do Karoliny. Poszłam z tym oczywiście na policję, ale nic chyba z tym nie zrobili, bo wielokrotnie widywałam go tutaj.

- Jak on się nazywa?

- Nie pamiętam. Ale opisałam go dobrze pana kolegom i podałam namiar do jego wujka, który sprawował nad nim opiekę.

## Rozdział 68

Zaliczyła w życiu wiele imprez, więc ból głowy nie był jej obcy, ale z tym, który ją obudził, żaden z dotychczasowych nie mógł konkurować. Miała wrażenie, że gdzieś w środku powstała opuchlizna, która teraz uciska na kości czaszki, i jeżeli ktoś szybko jej nie zmniejszy, głowa wybuchnie niczym puszka piwa zbyt długo trzymana w zamrażalniku.

Po długiej walce toczonej z samą sobą Dagmara otworzyła oczy, ale nic nie zobaczyła. W pierwszym momencie przestraszyła się, że coś z nią nie tak. Że stało się coś, co spowodowało utratę wzroku, i że już nigdy go nie odzyska. Strach ją sparaliżował. Momentalnie poczuła ucisk w żołądku i kanapka, którą zjadła przed tym wszystkim, lekko jej się cofnęła.

Po chwili jednak zobaczyła ledwo widoczną poświatę przy podłodze, prawdopodobnie wydobywającą się spod drzwi, i uśmiechnęła się na ułamek sekundy. Na czworakach dopełzła do szpary, nie mogąc dźwignąć się na nogi.

Ostatnie, co pamiętała, to wizyta na polanie, gdzie znaleziono Karolinę. Jadła lunch i przeglądała informacje w internecie. Wysłuchiwała jakiegoś nagrania o całej sprawie, gdy...

Tutaj kończyły się jej wspomnienia.

Uniosła ręce do głowy i zaczęła ją delikatnie macać.

- Auuu... - jęknęła, gdy lewą dłonią dotknęła wystającego guza. W swoim dość aktywnym życiu niejednokrotnie doznawała urazu, ale jeszcze nigdy jej głowa nie została przyozdobiona czymś takim.

Jednak nie to stanowiło w tym momencie największy problem Dagmary - dobrze wiedziała, że musiała wpaść na trop mordercy. Tylko kim on był i jakie miał plany wobec niej? O ile to pierwsze jej nie przerażało, to ta druga kwestia już tak. Wiedząc, co spotkało cztery ofiary, miała świadomość, że jest w niebezpieczeństwie, w jakim jeszcze nigdy nie była.

## Rozdział 69

Wizyta na lokalnym komisariacie nie należała do najmilszych. Zresztą Grzegorz Wiśniewski nie dziwił się, bo sam nie przepadał, jak nagle pojawiał się ktoś obcy i zaczynał wypytywać o sprawę sprzed lat. Szczególnie gdy chodziło o taką, której nie udało się rozwiązać, a wzbudzała niesamowitą ilość emocji.

Wszyscy patrzyli na niego jak na wroga, zapominając o tym, że grają do tej samej bramki i że im w sumie też powinno zależeć na rozwiązaniu sprawy. W końcu udało mu się dowiedzieć co nieco o krewnym chłopaka, o którym wspominała sprzedawczyni.

Prowadził firmę zajmującą się obsługą imprez masowych oraz drugą budowlaną. Rozstawiali sceny, płoty zabezpieczające, a gdy trzeba było zawiesić wielki baner, to robili pod to całą konstrukcję, a dodatkowo stawiał domy. Podobno w okolicy znali go wszyscy i uchodził za niezwykłe miłego i pomocnego człowieka.

Dla chłopaka, który stał się teraz jednym z podejrzanych, był wujkiem, a dokładniej bratem matki. Niestety kobieta popełniła samobójstwo, zażyła zdecydowanie za dużą ilość środków przeciwbólowych i zasnęła. Już to stanowiło tragedię dla wtedy trzynastoletniego chłopca, jednak na tym się nie skończyło. Jej syn tak bardzo wierzył, że nic złego się nie dzieje, że tylko chwilowo się pochorowała, że przez kilka dni siedział z nią w mieszkaniu i czekał na jej ozdrowienie. Na pytanie komisarza Wiśniewskiego, gdzie był wtedy ojciec, policjant wzruszył ramionami i odpowiedział, że miał już wtedy nową rodzinę i nie przejmował się synem z pierwszego małżeństwa. Po śmierci matki chłopak trafił do ośrodka. Nikt nie chciał się nim zająć, szczególnie że podejrzewano u niego zaburzenia psychiczne. Zresztą sam policjant z uśmiechem na twarzy skomentował to, mówiąc, że się nie dziwi, też nie chciałby takiego bachora w domu.

Wiśniewski miał już na końcu języka słowa: „Moja córka ma autyzm”, co miało się z prawdą, ale powstrzymał się. Nigdy nie należał do osób lubiących sprzeczki czy konfrontacje, więc i tym razem ugryzł się w język.

W końcu z adresem mężczyzny w rękę wyszedł z lokalnego komisariatu. Niestety nie zdobył żadnych danych chłopaka, ponieważ nie było ich w aktach. Co zadziwiające, z jego wujkiem nikt nie rozmawiał, jakby od razu założono, że nic nie wniesie do sprawy i rozmowa z nim to tylko strata czasu.

Droga do siedziby firmy zajęła mu raptem siedem minut. Posiedział jeszcze chwilę w chłodnym samochodzie, dziękując Bogu, że w tym rozklekotanym pojeździe klimatyzacja jeszcze się trzyma, i wysiadł. Z butelką, której postanowił nie zostawiać, podreptał do niewielkiego budynku, w którym mieściło się kilka firm. Na piętrze odnalazł tę, której szukał.

– Komisarz Grzegorz Wiśniewski. Szukam Nikodema Jaworskiego – powiedział bez słowa wprowadzenia.

Trzy osoby siedzące przy biurkach zawalonych segregatorami i teczkami momentalnie oderwały się od pracy i wbiły wzrok w niezapowiedzianego przybysza.

– Wyszedł – odezwała się po chwili szczupła blondynka siedząca najbliżej wejścia. Przesuwała leżącą przed nią dokumentację i sięgnęła po słuchawkę telefonu stacjonarnego, który leżał w rogu biurka. Musiała lekko wstać, aby do niej dosięgnąć. – Proszę usiąść, ja zadzwonię po szefa. – Nie czekając na reakcję policjanta, wybrała numer telefonu, stukając długimi tip-sami o guziki.

Po pięciu minutach do biura wszedł wysoki, szczupły mężczyzna, trzymający pod pachą wypchaną dokumentami teczkę.

– Pan do mnie? – spytał i rozejrzał się po biurze, jakby oczekiwał wyjaśnienia.

– Jeżeli jest pan Nikodemem Jaworskim, to tak.

– To może przejdziemy do mnie. – Wskazał ręką białe drzwi i tam skierował swoje kroki, a policjant powędrował za nim, zostawiając jego pracowników z przerażonymi minami. – Proszę usiąść – powiedział, gdy weszli do niewielkiego pokoju zawalonego, podobnie jak pomieszczenie obok, dokumentami. – Przepraszam za wygląd gabinetu, ale zalano nam piwnicę i na czas remontu musieliśmy zabrać wszystko tutaj. Liczę, że szybko to się skończy, bo nie ma jak pracować. Ale – machnął ręką, jakby chciał odgonić muchę – nie o tym chciał pan rozmawiać. Pewnie chodzi o te dwa morderstwa. Wiedziałem, że prędzej czy później ktoś nas z tym połączy. Moja firma dość prędko się rozwija i, nie chwając się, zazwyczaj to nas wybierają organizatorzy festynów czy koncertów – powiedział i przesunął na bok kilka teczek leżących centralnie przed nim.

– Tak, między innymi o to chciałem spytać – skomentował Wiśniewski, cały czas kiwając lekko głową i mając nadzieję, że rozmówca nie wychwyci jego kłamstwa.

– Pewnie będzie chciał pan przepytac wszystkich pracowników. Straszna sytuacja. Nie obrażam sobie, co mogą czuć rodzice tych dziewczyn. Koszmar. – Mężczyzna zawiesił na chwilę głos. – Proszę powiedzieć, jak chce pan to zrobić? Mają zgłosić się na komisariat czy pan ich odwiedzi?

– Na początek potrzebuję listy pracowników.

Siedzący po drugiej stronie stołu Nikodem Jaworski pogrzebał chwilę w stercie dokumentów, po czym podał policjantowi wydruk.

– Akurat mam ją tutaj. – Uśmiechnął się. – Wiedziałem, że będzie potrzebna, więc się przygotowałem.

– Miło z pana strony.

– To nie uprzejmość, ale obowiązek – powiedział z dumą w głosie.

– I tak dziękuję. W takim razie nie będę już nękał.

Wstał z niewygodnego i chyboczącego się krzesła.

– Ach, zapomniałbym... – Wskazał palcem na listę zawierającą około dwudziestu nazwisk.

– Który z nich to pana siostrzeniec?

W tym momencie po twarzy rozmówcy przeszedł dziwny grymas.

– Chodzi panu o Jarka? – spytał.

– Tak. Wiem, że po śmierci siostry próbował mu pan pomóc, zając się nim.

- Staralem się, chociaż nie było to łatwe. Nie mogliśmy z żoną przyjąć go do siebie. Zrobiłem wszystko, aby zamieszkał w ośrodku jak najbliżej, abym mógł go regularnie odwiedzać.

- A gdzie trafił po zamknięciu tego w Magdalence?

Mężczyzna spojrział na niego smutno.

- Jarek bardzo przeżył to, co się stało. Już śmierć matki mocno nim wstrząsnęła, a to... Znowu przestał mówić. Budził się w nocy, krzycząc. Miał zwidy, omamy. Czasami mówił, że ktoś go podsłuchuje. Lekarze twierdzili, że to schizofrenia. Trafił do szpitala psychiatrycznego, a później ośrodka, który mu pomagał.

- A gdzie teraz jest?

- Mieszka niedaleko u starszej kobiety, która wynajmuje mu sutereneę. Pierwszy raz w życiu jest samodzielny. Pracuje u mnie, ale na lewo... - ostatnie słowo wypowiedział ledwo szeptem.

- Ja nie jestem z urzędu skarbowego czy jakiegoś ZUS-u, więc takie rzeczy zupełnie mnie nie interesują. Nie ukrywam, że chciałbym z nim porozmawiać.

- Ale po co? - spytał trochę za głośno mężczyzna.

- Rutynowa sprawa. Tak jak powiedziałem, chcielibyśmy przesłuchać jak najwięcej osób, może ktoś coś widział.

- Rozumiem - skomentował i bez dalszych dyskusji na małej karteczce napisał adres siostrzeńca.

## Rozdział 70

ON

Wkurzyłem się.

On zaczął robić wszystko sam.

Nagle stał się taki dojrzały. Silny. Samodzielny.

Beze mnie, a to ja wszystkiego go nauczyłem.

Wpadłem do niego, a ten siedział przy laptopie, który kupił sobie przez internet, i pisał do jakiejś laski, wciskając jej niezłe farmazony. Nagle z takiego wystraszonego chłopaczka prze-rodził się w wygadanego i pewnego siebie.

Poznał ją na Tinderze, którego zresztą ja go nauczyłem. Sądziłem jednak, że – jak ze wszystkim – nie da rady i będę go prowadził za rękę po wsze czasy, a ten tu nagle wyskakuje, że umówił się z dziewczyną.

I na dodatek zabiera ze sobą psa. Włodzimierza, któremu zmienił imię na Salio.

Kto to, kurwa, jest Salio?

I najśmieszniejsze.

Przedstawił się jako Mario.

Jak ten pieprzony funfel Luigiego.

Widziałem, jak chodzą po parku, jak zachwycona drapie pieska za uchem. Spacerowali tak jak jakieś stare dziady, aż ku mojemu zaskoczeniu weszli do baru. Zamówili po piwie.

Z daleka obserwowałem, jak on wylewa swoje, a do jej kufła coś dosypuje.

„Brawo, stary!” – miałem ochotę krzyknąć, podejść i poklepać go po ramieniu, chociaż jednocześnie czułem zazdrość.

Jednak nie ruszyłem się. Z miejsca, gdzie stałem, widziałem, jak ona zaczyna się pokładać. Po jakimś czasie wyszli. Zastanawiałem się, dokąd pójdą. Odprowadzi ją do domu, a może...

Ku mojej radości poszli do niego.

Stałem przez dłuższą chwilę pod jego drzwiami, zastanawiając się, co mam zrobić. W końcu nie wytrzymałem. Wyjąłem klucze, które kiedyś mi dał, i ruszyłem. Nie po to go wyszkoliłem, aby teraz nie korzystać z nagrody.

Gdy mnie zobaczył, przeraził się, jakby się bał, że go okrzyczę.

Ale ja chciałem tylko tam być.

Pozwoliłem mu zrealizować jego fantazję, a gdy skończył, wywoziłem ją do Lasu Kabackiego. Gdy otworzyła oczy, nieco spanikowałem. Liczyłem, że to, czym ją naćpał, będzie działała dłużej, ale się pomyliłem.



Chwyciłem pierwszy lepszy kamień i walnąłem ją w głowę. Z rany zaczęła się sączyć krew. Schowałem narzędzie zbrodni i... zacząłem zabawę.

Obiecaliśmy sobie, że musimy się ogarnąć. Jak dalej będziemy tak robić, ściągniemy na siebie policję albo – co chyba jeszcze gorsze – mojego ojca, którego złość może być dużo straszniejsza od suk.

Tylko że jakaś laska przypałała się pod ośrodek, a ten młotek wymyślił sobie, że ona coś o nas wie, i rąbnął ją w łeb. Zadzwoił i tym srającym głosem powiedział, że potrzebuje pomocy. Dobrze, że matka zostawiła swoje auto, bo inaczej ciężko byłoby przetransportować dziewczynę.

Zamknęliśmy ją w piwnicy i razem czekaliśmy na rozwój zdarzeń.

## Rozdział 71

Carlos patrzył na wiszący na ścianie zegar i z każdą upływającą minutą stresował się coraz bardziej. Nie miał zielonego pojęcia, dokąd pojechała Dagmara, a jej telefon milczał jak zakłęty. Od siedmiu godzin nie używała Messengera, na co wskazywała informacja w aplikacji.

Jedynie, co wiedział, a co go niepokoiło, to fakt, że jej rower znajdował się niedaleko ośrodka, który odwiedziła dzień wcześniej. Niestety dane przekazywane przez zamontowany na ramie nadajnik GPS nie dawały dokładnych współrzędnych.

Równo o dwudziestej drugiej wstał z kanapy, na szybko napisał Dagmarze kartkę, że jeżeli wróci, to natychmiast ma do niego zadzwonić, i wyszedł z mieszkania dziewczyny. Na ulicy stał jego ukochany skuter, który stanowił powód niezliczonych docinków.

- To, że coś ma dwa koła, nie oznacza, że jest męskie.
- Tyle koni mechanicznych to ma wózek mojej kuzynki, którym przewozi swoje bliźniaki.
- Jakbyś pomalował go na różowo, wszystkie nastolatki byłyby twoje.

Słuchał tego na każdym kroku, ale teraz nie miało to znaczenia.

Wsiadł na odrestaurowaną vespę i ruszył. Po pięćdziesięciu minutach zajechał na miejsce, które pokazywała aplikacja. Niestety poza lasem, który nocą robił przerażające wrażenie, nic nie widział, dlatego skierował się na komisariat w Magdalence. Zupełnie nie miał pojęcia, jak zacząć, ale czuł, że musi coś zrobić. Trzema susami pokonał schody i popchnął przeszklone drzwi wejściowe.

- Nie mogę znaleźć mojej dziewczyny.
- Oj, chyba musi pan jej lepiej pilnować – rzucił znudzony funkcjonariusz.
- Jej się coś stało. Przyjechała tutaj szukać... – Nie wiedząc, co powinien powiedzieć, prze-rwał na chwilę i zapatrzył się w szybę. – Od kilku godzin ma wyłączony telefon. Sprawdziłem aplikację do namierzania jej roweru i wskazała, że jest gdzieś w pobliżu.

- Spokojnie – skomentował mężczyzna i odłożył trzymany w rękę telefon. – Ile pana dziewczyna ma lat?

- Dwadzieścia pięć.
- Od kiedy jej nie ma?
- Od ośmiu godzin.
- Czy zdarzało jej się tak zniknąć?
- No... – zawahał się. Gaga już parę razy poszła na piwo z koleżanką lub nagle wpadła na pomysł nocnej wycieczki, nie informując go o tym.

- Widzi pan, może to nie jest zaginięcie. My postawimy pół policji na nogi, a pana koleżanka, dziewczyna, narzeczona, zaraz zapuka do domu.

- Ale jej się coś stało. To nie może być przypadek! – powiedział podniesionym głosem.

- Tylko bez kłótni. My tutaj mamy co robić. - Funkcjonariusz wstał, jakby chciał pokazać Carlosowi, że jest od niego większy i może w sekundę sprowadzić go do parteru. - Proszę wrócić do domu. Podzwonić po znajomych. Popytać, czy może wspominała komuś o jakimś wyjściu. Większość osób odnajduje się szybko.

- Może i ma pan rację, ale nie wiem, jak wytłumaczyć jej obecność tutaj. Wczoraj w ramach prowadzonego śledztwa dotarła do ośrodka...

- Wychowawczego? - spytał policjant i nachylił się delikatnie, jakby dopiero teraz zainteresował się sprawą.

- Tak, tego samego, w którym osiem lat temu zginęła dziewczyna.

- Karolina - wyszeptał.

- Dokładnie.

- Proszę zaczekać moment - rzucił, wprawiając Carlosa w zdziwienie.

Po chwili siedział naprzeciwko dużo starszego mężczyzny, który z widocznym zainteresowaniem słuchał o odkryciach Dagmary. Czuł, że w końcu ktoś jest gotowy mu pomóc, ale jednocześnie wiedział, że to nagle zainteresowanie oznacza jedno. Jego dziewczyna, jak lubił o niej myśleć, była w niezłych tarapatkach.

## Rozdział 72

- Nie denerwuj się.

Gdy Dagmara usłyszała gdzieś w oddali głos, ocknęła się z letargu i wyciągnęła nogi. Pozycja embrionalna, w której przeleżała ostatnie kilkadziesiąt minut, przestała być komfortowa, o ile można w ogóle mówić o komforcie, gdy człowiek ma związane ręce, i to z tyłu, na plecach.

- Ale ja nie wiem, co robić - odpowiedział ktoś. Ten głos był piskliwy, co spowodowało, że Gaga nie wiedziała, czy to dziewczyna, czy może młody chłopak.

- Wiesz, że zawsze ci pomogę. Obiecałem ci to sto lat temu i dotrzymam słowa.

- Wiem - powiedział już spokojniej ten drugi.

Minuty mijały, a głosy milczały. Nagle Dagmara usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu i kroki. Ktoś chodził za ścianą, robiąc przy tym sporo hałasu, i nagle wszystko ucichło.

Kolejny dźwięk, który dobiegł jej uszu, to pukanie i szept:

- Nie stresuj się. Jestem tutaj.

Później znowu kroki i otwieranie drzwi.

- Tak? - powiedział piskliwy głos.

- Komisarz Grzegorz Wiśniewski.

Gdy usłyszała te trzy słowa, aż podskoczyła z radości. Nie wierzyła, że ktokolwiek wpadnie na ten trop, a tym bardziej że tak szybko ruszą poszukiwania.

- Coś się stało?

- Mogę wejść? - spytał policjant.

- Tak, chociaż trochę się spieszę. Do pracy.

- Rozumiem, nie zajmę panu długo.

Ponownie usłyszała kroki, a następnie szurnięcie, co mogło oznaczać, że rozmówcy przemieśli się do stołu. „Myśl, myśl!”, powtarzała w głowie Dagmara, licząc że tym prostym sposobem wpadnie na rozwiązanie swojej sytuacji. Już wcześniej przepelzła całe pomieszczenie i stwierdziła ze smutkiem, że nic w nim nie ma. Zupełnie. Jedyne, co mogła zrobić, to kopanie w drzwi, chociaż mając związane ręce z tyłu i nogi w kostkach, pozostało jej niewielkie pole manewru.

- Co pan robił dwa tygodnie temu w nocy z czwartku na piątek, z ósmego na dziewiąty czerwca?

- Trochę dawno temu to było - skomentował chłopak. - Znając życie, to byłem tutaj.

- Ktoś może to potwierdzić?

- Myszy chyba tylko - zaśmiał się, a Dagmara przysunęła się bliżej drzwi.

- Czyli nie ma tu nikogo?

- Nie. Jestem sam jak palec.

- A tydzień temu, z piątku na sobotę?

- Też pewnie tutaj. Ja mam bardzo nudne życie, ale mnie to pasuje. Chodzę do pracy, a później siedzę tutaj. Czasami wpadnę do wujka.

Mocno kopnęła w drzwi, aż poczuła ból w biodrach.

- Co to było? - usłyszała głos policjanta i zalała ją ulga.

- Nie wiem - odpowiedział spokojnie chłopak. - Pewnie to kot. Jak gania za myszami, to robi niezły rumor.

Już chciała napiąć się raz jeszcze i powtórzyć swój wyczyn, gdy usłyszała szelest, a sekundę później ktoś przekręcił klucz w drzwiach.

- Ty mała suko... - wysyczał cicho mężczyzna, którego nie widziała wcześniej. Stał pod światło, więc nie mogła dostrzec jego twarzy, ale widziała, że jest bardzo wysoki. - Myślisz, że jesteś taka sprytna? Mylisz się - wycedził przez zaciśnięte zęby, a ona zobaczyła lecący w jej kierunku but. Później wszystko spowiła ciemność.

## Rozdział 73

ON

Gdy lata temu ojciec oznajmił, że on z nami zamieszka, wkurzyłem się nie na żarty. Byłem je-  
dynakiem i uwielbiałem ten stan. Nikt nigdy mi tego nie zabierze.

Ale musiałem wyluzować. Ojciec wtedy był na mnie cięty, więc wolałem nie podskakiwać.  
Grzecznie potakiwałem i pytałem tylko o szczegóły techniczne. Gdzie będzie spał, czy pójdzie  
do szkoły i takie tam. Matka, która przysłuchiwała się rozmowie, aż uśmiechnęła się, docenia-  
jąc moje zaangażowanie, a ojciec pokiwał z aprobatą głową i wyjaśnił, że on zajmie pokój go-  
ścienny, który trzeba posprzątać. Oczywiście ja miałem to zrobić, ale nawet na to nie mrugna-  
łem.

Po trzech dniach do nas przyjechał – chudy jak patyk i z tymi zapadniętymi w twarzy  
oczami, z walizką tak małą, że nie wiedziałem, co tam zmieścił. Dwie pary majtek, skarpetki,  
parę spodni i może bluzę. Ale nic więcej.

Matka zaprowadziła go do pokoju, piskliwym głosem cały czas komentując jego sytu-  
ację. Poszedłem za nimi. Gdy ona wyszła, zacząłem wypytywać go o to, co się stało z jego  
mamą. Nie żeby mnie to jakoś ciekawiło, ale wiedziałem, że ojciec podsłuchuje i dzięki temu  
zdobędzie parę punkcików. On odpowiadał półsłówkami. Ciągnąłem go za język, ale to, co mó-  
wił, średnio mnie interesowało.

Dni mijały, a ja się do niego przekonywałem. Zawsze grzecznie słuchał i robił wszystko, co  
wymyśliłem. Po tygodniu wpadłem na szalony pomysł. Od jakiegoś czasu miałem kosę  
z matką. Czepiała się o wszystko. Wymyśliła nawet, że w wakacje pojedę na obóz językowy.  
W życiu! Chciałem iść pomagać na budowie u ojca, a nie wkuwać szwabski.

Dziadkowie mieli działkę, więc postanowiłem ją zjarać. Kiedyś kumpel mi pokazał, jak  
podpalić coś takiego. Trzeba do butelki wlać benzynę, wsadzić kawałek materiału i jak się jest  
gotowym, podpalić i rzucić. Gdy butelka się rozbija, dochodzi do wybuchu.

Zrobiłem takie dwie, jedną dla niego, drugą dla mnie. Oczywiście nic mu nie powiedział-  
łem, choć pytał. Dlaczego? Czyja to rudera stoi na łące? Matka niby nie lubiła tego miejsca, bo  
pokłóciła się z dziadkami, ale wiedziałem, że jak ogień to zeżre, to szybko zapała miłością i za-  
tęskni.

W nocy wymknęliśmy się, jak wszyscy już spali. Robiłem to już wielokrotnie, więc nie sta-  
nowiło to żadnego problemu. Na szczęście nie padało jak ostatnimi dniami. Doszliśmy tam  
w jakieś czterdzieści pięć minut, zamieniając ze sobą raptem kilka słów.

– A jak ktoś nas złapie? – wydusił w końcu z siebie. Wiedziałem, że prędzej czy później wyj-  
dzie z niego boidudek.

- Nikogo tu nie ma. To stara, zapuszczona chałupa, o której wszyscy zapomnieli. Jej właściciel to megadupek, więc należy mu się kara – skłamałem i wyciągnąłem butelki. Podąłem mu jedną i podpaliłem najpierw jego, później swoją. – No to lecimy!

Nie czekając na jego reakcję, rzuciłem najmocniej, jak potrafiłem. Po chwili zrobił to samo, ale w odróżnieniu do mnie na jego twarzy nie zagościła radość, lecz przerażenie.

Patrzyliśmy, jak drewniany domek zaczynają trawić płomienie. Robiły się coraz większe i mimo że staliśmy dość daleko, czułem ich ciepło. Zacząłem tańczyć jak te afrykańskie ple-miona.

- Ktoś tam jest! – krzyknął nagle, a ja zamarłem.

- Kurwa, nie rób sobie jaj. Tu nikogo nie ma.

Po sekundzie jednak sam zauważyłem coś dziwnego. Wybiegającą z budynku postać, której całe ubranie płonęło.

- Musimy mu pomóc! – wrzasnął i już chciał podbiec do tej osoby, ale chwyciłem go za rękaw.

- Nie. To nic nie da. On i tak umrze – rzuciłem, nie mając pojęcia, czy to prawda. Trzymałem go tak długo, aż ten człowiek się osunął. – Musimy uciekać.

Wtedy na niego spojrzałem. Posikał się w gacie. „Leszcz”, pomyślałem.

Wróciliśmy do domu już bez żadnych problemów. Położyłem się do łóżka i zasnąłem jak dziecko, jednak poranek nie był tak cudowny. Pierwsze, co zobaczyłem, to twarz ojca i jego grymas, który świadczył o tym, że jest mocno wkurwiony.

Od razu wiedziałem, że on wie, a ja ułożyłem sobie plan ewakuacji. Zrzuciłem wszystko na niego. Jakoś w życiu trzeba sobie radzić.

I tym sposobem dwa dni później znowu stałem się jedynakiem, a on trafił do ośrodka w Magdalence.

## Rozdział 74

Od rana bolała go klatka piersiowa i miał wrażenie, że poci się trzy razy bardziej niż normalnie. Najchętniej zostałby w domu, ale wiedział, że nie może.

Po odwiedzinach u Nikodema Jaworskiego wpisał adres wskazany przez mężczyznę. Już podjeżdżając na miejsce, wiedział, że coś jest nie tak. Parkując przed nowoczesnym kompleksem bloków, nie spodziewał się żadnej sutereny w takim budownictwie. Wysiadł i podszedł do stróżówki. Krótka rozmowa z nudzącym się w środku ochroniarzem utwierdziła go w przekonaniu, że otrzymał zły adres.

Niestety gdy ponownie wrócił do biura, nie zastał właściciela firmy budowlanej. Okazało się, że nagle musiał gdzieś wyjść. Na jego szczęście jedna z pracownic znała właściwy adres Jarosława i zapisała mu go – było to zupełnie inne miejsce, niż wskazywał mu wcześniej Jaworski.

Wiśniewski schował kartkę do kieszeni i wybrał się na spacer, widząc, jak to blisko. Po stu metrach musiał zwolnić, bo miał wrażenie, że się przewróci. Zawroty głowy nasiliły się, a na dodatek pojawił się ucisk w klatce piersiowej.

„Zaraz wrócę do domu”, pomyślał i ruszył dalej. Po dziesięciu minutach stanął przed starym, odrapanym domkiem. Nie widząc nigdzie dzwonka, popchnął furtkę, zszedł po kilku schodach, zbliżył do drzwi i zapukał.

– Tak? – usłyszał dziwny głos po drugiej stronie.

– Komisarz Grzegorz Wiśniewski.

Nie zdążył więcej powiedzieć, bo drzwi się otworzyły.

– Coś się stało?

Przed nim stanął młody chłopak w wieku około dwudziestu trzech, dwudziestu czterech lat.

– Mogę wejść? – spytał.

– Tak, chociaż trochę się spieszę. Do pracy.

– Rozumiem, nie zajmę panu długo – odpowiedział i poszedł za nim. Usiadł na drewnianym krześle, które lepsze czasy miało za sobą. – Co pan robił dwa tygodnie temu w nocy z czwartku na piątek, z ósmego na dziewiąty czerwca?

– Trochę dawno temu. Znając życie, to byłem tutaj.

– Ktoś może to potwierdzić? – spytał, bacznie obserwując rozmówcę. Gdyby nie znał jego życiowej historii, już po pierwszym spojrzeniu wiedziałby, że chłopak nie miał lekko. Miał wybałuszone oczy, jakby czegoś się bał. Dobrze wiedział, że osoby z traumą reagują dość emocjonalnie nawet na niewinną rozmowę z przedstawicielami policji. W sumie to się nie dziwił.

– Myszy chyba tylko – zaśmiał się smutno.

– Czyli nie ma tu nikogo?



- Nie. Jestem sam jak palec.

- A tydzień temu, z piątku na sobotę?

- Też pewnie tutaj. Ja mam bardzo nudne życie, ale mnie to pasuje. Chodzę do pracy, a później siedzę tutaj. Czasami wpadnę do wujka.

W tym momencie do ich uszu dobiegł jakiś hałas, tak jakby coś spadło lub ktoś w coś uderzył.

- Co to było?

- Nie wiem, pewnie to kot. Jak gania za myszami, to robi niezły rumor – powiedział chłopak dość głośno.

- Nie sprawdzi pan?

- Później pójdę, ale nawet jakby coś przewrócił, to nie mam nic wartościowego.

- Rozumiem – odpowiedział komisarz trochę zmieszany. Reakcja chłopaka była dość nie-naturalna. W tym momencie poczuł mocniejsze ułknięcie w klatce piersiowej. Odruchowo złąpał się za to miejsce.

- Wszystko w porządku? – spytał rozmówca.

- Nie. Mam jakieś nerwobóle. Zaraz mi przejdzie. Niech mi pan jeszcze tylko powie, kto według pana zabił osiem lat temu Karolinę Werner?

- N-nie wiem – odpowiedział nerwowo.

W tym momencie ból, który przeszył ciało komisarza Grzegorza Wiśniewskiego, stał się nie do zniesienia.

- Przepraszam, ale muszę... – Zerwał się na równe nogi i zatoczył lekko. – Zadzwoń do pana później. Ja nie mogę teraz.

Wyszedł z mieszkania chłopaka, zupełnie ignorując fakt, że zachowuje się dziwnie. Dotarł do furtki, czując się nierealnie, jakby stracił panowanie nad swoim ciałem. Oparł się ciężko o słupek w płocie i sięgnął po telefon. Wybrał numer do żony, ale już jej nie usłyszał, bo odpłynął.

## Rozdział 75

– Proszę pana...

Dagmara podczołgała się do mężczyzny, który leżał koło niej. Po wizycie nieznanego, który potężnym uderzeniem w głowę ukarał ją za kopnięcie w drzwi, zemdląca. Nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna.

Mężczyzna, który leżał koło niej, wydawał z siebie dziwne dźwięki. Charczał, tak jakby każdy oddech stanowił dla niego problem. Gdyby nie skrupowane ręce, próbowałaby mu pomóc, bo oddychał, jakby coś go dusiło.

Minuty mijały, a w głowie cały czas miała pustkę. Wiele by oddała, aby cofnąć czas. Nie udawałaby niezniszczalnej. Przyjęłaby pomoc Carlosa. Słuchałaby go, a nie jak zwykle wychodziła z założenia, że wszystko wie najlepiej.

Oddech mężczyzny robił się coraz słabszy, jakby jego organizm nie dawał rady. Zupełnie nie wiedziała, co mu jest, ale czuła całą sobą, że jeżeli zaraz nie pojawi się pomoc, on nie przeżyje. Leżała tak beczynn timer, nie mogąc nic zrobić, a łzy płynęły po jej policzkach z bezsilności. Kawałek materiału, który miała w ustach, nasiąkł nimi, bo poczuła słony smak.

Musiała przysnąć, bo gdy otworzyła oczy, w pomieszczeniu panowała totalna cisza. Nie było już nawet sporadycznego oddechu.

Mężczyzna zmarł.

## Rozdział 76

ON

Trochę mu zazdrościć.

No dobra nie trochę, ale bardzo. Z jakiegoś powodu on może wszystko sam robić.

Niby matka mówi, że powinniśmy mu współczuć, bo jest chory. Nigdy nie założy rodziny i takie tam pierdoły. Jakbym chciał mieć wrzeszczące bachory, które płaczą, srają i są upierdliwe. Wystarczy mi koszmar, jaki przeżywam za każdym razem, gdy przyjeżdża do nas ciotka ze swoimi dziećmi. Po pół godziny głowa mnie boli i liczę, że ojciec wymyśli jakieś nagłe prace na budowie czy jakiejś imprezie. Mogę harować za darmo, żeby tylko nie musieć tego znosić.

Gdy zadzwonił do mnie, od razu wyczułem, że coś się dzieje. Niczego z tego, co mówił, nie zrozumiałem. Pieprzył o jakiejś dziewczynie i prosił... nie, błagał o pomoc.

Niespiesznie przyjechałem, mimo że ciekawość mnie zżerała – nie lubię latać na czyjeś wezwanie. Każdy ma na mnie czekać. To ja mam czuć kontrolę nad każdą sytuacją.

Gdy wszedłem, siedział na kanapie, ze stopami na niej, przytulił kolana i bujał się w przód i w tył jak jakiś pieprzony psychol. Już raz tak robił, po śmierci tej pierwszej dziewczyny. Obliciał mnie wtedy strach, że wszystko wygada i będę miał przesrane. Na szczęście udało mi się go przekonać, że jestem jedyną osobą, która go zna i jest w stanie mu pomóc.

Teraz, widząc go w takim stanie, wiedziałem, że będę musiał wyjść.

– Nie denerwuj się – powiedziałem i podszedłem do niego.

Przez chwilę patrzył na podłogę przed sobą. Jakby ktoś go zahipnotyzował lub naćpał. Usiadłem obok niego i położyłem mu rękę na ramieniu. Gdyby matka mnie zobaczyła, zakłaskałaby triumfalnie w dłonie, mówiąc, że w końcu wychodzi ze mnie porządny człowiek. Tylko ja mam w dupie jego uczucia. Troszczę się tylko o tajemnicę, którą razem niesiemy na barkach.

– Ale ja nie wiem, co robić – odpowiedział w końcu. Jego głos jak zawsze był cichy jak u przestraszonej dziewczynki. Najchętniej przywaliłbym mu z otwartej ręki, ale nie wiem, jak by zareagował.

– Wiesz, że zawsze ci pomogę – powiedziałem zamiast tego. – Obiecałem ci to sto lat temu i dotrzymam słowa.

– Wiem – skomentował i delikatnie się uśmiechnął.

Siedzieliśmy tak chwilę. W końcu puścił nogi, postawił je na ziemi i przestał wyglądać jak pipa. Już miałem nadzieję, że to koniec, gdy do moich uszu doleciało skrzypnięcie furtki przed

domem. Zerwałem się na równe nogi, prawie przewracając krzesło. Ktoś szedł do nas. Nie mógł mnie tu zastać.

- Nie stresuj się. Jestem tutaj - szepnąłem i zamknąłem za sobą drzwi od części typowo piwnicznej.

Stanąłem jak najbliżej. Nie chciałem niczego przegapić. Przykleiłem ucho do drewnianych drzwi, tak że drzazga wbiła mi się w policzek.

- Tak? - spytał ten jełop. Co to za pytanie. I to jeszcze tym swoim cienkim głosem, jakby zaraz miał się zesrać albo paść martwy.

- Komisarz Grzegorz Wiśniewski.

„Kurwa!!!”, chciałem krzyknąć. Gorzej być nie mogło.

Policja.

Przecież on zaraz tam umrze ze stresu, co nie byłoby takie złe. Gorzej, jak zacznie opowiadać ze szczegółami wszystko, co zrobiliśmy.

- Coś się stało? - wydukał, a ja od razu przed oczami miałem jego przerażoną twarz. Zresztą niewiele trzeba było, aby tak wyglądał.

- Mogę wejść? - usłyszałem. Nie widziałem człowieka, ale mógłbym się założyć, że był w wieku mojego dziadka lub starszy. W tak samo cierpiący sposób mówił.

- Tak, chociaż trochę się spieszę. Do pracy.

- Rozumiem, nie zajmę panu długo, obiecuję - odpowiedział i chyba wszedł do środka. - Co pan robił dwa tygodnie temu w nocy z czwartku na piątek, z ósmego na dziewiąty czerwca? - wypalił bez słowa wprowadzenia. Element zaskoczenia, jak w filmach akcji.

- Trochę dawno temu. Znając życie, to byłem tutaj.

- Ktoś może to potwierdzić?

- Myszy chyba tylko - rzucił, a ja triumfalnie zacisnąłem dłoń. Kontrolował się.

- Czyli nie ma tu nikogo?

- Nie. Jestem sam jak palec.

- A tydzień temu, z piątku na sobotę? - Kolejne okrutne pytanie.

- Też pewnie tutaj. Ja mam bardzo nudne życie, ale mnie to pasuje. Chodzę do pracy, a później siedzę tutaj.

W tym momencie wszyscy troje usłyszeliśmy trzask, tylko w odróżnieniu od policjanta od razu wiedziałem, skąd dochodzi.

- Co to było? - usłyszałem, kierując się w głąb korytarza.

- Nie wiem, pewnie to kot. Jak gania za myszami, to robi niezły rumor - powiedział dość głośno, jakby chciał dać mi sygnał. Uśmiechnąłem się.

- Nie sprawdzi pan?

- Później pójdę, ale nawet jakby coś przewrócił, to nie mam nic wartościowego.

- Rozumiem - westchnął mężczyzna

- Wszystko w porządku? - usłyszałem, ale zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi. Brzmiała w tym pytaniu nuta troski.

- Nie. Mam jakieś nerwobóle. Zaraz mi przejdzie. Niech mi pan jeszcze tylko powie, kto według pana zabił osiem lat temu Karolinę Werner?

- N-nie wiem.

Stałem przed drzwiami do zamkniętej komórki, dokąd według bełkotu, który przekazał mi przez telefon, wrzucił jakąś dziewczynę. Otworzyłem je i zobaczyłem ją.

Miała wzrok zadziornej, wrednej, małej pindy. Gdyby nie policjant, który chodził mi nad głową, pogadałbym sobie z nią, ale niestety nie mogłem.

- Ty mała suko... - wycedziłem przez zaciśnięte zęby. Nawet nie zauważyłem, kiedy moje ciało całe się napięło i wstąpiła w nie jakaś moc. - Myślisz, że jesteś taka sprytna? Mylisz się.

Strzeliłem jej gonga. Padła, a ja już chciałem przejść do kolejnego etapu znajomości, gdy usłyszałem otwieranie drzwi.

## Rozdział 77

– Jadę z wami. – Carlos założył ręce na piersiach i napiął się, jakby swoją posturą chciał zaznaczyć, że nie odpuści. – Muszę być tam, jak ją znajdziecie.

– A jeżeli jej tam nie będzie? – spytał komendant, który przejął sprawę.

– Trudno.

– Widzę, że pan nie odpuści. Może pan za nami jechać, ale proszę trzymać się w bezpiecznej odległości.

– Oczywiście. – Pokiwał głową i ruszyli.

Plan był prosty. Mieli namierzyć kobietę, z którą rozmawiała Dagmara. Było więcej niż pewne, że powiedziała jej ona coś, co naprowadziło dziewczynę na mordercę. Radiowóz zaparkował przed ośrodkiem i jeden z funkcjonariuszy poszedł do pobliskiego domu, gdzie podobno mieszkała była kucharka. Nie zastawszy jej, podreptał do sklepu.

Gdy wychodził z budynku, Carlos dostrzegł na jego twarzy coś na kształt uśmiechu. Ponownie ruszyli, ale ich podróż nie trwała długo. Kolejny postój i po pięciu minutach znowu jechali. Tym razem przejechali pięćset metrów, gdy ich oczom ukazała się karetka i trzy radiowozy na sygnale.

– Co, do cholery? – krzyknął sam do siebie Carlos i zahamował na trawie. Rzucił skuter i pognął do jednego z policjantów, którzy byli już na miejscu. – Gdzie jest Dagmara?

Mężczyzna spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Przepraszam, ale nie wiem, kim jest Dagmara.

– To co tu się stało?

W tym momencie stanął za nim komendant lokalnej policji. Przedstawił się i ruszył za funkcjonariuszem, którego wypytywał chłopak zaginionej. Wszystko wyglądało jak z filmu grozy. Cztery błyskające stroboskopami auta, zbierający się tłum i brak pomysłu na to, co właściwie się dzieje.

Carlos podszedł bliżej, licząc, że czegoś się dowie. Ku jego zdziwieniu po pięciu minutach został zawołany przez jednego z policjantów.

– Zna pan komisarza Grzegorza Wiśniewskiego?

– Nie. – Pokręcił głową. Pierwszy raz słyszał to imię i nazwisko. – A kto to?

– Policjant z Warszawy. Przyjechał tutaj w sprawie morderstw...

– Tych dziewczyn z Wilanowa i Ursynowa? I jeszcze...

– A skąd pan wie? – spytał lekko zdziwiony i popatrzył na komendanta, jakby to ten mu coś wspomniał.

– Moja dziewczyna to odkryła i przyjechała tutaj. Od wczoraj nie mam z nią kontaktu.

– Rozumiem. A tak właściwie co wy tutaj robicie? – Tym razem poszukujący zaginionego komisarza policjant zwrócił się do komendanta.

- Mamy trop, ale nie wiem, czy to zamieszanie, które tutaj zrobiliśmy, nie zaszkodzi. Nie wiem, czy nie trafiliśmy na chłopaka, który mógł mieć coś z tym wspólnego. Mieszka trzysta metrów stąd, był wychowankiem w tamtym ośrodku, koło którego zginęła pierwsza dziewczyna.

Nie czekając na reakcję któregokolwiek z mężczyzn, ruszył w kierunku domu starszej kobiety, u której mieszkał interesujący ich chłopak. Gdy tylko wyszli z za rogu, dostrzegli zamykające się drzwi.

- Jeżeli faktycznie jest tam wasz kolega i zaginiona dziewczyna, nie możemy tam tak po prostu wejść, bo dojdzie do tragedii - zaczął przemowę komendant.

- Ja mogę się po cichu zakraść i zobaczyć, co się dzieje w środku - zaproponował Carlos, który szedł z funkcjonariuszami jak równy z równymi.

- Chłopcze, chyba naoglądałeś się za dużo filmów sensacyjnych. Nie ma takiej możliwości - skomentował starszy mężczyzna.

- Ale ja...

- Nie ma też żadnego „ale” - przerwał mu i rozejrzał się dookoła. - Pan pójdzie - rzucił do policjanta, który przyjechał w poszukiwaniu warszawskiego kolegi.

- Dobrze - odpowiedział ten i ruszył wzdłuż budynków.

## Rozdział 78

– Co wy tutaj kombinujecie? – Dagmara ponownie usłyszała jakiś męski głos. Wcześniej go nie wyłapała, należał do osoby starszej.

– My? – odpowiedział inny, ale nie ten piskliwy, który rozmawiał z policjantem.

– Tak, wy. Była u mnie policja. Boże! – krzyknął mężczyzna. – Wy znowu zrobiliście coś straszego? Ja już nie dam rady was chronić! – Głos przeszedł w bardziej płaczący.

– Ale tato, nie wiem, o co ci chodzi – odpowiedział mu jeden z młodych.

– Teodor! Nie kłam! To nie może być przypadek! Widziałem zdjęcia w internecie i to twoje popisowe ułożenie majątek. Przecież zawsze tak robisz, żeby matkę wkurzyć. Układasz majątki w kosteczkę, zamiast zająć się poważnymi sprawami.

– Tato, to nie ja! – krzyknął chłopak. – To Jarek!

W tym momencie do Dagmary dobiegł dźwięk przewracanego mebla, raczej krzesła, ale nie była pewna.

– Nie mów tak! – pisnął trzeci uczestnik rozmowy. – Nie mów tak!

– Widzisz, tato, on zwariował. Znowu.

– Nie mów tak. Nie mów tak – powtarzał tamten podniesionym głosem.

W mieszkaniu zapanowała cisza. W końcu chłopak nazwany Jarkiem przemówił, ale jego głos był inny: mocniejszy, pewniejszy.

– Powiedziałeś, że jesteś moim przyjacielem. Że pomożesz mi stać się mężczyzną. Sam mówiłeś mi, co mam robić. Sam układałeś w tych pozach. Sam robiłeś im... straszne rzeczy, a teraz... Nieee!

Zza ściany dobiegł ją dźwięk szarpaniny. Dużo by dała, aby tam być, aby zobaczyć, co dzieje się kilka metrów od niej. Wyobraźnia podrzucała jakieś obrazy, ale Dagmara szczerze wątpiła, by były zgodne z rzeczywistością.

– Jarek, uspokój się... – Starszy mężczyzna prawdopodobnie próbował rozdzielić szarpiących się chłopaków. – Odłóż nóż. Teodor... On...

– On mnie wykorzystał. Udawał przyjaciela, a teraz zrzuca na mnie winę.

– Wierzę ci! – krzyczał.

– Ty wierzysz mi? Ha, ha, ha! – Chłopak zaśmiał się w tak diabelski sposób, że Dagmarze przeszły ciarki po plecach. – Nigdy mi nie wierzyles. Zawsze Teodorek był najważniejszy. To on... On... On je zabijał, a ty dobrze o tym wszystkim wiedziałeś. Chroniłeś go. Dbałeś o niego.

– O ciebie też – powiedział mężczyzna, ale dziewczyna od razu wyłapała fałsz w jego głosie.

– Chyba jaja sobie robisz. Umieściłeś mnie w szpitalu psychiatrycznym. Ja głupi myślałem, że to dla mojego dobra, ale nie. Chciałeś nas rozdzielić, aby chronić syna.

– Ja...



Dagmara więcej nie usłyszała, bo zza ściany dobiegły ją krzyki: jeden ranionego zwierzęcia, drugi zrozpaczonego rodzica, ale w tym wszystkim pojawił się jeszcze jeden. Ponownie po jej policzku popłynęła łza, tym razem radości. Nigdy nie spodziewała się, że to jedno słowo może dać jej taką ulgę:

- Policja!!!

## Rozdział 79

- Powinnaś się położyć – powiedział Carlos, otwierając poobijanej Dagmarze drzwi.

Na własne życzenie wypisała się ze szpitala, mimo że lekarz nalegał, aby została jeszcze do następnego dnia.

- Nic mi nie jest. Ten chudy gostek mnie tylko ogłuszył, tamten drugi w sumie też niezbyt mocno mi przywalił. Te leszcze na crossficie mają więcej siły – zaśmiała się, ale z jej ust wydobył się dość dziwny dźwięk, raczej niekojarzący się z radością.

- Ale możesz chociaż na chwilę zostać w domu. Poopowiadasz, co się dokładnie stało, i dopiero później pognasz załatwiać te ważne sprawy.

- No dobra – mruknęła w końcu i usiadła na kanapie. – O, widzę, że się przygotowałeś – skomentowała stojący na stole bukiet i wielkie pudełko z jedzeniem.

Zupełnie jak nie on, zamówił sushi, za którym nie przepadał, ale wiedział, jak jego dziewczyna, jak ostatnio coraz częściej o niej mówił i myślał, uwielbiał.

- Ten policjant, który cię przesłuchiwał w szpitalu, powiedział, że to trochę potrwa. Więc stwierdziłem, że się przydam i skołużę nam coś do jedzenia. Nie sądzę, żeby ten porąbaniec cię karmił.

- Nie mów tak – powiedziała Dagmara ze smutną miną, wprawiając rozmówcę w niemałe zdziwienie.

- Ale jak?

- On nie jest porąbany. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale żał mi go. Stracił matkę, ojciec go odtrącił. Miał naście lat i nikt go nie chciał. Gdy wujek zabrał go do siebie, myślał, że złapał Pana Boga za nogi, ale ten ponownie pokazał mu środkowy palec. Policjant nie chciał mi za wiele mówić, ale z tego, co zrozumiałam, to tak naprawdę nakręcał go jego kuzyn. To on był w tym duecie gorszy. Gdy zginęła ta pierwsza dziewczyna, w ośrodku wychowawczym, rodzice zrzucili całą winę na tego biednego chłopaka. Na Jarka. – Dagmara spojrzała na Carlosa swoimi niebieskimi oczami i to, co przede wszystkim z nich biło, to przeraźliwy smutek. – Wujek zrobił wszystko, aby siostrzeniec trafił do psychiatryka na leczenie, a swojego syna zostawił w domu jakby nigdy nic. Przyciśnięty do ściany powiedział, że jego syn osiem lat wcześniej wrócił do domu cały zakrwawiony, z takim uśmiechem na twarzy, jakby wydarzyło się coś niesamowitego. Oczywiście pozytywnego. Podobno dopiero teraz zorientował się, co jego potomek wraz z siostrzeńcem zrobili w ciągu tych kilku lat. Zaczął opowiadać o wszystkim. Stwierdził, że to jego pokuta i jedyne zadośćuczynienie dla rodzin tych biednych dziewczyn – ostatnie dwa słowa wypowiedziała tak cicho, że siedzący obok niej Carlos ledwo je usłyszał.

- To jest jakiś koszmar, chociaż dobrze, że wszystko się dobrze skończyło.

- Jezu, nawet nie wiesz, jaką poczułam ulgę, gdy okazało się, że ten policjant żyje. Oddychał tak cicho, że myślałam, że jest już po nim. Lekarz powiedział, że było blisko i długo będzie dochodził do siebie, ale powinien z tego wyjść.

- I tego się trzymajmy. A teraz zastanów się, co dzisiaj oglądamy.

Dziewczyna patrzyła przez dłuższą chwilę na chłopaka. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. W końcu nie wytrzymała i delikatnie się uśmiechnęła, a w jej oczach pojawił się blask, który tak uwielbiał.

- Rzuć mi pilota i podaj to sushi. Dzisiaj faktycznie trochę pochilluję, ale jutro muszę coś załatwić.

## Rozdział 80

Natalia Szwed zdecydowanie nie wyglądała jak dziewczyna, z którą Dagmara mogłaby się zaprzyjaźnić. Krótka czarna spódniczka, która ledwo zasłaniała pośladki, głęboki dekolci, który również odsłaniał zdecydowanie za dużo. To jeszcze Gaga może by zaakceptowała, jednak najgorszy był jej makijaż, który z daleka wyglądał jak dwie wielkie czarne śliwy pod oczami.

Usiadła na ławce naprzeciwko baru z kebabami i bacznie obserwowała Natalię. Miejsce jej pracy znalazła dość szybko, ponieważ była dziewczyna jej brata bez żadnych zahamowań relacjonowała każdy aspekt swojego życia. Zaspane poranki i tarzanie się w pościeli. Składniki potrzebne do śniadania, a później jego konsumpcję. Wyjścia z domu i przymiarki różnych stylizacji. Spacerów po warszawskim Ursynowie, gdzie mieszkała i pracowała. Ujęcia z pracy, jak znudzona czeka na klientów czy jak podjada resztki. Wszystko, co tylko jej się przydarzało, lądowało na profilu w mediach społecznościowych. Brakowało tylko ujęć z toalety i byłby komplet relacji z jej życia.

Dagmara obserwowała dziewczynę i zastanawiała się, dlaczego brat zaangażował się w związek z kimś takim. Natalia stanowiła jego totalne przeciwieństwo, przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Nie skończyła studiów, o ile je w ogóle zaczęła. Nie prezentowała się jak ambitna osoba, która chce coś w życiu osiągnąć.

Po godzinie, od kiedy Gaga zasiadła na ławce, Natalia Szwed pożegnała się z kolegami z pracy i wyszła z baru, po czym skręciła w lewo i ruszyła w stronę stacji metra.

Dagmara przyspieszyła kroku, choć głowa cały czas jej pulsowała. Oczywiście nic nie zdradziła Carlosowi, bo położyłby się w drzwiach, uniemożliwiając jej wyjście.

- Zaczekaj! - krzyknęła, będąc metr za dziewczyną.

Natalia odwróciła się, a jej mina momentalnie przybrała zaskakujący wyraz. Trochę przypominała Jokera, przeciwnika Batmana. Jej uśmiech przerażał, a w oczach pojawiła się agresja, której Gaga nie dostrzegła w publikowanych w internecie zdjęciach.

- Nożę kurwa! - krzyknęła, powodując, że kilka osób spojrzało na nie z dezaprobatą. - Święta Dagmara z rodu Zatorskich.

Dagmara stała przed nią i zupełnie nie wiedziała, jak to skomentować. Liczyła się z ostrą wymianą zdań, z przepychanką słowną, ale nie z czymś takim. Dziewczyna wiedziała, kim jest, co stanowiło zaskoczenie, i z góry zepchnęła ją do grupy ludzi znieawidzonych.

- Wiesz co, zastanawiałam się, kiedy wpadniesz na mój ślad. Kiedy dowiesz się, że twój brat prowadził życie, o którym nie miałaś zielonego pojęcia. Podobno niezły detektyw z ciebie, a pod nosem ktoś ci zrobił takiego psikusa! - Zaśmiała się ze swojego dowcipu i ruszyła dalej.

- Możemy porozmawiać? - spytała Gaga w miarę spokojnym głosem. Najchętniej wrzasnęłaby na dziewczynę, ale wiedziała, że może to stanowić zapalnik do dalszej przepychanki.

- Porozmawiać? Teraz? Chyba jaja sobie robisz? Teraz możesz w dupę sobie wsadzić rozmowy! - wrzasnęła jeszcze głośniejszym i ponownie przyspieszyła kroku.

Tego Dagmara nie mogła puścić płazem. Podbiegła do dziewczyny i szarpnęła ją za ramię. Dookoła kilka osób przystanęło, oczekując taniej atrakcji.

- Stój! - Również uniosła głos, a kątem oka dostrzegła, jak jakiś facet ustawił telefon w ich stronę, jakby chciał je nagrać. - Faktycznie mój brat nic mi o tobie nie powiedział. Nie wiem dlaczego, ale chętnie się dowiem.

- Dobrze, a mamusia nic ci nie powiedziała?

- Moja mama? - spytała zdziwiona.

- Tak, twoja mamulka-damulka. Przyszłam do niej, gdy twój brat ze mną zerwał dla tej cizi...

„Moniki”, pomyślała Dagmara, patrząc na plującą z nienawiści dziewczynę. Dopiero teraz dostrzegła, że nie jest wcale taka brzydka. To makijaż, który naniosła na twarz, powodował, że wyglądała karykaturalnie. Szwed tymczasem dalej się piekliła:

- I ona mnie wyśmiała. Powiedziała, że skoro Bartek nie chce ze mną być, to nie jej sprawa. Zresztą patrzyła na mnie tak, jakbym była gorszego sortu, jakbym była niegodna jej syna. Ty też tak na mnie patrzysz. Mierzysz mnie wzrokiem, jakbym tego nie widziała, i pewnie się zastanawiasz, co twój mądry i przystojny braciszek robił z kimś takim jak ja. A on w końcu robił to, co chciał, a nie to, co wy na nim wymuszałyście.

- Nikt niczego nie wymuszał...

- Mów, jak chcesz - weszła jej w słowo Natalia Szwed. - Ja wiem swoje. Wszyscy jesteście tacy sami. Lepsi, fajniejsi, bo macie kasę. Nawet twój brat nie wytrzymał nacisków i rzucił mnie dla tej wywłoki.

- Dlatego wysyłałaś jej te matryoski?

- Ooo, wykazałaś się! - Zaśmiała się i wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów. - Nie będę cię częstować, bo pewnie biegasz codziennie maratony i uważasz, że tylko słabi ludzie palą. - Zapaliła jednego i ostentacyjnie wydmuchała dym w jej stronę. - Może to byłam ja, a może nie. Zresztą co cię to interesuje? Powinnaś być po mojej stronie.

- A niby dlaczego? - spytała zdziwiona Dagmara i poprawiła kucyk, z którego cały czas wysuwały się niesforne kosmyki.

- Bo twój brat ostatecznie do mnie wrócił? Bo to ze mną chciał być, a nie z tą Monisią?

- Nie wierzę ci - rzuciła, kręcąc głową. - Niby dlaczego?

Dziewczyna patrzyła na nią rozbawionym wzrokiem, a po kilku sekundach zaczęła się śmiać. Robiła to coraz głośniej, aż ponownie ruch wokół nich zwolnił, a ludzie zaczęli się na nie gapić.

- A jednak nie odrobiłaś lekcji, więc trochę ci pomogę. Twój brat spotykał się ze mną. Układało nam się super. W końcu odnalazłam kogoś, kto dostrzegł we mnie coś więcej niż fajne cycki i dupę. Powiedział, że powinnam zdawać na ASP i pomoże mi się przygotować. - Widząc zdziwioną minę Dagmary, od razu dorzuciła: - Tak, nawet taki ochłap jak ja może mieć talent. Od zawsze rysowałam, ale dopiero Bartek powiedział, że to jest świetne. Zapisalam się nawet na kurs przygotowujący, co było nie lada wyzwaniem. Od zawsze musiałam pracować, aby mieć coś dla siebie. Ale zwarłam pośladki i udało się. Twój brat mocno mnie wspierał i ku twojemu i pewnie całej rodzinie zdziwieniu... nie finansowo. Nie przyjąłam od

niego ani złotówki. Nie mogłabym. Nie o to chodziło. A potem była pamiętna impreza. Twój brat chciał mnie zabrać. Miał to być swoisty coming out, jak to teraz mówią. Niestety w ostatniej chwili odwołałam. Nie mogłam pójść. Tylko on poznał wtedy Moniczkę. Osaczyła go. Najlepsze, że ja ją kojarzyłam. Kiedyś była na jakiejś imprezie, gapiała się na Bartka, a nawet śliniła. Poszłam za nią do łazienki, a ona... – Szwed zaśmiała się smutno. – Przypieprzyła głową w ścianę i zaczęła krzyczeć, że to ja ją zaatakowałam.

Dagmara Zatorska patrzyła na dziewczynę i zupełnie nie wiedziała, jak to skomentować. Dokładnie tę samą historyjkę przedstawił Carlosowi kumpel Bartka, w jego wersji to Natalia zaatakowała jakąś dziewczynę.

– I nagle mój rycerz przestał być mój. Płakałam nocami, błagałam, żeby się ze mną spotkał. Ale nie chciał. Pojechaliliśmy jeszcze raz na jakiś wyjazd, ale był nieobecny. Cały czas wisiał na telefonie, pisząc z nią.

– Może z Moniką był szczęśliwszy – rzuciła, nie przemyślawszy tego.

– Szczęśliwszy? Serio? Twoja mama na nim to wymogła. Suszyła mu głowę za to, że się ze mną spotykał, więc stwierdził, że może mamusia ma rację, ale wiem, że nie był szczęśliwy. Po jakimś czasie zaczął do mnie pisać. Wiedziałam, że prędzej czy później będziemy razem, a potem stało się... – Dziewczyna posmutniała i spojrzała gdzieś za Dagmarę.

– Wypadek.

– Nie – powiedziała cicho. – To było później. Ja nigdy nie przywiązywałam wagi do dat, ale gdy drugi miesiąc nie miałam... – Natalia Szwed zawiesiła głos i spojrzała wymownie na Gagę.

– Miesiączki... – wyszeptła ta i zmarszczyła czoło. – Chcesz mi powiedzieć, że byłaś w ciąży? Z moim bratem?

– Tak. – Uśmiechnęła się pierwszy raz szczerze i wyciągnęła z kieszeni telefon. Znalazła coś na nim i obróciła w jej stronę. – To Ela, twoja bratanica.

W tym momencie Dagmara poczuła, jak napływają jej do oczu łzy. Dziewczynka miała na oko ze dwa lata i bez wątpienia przypominała ją samą z wczesnego dzieciństwa. Blond włoski, niebieskie oczy i ten zadziór w spojrzeniu, który nigdy nie zniknął.

Patrzyła na fotografię i przez jej głowę przelatywały kolejne pytania.

– On wiedział?

– Nie wiem, chyba nie. Poszłam do niego, ale spotkałam tę pizdę – powiedziała z nienawiścią w głosie. – Z uśmieszkiem na twarzy powtarzała, że Bartek ją kocha i właśnie planują wyjazd zagraniczny. Takie pierdoły. Powiedziałam jej o ciąży i wiesz, co ona na to? Zaczęła się śmiać. Krzyczała, że chcę go wziąć na dziecko i że takie numery nie przejdą. Więc jej pokazałam zdjęcie z USG. Najpierw zdębiała, a później rzuciła, że na to nie pozwoli i prędzej go zabije, niż odda innej.

Na te słowa pod Dagmarą ugięły się nogi. Czyżby tak bardzo się pomyliła do blondyneczki, którą poznała w biurze Kajetana Uznańskiego? Czy aura miłej i sympatycznej, którą wokół siebie roztaczała, była tylko zasłoną dymną?

– To jest jakiś obłąd. Dlaczego nie przyszedł do nas? Pomogliśmy.

Dziewczyna patrzyła na nią obojętnym wzrokiem, aż na jej twarzy ponownie pojawił się ten dziwny wyraz, dokładnie ten sam, jaki przybrała wcześniej na jej widok. Chory, straszny,

przerażający.

- Przyszłam! - krzyknęła, a jej broda zaczęła delikatnie drgać. - Twój brat wspominał, jak ważna jest dla niego jego matka. Więc pojechałam do tej waszej rodzinnej rezydencji. Nawet nie wpuściła mnie do środka, nie zaprosiła na herbatę. Potraktowała jak gówno. Powiedziałam jej wszystko o Monice, jej groźbach, dziwnym zachowaniu. Nie mówiłam wcześniej, ale ona podobno wysyłała do siebie samej SMS-y, które niby ja napisałam. Numer nie mógł być mój, ale nikt tego nie sprawdzał. - Dziewczyna ponownie przerwała i ciężko westchnęła. - Kochałam twój brata. Najbardziej na świecie. Był jedyną moją miłością w życiu. Tak wiele bym dała, żeby wtedy mnie wysłuchał, żeby twoja mama mi pomogła. Opowiedziałam jej wszystko, mimo że jej nastawienie pokazywało jednoznacznie, że mi nie wierzy. Prychała, wzdychała i kręciła głową. A na koniec kazała mi się wynosić. Trzy dni później Bartek nie żył.

- I ty myślisz, że Monika za tym stoi?

- Tak, a niby kto? Wiedziała, że prędzej czy później moja ciąża wyjdzie na jaw, nie mogła do tego dopuścić. Zawsze dostawała to, co chciała, i tym razem nie miało być inaczej.

- Te matrioszki to miała być próba zastraszania?

- Nie wiem. Zaczęłam je wysyłać i poczułam się lepiej. Głupie to, ale nic innego mi nie zostało... - Po jej pokrytych grubą warstwą podkładu polikach popłynęły łzy, zostawiając smugi w makijażu.

- Do mojej matki też? - powiedziała już spokojniej.

Dopiero teraz zrozumiała, że Natalia Szwed tak samo jak ona nie może pogodzić się ze stratą Bartka, a na dodatek od lat nosi na swoich barkach traumatyczny ciężar - wiedzę o tym, kto prawdopodobnie stoi za jego wypadkiem.

- Tak. Chciałam ją ukarać.

- Niestety nie moja mama to otworzyła, ale ja - westchnęła. - Możemy usiąść? - spytała, widząc stojącą nieopodal ławkę. - Trochę mi słabo...

- Coś ci jest? - rzuciła zatroskana dziewczyna i pierwszy raz, od kiedy zaczęły rozmawiać, zdjęła maskę wojowniczkę i awanturnicy.

- Generalnie nie, ale kręci mi się w głowie.

Podeszły do drewnianej ławki i usiadły. Przez dłuższą chwilę w milczeniu obserwowały przejeżdżające ulicą samochody. W końcu odezwała się Dagmara.

- I co teraz?

- Nie wiem. W głowie mam dużo nierealnych pomysłów, które chciałabym wdrożyć. Zemścić się. Ale nie mogę, kochałam twój brata całym sercem, ale mam teraz dla kogo żyć. Nie mogę wylądować w więzieniu. Sama wychowywałam się bez rodziców, nie chciałabym tego zrobić Eli. Kocham ją nad życie, ale jednocześnie tak bardzo chciałabym, aby ta fałszywa suka zapłaciła...

- Zawsze powtarzałam Bartkowi, jak był w szkole i popychali go koledzy, że życie jest za krótkie, aby dawać się upokarzać, wyzyskiwać. Trzeba często być tym silniejszym i wyprzedzać ruchy przeciwnika. Jeżeli prawdą jest to, co mówisz, Monika Uznańska zostanie ukarana w sposób, jakiego się nie spodziewa. - Na twarzy dziewczyny pojawił się szeroki uśmiech. -

A teraz pokaż mi więcej zdjęć młodej, jest kopią mnie z dzieciństwa. Oby z charakteru była mniej wybuchowa, bo będziesz miała przekichane.



## Rozdział 81

Nie nadażał grabić żółto-pomarańczowych liści, które przy najmniejszym powiewie spadały z drzew, tworząc barwny dywan. Jemu to nie przeszkadzało, ale żonie już tak.

Od trzech tygodni mieszkali na Mazurach. Niby szukał czegoś wakacyjnego, ale gdy znaleźli mały całoroczny dom tuż nad brzegiem jeziora, wiedział, że to ten jedyny. Szybko wystawili na sprzedaż mieszkanie w Warszawie, spakowali cały dobytek. Część rzeczy zabrali, część oddali, a to, co kiedyś mogło się jeszcze im przydać, wylądowało u córek w garażach.

Teraz komisarz Grzegorz Wiśniewski, emerytowany policjant, siedział na tarasie i patrzył na jezioro. Nic więcej nie było mu potrzebne do szczęścia.

Od kiedy znaleziono go w piwnicy poszukiwanego chłopaka, już nie wrócił do pracy. Kole-dzy zrobili mu małe pożegnanie w szpitalu, czym zezłościł personel, gdy piętnastu chłopaków zaczęło wносить prezenty, czyli głównie butelki z alkoholem.

Później tylko raz poszedł na komisariat, ale przede wszystkim po to, aby chwilę pogadać z szefem i załatwić niezbędne rzeczy w dziale kadr. Wszystkie śledztwa zamknął, chociaż rozwiązanie tego ostatniego uznał za nie do końca swoją zasługę. Męczyło go to trochę, ale nic nie mógł zrobić. Od kolegi dostał wszystkie dokumenty sprawy, które już przeczytał. Został jeszcze tylko pamiętnik, który znaleziono pod podłogą mieszkania Jarka.

Poszedł po niego do salonu, wiedząc, że Danusia nie wróci przez najbliższe dwie godziny. Zabrał gruby koc, usiadł w bujanym, szerokim fotelu, o którym zawsze marzył, i zaczął czytać.

# Pamiętnik

## 12 sierpnia 2005

Mama znowu się źle poczuła. Leżała w łóżku i płakała. Tata mówił, że to dlatego, że ma globusa. Każe mi wtedy być cicho i jej nie drażnić. Dzisiaj jak zwykle wrócił bardzo późno i znowu zjadłem sam. Nie przeszkadza mi to. Lubię być sam lub tylko z mamą.

Tylko ona jest w stanie mnie wysłuchać. Cichutko chodziłem wokół niej, próbowałem opowiadać o tym, jak się bawiłem z kolegami ciuchcią, którą dostałem na święta od niej.

Patrzyła wtedy na mnie tymi swoimi małymi oczkami i pytała, jaką kolejką, jakby zupełnie zapomniała, że mi ją kupiła. Te głupie zapewnienia dorosłych, że Mikołaj istnieje, zaczynają mnie denerwować. Mam już dwanaście lat i wiem, że to nieprawda.

Ci wszyscy dorośli wmawiają mi głupoty i liczą, że uwierzę. Ale nie ze mną te numery.

Siedziałem na krześle i patrzyłem, jak odpływa po mieszanke leków, które przepisał jej lekarz, gdy nagle rzuciła mi pomysł, żebym pisał pamiętnik, bo podobny taki mądry jestem i wysławiam się jak dorosły, więc z mojego pisania może wyjść coś ciekawego.

Zawsze wydawało mi się, że takie rzeczy robią tylko dziewczyny. Wtedy cicho powiedziała, że robiło tak wielu mężczyzn, ale już ich imion nie usłyszałem, bo zasnęła.

Pochrapывała ledwo słyszalnie, a ja postanowiłem opisywać moje życie.

## 10 października 2006

Godziny mijały, a mama nie ruszyła się. Leżała cały czas w tej samej pozycji na łóżku, przykryta grubą koldrą w ich sypialni. To znaczy jej sypialni, bo ojciec wyjechał do pracy. Powtarzała mi to wielokrotnie, ale ja dobrze wiedziałem, że to nieprawda.

Raz zobaczyłem go z jakąś kobietą, jak szli za rękę. Uśmiechał się od ucha do ucha i co jakiś czas przystawał. Całował ją lub przytulał. To było obrzydliwe. Miałem ochotę podbiec do niego i mu przywalić. Zacząć krzyczeć, że jest wstrętny, a przez niego mama cierpi.

Mama od jakiegoś czasu powtarzała, że jestem już mężczyzną, więc wiedziałem, że dałbym radę, ale wolałem zacząć. Chciałem zrobić to inaczej, chociaż nie wiedziałem jeszcze jak.

Było mi smutno. Ona cały czas wierzyła, że on wróci i znowu będą razem. Nie poprawiałem jej, nie tłumaczyłem, że prawda jest inna. Nie chciałem jej ranić, poza tym mi to pasowało. W końcu mogłem robić wszystko, co chciałem, i nikt nie krzyczał na mnie za porzucane po podłodze klocki Lego czy nieumyte naczynia.

Od kiedy się wyniósł, gdy mama czuła się źle, pozwalała mi ze sobą spać.

Dzisiaj tak było. Gdy wróciłem ze szkoły, zobaczyłem jej palto wiszące w korytarzu i buty, które założyła rano. Musiała przyjść przede mną, co oznaczało, że znowu z nią źle. Cicho poszedłem do jej pokoju. Nie ruszała się, więc wiedziałem, że ma napad i nie wstanie do końca dnia.

Popołudnie spędziłem na bawieniu się kolejką i gdy przyszedł wieczór, zjadłem kolację i ubrałem się w swoją ulubioną piżamę z Kubusiem Puchatkiem, umyłem zęby, wiedząc, jak należy na tym mamie, i położyłem się spać.

## 11 października 2006

Mama cały czas odpoczywała, więc i ja leżałem w łóżku i czekałem.

Zawsze mama mnie budzi, więc gdy się nie ruszyła, nawet się ucieszyłem. Zawsze lubiłem chodzić do szkoły, ale jeden czy dwa dni w domu nic mi nie zrobią.

Może gdybym był starszy, sam bym wszystko zrobił, ale nie potrafiłem. Ubrać się tak, ale śniadanie i autobus to już problem.

Wiedziałem, że jak nie wstanie szybko, to nie zdążę na lekcje. Lubię książki i nauczycieli, ale już innych uczniów niekoniecznie. Mama powtarza, że muszę być twardy i nie mogę przejmować się dziećmi, co mnie przezywają.

A teraz sama leży i jej się nie chce.

Kiedyś mówiła coś o hyciu wzorem do naśladowania, ale chyba tak jak się zachowuje, to nim nie jest. Tak mi się wydaje.

Poprawiłem jej koldrę, żeby nie zmarła. Mama zawsze mówi, że gdy jest się osłabionym, trzeba leżeć w łóżku, bo tylko tak ciało jest w stanie pokonać chorobę.

Zostawiłem ją. Nie chciałem jej przeszkadzać. Poszedłem do swojego pokoju i pobawiłem się z chłopakami. Jak zwykle nikt nic nie przyniósł, ale to nie problem. Mam mnóstwo zabawek, więc damy radę.

## **25 października 2006**

W końcu oddali mi pamiętnik.

Oni kłamią.

Nikomu już nie wierzę.

To wszystko cały czas dzieje się w mojej głowie.

Mama nie ruszyła się z łóżka przez cztery dni. Wstawała, kiedy spałem, żeby mnie nie stresować. Wiem, bo zjadła to, co jej przygotowałem.

W niedzielę albo sobotę, nie wiem, bo już mi się pomyliły dni, przestraszyłem się. Ktoś zaczął walić w drzwi. Ostatnia rzecz, jakiej chciałem, to żeby ktoś obudził mamę. Ona musi spać, odpoczywać. Tylko tak wyzdrowieje.

Powoli na paluszkach podszedłem do drzwi i stanąłem na krześle, przez które podglądałem sąsiadów. Już dzień wcześniej musiałem skorzystać z tej konstrukcji, gdy przyszedł listonosz. Nie otworzyłem mu. Bałem się, że obudzi mamę. Strasznie głośno gada i ma taki piskliwy głos, jak jakiś ptak czy małpa.

- Wiola, otwieraj! - krzyczała ciotka Ania. - Wiem, że jesteś w domu.

Nie chciałem jej otwierać. Była jeszcze gorsza od listonosza. Mama po jej wizycie zawsze źle się czuła. Ciotka zawsze mówiła jej niemiłe rzeczy, po których mama płakała i miała tego globusa. Nie chciałem, żeby poczuła się jeszcze gorzej. I tak było z nią bardzo źle.

Ale ciotka nie odpuszczała. Chciałem iść się bawić, ale nie mogłem. Przeszkadzał mi ten hałas. Stała pod drzwiami i wrzeszczała, że nie odejdziesz i coś o ojcu, że jest dupkiem. Wiem, że nie powinienem tak pisać, bo mama się denerwuje, jak mówię brzydko, ale niestety wyjątkowo ciotka ma rację. Jest niedobrym człowiekiem, chociaż moim ojcem. Mam nadzieję, że nie będę taki.

I wtedy stało się coś śmiesznego. Dawno się nie śmiałem, więc zrobiło mi się miło. Drzwi za ciotką się otworzyły. Wszystko widziałem przez tę dziurę w drzwiach. Aż krzyknęła ze strachu. Nie dziwię się. Pan Zbigniew jest postrachem okolicy, jak to mówi mama. Nie ma jednego oka. Niby zachorował, ale ja myślę, że to w jakiejś bójkę je stracił. Boję się go, ale teraz miałem nadzieję, że przepędzi ciotkę. Aż krzyknęła, gdy go zobaczyła.

Jednak po chwili zaczęła mu tłumaczyć, że mamy nie ma w pracy, a ja nie pojawiłem się w szkole. Przestraszył się. Jego twarz zrobiła się dziwna, wykrzywił się, brwi uniosły, nos zmarszczył, a usta rozszerzyły.

W końcu odwrócił się i poszedł do mieszkania. Miałem nadzieję, że to koniec i ciotka już sobie pójdzie, ale on wrócił z kluczem. Nie wiem, czemu mama mu go dała.

Gdy tylko drzwi się otworzyły, ciotka wpadła do naszego domu i piszczała jak szalona. Nie chciałem, żeby zbudziła mamę, więc powiedziałem prawdę, że jest chora i się nią opiekuję. Pytała, na co i czemu nikogo nie wezwałem. W sumie to sam nie wiedziałem. Nie pomyślałem o tym. Mama zawsze się mną opiekowała, więc chciałem zrobić dla niej to samo. Jestem już dużym chłopakiem. Tyle dni to robiłem.

Ciotka mnie nie słuchała, zresztą z tego, co słyszałem, gdy mama rozmawiała ze swoją bratową, to ciotka Ania nie lubiła słuchać, chyba że swojego głosu.

Biegała po naszym mieszkaniu i zaglądała wszędzie, jakbym coś ukrywał. No dobra, ukrywałem. Zjadłem wszystkie czekoladki, ale mama i tak ich nie lubi.

W końcu weszła do sypialni mamy i trochę mojej. Poczulem ulgę i dumę. Dobrze się nią zajmowałem. Ale ciotce się to nie podobało, zaczęła coś krzyczeć, ale ten straszny pan szybko mnie wyprowadził i poszliśmy do niego. Bałem się. Potem jakaś pani, co miała śmiesznie duże uszy, mówiła, że pojadę na jakiś czas do jakiegoś ośrodka i że tam się mną dobrze zaopiekują.

Obiecała, że przywiezie mi mój zeszyt i kolejkę. Tak bardzo chciałem pobawić się nią z chłopakami. Na szczęście oni też pojechali ze mną, a mama miała potem do nas dołączyć.

## **5 marca 2009**

Życie bez mamy jest okropne. Straszne.

Dobrze pamiętam, jak przyjechał wujek Nikoś i wyciągnął mnie z pokoju, który dzieliłem z trzema innymi chłopakami. Cały czas gapili się na mnie, jakbym był kosmitą i miał zieloną skórę. Szeptali coś między sobą albo urywali rozmowę, gdy wchodziłem.

Usiedliśmy na ławce. Wujek powiedział, że wszystko będzie dobrze, że za jakiś czas zabierze mnie do siebie. Ale ja go nie słuchałem. Czekalem, aż wreszcie mi powie, kiedy mama mnie odwiedzi.

W końcu wyciągnął z kieszeni kompas. Ten, który mama zawsze trzymała w swojej szafce. Prezent na urodziny od dziadka. Obiecała, że kiedyś mi go подарuje. Początkowo zupełnie nie rozumiałem, o co chodzi. Przecież nie miałem urodzin, święta też były za nami.

Patrzył na mnie, licząc, że zrozumie, ale ja nie chciałem zrozumieć. W końcu wydusił trzy słowa.

– Ona nie żyje.

Świat zawirował. On nadal coś do mnie mówił. Że pogrzeb już był, ale nie nadawałem się. Podobno już raz próbowano mi powiedzieć, ale wpadłem w jakiś szal. Zupełnie tego nie pamiętałem. Myślę, że to wymyślili. Łatwiej wmówić, że jestem niepoważny, nienormalny, niż przyznać się do błędu.

Od tego czasu minęły ponad dwa lata, a ja praktycznie każdego dnia odgrywam w głowie tę scenę i marzę, aby ktoś obudził mnie z tego koszmaru. A najlepiej żeby przywrócił życie mamie, ale nic z tego. Zamiast tego wszyscy mnie strofują.

Na przykład ostatnio jakaś pani starała się ze mną rozmawiać. Była miła, do czasu kiedy nie zaczęła mi pracować, że muszę robić masę rzeczy, których nie lubię, a mam je robić, aby inni mnie polubili:

– Uśmiechaj się.

– Rozmawiaj z innymi.

– Nie chowaj się, szczególnie w bibliotece.

– Nie wymyślaj.

Tego ostatniego to zupełnie nie rozumiem. Przecież to oni wymyślają.

Ale na szczęście ostatnio mi odpuścili. Może dlatego, że mniej im opowiadam, albo to zasługa Karoliny.

Jest taka inna od reszty, a zarazem taka podobna do mnie, mamy wiele wspólnego.

Uwielbia wszystko układać praktycznie od linijki i nie śmieje się, gdy swoim zwyczajem ustawiam rzeczy zgodnie z kierunkami świata. Gdybym tylko mógł, całymi dniami chodziłby za nią i pomagał w jej pracy, ale wychowawczynie od razu psoczą.

Mam chodzić na lekcje, na których tak strasznie się nudzę. Ja już wszystko wiem. Tłumaczyłem im wiele razy, że po lekcjach godzinami siedzę w podręcznikach, czytając je od deski do deski, mimo że nauczyciele wymagają tylko strony lub dwóch.

Już w październiku skończyłem czytanie wszystkich podręczników i byłem w stanie odpowiedzieć na każde zadane przez nauczycieli pytanie, wprawiając ich w osłupienie. Z przedmiotów, które interesowały mnie bardziej, czyli matematyki i geografii, wypożyczyłem wszystkie książki uzupełniające, a oni i tak traktują mnie jak jakiegoś nieuka albo głupka. Masakra.

I mimo że moja obecność na lekcjach nie ma sensu, muszę siedzieć w sali, co chwilę uderzany przez kolegów z tyłu, którzy wykorzystują nieuwagę nauczyciela.

Przez to widuję się z Karoliną zdecydowanie zbyt rzadko. Ostatnio postanowiłem do niej pisać. Liściki. Nie miłosiam, bo tego się za bardzo wstydzę. Spisuję znalezione ciekawostki geograficzne lub z innych przedmiotów. Zostawiam w pomieszczeniu gospodarczym, z którego bierze sprzęt do sprzątania, lub wkładam do jej kurtki, gdy nie patrzy.

Później, gdy ją mijam na korytarzu, uśmiecha się i kiwnięciem głowy dziękuje.

## **7 kwietnia 2009**

Od jakiegoś czasu znowu przychodzi do mnie Teo. Jak bardzo za nim tęskniłem. Wtedy po śmierci matki, gdy zamieszkałem u nich w domu, był jedyną osobą, która nie traktowała mnie jak tępowatego. No, może poza ciotką i wujkiem, którzy też byli mili.

Pytał mnie o mamę, o to, co się stało. Jak wyglądała. Ale nie śmiał się ze mnie jak dzieci w ośrodku czy w szkole, do której zacząłem chodzić. Niestety wszystko skończyło się dość szybko. Wujek się wkurzył, ale to nie była moja wina. Krzyczał, rzucał rzeczami. Oczywiście wszystko zrzucał na mnie.

Tylko że ja nie chciałem. Teo wpadł na pomysł, że w nocy wyjść z domu. Koniecznie chciał mi coś pokazać. Prosiłem, żeby mi powiedział, co to, ale odmówił. Stwierdził, że chce mi zrobić niespodziankę.

Poszliśmy niedaleko jego domu, na działki. Bałem się. Od kiedy pamiętam, nie znosiłem ciemności. Gdyby nie świecący tego dnia księżyc, nie dałbym rady. Tylko obecność Teo dodawała mi otuchy. Mimo że miał tyle samo lat co ja, wyglądał na dużo starszego, co mi pomagało.

Ciągnął mnie za rękaw bluzy, gdy przedzieraliśmy się przez krzaki.

Już wtedy powinienem powiedzieć „nie” i zawrócić, ale bałem się odrzucenia. Nie chciałem znowu wyłączyć w szpitalu, wśród tych strasznych dzieci. Ich krzyków, pisków, śmiechów, sztychów ze mnie.

Szedłem, ignorując wszystko. W końcu stanęliśmy przed starym domem. Powybijane okna, zarośnięta bluszczem ściana. Teo powiedział, że to działka niczyja i można ją rozwalić. Dał mi butelkę z jakimś płynem.

Zupełnie nie wiedziałem, co mam robić. Wiedziałem, że przyjaciół się nie opuszcza, ale bałem się tego, że ktoś nas złapie, a konsekwencje będą okropne.

Nie wiem, jak to się stało, ale po chwili stałem z czymś, co wyglądało jak pochodnia. Teo sprawnie podpałił swoją.

Rzucił pierwszy, a ja niewiele później, mimo że mieliśmy zrobić to w tym samym momencie. Patrzyliśmy na zajmujący ogień dach, a po chwili paliły się i ściany. Wszystko wyglądało obłądnie. Ciemna noc rozbiły nagła luna światła. Teo tańczył z radości, a ja przez moment czułem ogromną radość, że mu pomogłem.

Do czasu.

Na początku myślałem, że mi się wydaje. Że to nie może być prawda. Szturchnąłem kuzyna, ale ten mnie nie słuchał. Dopiero jak zobaczył płonąca niczym pochodnia postać, która na chwiejnych nogach wyleciała z domku, przeraził się.

Nie wiedziałem, co robić. Zostać i czekać? Pobiec gdzieś po pomoc? Jak temu zaradzić? Nie wiedziałem.

Ale zrobiliśmy jeszcze coś innego.

Uciekliśmy. Zwialiśmy. Jak złodzieje. Jak tchórze.

Drogę powrotną do domu przeszliśmy w ciszy.

Miałem pustkę w głowie, a zarazem ścisłało mnie przerażenie. Co mam powiedzieć wujkowi? Jak to wytłumaczyć?

Gdy stanęliśmy przed oknem, przez które zwialiśmy i tak samo mieliśmy wrócić, Teo w końcu się odezwał. Powiedział niewiele. „Nic nie mów. Jakby coś, ja to załatwię”.

Jednak mu się to nie udało. Wiem, że próbował, ale wujek się uparł i wywiózł mnie do ośrodka dla trudnej młodzieży.

Przez długi czas mnie nie odwiedzali. Ani wujek, ani Teo. Dopiero gdy przenieśli mnie do ośrodka w Magdalence, przypomnieli sobie o mnie.

Jako pierwszy odezwał się kuzyn, wysłał list. Przepraszał. Niewiele tłumaczył, ale obiecał mnie odwiedzić.

Pojawił się tydzień później i tak już zostało. Przychodzi regularnie. Umawiamy się za ośrodkiem, w lesie. Siadamy na konarze i gadamy. Nasze rozmowy są inne niż kiedyś. Takie... bardziej dorosłe.

Dużo opowiada mi o dziewczynach.

Jak to jest z nimi być, co się robi.

Ostatnim razem przyniósł pisma.

Nigdy takich nie miałem.

Wiem, że kilku chłopaków trzymało podobne pod łózkami i przez to miało problemy, ale ja wiedziałem, gdzie je ukryć. Teo powiedział, że mogę chcieć się dotykać, jak będę je oglądał, i że to jest normalne, ale ja tego nie czuję. Wydaje mi się, że coś jest ze mną nie tak.

## 20 maja 2009

Ostatnio Teo powiedział, że ojciec zmarł. Podobno wpadł pod autobus. Nie wiem, dlaczego kuzyn miał wtedy na twarzy taki dziwny uśmiech, jakby się cieszył.

Mnie ojciec po tylu latach zupełnie zobojętniał. Nic do niego nie czuję.

Nawet go nie pamiętam zbyt dobrze. Raz odwiedził mnie w szpitalu, zanim trafiłem do wujka. Mówił coś do mnie, ale ja się nie odezwałem. Bo co niby miałem powiedzieć? „Fajnie, że wpadłeś”? Skłamałbym. Przez niego matka umarła z rozpacz.

Chciałem go ukarać tym milczeniem, ale nie wiem, czy mi się udało. Nie przyszedł więcej. Jak usłyszałem z rozmowy jednej z opiekunek z pielęgniarką, skupił się na nowej rodzinie, urodziło mu się dziecko i zapomniał o swoim poprzednim życiu.

Nawet nie zapłakałem. Nienawidziłem ojca od dawna. To on zabił moją mamę.

Dobrze, że w tym całym syfie jest ona.

Karolina.

Gdy zobaczyłem ją pierwszy raz, aż zatkało mnie w piersiach. Brązowe włosy spięte w kucyk i te oczy, w które mógłbym patrzeć cały czas. W skupieniu czyściła podłogę, ale miałem wrażenie, że bije od niej jakaś radość. Pierwszy raz poczułem coś milego.

– Cześć – powiedziałem ledwo słyszalnie, dziwiąc się własnym głosem. Kiedyś brzmiał zupełnie inaczej.

– Hej – odpowiedziała cicho, cały czas patrząc na sprzątaną podłogę. – Dlaczego tu jesteś?

– Moja mama umarła, a tata... – Zawiesiłem głos, nie wiedząc, co powiedzieć. – On też umarł.

– Moi też nie żyją.

Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Zwierzam jej się z rzeczy, których nikomu nigdy nie mówiłem.

**13 lipca 2009**

Karolina. Karolina. Karolina. Tęsknię za tobą.

Spotykaliśmy się zdecydowanie za rzadko. Najczęściej gdy kończyła pracę, a ja już nie miałem zajęć szkolnych. Wymykałem się z pokoju pod pretekstem pójścia do biblioteki. Wszyscy wiedzą, jakim jestem mołem książkowym, więc nie miałem problemu. Jednak ja mijałem jej drzwi i szedłem dalej. Wychodziłem wyjściem dla personelu, przeciskałem się obok blaszanego garażu, w którym przetrzymywany jest sprzęt sportowy, i szedłem do lasu. Dobrze wiedziałem, że nie mogę. Że gdyby ktoś mnie zauważył, miałbym niezłe kłopoty. Jednak w obliczu spotkania z Karoliną nie miało to znaczenia.

Boże, jaki ja byłem głupi.

Tego dnia słońce świeciło niemilosiernie i wszyscy narzekali na lejący się z nieba żar, jednak nie przeszkażdało mi to. Miałem plan. W końcu chciałem wyznać Karolinie miłość. Chciałem poprosić ją o chodzenie, jak to mówili koledzy. Nigdy wcześniej żadna dziewczyna mi się nie spodobała. Wszystkie były dziecinne, płaczliwe i zapatrzone w siebie.

Jezu, ja nie chciałem.

Szedłem na spotkanie, mając wrażenie, że lewituję. Te moje obrzydliwe sandały, które noszę od dwóch lat i cały czas są za duże. Czuję, jakby nie dotykały ziemi. Specjalnie na tę okazję wyjąłem z szafy koszulkę w kratę, którą zakładałem w święta Bożego Narodzenia i moje urodziny, licząc, że ktoś z mojej rodziny mnie odwiedzi, co nigdy się nie wydarzyło.

Jednak teraz odganiałem te myśli. Liczyła się tylko ona. Już z daleka zauważyłem ją, jak zbiera jagody z krzaków na leśnej polanie. Wyglądała tak niewinnie, doskonale. Jej brązowe włosy w zestawieniu z zieloną sukienką prezentowały się wręcz bajkowo w tym otoczeniu. Gdy tylko mnie zobaczyła, wyprostowała się i pomachała. Miałem wrażenie, że uśmiechnęła się jeszcze bardziej. Przyspieszyłem kroku, jakby każda sekunda miała znaczenie. Chciałem mieć ją jako swoją dziewczynę jak najszybciej. Ćwiczyłem przemowę od tygodni. Wiedziałem, że tylko w ten sposób zbiorę się na odwagę i wyznam, co czuję. O tych rzeczach z magazynów dla dorosłych nawet nie myślałem, czułem, że to nie dla mnie.

Gdy w szkole musiałem przygotować jakiś referat, wykuty na blachę, mimo stresu, który powodował, że pocilem się jak szczur, wychodziłem na środek sali i z podniesioną głową opowiadałem o tym, co przygotowałem. Liczyłem, że teraz też dam radę.

Ale nie dałem!!!

– Cześć – rzuciła, gdy stanąłem kilka metrów przed nią.

Czułem, że trudno mi się oddycha. Nabierałem powietrza do ust, ale ono nie docierało do płuc. Jakby po drodze opuszczało moje ciało jakimś magicznym otworem. Miałem ochotę odwrócić się i pobiec do ośrodka. Wiedziałem jednak, że kolejna taka sytuacja jak ta, że jesteśmy razem sam na sam, bez gapiących się na nas oczu wścibskich kolegów i koleżanek, a także wychowawców, którzy niczym strażnicy więzienni muszą wiedzieć wszystko i o wszystkim, nie nastąpi zbyt szybko.

Teraz nie miało to znaczenia. Cicho wybąkałem „cześć” i ruszyłem w stronę niedalekiego konaru drzewa. Gdy trzy lata wcześniej wujek przywiózł mnie do ośrodka, drzewo stało i prezentowało swoje rozłożyste gałęzie. Jego wygląd tak mnie denerwował, że postanowiłem przeprowadzić na nim mały eksperyment. Na lekcji biologii nauczycielka beznamiętnym głosem, jakby czytała godziny odjazdu pociągu na dworcu kolejowym, opowiadała niesamowite rzeczy. Między innymi jak można zabić roślinę, a nawet duże drzewo. I jak w przypadku domowych odmian nie stanowiło to wyzwania, tak już w warunkach leśnych zdecydowanie tak.

Dlatego przez kilka tygodni wymykałem się z ośrodka i wstrzykiwałem w pień zrobioną przez siebie mieszankę chemikaliów znalezionych w pomieszczeniu gospodarczym. Strzykawkę wygrzebałem ze śmietnika w gabinecie lekarskim. Początkowo miałem wrażenie, że moje działania nie przynoszą żadnych efektów, a nauczycielka jest kolejną osobą z długiej listy ludzi, którzy mnie okłamali. Jednak gdy po trzech tygodniach liście zaczęły żółknąć, a konary uginać, wiedziałem, że odniosłem sukces.

Teraz, siedząc na powalonym pniu, czułem niezwykłą satysfakcję i liczyłem, że niebawem na moim koncie pojawi się kolejny sukces. O wiele ważniejszy.

Niestety, pomyliłem się, i to bardzo!

– Jaki piękny dzisiaj dzień – rzuciła, gdy podeszła i wzniosła głowę w kierunku nieba, wyciągając swoją długą szyję. – Może kiedyś udałoby ci się pójść ze mną nad jezioro.

– Jezioro? – spytałem z niedowierzaniem. Mama zawsze powtarzała, że zbiorniki wodne są niebezpieczne i ludzie się tam tylko topią. Momentalnie obleciał mnie strach, a oddech znowu gdzieś ugrzązł w klatce piersiowej.

– No tak. Jest super. Można popływać kajakami lub po prostu posiedzieć na piasku, pomoczyć nogi lub popływać. Umiesz? – spytała z uśmiechem na twarzy. Siedziała tak blisko, że czułem jej zapach. Nie pachniała perfumami jak moja matka, ale i tak starałem się zapamiętać te nuty.

Odburknąłem coś. Nie chciałem mówić, że nie umiem lub że się boję. Chyba to zauważyła, bo skomentowała sympatycznie:

– Spoko, to nic strasznego. Ja też ledwo co. Kawalek przepłyne, ale muszę mieć grunt pod nogami, inaczej się stresuję. Ale nawet te kilka metrów daje taką satysfakcję. Czujesz się tak, jakbyś fruwał. Nic cię nie ogranicza. Woda cię unosi i muska całe ciało. Uwielbiam to. Koniecznie musisz spróbować.

Kiwnąłem głową.

Może gdybym zaprzeczył, wrócił, wszystko potoczyłoby się inaczej.

– To może za tydzień. Ma być festyn, a tu w ośrodku jakaś impreza rocznicowa. Słyszałam, jak pani dyrektor mówiła, że ma przyjechać nawet sołtys. Będzie mnóstwo ludzi, więc nikt nie zauważy twojego zniknięcia, a ja mam wolne.

– Super... – Tylko tyle wydusiłem z siebie.

– Daj spokój. Jesteś jedyną osobą, z którą można tutaj pogadać. Reszta to agresywne oszołomy, które tylko szukają okazji do bitki. Poza tym ty jako jeden z niewielu nie traktujesz mnie jak kogoś gorszego. Oni wszyscy myślą, że skoro sprzątam, to jestem bezwartościowa. Tak jakby oni sami nigdy tego nie robili. A przecież każdy z nas sprząta, chociaż trochę! A przynajmniej każdy powinien! – Karolina mówiła coraz głośniejsze. Po jej reakcji widziałem, jak bardzo ją to boli. A dla mnie nie miało to znaczenia. Mogłaby nawet pracować w oborze i przerzucać krocie lajno.

– Ty też jesteś dla mnie ważna – powiedziałem cicho i spuściłem wzrok.

Co ja sobie myślałem?

Czułem, jak rozpiera mnie radość.

Przedemną na trawie rosła koniczyna. Od razu zauważyłem tę wyjątkową. Pierwszy raz w życiu. Mama zawsze powtarzała, że sami jesteśmy kowalami własnego losu i żadne roślinki ani przesady nie mają na to wpływu. Tylko my i Bóg, ale i tak poczułem radość. Dałem ją jej.

– Dziękuję – odpowiedziała i delikatnie się zaczerwieniła, dzięki czemu jej oczy zrobiły się jeszcze bardziej zielone.

– Jesteś dla mnie kimś naprawdę ważnym. – Wstałem i podszedłem bliżej. Czułem, jak serce łomocze mi w klatce. – Od śmierci mamy nie mam już nikogo. No, jest wujek i kuzyn, ale oni mają swoje życie, a ja jestem zupełnie niepasującym elementem. – Nagiłem delikatnie prawdę. Teo wcale mnie nie odrzucał, po prostu nie mógł mi pomóc.

– To smutne – wtrąciła i dotknęła mojej dłoni. Nigdy wcześniej tego nie robiła.

I po co to było!!!

Czułem jej delikatną skórę, która mimo godzin spędzonych na pracy fizycznej nie pokryła się zgrubiałą warstwą.

– Śmierć rodziców jest straszna. Ja mam chociaż ciocię, z którą mieszkam, a ty jesteś tutaj sam. Nie wiem, jak sobie z tym radzisz. Musi ci być strasznie smutno...

– Dzięki tobie jest lepiej – powiedziałem i spojrzałem w jej oczy.

Patrzyła na mnie, uśmiechając się lekko, a z lewego oka spływała pojedyncza łza. Wyciągnąłem dłoń w jej kierunku i delikatnie ją starłem. Zamknąłem oczy, a mimo to widziałem jej twarz, taką anielską. Już chciałem ją pocałować, gdy usłyszałem jej głos.

– Co ty robisz?! – krzyknęła, a ja natychmiast otworzyłem oczy. – Serio myślałeś, że mógłbyś być moim chłopakiem? No bez jaj. Nigdy w życiu.

Jej twarz się zmieniła. Patrzyła na mnie inaczej. Jak nigdy. Jakby się mnie brzydziła. Jakby nie była tą moją wymarzoną, ukochaną.

Odsunęła się ode mnie i cały czas kręciła głową, marszcząc czoło i uśmiechając się szyderczo. Dokładnie w taki sam sposób, jak robiły to dzieciaki z ośrodka. Rzuciły we mnie kamieniami i krzyczały rozbawione: „Oj, zimno mi, może mnie przytulisz”, albo nazywały „przytulaskiem-umarlaskiem”. Każdy w ośrodku wiedział, że przez kilka dni siedziałem z martwą matką, licząc, że ożyje. Nikt mi nie współczuł. Nikt nie zastanawiał się, jaka to musiała być dla mnie trauma, stracić jedynego rodzica, który się mną interesował. Nie, dla nich ważniejsze było moje cierpienie.

Patrzyłem na Karolinę i nie wierzyłem w jej reakcję. Zupełnie się nie spodziewałem czegoś takiego. W najczarniejszych scenariuszach wyobrażałem sobie, jak miło informuje mnie, że nie jest mną na chwilę obecną zainteresowana. Może kiedyś, gdy wyjdę z ośrodka. Zrozumiałbym i dalej przyjaźnilibyśmy się jak dotychczas.

I gdyby zamilkła. Gdyby odeszła.

– Co ty sobie myślałeś? Że co? Że będę twoją dziewczyną? A później żoną? Że będziemy żyli długo i szczęśliwie? Ty chyba masz coś z głową – rzuciła i zaczęła się śmiać. Nie był to ten sam dźwięk, który wydawała z siebie, gdy ją rozbawiałem. Tamten był przyjemny, a ten, który teraz wydostawał się z jej ust, ranił mnie. Wypalał dziurę w sercu.

Chciałem coś powiedzieć, ale wyphywający z mojego gardła dźwięk się rwał. Słowa cięży, a ja, nie mogąc wydusić go z siebie, powtarzałem sylaby po kilka razy.

– Oj, przestań dukać. Wszystkie dzieciaki powtarzają, że jesteś taka cipa. Miękką kluska i takie tam. I wiesz co? – wyszczała w moją stronę. – Mają rację.

Patrzyłem na nią i wiedziałem już, że inaczej nie mogę zrobić.

\*\*\*

Teo pojawił się kilka godzin później. To był odruch, że zadzwoniłem do niego. Spanikowałem.

Najpierw na mnie nakrzyczał, że nie mogę tak robić. Gdyby odebrało ktośś z rodziców, mielibyśmy przechlapane, ale gdy opowiedziałem mu o wszystkim, jego głos się zmienił.

Stał się miłszy.

Gdy przyjechał, zostawiłem go z nią samego.

Wszyscy już spali, gdy się wymknąłem. Poszedłem na polankę, a on stał obok z wielką butelką. Karolina była naga i leżała w innej pozycji, niż ją zostawiłem.

Na plecach, z rękoma na boki, jak krzyż.

Spytał, czy chcę ją... Użył jakiegoś niefajnego słowa.

Brzydziłem się tym, co zrobił, ale właściwie to ona była winna.

Zachowała się okropnie, strasznie. Zraniła mnie, a ja jej ufałem.

Patrzyłem na kuzyna, który jak jakiś uciekinier z psychiatryka zbierał jej rzeczy, zostawiając tylko majki. Te ułożył w kostkę i położył niedaleko stóp.

Powiedział, że tak robią seryjni mordercy, a trzeba ich zmylić, aby nie znaleźli mnie.

Bo to w końcu ja ją zabiłem.

## 18 lipca 2009

Wiem, że nie powinienem. Mama uczyła mnie dziesięciu przykazań i jedno mówiło „nie zabijaj”, ale...

Następnego dnia poszedłem do Karoliny. Po wszystkim przykryłem ją gałązkami i liśćmi. Niestety zaczęli jej szukać. Nie chciałem się z nią rozstawać.

Bałem się.

Dzisiaj poszła do mnie widocznie zdenerwowana dyrektorka i spytała, czy widziałem Karolinę. Wyglądała inaczej niż zwykle, marszczyła czoło, a usta zaciskała, jakby bała się, że zęby jej wypadną. Powiedziała, że miała myć okna. „Przecież niedługo mamy najazd oficjeli, a tu wygląda jak w chlewie!” – skrzeczała.

Oczywiście zaprzeczyłem. Nie mogłem przecież zdradzić, gdzie jest.

Burknąłem coś pod nosem. Gdybym tylko mógł, wykrzyczałbym tej strasznej babie całą prawdę. Nigdy nie potrafiłem dobrze kłamać. Mama zawsze wiedziała, gdy coś przeskrobałem, bo spuszczałem wtedy głowę i patrzyłem w podłogę, unikając jej spojrzenia, bo z moich oczu nietrudno było wyczytać prawdę.

Jednak dyrka zupełnie tego nie wiedziała, dlatego pewnie pomyślała, że moja spuszczone głowa to oznaka szacunku i posłuszeństwa. Pogroziła, że jeżeli Karolina się nie pojawi, my wszyscy zostaniemy zaangażowani do pracy. Pogadała jeszcze pod nosem coś, czego zupełnie nie rozumiałem, i poszła do swojego gabinetu.

Odetchnąłem.

Poczekalem chwilę i nie widząc nikogo, poszedłem do małego składziku mieszczącego się obok wyjścia dla personelu. Znalazłem tam dwie ściereczki, małe wiaderko, które napełniłem wodą, i cały czas bacznie się rozglądając, wyszedłem z budynku.

Zupełnie się nie spiesząc, szedłem powoli w stronę pniaka, przy którym kilka dni wcześniej rozegrała się nasza kłótnia.

Nie wiem, co się stało z Karoliną. Zachowywała się jak nie ona. To, co mówiła, było niczym cios boksinerski, który powala przeciwnika i wprowadza go w stan totalnego otepienia, gdy już leży on na podłodze, zupełnie nie wie, gdzie jest i jak się nazywa. Wiem to, bo dawno temu oglądałem raz z tatą walkę boksinerską. Mama się denerwowała, ale mnie się podobało. To była jedna z nielicznych chwil razem.

Karolina leżała dokładnie tak, jak ją zostawiłem. Przykryta gałązkami. Wiedziałem, że nikt jej nie znajdzie i będziemy mogli być jeszcze razem. Długo.



Podszedłem do niej i delikatnie gałązka po gałązce zacząłem odkładać je na boki. Przy jej głowie postawiłem wypełnione wodą wiaderko i zacząłem myć jej twarz.

Czułem się źle, że leży tam taka zakrwawiona, a jej twarz...

Już jej nie przypominała, była dziwna jak potwór z komiksów, które chłopaki chowały pod łózkami.

Teo powiedział, że to konieczne, aby nikt nie pomyślał, że ja mogłem to zrobić. Był dużo silniejszy niż ja.

Jednak nie mogłem jej tak zostawić. Kochałem ją, mimo że popełniła błąd.

Powoli, delikatnymi ruchami zacząłem zmywać z jej twarzy krew.

Nie wiem, jak długo tam byłem, ale w pewnym momencie zaczęło się ściemniać.

Patrzyłem na nią i postanowiłem to zrobić.

Była naga, a ja patrzyłem na jej białe ciało. Sterczące sutki wykańczające niewielkie piersi. Dokładnie tak jak na zdjęciach w książce do biologii.

Leżała na plecach i jej brzuch zrobił się płaski, wręcz wklęsły, mimo że na co dzień taki nie był. Ale to, co najbardziej mnie zafascynowało, miała na dole.

Owłosiony trójkąt ciemnej barwy, który jak strzałka wskazywał miejsce mojego największego zainteresowania. Chwilę na nią patrzyłem, czując rosnące podniecenie. Nigdy wcześniej tego nie doznałem w takim natężeniu.

Kiedyś podglądałem dziewczyny przez dziurkę od klucza, ale to nie to samo.

Podszedłem do niej bliżej i chwyciłem za ręce. Już wcześniej sprawdziłem, w jakim kierunku jest Jasna Góra, używając kompasu, z którym się nie rozstawałem. Mama tak bardzo chciała mnie tam zabrać. Od czasu jej śmierci wszystko, co ważne, układałem w tę stronę, ale teraz wiedziałem, że to polana będzie centrum mojego świata.

Jej twarz, w którą uwielbiałem patrzeć, zionęła pustką. Dopiero z tej odległości dojrzałem, jaka jest brzydka. Odpychająca. Te robaki wychodzące z jej twarzy. Prawie się na nią zrzygałem.

Przekreśliłem ją na brzuch i...

Nie wiem dlaczego. Nie do końca wiedziałem, co mam robić. Niby na biologii uczyłem się, że w trakcie stosunku seksualnego mężczyzna wprowadza penis do pochwy, jednak teraz, będąc obok Karoliny, zupełnie nie wiedziałem, jak mam to zrobić.

Niewiele myśląc, włożyłem rękę między jej nogi i tak to się zaczęło.

## 25 maja 2012

Od trzech lat myślę o niej każdego dnia. O jej oczach. Brązowych oczach. Szukam jej wszędzie.

Co chwilę płaczę, że jej już ze mną nie ma. Tak bardzo mi jej brakuje...

Po tym wszystkim przestałem pisać.

Nie mogłem. Nie chciałem.

Ale ostatnio mama powiedziała, żebym do tego wrócił. Że mi to pomoże.

Śmierć Karoliny była początkiem końca. Nagle okazało się, że coś ze mną jest nie tak. Wywieźli mnie. Znowu.

Nie chcę tego pamiętać.

Na szczęście to już koniec.

Wujek zlitował się nade mną i zabrał do siebie. Nie do domu, a na budowę, gdzie pomagam mu po szkole. Tak się umówiliśmy. Prosił, żebym nie kontaktował się z Teo. Powiedział, że ma kłopoty i potrzebuje czasu. Nie pytałem.

Zrobił dla mnie coś niesamowitego.

Zabrał z ośrodka.

Zamieszkałem w jakiejś dziurze, ale mi to pasuje. Jestem u siebie. Znowu.

No i w końcu nie muszę podporządkowywać się głupim i zupełnie niezrozumiałym czasami zasadom panującym w miejscu, w którym spędziłem ostatnie kilka lat.

Staram się dobrze pracować. Wujek często mnie chwali. Nie jest to moja wymarzona praca, kiedyś znajdę lepszą, ale dzięki niej sporo jeżdżę. Odwiedzam festiwale, koncerty czy lokalne imprezy typu wesołe miasteczka, które okazjonalnie obsługuje firma wujka.

Do szkoły cały czas chodzę. Nadal nie mam z nią problemów. Dobrze pamiętam, jak mama mi powtarzała, że tylko wykształceni ludzie są szanowani. A ja tego chcę. Mężczą mnie te spojrzenia, jakbym miał jakąś narośl na czole. Obcy się na mnie gapią. A ja chciałbym móc wyjść do sklepu i nie czuć ich wzroku na sobie.

Jedynie pani w bibliotece się na mnie nie gapi. Wydaje mi książki i omija szerokim łukiem. Wie, że kocham ciszę. Ona chyba też.

W szkole wszystko byłoby jeszcze okej, gdyby nie inne dzieciaki. Fakt, że potrafię dużo więcej niż one, wywołuje w nich zazdrość. Gdybym był tępy jak oni, lubiliby mnie. Ale ja taki nie jestem. Wiem o tym. Wyzwajają mnie, szturchają, czasami ktoś kopnie. Zazwyczaj puszczam to mimo uszu, ale do czasu, gdy na początku roku jeden pacan rzucił coś w stylu:

– Myślisz, że jak będziesz taki mądrutki, to ktoś cię polubi? Własna matka cię chyba nie kochała, skoro się za-biła!

Miłośz. Uwielbia awantury i bójki, za co wielokrotnie był karany, a jego rodzice ze spuszczonej głowami od-wiedźali gabinet dyrektora, który ma alergię na tego typu zachowania.

– No co? Prawda boli? – dogadywał dalej, widząc chyba moje zaciśnięte pięści.

I wtedy pękłem. Pierwszy raz w szkole nie potrafiłem odgonić od siebie tego śmiechu, wyzwisk, które prze-cież spotykały mnie na każdym kroku.

Może dlatego, że wspominał o mamie. Każdy dobrze wie, że jestem chłopcem, który przez kilka dni zajmował się martwą matką, licząc, że ta wyzdrowieje. Ale oni nie znają prawdy. Ona wstawała, jadła, dopiero na koniec po-czuła się źle.

Wszyscy kłamią.

Gdy stanąłem przed dyrektorem z zakrwawioną koszulką, nie odezwałem się ani słowem. Nie chciałem się tłumaczyć, opowiadać o krzywdach, jakie mnie spotykają. Już kiedyś tego próbowałem i nic. Wszyscy dorosli mieli to głęboko w dupie.

Stałem jak słup soli i słuchałem, że takie zachowanie jest nieakceptowalne, że kolega, którego zaatakowałem, prawie stracił wzrok. A na koniec, że zostaję wyrzucony ze szkoły w trybie natychmiastowym.

Stojący przede mną dyrektor nie cieszył się swoją decyzją, ale nie miał innego wyjścia. Dobrze znał powód bójki, ale nie mógł puścić płazem takiego zachowania, mimo że wiedział, że nie ja byłem winowajcą. Powiedział mi to, gdy wyprowadzał mnie ze szkoły.

Po dwóch tygodniach trafiłem do technikum budowlanego, bo tylko tam wujkowi udało się znaleźć dla mnie miejsce, a i to po znajomości.

Mam wszystkim dość. Dobrze, że czasami odwiedza mnie Teo. To jest nasza słodka tajemnica.

## 13 lipca 2012

Tygodnie leciały na nauce i pracy, aż jednego dnia ją zobaczyłem. Wyglądała jak z bajki. Brązowe włosy niczym morskie fale opadały i unosiły się. Z daleka nie widziałem dokładnie jej twarzy, ale coś mi podpowiadało, że jest idealna. Że jest moją Karoliną.

Od trzech lat unikałem kontaktów z dziewczynami. Bałem się, że znowu coś źle pójdzie. Zakocham się i zo-stanę odrzucony. To był pierwszy raz, kiedy zламаłem przysięgę daną mamie.

To ona mnie o to poprosiła, gdy opowiedziałem, co zrobiłem. Wiedziałem, że nie jest ze mnie dumna, ale mimo to zalany łzami, cicho wypowiadając słowa, opowiedziałem, co zrobiłem. Było to kilka dni po pogrzebie Kar-oliny, w którym wzięło udział pół miasta. Przyrzekłem, że już nigdy tak nie postąpię.

Ale mijają równo trzy lata od jej śmierci i moje myśli namolnie krążyły wokół niej. A teraz miałem wrażenie, że tymi myślami ściągnąłem ją na ziemię.

Powoli zszedłem z rusztowania i ruszyłem w stronę dziewczyny. Już z daleka widziałem, że na kogoś czeka. Rozglądała się dookoła, jakby bała się, że osoba, z którą miała bawić się podczas koncertu, mogła jej nie zauwa-żyć.

„Ja bym jej nie przegapił”, pomyślałem od razu.

Gdy ją zobaczyłem, poczułem przemożną potrzebę podejścia do dziewczyny, zupełnie zapominając, że muszę przyspieszyć z robotą. Obiecałem wujkowi, że wszystkiego dopilnuję. Wiele razy mi powtarzał, że pomimo mło-dego wieku dobrze sprawdzam się przy koordynowaniu pracy i nawet starsi mężczyźni nie mieli problemów z faktem, że mam zaledwie dziewiętnaście lat i wydaję im polecenia.

Nie wiem skąd, ale zawsze wiem, co z czym połączyć, gdzie są odpowiednie narzędzia i w jakiej kolejności to zrobić, aby praca szła do przodu.

Chciałem popatrzeć na nią z bliska. Jakaś moc ciągnęła mnie do niej. Powoli szedłem w jej stronę, raz po raz potrącając ludzi, jakbym zupełnie ich nie widział.

Nawet jakiś starszy facet, któremu przywaliłem z barku, krzyknął za mną niecenzuralne słowo, a ja się nie obejrzałem. Stałem jakieś dziesięć metrów od dziewczyny i patrzyłem. Koloru oczu nie widziałem, ale miała w spojrzeniu jakąś radość. Ubrana skromnie w białą koszulę z podwiniętymi rękawami w zestawie z nieco szerszymi spodniami i czarnymi kłapkami, zupełnie się nie wyróżniała.

Takie dziewczyny cenilem najbardziej. Nierzucające się w oczy, skromne. Takie z reguły miały coś do przeka-zania innym. Te, które zionęły pustką, musiały nadrabiać strojami niczym pawie. Tak zawsze powtarzała mi

mama, gdy na ulicy mijaliśmy wystrojone kobiety, które świeciły kolorami nawet w ciemnościach. Zawsze z pogardą na nie patrzyła i mówiła, że Pan Bóg nie toleruje takich zachowań. Obciągała wtedy jeszcze mocniej spódnice, która zazwyczaj sięgała jej do połowy łydki.

I ta stojąca niedaleko dziewczyna była idealna. Gdyby nie strach, który wypełniał każdą komórkę mojego ciała, podszedłbym pewnie do niej i zagadał. Może zaproponował randkę. A tak wyciągnąłem telefon komórkowy, którego kiedyś używał Teo, i zrobiłem zdjęcie. Musiałem uchwycić ten cud. Patrzyła jeszcze przez chwilę i odszedłem, a w mojej głowie zaczął powstawać plan, jak spotkać się z nią jeszcze raz.

\*\*\*

Koncert się skończył, a ja stałem przy bramie.

Nie wiem, na co liczyłem. Może na łut szczęścia.

I wtedy ją zobaczyłem. Znowu.

Szła, uśmiechając się od ucha do ucha, i wesoło gawędziła z chłopakiem.

Nie widziała mnie, była pochłonięta rozmową.

Poszedłem za nimi. Jezu, jak się bałem, że ktoś mnie zobaczy, ale nic takiego nie nastąpiło.

W tłumie byłem niewidoczny.

Gdy doszliśmy do pobliskiego przystanku, zatrzymali się. Z daleka słyszałem coś na kształt kłótni. Ona powtarzała, że da radę, bo mieszka niedaleko, a jak on nie wsiądzie do autobusu, to przez trzy godziny nie dojedzie do domu.

W końcu go przekonała. Pożegnali się skromnym buziakiem i mój konkurent odjechał.

Gdyby wtedy ktoś zobaczył moją twarz... Dawno się tak nie cieszyłem.

Chciałem do niej podbiec, zagadać, ale nie dałem rady.

Ruszyłem za nią.

Tłum się przeredzał, aż w końcu dookoła nie było nikogo. Tylko ona, idąca szybkim krokiem i raz na jakiś czas zerkająca przez ramię, i ja.

To był impuls. Podbiegłem do niej i chwyciłem za rękę.

Krzyknęła i obróciła się w moją stronę. Z bliska nie była już taka ładna, a jej wykrzywiona w strachu twarz nie zachęcała. Ale czego miałem się spodziewać? Sam, jak robię głupie miny, to się sobie nie podobam.

Wyciągnąłem z kieszeni swój telefon i spytałem, czy to może nie jej.

Wpuściła powietrze z ust, jakby zeszło z niej ciśnienie.

Uśmiechnęła się i znowu zrobiła się taka piękna.

Taka jak kilka godzin wcześniej.

I wtedy stało się coś dziwnego. Odwróciła się i zaczęła szybko biec.

Ruszyłem za nią. Zawsze byłem dobry w biegach krótkodystansowych. Nie wiem, jak to się stało, ale podsta-wiłem jej nogę. Nieświadomie. Chyba.

Upadła i znieruchomiła, a ja...

Rozejrzałem się. Niedaleko był jakiś park. Wziąłem ją na ręce i zaniosłem tam.

Położyłem na trawie tak, aby jej głowa wskazywała polanę w Magdalence. Jak zawsze miałem w kieszeni kompas od mamy, z którym nigdy się nie rozstawałem.

Zrobiłem to. Pierwszy raz w życiu byłem z kobietą, która reagowała na to, co jej robiłem.

Nie wiem, dlaczego po wszystkich zadzwoniłem do Teo.

Jak on się ucieszył!

Po dwudziestu minutach spotkaliśmy się na przystanku, tam, gdzie ona rozstała się z chłopakiem. Przywiózł kilka rzeczy, między innymi dużo do betonu.

Nie chciałem wiedzieć, po co mu on.

Grzegorz Wiśniewski przekartkował kilkanaście stron, na których chłopak opisywał swoje życie. Pracę, kolegów. Nic ciekawego, aż doszedł do daty, którą znał z akt.

## 2 czerwca 2017

Patrzyłem na nią i nie mogłem uwierzyć, że ponownie ją odnalazłem. Po tylu latach rozłąki. Często widziałem ją w snach. Rozmawiałem, dotykałem, a teraz stała tak niedaleko. Nie była wymysłem mojej wyobraźni, ale prawdziwą osobą, którą w końcu będę mógł bliżej poznać.

Brązowe długie włosy, falujące przy każdym podmuchu wiatru. Przepiękna, okrągła twarz i oczy, w które mógłbym patrzeć godzinami. Taka idealna i niewinna. Gdy uśmiechała się do przechodzącej obok kobiety, za-

uważyłem na jej lewym policzku uroczy dołek. Przez chwilę poczułem zdenerwowanie, ale gdy dostrzegłem taki sam po drugiej stronie, odetchnąłem. Symetryczne dołki wyglądały tak uroczo. Pewnie większość osób nie zwróciłaby na nią uwagi, nie tylko ze względu na niewyróżniającą się urodę, ale i strój. Zwykła szara zwiewna spódnica unosiła się delikatnie na wietrze, a dobrana do tego biała koszulka powodowała, że w krótkich trzech żołnierskich słowach można było określić jej ubiór jako schludny, praktyczny i estetyczny.

Dostrzegłem ją przy diabelskim mylnie. Musiała odwiedzić wesołe miasteczko pierwszy raz, bo nigdy wcześniej jej nie widziałem. Stała zapatrzona w telefon i coś przeglądała. Podeszedłem bliżej, aby móc się jej lepiej przyjrzeć. Jak zwykle nie miałem w sobie tyle siły, by zagadać. Może zaproponować spotkanie, umówić się do kina. Normalnie jak większość równolatków zainicjować jakąś relację. Ale paraliżował mnie strach. Czułem, jakby krew robiła się coraz bardziej gorącą, a po plecach strugami płynął pot. Już samo patrzenie na nią paraliżowało, w gardle pojawiała się suchość, a nogi zaczynały trząść się jak galareta.

Od kiedy pamiętam, tak działa na mnie bliskość. Denerwuję się za każdym razem, gdy mam otworzyć buzię, dlatego tak bardzo cenię nowoczesne technologie, w tym media społecznościowe. Tam otwieram się i jestem królem dżungli.

Wyciągnąłem swój telefon i zrobiłem dziewczynie zdjęcie, udając, że robię sobie selfie. Koniecznie chciałem mieć jakąś pamiątkę. Dowód na to, że dziewczyna ze snu istnieje, a nie jest tylko wytworem mojej, jak to często słyszałem, „chorej wyobraźni”.

Dopiero wtedy dostrzegłem leżącego pod jej nogami psa. Mama podobno studiowała weterynarię. Niestety przez ojca nigdy nie pracowała w wyuczonym zawodzie, a ja nie mogłem mieć swojego zwierzątka.

Ale teraz nie miało to znaczenia.

Postanowiłem pójść za dziewczyną. Był środek dnia, więc powtórka sprzed pięciu lat nie wchodziła w grę.

Szła z psem na smyczy, raz po raz mówiąc coś do niego.

Nie słyszałem co, ale po jej tonie wnosiłem, że było to coś miłego.

W końcu doszliśmy do obskurnego bloku, a po chwili na drugim piętrze otworzyło się okno. Teraz wiedziałem, gdzie mieszka. Wszystko robiło się łatwiejsze.

## 5 czerwca 2017

Drugą noc z rzędu nie mogłem spać. Wierciłem się w łóżku, rozkopując pościel tak, że w pewnym momencie spałem na gołym materacu, a kołdra wraz z prześcieradłem leżały na ziemi. Tylko poduszkę mocno przytulałem do siebie, jakbym liczył, że odwzajemni mój uścisk.

Za każdym razem, gdy zamykałem oczy, widziałem ją.

Lucyna.

Poznanie jej imienia nie było proste.

Przez całą noc po naszym spotkaniu myślałem o tym, jak spowodować, że się z nią spotkam.

Nie chciałem zostawiać wszystkiego przypadkowi. Nie mogłem liczyć na cud, jak lata temu.

Mój plan był przebiegły. Znalazłem w internecie sposób na przyciągnięcie psa.

Dzisiaj poniedziałek, więc miałem wolne po całym weekendzie w robocie.

Poszedłem za nią. Wybrała się na długi spacer nad Wisłę. To był moment, który musiałem wykorzystać. Pies przyszedł do mnie, jakby mnie znał, i dał się złapać na smycz bez obaw, zupełnie zapominając, z kim przyszedł.

Teraz pozostało mi czekanie.

Nie myliłem się. Szybko pojawiły się ogłoszenia na lokalnych stronach w sprawie psa. Wabił się Włodzimierz. Ona zaś nazywała się Lucyna Kaczorowska. Nie podobało mi się to imię. Dla mnie była Karoliną. Zresztą każda z nich była Karoliną.

Dziewczyną idealną, urodziwą, nie piękną, bo piękno jest nudne. Ciepłą i sympatyczną. Nie przebojową czy hałaśliwą, jak większość dziewczyn, które poznałem.

Kiedyś ktoś powiedział, że jestem przystojny. Jednak gdy patrzę na siebie w lustrze, nie myślę tak o sobie. Widzę kręcone kruczoczarne włosy, oczy tak ciemne, że czasami boję się w nie patrzeć, i usta, które w moim mniemaniu są zdecydowanie zbyt duże. Zbyt pełne. Wolalbym mieć bliźnię na twarzy, na podbródku lub na czole, jak większość chłopaków. Chciałbym móc pochwalić się złamaną ręką lub nogą, którą rozwaliliem podczas wdrapywania na drzewo lub przechodzenia przez wysoki płot. Ale moje ciało jest czyste, niczym płótno przed dotknięciem malarza. Chciałbym, aby mówiło o moim życiu, a ono milczy, mimo że nie miało lekko.

Niejednokrotnie specjaliści, którzy pierwszy raz siadali naprzeciwko mnie i zaczęli analizować moją przepastną teczkę, kiwali głowami i wzdychali, czytając moją historię. Często słyszałem od nich, że dużo przeszedłem. Że mi współczują i zrobią wszystko, aby pomóc. Aby mi poczuł się lepiej i żeby w końcu koszmary przestały przychodzić.

Według nich celem terapii jest to, abym zapomniał o tym, co było, a skupił się na przyszłości. Tylko nikt nigdy nie spytał, czy tego chcę. Czy na pewno chcę zapomnieć o mamie, Karolinie? O najważniejszych kobietach w moim życiu...

## 9 czerwca 2017

Od rana nie mogę się uspokoić. Chodzę po mieszkaniu w tę i z powrotem, cały czas mam wrażenie, że zaraz wpadnie do niego wydział policji uzbrojony od stóp do głów, rzuci mnie na ziemię i zamknie na wieki w małej, ciemnej, śmierdzącej celi.

Do tego, co zrobiłem, przygotowywałem się długo, a mimo to na końcu dałem się ponieść uczuciom i straciłem panowanie nad sobą.

To przez Teo.

Zawsze chciałem być jak on, a teraz... coś się zmieniło.

Pokazałem mu zdjęcie dziewczyny, a on się nagrzął.

Przyszedł do wesołego miasteczka i czekał na nią. Miał szczęście, bo przyszła tam, ale z chłopakiem. Jednak zanim się z nim spotkała, podobno zrobiła sobie zdjęcie i wrzuciła na Instagrama czy Facebooka. Oznaczyła miejsce, więc znalazł ją wśród oznaczeń tej lokalizacji i po chwili miał z nią kontakt.

A tym samym przewagę nade mną. Nie mogłem na to pozwolić. Ona była moja. Tylko moja.

Też poszedłem do wesołego miasteczka, biorąc ze sobą jej psa na smyczy. Musiała okazać mi wdzięczność za jego odnalezienie, prawda?

A później wszystko poszło nie tak.

Po kilku godzinach patrzyła na mnie tymi wybaluszonymi oczami i mimo że nie mogła nic powiedzieć, nabiła się ze mnie. Szydziła z mojej niemocy, chociaż wcześniej uśmiechała się miło i śmiała na cały głos z opowiadanych przeze mnie dowcipów, zapominając o chłopaku, z którym parę godzin wcześniej spacerowała za rękę.

„Zdzira” – pomyślałem i stanąłem w bezpiecznej odległości od wesołego miasteczka, przy którym od samego rana kłębił się tłum. Teren przeczesywało kilkunastu policjantów, próbujących znaleźć dowody przeciwko mnie, ale również rozgryźć trapiącą ich zagadkę – co dokładnie tam się wydarzyło.

Dlaczego młoda dziewczyna, która miała przed sobą całe życie, leżała z twarzą w wodzie?

Z rozbawieniem patrzyłem na te policyjne mendi, ale też kręcących się lokalnych seniorów, którzy w drodze po zakupy zmienili swoje plany i z oddali przyglądali się poczynaniom mundurowych, licząc, że zdradzą im oni szczegóły prowadzonych działań.

Patrzyłem na to i podziwiałem swoje dzieło, po części licząc, że ktoś podejdzie do mnie, poklepie po ramieniu i powie: „Dobra robota!”.

Ale oczywiście nic takiego się nie stało. A szkoda. Pierwszy raz mogłem powiedzieć, że dałem radę – i byłem z siebie niezmiernie dumny.

## 12 czerwca 2017

Zacisnąłem mocno pięści i poczułem paznokcie wbijające się w wewnętrzne części dłoni.

To się znowu stało.

Tak bardzo chciałem, a nie mogłem. Brałem tabletki, według tej głupiej doktorki, która mężczyźnie od roku nic niewnoszącymi do leczenia pytaniami, miały mi pomóc, a nic nie dawały. Zresztą już od dawna wiedziałem, że nic i nikt nie jest w stanie mnie naprawić.

Kiedys wierzyłem, że gdy opowiem o swoich demonach, ktoś mnie w końcu zrozumie i wyleczy. Ale tak się nie stało. Te głupie terapeutki wmawiały mi, że muszę brać leki i one mi pomogą. Jednak miałem wrażenie, że powtarzają jakieś schematy, mając gdzieś mnie. Swojego pacjenta. Zresztą nie tylko to mnie denerwowało. Jedną opowiadała mi głównie o własnych problemach. To była strata czasu, ale wujek nalegał, to chodziłem.

Już lata temu przestałem opowiadać o tym, co czuję, co mnie faktycznie boli w życiu. Nauczyłem się okłamywać wszystkich, których spotkałem na swojej drodze, a oni niczym pelikany łykali każdą głupotę. Kłamałem na temat swojego dzieciństwa, coraz częściej opowiadając historie świadczące o braku więzi z rodzicami, a szczególnie matką. Nie opowiadałem, że była dla mnie całym światem. Moją obrończynią, powierniczką i prawdziwą przyjaciółką. Nie opowiadałem, że jej jako jedynej powiedziałem o swoich problemach. O swoich przyjaciółach, którzy podobno nie istnieli. A jednak po latach wydaje mi się, że i mama zupełnie mnie nie rozumiała.

Nie wspominałem o ojcu, który był źródłem wszelkich nieszczęść.

O przemocy w ośrodku wychowawczym, który miał być namiastką domu, a bliżej było mu do więzienia.

Nikomu o tym nie mówiłem.

Jedynie w sprawach damsko-męskich próbowałem znaleźć u kogoś pomoc. Sam sobie nie dawałem rady, a tak bardzo marzyłem o bliskości. O byciu w niej całym sobą. Marzyłem o tym, leżąc w swojej suterenie i patrząc na odrywający się z sufitu tynk. Marzyłem o tym przez lata w psychiatryku, nawet gdy naćpany lekami lewitowałem i miałem wrażenie, że przeniosłem się do innego świata.

Często gdy zamykałem oczy, widziałem nagie piersi zwieńczone sterczącymi sutkami, które aż prosiły się, żeby ich dotknąć. Gdy czułem, że jestem gotowy na więcej, zjeżdżałem palcami niżej. Najpierw dotykałem jej pośladków, a później wsuwałem swoją niesprawną w kontaktach damsko-męskich dłoń między jej uda. Dalszy ciąg snu na jawie był różny, w zależności od mojego nastroju. Czasami powoli pieściłem ją po całym ciele, a czasami agresywnie przerzucałem na brzuch i wchodziłem w nią, dając rozkosz swemu ciału. Czułem wtedy rozplywającą się błogość w każdej komórce mojego ciała i uczucie nieporównywalne do niczego, co dotychczas poznałem. Tak bardzo chciałem zaznać go w realnym świecie.

Kobieta ze snu nigdy nie miała twarzy, jedynie kasztanowe włosy, które falą spływały jej na ramiona. To jedyne, na czym mi zależało, reszta nie miała znaczenia.

W snach zawsze dochodziłem, dlatego miałem nadzieję, że w końcu i w rzeczywistości spotka mnie ta nagroda.

Jednak ostatnie spotkanie z dziewczyną z wesołego miasteczka tak się nie skończyło. Zresztą wszystko poszło nie tak. Moje ciało odmówiło posłuszeństwa. Nie reagowało na bodźce. Nie mogąc wejść w nią, chwyciłem leżącą niedaleko butelkę, liczyłem, że jakoś dzięki temu...

Nie wiem w sumie, czego oczekiwałem.

Zamiast orgazmu pojawiła się frustracja. Ogarnęła mnie złość, a gdy usłyszałem nadchodzący ze strony wesołego miasteczka hałas, miałem wrażenie, że wybuchnę.

Nie miałem dość czasu, by zabrać jej rzeczy. Dobrze, że zdążyłem ułożyć ją w odpowiednim kierunku i że te głupie majtki zostawiłem tak jak poprzednio. To był taki mały ukłon w stronę Teo.

## 16 czerwca 2017

Nigdy nie miałem żadnego zwierzaka, mimo że bardzo chciałem. Ojciec powtarzał, że jeżeli będę regularnie wychodził z kawałkiem sznurka, który miałem traktować jako smycz, zastanowi się nad tym. Ponieważ pomysł mocno trącał absurdem, nigdy nie wprowadziłem go w życie, a tym samym nie otarłem się nawet o posiadanie psa, kota, a nawet chomika.

Teraz z czułością drapałem średniej wielkości kundelka, który jadł karmę kupioną w oddalonym o kilka kilometrów od domu sklepie zoologicznym. Specjalnie odjechałem od miejsca, gdzie mieszkam, aby nikt nie połączył mnie z psem, chociaż wydawało mi się wręcz niemożliwe, aby policja mogła i miała na to zasoby, aby sprawdzić wszystkich kupujących karmy dla psów.

Pies wabił się Włodzimierz.

Nigdy nie słyszałem głępszego imienia dla psa.

Nie zamierzałem do niego tak mówić. Nazwałem go Salio. Gdzieś kiedyś słyszałem taką nazwę, ale zupełnie nie wiem, co oznacza. Czy była nazwą miejscowości, imieniem jakiegoś człowieka? Zresztą nie miało to znaczenia. Podoba mi się i to jest najważniejsze. No i jak wołam go, to nikt nie ogląda się ze zdziwieniem na twarzy.

Posiedziałem dzisiaj z nim dłuższą chwilę. Kucnąłem w kącie i obserwowałem psinę, jak wyjada po kilka kuleczek karmy, zręcznie pomagając sobie nosem.

Próbowałem się na tym skupić, ale moje myśli cały czas uciekały w jej kierunku, a uśmiech wracał na twarz niczym bumerang.

Tym razem było idealnie, dokładnie tak jak chciałem i jak sobie to wyobrażałem.

Poznałem ją na Tinderze. Teo mi pokazał tę aplikację. Podobno tak teraz się robi.

Zaczęliśmy pisać. Udawałem niedostępnego. Tajemniczego. Chyba jej to się podobało, bo sama zaproponowała spotkanie. Pierwszy raz to dziewczyna chciała się ze mną spotkać.

Niesamowite uczucie. Takie nierealne.

Przyszła w umówione miejsce, mimo że ledwo się znaliśmy. Z jednej strony denerwowało mnie takie podejście, ale z drugiej – nie musiałem się za bardzo starać i stresować, aby wdrożyć plan.

– Ty jesteś Mario? – spytała, gdy podeszedłem.

Siedziała na ławce w parku, gdzie się umówiliśmy. Wyglądała przepięknie. Rozpuszczone brązowe włosy delikatnie zakręciła i cienkim warkoczykiem zebrała do tyłu, tak że ani jeden kosmyk nie spadał na twarz. Jej zielone oczy świeciły swoją nienaturalną barwą z daleka, a sympatyczny uśmiech powodował, że cały się napinałem. Chciałem jej odpowiedzieć, ale nie mogłem.

Delikatnie skinałem głową w odpowiedzi na jej pytanie.

I wtedy zaczęliśmy gadać. Będę to długo wspominać. Chyba wyglądało to tak :)

- A to zapewne Salio? - Przykucnęła i wyciągnęła dłoń w kierunku psa. - Jest taki słodki. Długo go masz?

- Jakież trzy lata. Jesteśmy nierozłączni - powiedziałam, dziękując w duchu Lucynie.

- To jest właśnie niesamowite, że ludzie i zwierzęta potrafią być tak blisko. Ja kiedyś też miałam psa, ale później okazało się, że mój brat ma uczulenie, i gdy zdechł, rodzice nie wzięli kolejnego. Mieli dość ciągłego kichania i pokasywania. Oczywiście rozumiem, zdrowie ponad wszystko, ale przez to w domu było jakoś pusto. Nikt nie machał ogonem, gdy wracaliśmy. Nie było z kim pogadać, jak się pokłóciłam z rodzicami i pochlipywałam w pokoju. - Pogłaskała jeszcze raz psa za uchem i wstała. - Przepraszam, przecież umówiłam się z tobą, a nie z psem. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. - Nina.

- Mario - odpowiedziałam.

- Z Mario Bros? - rzuciła.

- Skąd taka ksywka? - spytałam, zupełnie nie wiedząc, do czego ona nawiązuje.

- No, z tej gry, co ludzik chodzi i zbiera punkty, głową rozbija mury i takie tam. Znasz?

- Chyba nie. Moi rodzice tak na mnie od zawsze mówią, ale nie wiem dlaczego. Mógłbym spytać rodziców, ale... - Już chciałem powiedzieć prawdę, ale ugryzłem się w język. - Wyjechali na drugi koniec świata i rzadko gadamy.

- Aha, a dokąd? - dopytywała.

- Chyba teraz są w Australii, ale nie wiem. Jakiś czas temu przeszli na wcześniejszą emeryturę i zaczęli zachowywać się jak nastolatki. Najpierw kamperem objechali pół Europy, a jak to im się znudziło, kupili bilety w jedną stronę do Tajlandii, spakowali małe walizki i wyjechali.

- Wow... - westchnęła. - I tak zostawili wszystko?

- Niewiele mieli, bo prawie wszystkiego się pozbyli tuż przed podróżą po Europie. Sprzedali mieszkanie, firmę. Zostawili tylko dom po dziadkach ze strony taty.

- Niesamowite. A jak ty się w tym odnajdujesz?

- Nie ma ich już trzeci rok. Wpadają do Polski co kilka miesięcy, z reguły na jakiś pogrzeb lub święta. Cały czas mnie zapraszają, ale ja chyba nie jestem typem podróżnika, poza tym - spojrzałem na dreptającego przy mojej nodze pieska - nie miałbym serca go zostawiać.

- Odpowiedzialnie - skomentowała dziewczyna. - Może usiądziemy, trochę nogi mnie bolą.

Tak rozpoczęła się moja pierwsza randka.

Przynajmniej tak chcę o tym myśleć.

Ktoś mógłby się przyczepić, że znalazło się w niej sporo kłamstwa, historii wyspanych z palca, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Zresztą szczerząca się do mnie dziewczyna, która co chwilę poprawiała sobie włosy, również mogła kłamać. W każdym razie rozmowa się kleiła i raz po raz wybuchaliśmy gromkim śmiechem, powodując, że biedny pies zrywał się na nogi przestraszony.

W pewnym momencie rozmowa przysiadła i bałem się, że Nina zaraz będzie starała się pod byle pretekstem zakończyć nasze spotkanie, ale ku mojemu zdziwieniu zaproponowała spacer i piwo w pobliskim barze.

Z reguły nie piję alkoholu. Unikam jak ognia sytuacji, gdy tracę kontrolę nad swoimi czynami, a w głowie zaczyna mi się kręcić. Nie czuję się wtedy komfortowo, dlatego gdy nie patrzyła, wylewałem pod siebie piwo, które zamówiłem, tak aby jak najmniej wypić.

A później wszystko jakoś poszło i w końcu miałem okazję zrealizować swój sen w rzeczywistości.

W domu miałem całą kolekcję pism dla mężczyzn, ale żadne z nich nie doprowadzało mnie do takiego stanu jak nagie ciało Niny. Stanowiło ideał kobiecych kształtów. Nieskażone promieniami słonecznymi, z pewną ilością tkanki tłuszczowej, która wokół brzucha tworzyła uroczą poduszczkę - na której miałem ochotę się położyć i zatopić. No i te włosy, które niczym ciemna aureola otaczały jej twarz.

Już podczas naszego spaceru po parku miałem ochotę podejść do niej, włożyć w nie rękę i drapać ją po głowie, delikatnie zdrapując naskórek. A gdy leżała na moim łóżku otumaniona środkiem nasennym, który dosypałem jej do piwa, nie krępowałem się już.

Najpierw była w ubraniu, a ja tylko patrzyłem, starając zatrzymać ten widok w pamięci na jak najdłużej. Później zacząłem jej dotykać, najpierw przez ubrania.

Niewiele jest mi potrzeba do szczęścia.

Dotykałem jej wszędzie.

Gdzie chciałem.

Jak chciałem.

I jak długo.

Gdy w końcu dotknąłem jej praktycznie w każdym miejscu, nawet za uszami, powoli ściągnąłem jej bluzkę, a następnie podkoszulkę. W końcu ujrzałem większy kawałek gołej skóry i poczułem, że leki, których zjadłem ponad normę, dają radę, a mój...

Moje przyrodzenie delikatnie drgnęło. To nie był efekt, którego oczekiwałem, ale pierwszy raz poczułem coś, cokolwiek. Miałem nadzieję na znacznie więcej.

I wtedy usłyszałem pukanie.

Nikogo się nie spodziewałem, więc czekałem w nadziei, że niezapowiedziany gość odejdzie.

Jednak tak się nie stało.

Po chwili dobiegł mnie dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Tylko jedna osoba nim dysponowała.

Mój kuzyn.

\*\*\*

– Zakręcona, zakręcona... – śpiewała kiedyś Reni Jusis z rogami na głowie.

Piosenka kojarzyła mi się z mamą jak żadna inna. Pamiętam, jak z uśmiechem na twarzy tańczyła z miotłą i śpiewała na całe gardło, nic sobie nie robiąc z faktu, że sąsiedzi słyszą. To była jedna z niewielu chwil, kiedy nie przejmowała się innymi. Jedna z niewielu chwil, gdy uśmiech nie schodził jej z twarzy.

Dzisiaj tak naprawdę pierwszy raz od dawna czułem się szczęśliwy, mimo że wiele wskazywało, że wkrótce może być inaczej.

Latałem z miotłą po mojej suterenie w domu starej kobiety, która dorabiała sobie na czarno, wynajmując ludziom pokoiki. Nie brała za dużo, a gdy płaciłem regularnie, o nic nie pytała, a nawet się ucieszyła na widok Sallio.

– To twój? – spytała, gdy po raz pierwszy przyprowadziłem czworonoga.

Przez całą drogę znad Wisły zastanawiałem się nad tym, czy kobieta się nie wścieknie i nie zagrozi, że albo pobędnę się psa, albo wynocha. Na szczęście tak się nie stało.

– Tak, adoptowałem.

– To piękny gest z twojej strony. A teraz leć, muszę nakarmić Wojtkę – rzuciła, pogłaskała psa za uszkiem i ruszyła w stronę swojego mieszkania.

Z tego, co opowiedział mi wujek, to po śmierci męża Wojciecha nie przyjęła do wiadomości, że już nigdy nie spotka go na tym ziemskim padole. Codziennie mu gotowała. Prała czyste rzeczy, które po całym dniu ponownie wrzucała do brudów. Opowiadała skonsternowanym sąsiadom, co u niego słyhać, dokąd ostatnio pojechali na wycieczkę. Początkowo wszyscy próbowali jej wytłumaczyć, że to nieprawda, ale z czasem, widząc, że nie przynosi to efektów, przestali.

Rozumiałem ją. Ja też czasami miałem wrażenie, że mama jest ze mną.

Ucieszyłem się, że żyjąca w swoim świecie kobieta nie protestowała na kolejnego lokatora w jej rozpadającym się domu.

Dla mnie pies nie tylko stanowił pewnego rodzaju pamiątkę, ale również w końcu miałem na stałe z kim porozmawiać, on umie słuchać.

Dla niego wstaję rano, dużo wcześniej niż zwykle. Jest moim naturalnym budzikiem. Liże mnie ociekającym śliną jęzorem po twarzy lub nodze czy ręce.

Od kiedy pamiętam, zrywanie o świcie stanowiło problem, a teraz pobudka o piątej czy szóstej rano – nie.

Poza tym w końcu czuję się spełniony. Wcześniej miałem wrażenie, że nic mi nie wychodzi w życiu. Czegokolwiek się dotknąłem – partolilem.

Gdy wychodziłem ze szpitala, czułem, że jestem gotowy na nowe otwarcie. Nowy początek, który da mi kopa. Że w końcu poczuje, co to jest szczęście. Ale nic z tego nie przychodziło.

Miesiącami, leżąc na szpitalnym łóżku, wyobrażałem sobie, co będę robił, jak w końcu stwierdzą, że jestem zdrowy, i mnie wypuszczą. Chciałem znaleźć tę idealną. Taką, z którą zrealizuję swoje fantazje. Raz próbowałem opowiedzieć o nich sympatycznej pani Oldze, która jako jedyna spośród wszystkich ludzi w szpitalu próbowała do mnie dotrzeć.

Polubiłem ją.

Gdyby nie fakt, że miała ze czterdzieści lat, pewnie bym się w niej zakochał. Podobnie jak Karolina, miała piękne brązowe włosy i taki kojący głos, którego uwielbiałem słuchać.

– Często widzisz ją w snach? – spytała podczas jednej z sesji. Przyszła wtedy w zielonym swetrze, który niczym trawa podkresłał spływające na nią brązowe pukle, wyglądające jak jesienne liście.

– Tak.

– I jak wygląda?

– Jest naga – odpowiedziałem cicho. Dawno temu przestałem się tego wstydzić, ale nigdy nie opowiadałem tego na głos. Sam się zdziwiłem, że jej się do tego przyznałem. – Ma piękne brązowe włosy i sympatyczny uśmiech. Jak pani.

– Jak ona się nazywała?



– Karolina.

– Ile miałeś lat, jak ją poznałeś?

– Nie pamiętam dokładnie. Chyba jakieś czternaście, a może piętnaście.

– Czyli to było w ośrodku?

Pokiwałem głową i spuściłem wzrok. Nie chciałem, żeby wykryła, gdy zacznę kłamać, a czułem, że będę musiał.

– Była twoją dziewczyną? – spytała niepewnie.

– Nie.

– To kim była?

– Tylko koleżanką – odpowiedziałem smutno.

– Była starsza od ciebie?

– Tak.

– Opowiedz mi o niej.

– Hmm... – zawahałem się. Zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć. Nigdy nikogo nie opisywałem.

– Jak wyglądała? – rzuciła terapeutka, widząc moje zawahanie.

– Miała takie włosy jak pani.

– Czyli brunetka. Wysoka była?

– Nie. Może trochę niższa od pani. Ale miała siedemnaście lat, więc może jeszcze by urosła.

– A jaką miała twarz?

– Szczera – powiedziałem i poczułem, jak na moich ustach pojawia się uśmiech. Zawsze tak się działo, gdy myślałem o niej. – Taką mądrą i współczującą. Bardzo się mną opiekowała i interesowała.

– A uważasz, że nikt inny się wtedy tobą nie interesował?

– Tak. – Pokiwałem głową i posmutniałem. – Ojciec zniknął z nową rodziną, potem też umarł. Tylko wujek i Teo czasami wpadali, ale mieli swoje życie, więc robili to dość rzadko. A Karolina była inna. Czasami przychodziła do pracy, nawet wtedy, kiedy nie miała zmiany, tylko po to, żeby ze mną posiedzieć, bo wiedziała, że mam urodziny i nikt nawet nie złożył mi życzeń. W rocznicę śmierci matki załatwiła mi wyjście na cmentarz, co stanowiło nie lada wyzwanie.

– Miło z jej strony.

– Wiem, ona taka była.

– A gdzie jest teraz? Nie odwiedza cię chyba?

– Ona odeszła.

– Wyjechała?

– Nie, umarła – powiedziałem i wyszedłem z sali. Jednak nie chciałem o tym rozmawiać.

\*\*\*

Z Niną było idealnie.

To, co się stało później, przerosło moje najśmielsze oczekiwania.

Gdy usłyszałem Teo, zamarłem. Złość, która pojawiła się tak nagle, buzowała we mnie niczym gorące źródło.

Chciałem, żeby wyszedł. Zostawił mnie. Chciałem w końcu dać radę sam. Zrobić coś idealnie.

Ale myliłem się. To on dopełnił dzieła.

Nie zdominował mnie. Nie odebrał nagrody. Po prostu stał obok i patrzył, jak się delektuję chwilą. Potem pomógł wywieźć ją do Lasu Kabackiego. Nie znałem tych okolic, ale on wiedział, gdzie przez kilka godzin nikt trzeźwy nie będzie się przemieszczał.

Nie wiem, czemu to zrobił. Czy chodziło mu o możliwość ułożenia jej jak innych?

Z głową skierowaną na ośrodek wychowawczy, tam, gdzie wszystko się zaczęło.

A może chciał patrzeć, jak uchodzi z niej życie?

Gdy przywieźliśmy ją do lasu, jeszcze oddychała.

Układaliśmy ją w naszej autorskiej pozie, gdy nagle uderzył ją z całej siły leżącym nieopodal kamieniem, który następnie schował do kieszeni. Nie chciał ułatwić zadania policji.

Po wszystkim umówiliśmy się, że robimy przerwę. Nie mogłem pozwolić, aby moje żądze ściągnęły na nas kłopoty.

**22 czerwca 2017**

Nigdy nie przywiązywałem się do ludzi i miejsc. Od śmierci matki moje życie narażało mnie na tyle sytuacji, że nie mógłbym robić inaczej. Musiałem postawić mur między sobą a resztą świata, bo gdy tylko tego nie robiłem, dostawałem mocny cios w spłot słoneczny.

Jedynymi miejscami, które regularnie odwiedzałem, były grób matki i polana, gdzie zabiłem Karolinę. Obydwa przynosiły mi ukojenie i przywracały wewnętrzny spokój.

Jednak nie tym razem.

Gdy przysiadłem na zwałonym pniu, od razu wiedziałem, że coś jest nie tak. Mały krzyżyk leżał na spróchniałej korze. Ostatnim razem ukryłem go pod grubą warstwą gałęzi, więc praktycznie niemożliwe było, aby ktoś przypadkiem go znalazł, a tym bardziej że sam z siebie wyładowałby kilkadziesiąt centymetrów wyżej na powalonym drzewie.

Rozejrzałem się po okolicy i miałem wrażenie, że dostrzegłem minimalny ruch krzaków od strony ośrodka. Od dawna zauważałem u siebie lekką paranoję, ale tym razem to było coś innego.

Ktoś pewnie powiedziałby, że to mógł być wiatr, który niósł zmianę frontu, zwierzyzna, która mimo bliskości zabudowań cały czas krążyła po lesie, lub spacerujący człowiek.

Czuąc spływający po plecach pot, ruszyłem w kierunku budynku, którego tak bardzo unikałem. W dniu, kiedy odnaleziono ciało Karoliny, rozpełtało się istne piekło. Wszyscy zostali zamknięci w swoich pokojach i po kolei byli przepytывani przez policjantów, którzy nie traktowali nas zbyt przyjemnie. Krzyczeli, podobno niektórych szarpali. Próbowali przez zastraszenie i przemoc wyciągnąć z nas jakiegokolwiek informacje. Niestety poza kilkoma nieistotnymi informacjami nic nie uzyskali. Wtedy zmienili taktykę.

Wypuścili wszystkich i zaczęli już dużo milieć. Przepytывali, dopytywali. Dopiero wtedy dowiedzieli się kilku rzeczy, które na moje szczęście okazały się zupełnie nieistotne.

Ktoś opowiedział o nocnych schadzkach dwóch par, które wymykały się przez okno w kuchni i szły do pobliskiego pubu. Tajemniczą nierozwiązaną było to, skąd mieli pieniądze, bo żadne z czworga podkablonych przez kolegów nastolatków nie puściło pary z ust.

Wypłynęła też sprawa znikających z szafki dyrektorki słodczy, a w szczególności bombonierek z alkoholem, ale to też nikogo nie interesowało.

W końcu odpuścili, ale i tak atmosfera panująca w ośrodku była tak napięta, że można było ją ciąć nożem. Nauczyciele i wychowawcy patrzyli na każdego jak na podejrzanego. Zniknęły śmiechy na lekcjach, a zastąpiła je grobowa cisza.

Doszły jeszcze próby wyciągnięcia od kogokolwiek z ośrodka jakichkolwiek informacji dotyczących morderstwa dziewczyny przez namolnych dziennikarzy szukających sensacji. Stali godzinami przy ogrodzeniu, czekając, aż ktoś podejdzie i sprzeda im jakąś ciekawą informację.

Gdy dyrektorka powiedziała się, ponownie rozpełtało się piekło. Wszyscy chodzili ze spuszczonej głowami i nie odzywali się do siebie. Każdy wiedział, że kwestią czasu jest, że to miejsce przestanie istnieć i nie przetrwa.

I tak się stało.

A teraz stałem przed budynkiem ośrodka i denerwowałem się, jakby to wszystko za dotknięciem magicznej różdżki miało wrócić.

Gdy zobaczyłem pomalowaną na różowo ramę roweru szosowego, wiedziałem, że to nie przypadek. Tereny dookoła ośrodka zdecydowanie nie nadawały się na cienkie opony, jakie miała dziewczyna rozmawiająca z kucharką.

Pamiętałem ją dobrze. Czasami, jak nikt nie patrzył, dawała mi dodatkowego kotleta lub dolewała więcej zupy, mimo że każdy miał taki sam przydział jedzenia i dokładki nie były przewidziane, choć na kuchni zawsze coś zostawało.

Starsza kobieta, żywiołowo gestykułując, opowiadała coś rowerzystce, raz na jakiś czas smutno patrząc na zniechęcony przeze mnie budynek. Podeszedłem jeszcze bliżej i czujnie nasłuchiwałem.

– Karolina, z tego, co pamiętam, była ładną dziewczynką.

Na samo wspomnienie o niej aż przeszły mi ciarki po plecach. Zdecydowanie była najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu spotkałem. Te, które mi się później napatoczyły, były tylko marnymi podróbkami.

– Jak umarła, miała chyba szesnaście czy siedemnaście lat, czyli już taka mała kobietka. Zawsze chodziła z rozpuszczonymi włosami, mimo że dyrektorka się o to wściekała. Zazdrośnie na nią patrzyłam, bo miały taki piękny brązowy kolor, który kiedyś próbowałam sobie zrobić, ale wpadał bardziej w rudy i mąż przez kilka dni patrzył na mnie jak na kosmitkę.

– A jak zginęła? – dopytywała dziewczyna.

Miałem nieodpartą ochotę do niej podejść i ją uciszyć. Słuchanie o wydarzeniach sprzed lat nie było przyjemne, szczególnie że cały czas żyłem w strachu, że ktoś wpadnie na mój trop.

– Na samą myśl o tym robi mi się słabo. Ktoś zmasakrował jej twarz. Podobno ciężko było ją rozpoznać...

Niestety musiałem jej przyznać rację.

– Masakra.

– To musiał być jakiś zwyrodnialec. Dzieci w ośrodku były po różnych przejściach. Pamiętam chłopca, który uwielbiał bawić się płomieniami, dlatego wszyscy na kuchni musieli chować lub zabierać wszelkie źródła ognia. Podobno kiedyś rozpałił ognisko w domu. Na pytanie dlaczego, powiedział, że chciał zrobić sobie kiełbaski. Takich akcji miał na swoim koncie mnóstwo. Rodzina ledwo wiązała koniec z końcem a z takim w domu mieli jeszcze ciężiej. Gdy podpalił kurnik sąsiadowi, wyładował tutaj. Te dzieci były okropne. Łały się non stop, darły niemilosiernie, ale nie sądzę, że byłyby w stanie zrobić coś tak strasznego. To musiał być jakiś starszy facet, który szukał ujęcia dla swoich żądz. A że dziewczyna nie chciała, to ją zabił, a później wykorzystał. Tylko ja nigdy nie mogłam zrozumieć jednego, dlaczego zostawił ją nagą ułożoną jak krzyż, z twarzą i stopami wbitymi w ziemię.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy na te słowa, a na jej twarzy pojawiła się czujność. Po chwili powiedziała:

– Współczuję, że musiała pani to przeżyć.

– Nie było łatwo. Ja już niby tutaj nie pracowałam, ale identyfikowałam się z resztą personelu i tymi biednymi dzieciakami. To one najbardziej to przeżywały.

Pogadały jeszcze chwilę o dawnych czasach i kobieta ruszyła w stronę pobliskiego sklepu spożywczego, zostawiając dziewczynę samą. Obserwowałam ją z ukrycia, zastanawiając się, co zrobić, bo w to, że trafiła tu przypadkiem, zdecydowanie nie wierzyłam.

Musiałem dowiedzieć się, kim była i dlaczego nagle pojawiła się w okolicach ośrodka.

**Grzegorz Wiśniewski odłożył kopię pamiętnika i westchnął.**

**Po raz kolejny przekonał się, że jedna tragedia pociągała za sobą kolejną.**

**Na szczęście wiedział, że on już nic na to nie poradzi.**

**Odłożył koc na drewnianą ławę i poszedł pomóc z zakupami żonie, która właśnie podjechała pod ich nowy dom. W końcu obiecał, że będzie więcej pomagał.**

## *Kilka słów na koniec*

To niesamowite. Trzy lata temu pisałam swoją pierwszą powieść, a dzisiaj mam na swoim koncie osiem wydanych tytułów (stan na 10.2023).

Nie piszę o tym, żeby się chwalić, ale podziękować.

To dzięki Tobie, najdroższy Czytelniku, moja przygoda z pisarstwem nie skończyła się na pierwszym tytule, ale trwa dalej i wszystko wskazuje na to, że jeszcze się przeciągnie.

Od pierwszego tytułu wydaję swoje powieści w ramach self-publishingu albo, jak wolą inni, jako samowydawca, dlatego tym bardziej dziękuję. Wiem, że często nie widząc na okładce nazwy znanego wydawnictwa, automatycznie przenosimy wzrok na kolejną.

Jestem wdzięczna za wszystkie wiadomości, komentarze i udostępnienia w social mediach, które obok sprzedaży są w dzisiejszych czasach znakiem, że to, co robię, ma sens.

Dlatego jeżeli masz ochotę, pisz do mnie, zostawiaj opinie, gdzie się da.

A jeżeli nie znasz jeszcze moich poprzednich powieści, to serdecznie zapraszam do lektury!

Dotychczas wydane zostały:

- „40. Raków”
- seria o Dorocie Czerwińskiej:
  - o „Przez pomyłkę” – tom 1,
  - o „Dziewczyna z wnętrza” – tom 2,
  - o „Iluzja doskonałości” – tom 3,
  - o „Zabawa w zabijanie” – tom 4,
- „Zasada wzajemności”,
- „I co dalej?”.

Wszystkie powieści są dostępne w trzech formatach w moim sklepie, czyli na [www.peszek.pl](http://www.peszek.pl), ale również na większości platform i sklepów internetowych.

Pozdrawiam  
Agnieszka